



GHOSTLAND

AMERYKA
I JEJ
NAWIEDZONE
MIEJSCA

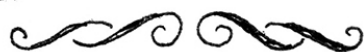


COLIN DICKEY





GHOSTLAND



AMERYKA

I JEJ

NAWIEDZONE

MIEJSCA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Od autora

Wprowadzenie. Anatomia nawiedzenia (Nowy Jork)

I. NIESAMOWITE DOMY I REZYDENCJE

1. Ukryte schody (Salem, Massachusetts)
2. Ruchomy grunt (St. Francisville, Luizjana)
3. Dom bez końca (San Jose, Kalifornia)
4. Prostackie objawienie (Georgetown, Nowy Jork, i Bull Valley, Illinois)
5. Rodzina, która nie chciała już dłużej żyć (Saint Louis, Missouri)

II. PO GODZINACH W BARACH, RESTAURACJACH, HOTELACH I DOMACH PUBLICZNYCH

6. Diabelskie miejsce (Richmond, Wirginia)
7. Dzidzia (Reno, Nevada)
8. Przejazdem (Los Angeles, Kalifornia)

III. DUCHY PRZESTRZENI PUBLICZNYCH TAKICH JAK WIĘZIENIA I SZPITALA PSYCHIATRYCZNE, CMENTARZE ORAZ PARKI

9. Melancholijna kontemplacja (Moundville, Wirginia Zachodnia)
10. Plama (Danvers, Massachusetts, i Athens, Ohio)
11. W oczekiwaniu na diabła (Charleston, Karolina Południowa, i hrabstwo Douglas, Kansas)
12. Nasi znamienici zmarli (Shiloh, Tennessee)
13. Wiatr hula po Cathedral Parku (Portland, Oregon)

IV. DAREMNE WSPOMNIENIA Z MIAST I MIASTECZEK

14. Podmokły grób (Nowy Orlean, Luizjana)
15. Wśród ruin (Detroit, Michigan)
16. Hillsdale, USA

Epilog. Duch w nowej maszynie (Allendale, Kalifornia)

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *Ghostland. An American History in Haunted Places*

Opieka redakcyjna: PIOTR TOMZA, MACIEJ ZARYCH

Zespół redakcyjno-korektorski: BIANKA DZIADKIEWICZ, ANNA SIKIERSKA, ANETA TKACZYK, JOANNA ZABOROWSKA

Projekt okładki i stron tytułowych oraz ilustracje: JON CONTINO

Opracowanie graficzne na podstawie oryginału: RENATA BRONKA

Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

Copyright © 2016 by Colin Dickey

© Copyright for the Polish translation by Jerzy Kozłowski

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07796-2

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Nicole

Lwią część roboty za duchy wykonują żywi.

JUDITH RICHARDSON

Kraina duchów leży poza jurysdykcją prawdziwości.

NATHANIEL HAWTHORNE

OD AUTORA

Niniejsza książka nie jest próbą udowodnienia prawdziwości lub nieprawdziwości jakichkolwiek relacji o duchach. Wiążą się z nimi pytania – dla niektórych frapujące, dla innych problematyczne lub zupełnie nieciekawe – dotyczące fizyki i metafizyki, teologii i przesądów, zjawisk naturalnych i nadnaturalnych, jednakże one wszystkie ostatecznie wracają do wspólnego punktu wyjścia. Jak ponad dwieście lat temu w liście do Jamesa Boswella zauważył Samuel Johnson: „Od stworzenia świata upłynęło pięć tysięcy lat, a nie wiadomo dotąd, czy kiedykolwiek pojawił się na ziemi duch osoby zmarłej”. Nie ma takiego dowodu, który przekonałby sceptyka, podobnie jak żadne argumenty sceptyków nie zachwieją wiarą przekonanych. Jak to ujął Johnson: „Rozum świadczy przeciw temu, ale uczucia są za tym”^[1].

Niniejsza książka skupia się więc na kwestiach związanych z żywymi. Jak sobie radzimy z historiami o zmarłych i ich duchach? Jak zamieszkujemy przestrzenie, które uważa się za nawiedzone, i jak się po nich poruszamy? Podobne pytania powstają niezależnie od tego, czy się w duchy wierzy, czy też nie. Nawet jeśli ktoś nie daje wiary przekazom o zjawiskach nadprzyrodzonych, historie o duchach i legendy o nawiedzonych miejscach wciąż pozostają ważną częścią naszej kultury, pozwalając nam się bowiem zmierzyć z przeszłością i tymi, którzy żyli przed nami. Książka ta zgłębia relacje między miejscem i opowieścią: ich wzajemne zależności oraz to, jak jedno pomaga ożywić drugie.

WPROWADZENIE

ANATOMIA NAWIEDZENIA

Nowy Jork

Sierpień 1933 roku na Lower East Side na Manhattanie. Na Wschodniej Czwartej Ulicy bawią się dzieci – krzyczą i biegają jak szalone, bo trzeba wykorzystać ostatnie tygodnie letniej aury, zanim nastanie jesień. Nie ma w tym niczego niezwykłego. Wtem otwierają się drzwi domu pod numerem 29 i na schodki wychodzi staruszka, wygląda na ulicę i wymachując gwałtownie rękami, rozkazuje dzieciom, żeby się uciszyły. Wszyscy ją rozpoznają, dzieciaki i dorośli: to Gertrude Tredwell, która mieszkała w tym domu przez ponad dziewięćdziesiąt lat. Urodziła się w nim w roku 1840, pięć lat po zakupie nieruchomości przez jej ojca. Jest wściekła – mówi, że dzieci zachowują się o wiele za głośno, i każe im się uspokoić. Maluchy cichną, odwracają się w stronę schodów wiodących ku wejściu do domu Gertrude i spoglądają ze strachem na staruszkę, która cofa się do środka i usatysfakcjonowana zamyka drzwi.

W tym incydencie nie ma niczego niezwykłego, może prócz faktu, że Gertrude Tredwell od kilku tygodni nie żyje.

Nie po raz ostatni widziano ją wtedy w domu przy Wschodniej Czwartej. Kilka miesięcy po jej śmierci budynek przeszedł w ręce dalekiego kuzyna, a jako że z Dolnego Manhattanu zniknęła większość dawnych rezydencji kupieckich, nowy właściciel postanowił utworzyć w domu Tredwellów muzeum i w 1936 roku udostępnił je zwiedzającym. W następnych latach doszło do kilkadziesiątu niewyjaśnionych incydentów – w starym domostwie działy się rzeczy naprawdę dziwne. Na początku lat osiemdziesiątych do drzwi zadzwonili turyści, którzy trafili tam przypadkiem. Kobieta w kostiumie z epoki poinformowała ich uprzejmie, że muzeum jest tego dnia nieczynne, i zaproponowała, żeby łaskawie wrócili kiedy indziej. Gdy turyści po jakimś czasie zatelefonowali, żeby zapytać o godziny otwarcia, dowiedzieli się, że muzeum w chwili ich odwiedzin było czynne, a poza tym nikt z pracowników nie przebiera się w żadne kostiumy. Widywano też Gertrude we wnętrzach domu – czasem coś nuciła, czasem grywała na pianinie, ale zawsze ukazywała się jako drobna, słabowita kobieta w staromodnej sukni.

Nie była zresztą sama. Jedna z kobiet odwiedzających muzeum latem 1995 roku twierdziła, że odbyła na piętrze długą rozmowę ze starszym dżentelmenem w znoszonym stroju, w ciężkiej wełnianej marynarce zalatującej naftaliną. Opowiedział jej, jak się kiedyś w tym domu mieszkało. Słuchała go przez kilka minut, lecz gdy na moment się odwróciła, mężczyzna gdzieś przepadł. Później rozpoznała go na zdjęciach, które jej pokazano: był to Samuel Lenox Tredwell, brat Gertrude, który zmarł w 1921 roku [2].



Tego typu opowieści niesamowite znaczą więcej, niż zwykle jesteśmy gotowi przyznać. Jeśli chcemy naprawdę odkryć dla siebie jakieś miejsce, omińmy chęłpliwe pomniki i topowe

atrakcje turystyczne i skierujemy swe kroki od razu tam, gdzie straszy. Poszukajmy posępnych cmentarzy, zrujnowanych hoteli, opuszczonych i rozpadających się starych szpitali. Odczekajmy do północy, by sprawdzić, co się stanie. Darujmy sobie patriotyczne mowy i oficjalne narracje, wsłuchajmy się za to w nocne odgłosy. Nie trzeba elektronicznych gadżetów, żeby wychwycić głosy zmarłych, wystarczy cierpliwe ucho i otwarty umysł. Gdy zaczniemy szukać, znajdziemy je wszędzie.

„Opowiadamy sobie historie, żeby żyć”, napisała kiedyś Joan Didion i prawda ta odnosi się również do historii niesamowitych: opowiadamy o zmarłych, ażeby lepiej zrozumieć żywych. Opowieści o duchach w dużo większym stopniu niż zwykle legendy miejskie czy snute przy ognisku historie z dreszczykiem odsłaniają kontury naszych niepokojów, charakter naszych zbiorowych lęków i pragnień, tego wszystkiego, czego nie jesteśmy w stanie wyrazić w inny sposób. Przeszłość, o której boimy się mówić głośno w jasnym świetle dnia, jest tą samą przeszłością, która zachowała się w wyszeptywanych w ciemności historiach niesamowitych.

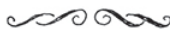
Opowieści o duchach są tak stare jak nasza cywilizacja, pojawiają się w najwcześniejszych eposejach i w całym świecie starożytnym. W jednym z listów rzymski pisarz Pliniusz Młodszy wspomina o domu nawiedzonym przez widmo „w postaci starca wychudłego i nędzą wycieńczonego, z długą opuszczoną brodą, najeżonym włosom, kajdany na nogach, łańcuchy na rękach dźwigało i nimi wstrząsało”[3]. Dom stał pusty, w końcu jednak wynajął go filozof Atenodor. Pierwszej nocy czekał na ducha i pracował dotąd, aż zjawa się ukazała.

Atenodor, jak relacjonuje Pliniusz, nie spieszy się i gdy postać mu się objawia, „ręką jej znak daje, ażeby cokolwiek zaczęła, i znów się do tabliczek bierze i ryłca”[4]. W końcu pozwala zjawie, by wyprowadziła go z domu na podwórze. Tam widmo nagle znika. Rano filozof zaczyna kopać w miejscu, w którym duch rozpułnął się w powietrzu, i znajduje tam skutury łańcuchami szkielet. Sprawia porzuconym dawno szczątkom właściwy pochówek i widmo przestaje się ukazywać.

Duchy są pomostem między przeszłością i teraźniejszością, przedzierają się przez pozorne niepokonane bariery śmierci i czasu, by połączyć nas z czymś, co – jak sądziliśmy – bezpowrotnie przepadło. Dają nam nadzieję na życie po śmierci, dzięki czemu pomagają uporać się z bólem po stracie bliskich. Są obietnicą tego, że ze zmarłymi nie musimy się żegnać na zawsze i że – jak w wypadku Atenodora – sprawy niedokończone za życia można sfinalizować pod postacią ducha po śmierci.

Dlatego właśnie, mimo że w Stanach Zjednoczonych nie ma kilkusetletnich zamków ani ruin średniowiecznych opactw, kraj ten jest tak samo nawiedzany przez duchy jak inne zakątki świata, a może nawet bardziej. Zjawy znajdziemy na okazałych plantacjach Południa, na odludnych terenach równinnych stanów, w luksusowych kalifornijskich hotelach, w rezydencjach w stylu kolonialnym na północnym wschodzie. Przemierzają ulice podupadłych miast z tzw. pasa rdzy[1*], takich jak Detroit i Buffalo, straszą w nawiedzonych miastach Południa. Spotkamy je w opuszczonych górniczych miasteczkach i w tętniącej życiem metropolii – Nowym Jorku.

Według jednego z sondaży 45 procent Amerykanów wierzy w duchy, a 30 procent twierdzi, że widziało je na własne oczy[5]. I chociaż wiara ta wykracza poza ramy, w jakich zwykle pozostajemy, starając się objaśniać świat – jest sprzeczna z nauką i komplikuje religię – trudno ją zachwiać. To, że wciąż wierzymy w duchy, nie bacząc na sceptycyzm naszego racjonalnego umysłu, dowodzi, że w tych historiach kryje się coś, co jest kluczowe dla zrozumienia otaczającego nas świata. Nie możemy ich zignorować, bo wiemy, że niosą ze sobą coś ważnego.



Muzeum Merchant's House, dawna kamienica kupiecka na Dolnym Manhattanie, tkwi samotnie pośród miejskiego zgielku. Stoi w tym miejscu od stu osiemdziesięciu lat i niewykluczone, że postoi drugie tyle. Ściany wciąż trzymają się w pionie, cegły przywierają mocno do siebie, drewniane parkiety uginają się łagodnie pod stopami, a w pokojach gromadzą się duchy.

Seabury Tredwell kupił ten dom w 1835 roku, gdy przeszedł na emeryturę (był właścicielem dużej firmy handlującej artykułami żelaznymi)^[6]. Spłodził ośmioro dzieci, z których ostatnie, Gertrude, urodziło się w 1840 roku w tymże domu, gdy Tredwell miał sześćdziesiąt lat. Gertrude nie wyszła za mąż – był jeden kandydat do jej ręki, ojcu jednak nie podobało się jego katolickie wyznanie – spędziła więc swoje życie na Czwartej Ulicy, patrząc, jak po kolei umierają jej bracia i siostry, aż została tylko ona. Cały czas się starała, żeby dom wyglądał dokładnie tak, jak to zaplanował Seabury, zachowywała jego dziewiętnastowieczny styl aż do 1933 roku, gdy zmarła w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat. Jej kuzyn zamienił rezydencję w muzeum o nazwie Merchant's House, a duchy podobno przybyły niedługo potem.

Muzeum jest doskonałym przykładem nawiedzonego amerykańskiego domostwa. Z wewnątrz prezentuje się majestatycznie, wytwornie, emanując podnieszczoną elegancją. Drzwi frontowe zapraszają do środka, a jednocześnie zdają się coś ukrywać. Podłogi skrzypią bez ostrzeżenia, chociaż nikogo tam nie ma. Stare drewno jest przesiąknięte wilgocią, jak gdyby ściany i parkiety wciąż oddychały. To najstarsza w Nowym Jorku kamienica z piaskowcową elewacją (ang. *brownstone*) i jednocześnie oryginalnym umeblowaniem należącym do pierwotnych właścicieli. Wszędzie dookoła wznoszą się lśniące szklano-stalowe wieże naszych czasów, w których nieustannie tętni życie.

Wchodząc do domu, którego mieszkańcy od dawna nie żyją, nietrudno odnieść wrażenie, że przenosimy się w czasie. W tak wysłużonym budynku łatwo też poczuć, że coś tu jest nie do końca w porządku: niewidzialna obecność, ślad czegoś, co nie pasuje. Goście muzeum opowiadali o „zimnych strefach”^[2*] lub dziwnych smugach rozproszonego światła, z których część udało się uchwycić na zdjęciach. Badacze zjawisk paranormalnych przeprowadzali tam sesje EVP^[3*]: w pustym pokoju włączali magnetofon i zadawali pytania, by potem odtworzyć nagranie w nadziei, że duchy im odpowiedziały. Podczas kilku takich sesji zarejestrowano słaby, stłumiony dźwięk – w opinii niektórych głos z tamtego świata.

Sceptykowi łatwo zbyć i zbagatelizować podobne zjawiska. Zdarzenie paranormalne bez towarzyszącej mu historii jest ulotne. Tym, co przydaje mu „prawdziwości” i trwałości, przynajmniej w pewnym sensie, jest historia, opowieść, która pozwala owemu zjawisku zakorzenić się w zbiorowej świadomości. Poczucie niesamowitości – że coś jest niezupełnie w porządku, że doszło do jakiegoś drobnego zachwiania – domaga się wyjaśnienia. Szukając go, często zwracamy się ku duchom. Historia o duchach nie spowoduje, że poczucie niesamowitości zniknie, ale może – niczym mały tworzący perłę wokół ziarnka piasku – przekształcić je w coś bardziej stabilnego, mniej niepokojącego.

Angielskie słowo *haunting*, czyli „nawiedzanie”, na długo zanim zaczęto je kojarzyć z duchami, oznaczało po prostu „odwiedzać coś regularnie”, tak jak nastolatki odwiedzają park, a amatorzy alkoholu bary^[4*]. Kamienica Tredwellów i podobne jej domy mogą być zatem nawiedzone w tym właśnie sensie, naznaczone pozostałościami dawnych czynności, rysami w podłogach i ścianach – tak jakby analizując te ślady, można było poznać codzienne zwyczaje

je ludzi, którzy w nich mieszkali.

Zjawy w Merchant's House wyłaniają się nie tylko z uczucia niesamowitości, jakie nas ogarnia pod wpływem skrzypiącego drewna i zabytkowej architektury, lecz także z opowieści o niegdysiejszych mieszkańcach, które latami były przekazywane z ust do ust i czasem ubarwiane, by zwiększyć ich dramatyzm. W opowieściach o Gertrude podkreśla się, że nigdy nie wyszła za mąż; że kiedy ojciec nie zaakceptował jedyne go zalotnika, jakiego miała, przyrzekła mu, że będzie mieszkać w tym domu samotnie. Stara panna, posłuszna życzeniom ojca nawet po jego śmierci, wydaje się postacią tragiczną, wręcz na granicy obłędu. Straszyla w Merchant's House jeszcze przed swoją śmiercią – rozchwiana emocjonalnie, samotna, niezdolna zapomnieć o lojalności wobec rodzica.

Z kolei jej brat Samuel, który nigdy niczego nie osiągnął i został wydziedziczony przez rodzinę, nazywany jest czarną owcą. To odrobinę niesprawiedliwe. Samuel poszedł w ślady ojca i został kupcem; handlował porcelaną i naczyniami stołowymi, choć nie udało mu się powtórzyć sukcesu Seabury'ego. Został wykreślony z testamentu ojca głównie z powodu długów, jakie zaciągnął w latach po wojnie secesyjnej. (Seabury utworzył jedynie trust dla córki Samuela). Ale legendy związane z Merchant's House wyolbrzymiają napięcie i rozmiary rodzinnego sporu, uciekając się do melodramatycznych karykatur. Wizja ducha Samuela jest dużo bardziej ekscytująca i straszna, jeśli założy się, że przybył zza grobu upomnieć się o należne mu dziedzictwo.

Gertrude Tredwell, stara panna, która zdawała się nie przyjmować do wiadomości upływu czasu w miejscu tak dynamicznym i zmiennym jak Nowy Jork, ucieleśnia cały szereg wyobrażeń i lęków związanych z kobietami, życiem domowym i nowoczesnością. Podobnie w duchu obdartego Samuela Tredwella odnajdujemy historię wydziedziczenia i ojcowskiego rozczarowania, która odzwierciedla sposób, w jaki nasza kultura traktuje mężczyzn nieodpowiadających pewnym ideałom męskości. Dodać do tego należy portret despoty Seabury'ego, a wtedy Merchant's House podsuwa nam niepokojący obrazek amerykańskiej rodziny, sprzeczny z ustalonymi wyobrażeniami o tym, jak powinni się zachowywać ojciec i jego dzieci.

Oprócz zjawisk paranormalnych stare budynki nawiedzają także wspomnienia: o tych, którzy kiedyś je zamieszkiwali, oraz te, które my wnosimy. Ostatecznie jesteśmy nauczeni łączyć pamięć i przestrzeń. Mniej więcej w tych samych czasach, gdy Pliniusz Młodszy pisał o nawiedzonym domu Atenodora, wielcy mówcy – Cycero, a potem Kwintylian – opracowali technikę pozwalającą zapamiętywać duże ilości informacji, zwaną „pałacem pamięci”^[7]. Zamiast próbować utrwalić coś w pamięci bezpośrednio, można sobie wyobrazić dom i „umieścić” różne części informacji w poszczególnych pokojach. Na przykład pierwszy punkt przemówienia umieszcza się w holu wejściowym, drugi w pierwszym pokoju i tak dalej. By odtworzyć całą przemowę, orator musi po prostu „przejsć” przez dom w swoim umyśle i rekonstruować jej kolejne fragmenty, przemierzając pokoje. Ta technika wskazuje, że pamięć jest w pewnym stopniu przestrzenna, a przynajmniej przystosowana do przestrzennego funkcjonowania: nasze mózgi pracują w taki sposób, że przypisują wartości lub znaczenia mentalne miejscom, które odwiedzamy.

I tak jak wymyślone budowle mogą być przydatne w zapamiętywaniu informacji, prawdziwe, materialne domy mogą mieć własną pamięć – nawet jeśli stanowi ona tylko naszą projekcję. Nawiedzony dom jest urzeczywistnionym pałacem pamięci: fizyczną przestrzenią przechowującą wspomnienia, które w przeciwnym razie uległyby zapomnieniu lub zachowały się jedynie we fragmentach. Pod niewidzialnym ciężarem tych wspomnień i zwyczajami tych,

k którzy kiedyś zamieszkiwali te miejsca, wyczuwamy drżenie zjaw.



Duchy, jak pisze historyk Thomas W. Laqueur, są „wyobrażeniem niewyobrażalnego: zmarłych, którzy gdzieś przebywają”[8]. W świecie, w którym niemal każdą chwilę życia fotografuje się, zapisuje i dokumentuje, frapują nas te luki z przeszłości. Poszukiwanie duchów może być próbą zrekonstruowania tego, co utracone. Przesiewając czas, ażeby wydobyć z niego zawieruszone lub zapomniane historie, nasłuchujemy głosów proszących o pamięć. Opowieści niesamowite krążą wokół niedokończonych spraw, zerwanych związków, rzeczy niewyjaśnionych. Proponują alternatywny rodzaj historii i wydobywają na pierwszy plan to wszystko, co w innym wypadku zostałoby pominięte. Pozwalają poruszać wątki, o których normalnie rozmawiać nam nie wolno; są zakazaną przeszłością, bezpiecznie – jak sądziliśmy – zamurowaną. Wypełniają luki i przy okazji pomagają uśmierzyć nasze lęki, dostarczając wyjaśnień po latach. Tak jak życie Gertrude Tredwell jest źródłem krążących na jej temat historii, tak legenda o duchu nadaje sens jej egzystencji. Dzięki historiom niesamowitym można uzupełnić niekompletne, fragmentaryczne lub nieoczekiwane aspekty czyjejś biografii.

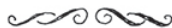
W swojej pracy na temat opowieści niesamowitych z doliny rzeki Hudson w stanie Nowy Jork Judith Richardson opisuje, jak to w szczególności jeden duch zmieniał kształt wraz z upływem dziesięcioleci, odpowiadając na potrzeby różnych czasów[9]. Przez ponad dwieście lat mieszkańcy wioski Leeds donosili, że ukazuje im się upiorne widmo konia galopującego główną drogą i wlokącego za sobą młodą kobietę. Ta historia w swej najbardziej podstawowej formie opowiada o okrutnym panu, który zabił młodą służącą za jakąś drobną przewinę. Gdy w powieści *The Sutherlands* (Sutherlandowie) z 1862 roku wspomniała o niej pisarka Miriam Coles Harris, ofiarą była niewolnica o afroindiańskich korzeniach. Harris wykorzystała ją, by stworzyć przypowieść na wzór *Chaty wuja Toma* i poddać krytyce nie tylko instytucję niewolnictwa, lecz także białą ludność Północy za współudział w tym procederze. W 1896 roku ta sama zjawia się w książce *Myths and Legends of Our Own Land* (Mity i legendy naszej ojczyzny) Charlesa M. Skinnera, teraz jednak jest białą imigrantką z Europy, co odzwierciedla zainteresowanie Skinnera różnicami klasowymi i walką proletariatu. We współczesnych wersjach tej historii brakuje już tła politycznego, na przykład w wydanej w 2002 roku książce przywołującej legendę z Leeds o etnicznym dziedzictwie niewolnicy w ogóle się nie wspomina, a różnice klasowe są zepchnięte na dalszy plan[10]. Jej pan jest wciąż okrutny i bezduszny, jawi się już jednak jako indywidualne wcielenie zła, a nie reprezentant zepsutej klasy społecznej.

Analiza tego, jak i dlaczego wraz z upływem czasu zmieniają się historie o duchach, może dostarczyć sporo informacji o naszych sposobach mierzenia się z lękami i obawami. Nawet jeśli opowieści te opierają się na faktach, zanim zawładną naszą wyobraźnią, zostają często znacząco uduktowane i zafałszowane, a wyłowienie owych zmian jest kluczowe dla zrozumienia tego, jak duchy kształtują nasze relacje z przeszłością.

Lubimy postrzegać Stany Zjednoczone jako jednolitą, spójną całość bazującą na postępie i nieprzerwanym doskonaleniu się w cnocie, gdzie historia odzwierciedla ciągle dążenie do osiągnięcia sprawiedliwości społecznej – jednak wszechobecność duchów sugeruje coś innego. Zjawy, które nawiedzają nasze lasy, cmentarze, domy oraz miasta, pojawiają się w chwilach niepokoju i wskazują na niestabilność narodowej i lokalnej tożsamości. Historia o duchach jest tym, co Freud nazywał „powrotem wypartego”[11], gdy coś, o czym wolelibyśmy za-

pomnieć, powraca w innej postaci – takiej jak słynna „freudowska pomyłka” (sam nazywał ją parapraksją) – i ujawnia coś, co ukryliśmy głęboko w nieświadomości.

Amerykańskie historie niesamowite są same w sobie snami (lub koszmarami) narodu, freudowskimi pomyłkami całych społeczności: to niewygodne i nieproszone echa czegoś, co uważaliśmy za dawno minione i teraz już nieistotne. Podczas gdy historię Ameryki przedstawia się w szkołach jako serię wielkich, doniosłych przełomów, opowieści niesamowite traktują o nieukaranych zbrodniach i postępkach, które budzą w nas poczucie winy. Proponują wyjaśnienie tego, co pozornie niewyjaśnialne, zajmują się niesprawiedliwościami po fakcie i dają wyraz naszym niewypowiedzianym pragnieniom i lękom. Mogą też równie łatwo wypychać rzeczywistość z powrotem w ustalone ramy, zastępując jej chaos wytartymi kliszami i miejskimi legendami. Żyjemy w kraju zapatrzonym w przyszłość, tyle że miewa on kłopoty z rozliczaniem się z przeszłością lub czynami naszych przodków. Świat duchów staje się zatem jeszcze jedną areną, na której można się zmierzyć ze wstydliwymi rozdziałami amerykańskiej historii, takimi jak niewolnictwo czy eksterminacja ludności indiańskiej, i ponownie je osądzić. Niewygodne prawdy, pogrzebane tajemnice, podważane narracje: historie niesamowite wyłaniają się z krainy cieni, są odpowiedzią na to, co zagadkowe i nie do końca przepracowane.



Przez kilka lat podróżowałem po kraju i nasłuchiwałem duchów. A nie ma takiego miasta, miasteczka, takiej wioski na amerykańskiej ziemi, gdzie nie byłoby ich pełno. Zacząłem od najsłynniejszych nawiedzonych miejsc, które zawładnęły wyobraźnią narodu, a ich legendy wydają się najbardziej nośne. Szukałem duchów, których historie przemawiają szczególnie mocno do świadomości Amerykanów, a jednocześnie są związane z konkretnymi budynkami.

Nie zawsze wiedziałem od razu, co mnie do danego miejsca przywabiło. Czasem po prostu obecność w jakimś budynku – na przykład noc spędzona w nawiedzonym hotelu – wystarczyła, żebym zapragnął dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Duża część niniejszej książki jest efektem wsłuchiwania się w różne historie niesamowite, lecz także w same budowle, mogą one bowiem wydawać się żywe i intrygujące z racji swego wieku lub oryginalnej architektury. Po każdym domu, którego konstrukcja odbiega nieco od normy, najczęściej krążą zjawy. Wydaje się, że język duchów stał się ważnym (choć abstrakcyjnym) sposobem mówienia o konkretnym miejscu i jego architekturze.

Różne miasta i obiekty zabytkowe w całych Stanach Zjednoczonych obwieszczają głośno, że mają najwięcej zjaw na metr sześcienny oraz najwyższą aktywność paranormalną, chcą bowiem zasłużyć na miano „najczęściej nawiedzanych przez duchy”. Każde większe miasto w USA oferuje *ghost tour* – wycieczkę, podczas której można polować na zimne strefy lub wibracje pola elektromagnetycznego czy w inny sposób szukać dowodów na istnienie zjawisk nadnaturalnych. Trend ten z czasem zaczęto nazywać „mroczną turystyką” i branża ta dynamicznie się rozwija. Jak wyjaśnia geograf Glenn Gentry, oglądanie nawiedzonych miejsc jest popularne wśród turystów, bo „dają one dostęp do nieoficjalnej wiedzy, brudów i zakulisowych tajemnic”^[12]. Są to zatem plotki o celebrytach w wersji historycznej, nieobyčajna sfera przeszłości, a ciągnie nas do nich, bo standardowa historia często tyle samo ujawnia, co przysłania.

W poszukiwaniu tej drugiej historii – zasłoniętej, zapomnianej i zbywanej – przeprowadzi-

łem rozmowy z poszukiwaczami duchów i spirytystami, historykami lokalnych społeczności i konserwatorami zabytków. Czytałem prace akademickie i tandetne przewodniki, porównywałem legendy z historycznymi zapiskami, usiłując dokopać się do genealogii konkretnych duchów i powodów, dla których pokochaliśmy te, a nie inne historie. Co sprawia, że jakieś miejsce jest nawiedzone? Kiedy skrzypiąca klepka staje się czymś więcej niż tylko skrzypiącą klepką? I co się czai za historiami o duchach? Stara panna zamknięta w niszczącym domu, skrzywdzona niewolnica na plantacji, której dusza nie może zaznać spokoju – co próbują nam powiedzieć zza grobu?

Odpowiedzi nie kryją się wyłącznie w domach, ale też w hotelach i więzieniach, na mostach i cmentarzach. Choć prawdopodobieństwo występowania duchów jest większe w budynkach mieszkalnych, inne miejsca też mogą nam opowiedzieć swoją historię. Niniejsza książka przechodzi od przestrzeni prywatnych do tych o charakterze publicznym – sklepów, lokali, instytucji, a w końcu do całych miast. Jakie tajemnice skrywają miasteczka? Dlaczego duchy nie odchodzą, gdy budynki opuszczają ich żywi mieszkańcy?

Analiza miejscowych historii o duchach – skąd pochodzą, jak ewoluowały, jak się je opowiada – może nam sporo wyjawić o rzekomo zamkniętej i wyjaśnionej przeszłości.

I

NIESAMOWITE



domy i rezydencje



W 2008 roku zaczęliśmy się wraz z żoną rozglądać za domem, dokładnie w momencie, kiedy nastąpiło załamanie na rynku nieruchomości dotkniętym pierwszą falą bankructw i szybkich sprzedaży. Wreszcie mogliśmy sobie pozwolić na kupno domu, bo jeszcze pół roku wcześniej ceny były absurdalnie wysokie. Od czasu do czasu jeździliśmy na oględziny posesji – witani przez uśmiechniętych pośredników miseczkami cukierków – których mieszkańcy niedawno urządzili ogród albo zrobili remont. Te jednak wciąż pozostawały poza naszym zasięgiem. Nieruchomości w przystępnej cenie stały zamknięte na cztery spusty, były porzucone lub miały zostać porzucone niebawem. Tchnęły rozpaczą i rozpadem.

Tamtego lata odwiedziliśmy niemal wszystkie przejęte przez banki budynki na wschód od Hollywood – w Los Feliz, Silverlake, Echo Park, Atwater Village – szukając dla siebie gniazda. Natykaliśmy się oczywiście na domy kompulsywnych zbieraczy, gdzie nie dało się otworzyć drzwi z powodu piętrzących się u wejścia stert czasopism i gazet lub innych przeszkód stwarzających zagrożenie dla życia i zdrowia – mogliśmy tylko zajrzeć do środka przez okna. Przeważały jednak koślawe domy majsterkowiczów. Los Angeles to architektoniczna ziemia niczyja, gdzie bez zezwolenia wykonuje się tysiące modyfikacji i dobudówek, co oznacza, że każdy dom przy ulicy, którą niegdyś charakteryzowała jednolita zabudowa, teraz wygląda inaczej. Dziesiątki parterowych budynków w East Hollywood pierwotnie miały powierzchnię 65 metrów kwadratowych, ale z czasem podostawiano dodatkowe sypialnie, poprzerabiano garaże, a korytarze pozamieniano w pomieszczenia – często bez głowy, sensu czy jakiegokolwiek racjonalnego powodu. Za istniejącą sypialnią dobudowano pokój dzienny, toteż jej zewnętrzne okno wychodziło na kolejny pokój; domy o powierzchni 100 metrów kwadratowych jakimś cudem mieściły cztery lub pięć sypialni – każda niewiele większa od szafy – wyciętych z rozsądnego niegdyś rozkładu; łazienki znajdowały się pośrodku kuchni; sypialnie bez okien wrzynały się w zbocza wzgórz; drzwi na piętrze wisiały nad ziemią. Efekt przyprawiał o zawrót głowy – wchodziło się do środka i zanim zdążyło się wskazać przyczynę, człowiek zupełnie tracił orientację w przestrzeni.

Tamtego upalnego lata oglądaliśmy kolejne odcięte od światła i klaustrofobiczne domiszcza. Zaczęliśmy nadawać im nazwy: Dom Pcheł – od czegoś, co ugryzło naszego pośrednika; Dom Płomieni z poczerniałymi kawałkami ścian i przypalonymi wykładzinami; Dom Tony'ego – od imienia widniejącego na przymocowanej do drzwi sypialni tablicy rejestracyjnej (co dawało szczególnie upiorny efekt w tym pustym i mrocznym budynku, jak gdyby zaraz miał wyjechać na swoim rowerku Danny Torrance^[5*]).

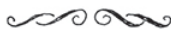
Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby ktoś kiedyś nazywał te miejsca swoim domem. Przypomnił mi się *Nawiedzony Dom na Wzgórzu* Shirley Jackson i jej opis tytułowego domostwa:

Dom ten sprawiał wrażenie, że uformował się sam, zespajając się podług własnego, potężnego planu pod rękami budowniczych. Sam stworzył swą specyficzną konstrukcję linii i kątów i wznosił

swoj olbrzymi łeb do nieba bez żadnego przyzwolenia ze strony ludzkości. Był to dom pozbawiony wszelkiej życzliwości, nigdy nienadający się do zamieszkania. Nie było tu miejsca dla ludzi, dla miłości ani dla nadziei^[13].

Wizytowane przez nas domy też zdawały się istnieć bez przyzwolenia ze strony ludzkości, lecz w pewnym sensie były przeciwieństwem budynku odmalowanego przez Jackson. Nie powstały wskutek kaprysu zamożnych ekscentryków, których nieposkromiona pycha stworzyła potwora. Te dysfunkcjonalne labirynty były raczej wytworami dziesiątków ubogich rodzin próbujących sprawić, by ich domy stały się odrobinę większe, odrobinę wygodniejsze – powstawały więc z konieczności.

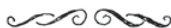
Gdy przemierzaliśmy te przestrzenie – zwłaszcza gdy odwiedzaliśmy siedem lub osiem takich domów jednego popołudnia – wrażenie było nie do opisania. W tak wielu z nich wyczuwało się coś niewłaściwego. Ostatecznie jedynym słowem, które wydaje się adekwatne do ich opisu, jest rozslawiony przez Sigmunda Freuda niemiecki przymiotnik *unheimlich*, który dosłownie znaczy „niedomowy”, „nieznajomy”, „upiorny i pełen grozy” – a w przenośni tłumaczony jest po prostu jako „niesamowity”.



Praca Freuda z 1919 roku pod tytułem *Niesamowite* jest jednym z jego bardziej osobliwych dzieł. Właściwie nie wie, od czego zacząć. Jak sam przyznaje, gdy chodzi o opis uczucia niesamowitości, „autor tej nowej rozprawy musi uskarżać się na szczególne otępienie”^[14]. Można by zapytać, po co w ogóle podjął ten temat. Otóż przede wszystkim chciał się wdać w polemikę z innym psychoanalitykiem, Ernstem Jentschem, który po raz pierwszy próbował zdefiniować niesamowitość w 1906 roku, trzynastcie lat przed Freudem. Jentsch zakładał, że wrażenie niesamowitości wypływa z pewnego rodzaju wahania poznawczego, kiedy nie mamy jasności, czy dany przedmiot, obiekt lub osoba są nieożywione, czy jednak pod pewnym względem żywe.

Freud, nieprzekonany przez Jentscha, zaczyna od przeglądu słowników i spisuje jak najwięcej różnych definicji słowa „niesamowity”. W końcu jego uwagę przykuwa fakt, że *heimlich* – oprócz „swojskie” i „znajome” – może też znaczyć „schowane”, „trzymane w ukryciu”. Na koniec przytacza definicję *unheimlich* Friedricha Schellinga: „Niesamowite jest czymś, co powinno pozostać w ukryciu, a jednak się ujawniło”^[15]. Ta definicja odpowiadała Freudowi – wszak interesował go mechanizm wyparcia – ale w odniesieniu do nawiedzonych domów nie sprawdza się już tak dobrze. Bo co w ich wypadku zostaje ostatecznie wyparte? Bardziej odpowiednie może być tutaj rozumienie Jentscha, gdzie miesza się żywe i nieożywione – wystarczy pomyśleć o antropomorfizowanej fasadzie domu z filmu *Amityville Horror*. W kontekście nawiedzonego domu pytanie brzmi: na ile sam dom żyje, a na ile jest nieożywiony?

Tak naprawdę liczy się jednak najbardziej podstawowa definicja „niesamowitego” – czyli „nieswojskie”. Nawiedzony dom jest czymś, co powinno być swojskie, powinno być przyjazne (jako mieszkanie), lecz w jakiś sposób zostało pozbawione swej prawdziwej funkcji. Taki dom budzi lęk, bo stracił swój cel, a mimo to nadal uparcie trwa. Ani martwy, ani żywy, nawiedzony dom jest czymś pośrednim, niczym żywy trup.



Istnieją nawiedzone budowle wszelkiego rodzaju: kościoły, hotele, sklepy z zabawkami. Są

nawiedzone mosty i uliczki, nawiedzone parki i parkingi. Lecz w Stanach Zjednoczonych najczęściej spotykanym – i najbardziej pierwotnym – nawiedzonym miejscem jest dom. Posiadanie własnego domu zawsze było mocno splecione z *american dream*, ideą amerykańskiego snu. Nadaliśmy tej prostej decyzji nabywczej przesadne znaczenie po części dlatego, że zapewnia bezpieczeństwo i spokój. Nawiedzony dom ma ten spokój, jest amerykańskim snem, który zamienił się w koszmar.

Nawet jeśli jego konstrukcja nie jest zaburzona jak w wypadku domów w East Hollywood, wciąż może przyciągać duchy i historie niesamowite. Francuski filozof Gaston Bachelard bez uciekania się do zjawisk nadprzyrodzonych proponuje zwięzłe i wiarygodne wytłumaczenie, dlaczego budynek, w którym mieszkamy, może nam się wydać żywy. Nasze domy to miejsca, gdzie spędzamy najwięcej czasu i tam właśnie, jak sugeruje autor, najczęściej oddajemy się marzeniom. Dom dla Bachelarda to coś więcej niż tylko schronienie, wygoda, prywatność – dom „chroni w sobie sny na jawie” i „pozwala nam w spokoju snuć marzenia”. Im bardziej rozbudowany, tym więcej w nim przestrzeni i tym bardziej sprzyja marzycielstwu: „Jeśli mieści w sobie piwnice i poddasze, kąty i korytarze, nasze wspomnienia znajdują schronienie o coraz bardziej wyrazistych konturach”^[16]. W tych zakątkach i szczelinach, oddalonych od głównych ciągów komunikacyjnych, marzenia zbierają się jak kłaczki kurzu i zapomniane zabawki, a nasza wyobraźnia zaczyna pracować. „Każdy kąt domostwa, każdy zakamarek w pokoju, cała zaciszna przestrzeń, w której z taką lubością się mościmy – zauważa Bachelard – jest dla wyobraźni samotnością, innymi słowy pokojem w załóżku, załóżkiem domostwa”^[17]. Wystarczy gdzieś pomieszkać przez jakiś czas i dom ów od razu staje się pałacem pamięci.

Takie miejsca, gdzie lubimy marzyć, same zdają się duchowo wibrować. Jak pisze autor, „miejsca, w których o d d a w a l i ś m y s i ę m a r z e n i o m, powracają samoistnie w kolejnych marzeniach. A wspomnienia dawnych domostw odzyskuje się w marzeniach dlatego, że domostwa z przeszłości pozostawiają ślad niezatarty”^[18]. Jak to kiedyś ujął Władimir Nabokov: „Nas, gdy zdarzy się nam skupić uwagę na jakimś przedmiocie materialnym, obojętne w jakich okolicznościach, sam akt skupienia może doprowadzić do mimowolnego zanurzenia się w historię tego przedmiotu”^[19]. Oznacza to, że już przez samo przebywanie w konkretnym domu potrafimy się zanurzyć w jego historii.

Innymi słowy, domy zdają się żyć, bo spędzamy w nich tyle czasu. W angielskim słowie *inhabit* – „zamieszkiwać” – ukrywa się *habit*, czyli „zwyczaj”, nadający naszej egzystencji ramy i powtarzalność. Ludzkie nawyki i otoczenie biorą udział w bezustannie zmieniającym się, niezwykle subtelnym tańcu. Domy projektuje się z myślą o pewnych modelach zachowań, mimo iż te modele czasem zmieniają się tak szybko, że architektura nie jest w stanie za nimi nadążyć. I oczywiście każdy będzie korzystał ze swojego domu inaczej, pozostawi inne ślady użytkowania. Spędziłem dzieciństwo na osiedlu, gdzie przy tej samej ulicy stało kilka kopii mojego domu. Wizyty w tych sobowtórach zawsze były oszałamiającym doświadczeniem: wszystko takie samo, a jednak zupełnie inne. Chłodne niebieskie ściany zamiast białych, wnęka z wazonem na kwiaty zamiast regału z książkami, pokój funkcjonujący jako biblioteka, nie sypialnia – całkowicie nieznamy krajobraz, przez który mogłem jednak przejść z zamkniętymi oczami.

Tak też można zrozumieć wrażenie, jakie budzą w nas nawiedzone miejsca: gdy po wejściu do domu spostrzegamy, nawet jeśli nie umiemy nazwać tego uczucia, że ktoś inny nie tylko tutaj mieszkał, ale i praktykował zwyczaje całkowicie nam obce, a jego codzienne rytuały i ślady nigdy nie będą się pokrywać z naszymi. Nawiedzone domy to składy snutych

w nich marzeń – naszych i wcześniejszych mieszkańców. Dzięki temu nawet najprostsze domy sprawiają czasem wrażenie żywych.



Domy są od nas trwalsze, mieszczą w sobie historie więcej niż jednego pokolenia. Mogą się stać skarbnicami rodzinnej przeszłości, jej dobrych i złych momentów. I chociaż duchy często straszą w określonym miejscu, bywa, że odzwierciedlają powszechniejsze zainteresowania i niepokoje swoich czasów, są echem lęków całej społeczności i jej członków. Stary dom można porównać do rdzenia wiertniczego – próbki warstw skalnych uzyskiwanej podczas geologicznego odwiertu: jest fizycznym wyobrażeniem czasu, gdzie wraz z upływem lat i kolejnymi właścicielami gromadzą się znaczenia i historie. Posiadanie starego domu wiąże się z zamieszkiwaniem nie tylko własnej wyobraźni, lecz także wyobraźni tych wszystkich, którzy mieszkali w nim przed nami.

Nawiedzone domy opisane w tej części książki zdobyły swoją reputację w dużej mierze dzięki połączeniu tych wszystkich aspektów: osobliwej konstrukcji, dziwnego, nienazwanego uczucia, jakiego doznaje się po przekroczeniu ich progu oraz niepokoju związanego z przebywaniem w budynku, którego przeszłość nie jest całkowicie poznana i zrozumiała. Podobnie jak w wypadku nowojorskiego Merchant's House, zaburzają one nie tylko powszechne wyobrażenia o tym, co powinien reprezentować dom; to zaburzenie dotyczy również samej architektury budynku mieszkalnego. Są niewiadomą, która zdaje się domagać wyjaśnienia, zagadką bez oczywistej odpowiedzi.

UKRYTE SCHODY

Salem, Massachusetts

W starych domach Nowej Anglii – napisał kiedyś Nathaniel Hawthorne – duchy występują tak powszechnie, że o całej sprawie nie warto właściwie wspominać^[20]. To prawda, można by spędzić sporą część życia, próbując sporządzić listę nawiedzonych domów Nowej Anglii, takich jak: pensjonat Captain Fairfield Inn w Kennebunkport w stanie Maine, którego pierwotny właściciel, kapitan James Fairfield, krąży po piwnicach; Captain Grant's, hotelik w Prescott w stanie Connecticut nawiedzany przez duchy z epoki kolonialnej; Sylvester Knowlton Pierce, rezydencja w Gardner w stanie Massachusetts, gdzie straszą Pierce, jego rodzina i prostytutka zamordowana w czasach, kiedy działał tam lupanar; oraz oczywiście dom zamieszkały przez Lizzie Borden w Fall River w Massachusetts. Niezliczone duchy, które straszą w majestatycznych rezydencjach w całej Nowej Anglii, tylko się mnożą.

Pomimo owego bezliku zjaw żadna miejscowość w Nowej Anglii nie słynie z nich bardziej niż Salem. Miasto, gdzie doszło do najsłynniejszej pomyłki sądowej we wczesnej historii Ameryki, gości duchy dziewiętnastu kobiet i mężczyzn straconych podczas procesów czarownic w 1692 roku. W budynku biurowym, który stoi na miejscu dawnego sądu, z faksów wychodzą dziwne wiadomości. W apartamentowcu wybudowanym na terenie starego więzienia znienacka podskakują tostery. A w uliczce za Turner Seafood Restaurant – na ziemi należącej niegdyś wedle powszechnej opinii do Bridget Bishop, pierwszej z oskarżonych o czary, którą skazano na śmierć – z drzewa skapuje krew.

Właśnie w Salem, wśród tych wszystkich widm, stoi Dom o Siedmiu Szczytach (House of the Seven Gables), jeden z najsłynniejszych nawiedzonych domów w kraju, *primus inter pares*. Usytuowany przy końcu Turner Street, z oknami wychodzącymi na zatokę, niczym specjalnym się nie wyróżnia – nie jest wyższy od sąsiednich zabudowań, a gdyby nie tabliczki i parking, można by go w ogóle nie zauważyć. Charakterystyczną cechą jest jego kolor: został pomalowany całkowicie na czarno, przez co sprawia wrażenie, jakby chciał wessać całe okoliczne światło. Co ciekawe, nazwa to pewne nieporozumienie. Tak naprawdę dom wcale nie ma siedmiu szczytów – jest ich dziewięć (choć nie wszystkie były na planie pierwotnego budynku). Można powiedzieć, że owa architektoniczna pomyłka to tylko jedna z wielu dziwnych cech tego domu, który nawet w swojej nazwie opiera się próbom precyzyjnego opisu.

Wybudowany w 1668 roku przez Johna Turnera, kapitana statku handlowego, początkowo był niewielki. Wraz z upływem lat, po przejściu w ręce syna Turnera, a potem jego wnuka, Johna Turnera III, był kilkakrotnie rozbudowywany, ale i zmniejszany. Bankructwo zmusiło Johna III do sprzedaży nieruchomości, która trafiła w ręce Susanny Ingersoll, ciotki Nathaniela Hawthorne'a. W owym czasie, gdy Ingersoll kupiła dom, najwyraźniej nazywano go już Domem o Siedmiu Szczytach, choć wtedy mógł mieć ich najwyżej cztery. W swojej historii

przeszedł tyle różnych przeróbek i remontów, że jego kształt, przynajmniej do początku XX wieku, nigdy nie był czymś stałym.

To właśnie Ingersoll zachęciła swego krewniaka, żeby napisał o Salem, gdy ten poskarżył się jej na brak tematów. „Och, tematów jest w bród – odrzekła i, wskazując na stary mebel, dodała: – Napisz o tym starym fotelu. Możesz naszkicować biografię wszystkich starych purytań, którzy po kolei stawali się jego właścicielami”^[21]. Słowa ciotki zainspirowały Hawthorne’a do podjęcia jednego z pierwszych projektów pisarskich – ułożonej w 1840 roku książeczki dla dzieci pod tytułem *Grandfather’s Chair* (Fotel dziadka). Dziesięć lat później, po nieoczekiwanym wielkim sukcesie *Szkarłatnej litery*, Hawthorne znowu poszukiwał natchnienia u ciotki. Tym razem zainteresował się jej domem.

Centralnym punktem romansu gotyckiego *Dom o Siedmiu Szczytach* jest budynek o głęboko pogrzebanej przeszłości, która nie przestaje oddziaływać na współczesnych mieszkańców. Zdaje się w nim drzeć zło, choć trudno je dokładnie określić. Jego konstrukcja nie jest do końca właściwa: to „poczerwiałe drewniany dom” o siedmiu szczytach zwróconych w różne strony świata, z „potężnym kominem wiązkowym pośrodku”. Co więcej, opowiada narrator książki, jest on osobiście antropomorficzny: „Ta czcigodna rezydencja przywodzi mi zawsze na myśl ludzką twarz, którą rzeźbią nie tylko wichry i słońce, lecz także długie koleje doczesnego życia szarpiące duszę człowieka”^[22].

Prawdą jest, że w tym domu, po którym wciąż regularnie oprowadzane są wycieczki, można się poczuć nieswojo. Gdy przemierza się pokoje, deprymują niskie sufity, ciasne pomieszczenia i chaotyczny rozkład. Kilkusetletnie drewno zdaje się wyginać i oddychać. Nie trudno jest nabrać przekonania, że ten budynek żyje.

Na potrzeby książki Hawthorne wymyślił legendę mającą tłumaczyć niepokojącą atmosferę powieściowego domu. Otóż jego historia była zbrukana krwią. Został wzniesiony na żyznej ziemi należącej do niejakiego Mateusza Maule’a. Upatrzył ją sobie jednak chciwy pułkownik Pyncheon, sfabrykował więc przeciwko Maule’owi oskarżenie o czary, co skończyło się egzekucją nieszczęśnika i pozwoliło Pyncheonowi z łatwością nabyć ziemię i wybudować na niej wielką rezydencję.

Dom Pyncheona, mimo swego przepychu, był jednak przeklęty i gdy pułkownik wyprawił bal z okazji ukończenia budowy, tego samego wieczoru został znaleziony martwy przy biurku, ze strużką krwi spływającą z ust. Pułkownik nie jest przy tym jedynym duchem nawiedzającym tę budowlę; jego prawnuczka Alice, która „coraz bardziej mizerniała i bladła, aż zesza z tego świata”, też zaczęła straszyć w Domu o Siedmiu Szczytach i „wiele razy słyszano, jak wygrywa piękne smutne melodie na swym klawikordzie, zwłaszcza wtedy, gdy śmierć ma zabrać kogoś z Pyncheonów”^[23]. W tym pejzażu chciwości i nieszczęść, rodowych kłót w i smętnych widm Hawthorne wykreował dziwnie skonstruowany dom przy Turner Street na konkurenta opuszczonych zamków z europejskich romansów grozy.

Chociaż w rzeczywistości z domem ciotki Ingersoll nie wiązała się żadna melodramatyczna historia, opowieści o duchach tak mocno do niego przylgnęły, że – jak pisze jeden z historyków – „tworzą one patynę, część samego budynku”^[24]. Kierownictwo muzeum nie usiłuje ubarwić jego przeszłości – nie organizuje się *ghost tours*, a przewodnicy wydają się zakłopotani, gdy zwiedzający domagają się historii niesamowitych – ale jego osobliwy kształt i późniejsza reputacja zaowocowały mimo wszystko licznymi opowieściami, zwykle odnoszącymi się do Susanny Ingersoll lub Hawthorne’a. Jeden z dawnych gości umieścił na stronie internetowej www.graveaddiction.com, gromadzącej świadectwa doświadczeń paranormalnych, foto-

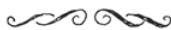
grafię, na której rzekomo przez jedno z górnych okien „wygląda jakby nastoletnia dziewczyna! Nie, im bardziej je powiększyć, tym bardziej staje się jasne, że to starsza kobieta z zapadniętymi oczami i siwymi włosami” (sam też się przyjrzałem, ale niczego takiego nie zobaczyłem)[25]. Jest jeszcze jedno zdjęcie, które stało się szczególnie sławne – przedstawia ogrodzenie wokół domu, gdzie widoczny jest ponoć duch syna Hawthorne’a, Juliana (choć każdy, komu je pokazałem, potwierdza, że widać tylko cień, a w najlepszym wypadku – szopa pracza).

Wiele objawień i innych tajemniczych incydentów dotyczy zagadkowych ukrytych schodów, największej z architektonicznych osobliwości tego domu. Tuż na lewo od głównego kominika widnieją małe drzwi. Takie, jakie mogłyby prowadzić do składziku drewna na opał, tymczasem znajdują się za nimi dziwne, kręte, klaustrofobiczne schody. Dwadzieścia stopni rozmieszczonych wokół głównego przewodu kominowego wiedzie na poddasze – krótka, aczkolwiek dziwnie deprymująca wspinačka.

Wielu gości donosiło, że właśnie tutaj, na tych schodach, wyczuwało obecność duchów. Opisują zawroty głowy, uczucie duszności i przemożną potrzebę opuszczenia domu. „To było wrażenie [...] jak na szczycie wysokiej góry, gdzie jest mniej tlenu. Jakby zawroty głowy i utrata równowagi” – napisała jedna z osób na stronie www.graveaddiction.com. Inny turysta relacjonował, że wspinając się po ukrytych schodach, usłyszał „żeński głos TUŻ przy moim prawym uchu, szepczący coś w rodzaju «ciiiii, ciiiiii». Myślałem, że to moja dziewczyna próbuje mnie nastraszyć, ale jak się odwróciłem, żeby powiedzieć «weź, przestań», zobaczyłem, że idzie jakiś metr, półtora za mną”. Inna osoba opisywała później szczegółowo:

[...] gdy chodziliśmy po domu, nagle zdałam sobie sprawę z niepokojącej „obecności” w pobliżu. Wyczułam ją najpierw w jadalni, a stawała się coraz wyraźniejsza, gdy zaczęliśmy się wspinać ciasną, ceglaną klatką schodową na poddasze. Później, gdy wyszliśmy na zewnątrz, wspomniałam siostrze, że czuję się dziwnie – „zagubiona”, jeśli to ma jakiś sens... Coś na mnie podziałało, gdy przebywałam w tym domu, w jakiś sposób podłączyło się do mojej podświadomości. Nie wiem co ani kto... ale doszłam do wniosku, że kawałek tego „czegoś” do mnie przylgnął.

Od jak dawna ta widmowa istota nawiedza tajemnicze schody? Czy pochodzi z 1692 roku, z okresu niesławnych procesów czarownic, a może z jeszcze dawniejszych czasów? Czy wyczuwał ją młody Nathaniel Hawthorne i czy ta obecność nie dawała mu spokoju, gdy postanowił unieśmiertliwić rezydencję ciotki jako najslawniejszy nawiedzony dom w literaturze amerykańskiej?



Naród Amerykanów wciąż był młody, kiedy Hawthorne zaczął pisać swoją powieść, ale autor mógł już czerpać inspirację z pogrzebanej przeszłości i skrywanego dziedzictwa purytańskiej Nowej Anglii. Salem od dawna ucieleśniało sprzeczność tkwiącą w samym jądrze amerykańskiej świadomości: szczerą pobożność mieszała się z hipokryzją, roztropna wiara z gwałtowną histerią. Pradziadek Hawthorne’a, John Hathorne, był jednym z sędziów, którzy uczestniczyli w procesach czarownic w Salem, i Nathaniel w dzieciństwie poznał rodzinną legendę o tym, że jedna z ofiar sędziego przeklęła jego i jego potomków.

Z całą pewnością Salem ze swoją przeszłością aż prosiło się o wizyty duchów i Hawthorne wielokrotnie wracał do niepomszczonych krzywd zaznanych przez mieszkańców rodzinnego

miasta, rozwijając gotyckie aspekty swojego pisarstwa. Ostatecznie taka jest niezmiennie struktura klasycznych opowieści niesamowitych: duch nie odchodzi, nie może bowiem uwierzyć w przewrotną normalność świata, który nie przestaje istnieć i który zapomniał o czyjejś osobistej tragedii sprzed lat. Dywany zostały wyczyszczone, meble sprzedane, a dom z nowymi mieszkańcami trwa dalej i tylko duch stoi na straży tego, co się kiedyś wydarzyło w jego murach.

W *Domu o Siedmiu Szczytach* Hawthorne tchnął historię Salem w budynek, który przez swoją chaotyczną i wciąż ewoluującą konstrukcję nabral gotyckiej patyny. Uczynił zeń mikrokosmos nie tylko zmiennych kolei miasta, lecz także jego skrywanych sekretów i nienaprawionych krzywd. Celem jego powieści, jak napisał w przedmowie, było „przekonać ludzkość lub choćby jednego tylko człowieka o tym, jakim szaleństwem jest zwalanie na głowę niešťczęśnej potomności lawiny złota lub majątków zdobytych nieuczciwą drogą, które potomność tę okaleczą i będą gnębić dopóty, póki nagromadzone dziedzictwo nie rozproszy się na wszystkie strony na drobne cząsteczki, z jakich powstało” [26].

W powieści Hawthorne’a dom staje się nawiedzony właśnie dlatego, że stanowi materialną korzyść wynikłą z takiej niesprawiedliwości. Książka nieodmiennie krąży wokół owej plamy z przeszłości, próbując się od niej uwolnić. Jest tylko jeden sposób, żeby uciec przed klątwą, jak sądzi Holgrave, młody bohater powieści: musimy zburzyć stare domy, zrównać je z ziemią. Holgrave, dagerotypista (technologia ta była wtedy nowością, co sugeruje, że Holgrave jest postępowym człowiekiem przyszłości), uważa, że niebawem doczekamy czasów, „kiedy żaden człowiek nie będzie budował domu dla potomności”. W zamian wyobraża sobie kraj, gdzie „każda generacja [by] mogła i musiała budować swoje własne domy” – prosta zmiana, która złagodzi większość społecznych krzywd. „Wątpię nawet, czy nasze publiczne budowle [ma tu na myśli pałace Kongresu, gmachy sądu i inne budynki rządowe] winny być budowane z materiałów tak twardych jak kamień lub cegła. Lepiej by było, by waliły się w ruinę co dwadzieścia lat mniej więcej, jako wskazówka dla ludzi, że powinni zbadać i zreformować instytucje, które symbolizują” [27]. Budynki, pozostałość nieuczciwie zdobytych fortun, świadkowie grzechów ojców dziedziczone przez ich potomków, muszą zostać zniszczone. Jeśli naprawdę chcemy się uwolnić od przeszłości, musimy zacząć od zburzenia rodzinnych siedzib.

Propozycja Holgrave’a jest kusząca i na pewno każde pokolenie marzy o stworzeniu siebie na nowo, bez bagażu przewin poprzedników. Ale chociaż architektura uosabia przeszłość, przeszłość jest czymś więcej niż tylko budowlami, które po sobie zostawiamy, i nawet miasta słynące z wyburzania starych domów pod nowe – między innymi Los Angeles, Nowy Jork, Las Vegas – ostatecznie przed nią nie uciekły.

Marzenie Holgrave’a o świecie wolnym od dziedziczonej własności stanowi ostry kontrast z faktycznym kontekstem kryzysu w Salem, który w znacznie większym stopniu, niż się zazwyczaj uważa, miał związek z przejmowaniem majątków i ziemi. Chociaż tutejsze procesy czarownic kojarzymy głównie z histerią, religijnym zaślepieniem i poszukiwaniem kozłów ofiarnych, wystarczy trochę poskrobać, by znaleźć pod spodem konfliktu majątkowe i podejrzan transfery pieniędzy lub nieruchomości.

Jedna z pierwszych dziewcząt, które twierdziły, że zostały opętane, dwunastoletnia Ann Putnam, początkowo oskarżyła służącą Titubę, a także dwie inne kobiety: Sarah Good i Sarah Osborne. W tym czasie Osborne uczestniczyła w sporze o grunty z rodzicami Putnam. Pierwszy mąż Osborne zmarł jako właściciel sporego majątku – jego część chciał zostawić synom, którzy byli kuzynami Putnam. Osborne i jej drugi mąż woleli jednak zatrzymać majątek zma-

łego w całości. Spór wciąż się toczył, gdy Ann oskarżyła Osborne, że ta odwiedza ją pod postacią widma i „straszliwie” ją „szczypie i kłuje” [28].

Kilka tygodni później Ann Putnam wskazała jako swoją dręczycielkę Rebeccę Nurse, która – podobnie jak Osborne – prowadziła spór o ziemię z Putnamami. I choć niektóre z oskarżonych w czasie tego kryzysu to postacie marginalne – służące, wdowy i zubożałe kobiety bez wsparcia społeczności – Nurse była akurat szanowaną figurą, osobą pobożną i powszechnie lubianą. To, co się działo w Salem, nie przypominało tradycyjnego modelu prześladowania czarownic, gdzie celem oskarżeń stawały się głównie jednostki najbardziej bezbronne. Tutaj można było przy okazji zarobić spore pieniądze i zdobyć ziemię.

Wśród najbardziej pazernych aktorów tego dramatu znalazł się szeryf hrabstwa Essex George Corwin, który dyskretnie przejmował majątki skazańców. Jednemu z najbogatszych mieszkańców Salem oskarżonemu o czary, Philipowi Englishowi, udało się uciec z miasta i uniknąć procesu, lecz po tej rejteradzie Corwin przejął dom zbiega i resztę majątku o wartości około 1500 funtów. W wypadku Johna i Elizabeth Proctorów Corwin nie czekał nawet, aż zostaną skazani, i zaczął wywozić ich dobytek jeszcze przed procesem, zostawiając dzieci nieszczęsnego małżeństwa z niczym. Dwunastego grudnia 1692 roku przyjęto nowe prawo (wyraźnie po to, żeby chronić interesy Corwina), które pozwalało na przejmowanie majątków i ziemi osób skazanych za czary. Sytuacja tak bardzo wymknęła się spod kontroli, że w końcu gubernator Massachusetts sir William Phips wytknął Williamowi Stoughtonowi, wicegubernatorowi i przewodniczącemu sądu upoważnionego do prowadzenia procesów czarownic z Salem, że „z jego nakazu całe majątki i dobytek straconych przejęte zostały i rozdysponowane bez wiedzy ani zgody mojej” [29]. Podobno po śmierci Corwina Philip English przechwycił jego zwłoki i odmówił ich wydania, dopóki krewni szeryfa nie wypłacą mu tego, co zostało z jego majątku.

W powieści Hawthorne’a przynajmniej jest nadzieja na sprawiedliwość, jako że chciwość Pyncheona prowadzi do jego rychłej śmierci. Hawthorne próbował łączyć coś, co nazywał „romansem”, z powieścią. Chociaż ogólnie cenił raczej realizm, do książki przenikają elementy nadnaturalne. Autor daje na przykład do zrozumienia, że oskarżony o czary Mateusz Maule był w stanie rzucić na Pyncheona klątwę. Maule odwraca się do swego oskarżyciela na szafocie. „Bóg – wyrzekł umierający człowiek, wskazując palcem swego wroga i upiornym spojrzeniem przywierając do jego niewzruszonej fizjonomii – Bóg cię napoi krwią” [30]. Słowa te pojawiają się w powieści raz jeszcze, gdy Pyncheon umiera z niewiadomych powodów i z jego ust sączy się krew.

Hawthorne zaczerpnął tu trochę z historii: Sarah Good, czekając na śmierć na szubienicy, rzuciła w twarz jednemu z oskarżycieli, pastorowi Nicholasowi Noyesowi: „Łgarzem jesteście. Taka ze mnie czarownica, jak z was czarownik i jeśli odbierzecie mi życie, Bóg napoi was krwią” [31]. Według dziewiętnastowiecznego historyka Thomasa Hutchinsona Noyes zmarł po latach, w roku 1717, na krwotok, co niektórzy uznali za spełnienie przepowiedni Good [32]. Ta popularna opowieść o Salem też zrodziła się z pomieszania faktów i fikcji oraz niejasnego podejrzenia, że miejscowe duchy są zdolne do nadnaturalnej zemsty. Być może opowieści niesamowite faktycznie biorą się z krzywd, których nie pomszczono; być może prawdą jest również to, że o tych niesprawiedliwościach nie pozwala nam zapomnieć intrygująca myśl, iż nie były one całkiem niesprawiedliwe.

To może wyjaśniać, dlaczego tyle razy przez ostatnie trzysta lat wracaliśmy do Salem, próbując zrozumieć, co się tam wydarzyło. Przedstawiono wiele różnych teorii: od prawdziwych

czarów po przestępczość nieletnich, od halucynacji wywołanych zatruciem sporyszem do epidemii zapalenia mózgu. Niektóre z nich są bardziej udane niż inne, ale teorie – i książki – cały czas powstają, jak gdyby na to pytanie nigdy nie dało się w pełni odpowiedzieć, jak gdyby tego swędzącego miejsca nigdy nie można było porządnie podrapać.



Dom o Siedmiu Szczytach był w opłakanym stanie, gdy w 1908 roku kupowała go za marne tysiąc dolarów Caroline Emmerton, filantropka z zamożnej miejscowej rodziny. Emmerton od dawna była zaangażowana w program charytatywny pomagający zapewnić wykształcenie i inne rodzaje wsparcia dzieciom z ubogich i imigranckich rodzin (ang. *settlement house movement*) – i w starym domu przy Turner Street dostrzegła niepowtarzalną szansę. Przywracając zapuszczonej ruinie jej dawną świetność, mogła ożywić część historii miasta, a dochody ze sprzedaży biletów wykorzystać na wsparcie swojej działalności.

Emmerton po raz pierwszy zobaczyła rezydencję, gdy jej właścicielami byli Henry i Elizabeth Uptonowie. „Dom o Siedmiu Szczytach odwiedziłam w 1879 lub 1880 roku, będąc jeszcze podlotkiem – wspominała później. – Udałam się tam z grupą młodzieży i nigdy nie zapomnę, jaki dreszcz emocji we mnie wywołał, gdy ukazał się moim oczom” [33]. Po latach przystąpiła do pracy wspólnie z architektem Josephem Everettem Chandlerem i ostatecznie wydała na remont dziesięć razy więcej, niż zapłaciła za całą nieruchomość.

W owym czasie dom nie miał już siedmiu szczytów; co więcej, nie było nawet jasne, gdzie one wszystkie się kiedyś znajdowały. Gdy Emmerton kupowała posesję, budynek miał kształt litery T i tylko trzy szczyty, chociaż widoczne były pozostałości innych w południowym skrzydle. Emmerton i Chandler szybko odnaleźli ślady jeszcze jednego, analizując układ belek na poddaszu. W swojej relacji z prac remontowych Emmerton pisze o rekonstrukcji siedmiu szczytów jak o próbie rozwikłania zagadki lub tajemnicy – szukała starych planów w stertach dokumentów spadkowych w sądzie, odgadywała dawny kształt budowli po śladach pozostawionych w drewnie. Doszła do wniosku, że siódmy, ostatni szczyt musiał się znajdować nad tylną częścią domu – wyburzoną dawno temu, stąd brak jakichkolwiek wskazówek.

Dopiero po odtworzeniu tego fragmentu budynku Emmerton odnalazła dokumenty sądowe wskazujące na inną lokalizację siódmego szczytu – nad kuchnią. W czasie późniejszych prac remontowych odkryto, że jeszcze jeden znajdował się kiedyś nad werandą na drugiej kondygnacji. Właścicielka nie znalazła dowodów, które by potwierdzały, że budynek ten kiedykolwiek miał tylko siedem szczytów, i ostatecznie nie miał tylu, gdy wreszcie zakończyła remont. „Aby mnie pocieszyć, przyjaciele sugerowali, że Hawthorne nadał powieści tytuł *Dom o Siedmiu Szczytach*, bo brzmiał przyjemniej dla ucha i bardziej literacko niż *Dom o Ośmiu Szczytach*” [34].

Chociaż Emmerton starała się, żeby książka nie miała wpływu na prace rekonstrukcyjne, powieść Hawthorne’a цаiała się w budynku jak cień, zmuszając ją i Chandlera do dokładnego analizowania każdego posunięcia, szukania wskazówek tam, gdzie ich nie było, i dodawania elementów, które przypuszczalnie nie były zgodne z pierwotnym charakterem obiektu. Przypomnieć tu trzeba zwłaszcza jego krzywy kręgosłup: kręte, amorficzne, nietypowe schody zakręcające wokół centralnego komina i wijące się do góry, jak gdyby wyciągały z domu złe moce. Emmerton twierdziła, że zostały odkryte przez Uptona, który w 1888 roku, podczas odnawiania komina, znalazł tam sześciopensówkę z 1652 roku i książkę. Właścicielka domu pisze, że gdy była jeszcze podlotkiem, pan Upton pokazał jej schody i znalezisko: „Była to ksi-

ażka religijna, modlitewnik lub śpiewnik kościelny, bardzo, bardzo stary” [35]. Kiedy i po co wybudowano schody, tego Emmerton nie wiedziała na pewno, lecz w swojej relacji rozważa – i odrzuca – kilka możliwości, łącznie z tą, że powstały z myślą o przemycie („Jaki pożytek byłby z ukrytych schodów, chyba że prowadziłyby do tajnego pomieszczenia, gdzie magazynowano towary...”) lub że służyły za kryjówkę w razie napadu Indian („Kryjówka na niewiele by się zdała, bo Indianie mieli w zwyczaju podpalać domy”) [36].

Schody te, jak się domyślała, zostały najprawdopodobniej zbudowane przez Johna Turnera II w pamiętnym roku 1692. W odległości pięciu minut spacerem stał dom Philipa Englisha, który zbiegł, gdy oskarżono go o uprawianie czarów. Po powrocie zastał dom splądrowany i Emmerton zgadywała, że wybudował swego rodzaju skrytkę na wypadek przyszłych incydentów tego typu, co podsunęło Turnerowi myśl, by samemu wybudować podobną. „Czy można wątpić, że aresztowanie pani English wzbudziło w Johnie Turnerze obawy o bezpieczeństwo własnych sióstr? – pyta Emmerton. – Czy można wątpić, że zaczął obmyślać plany ich ratunku? I jakkolwiek plan wymyślił, tymczasowa kryjówka w domu prawdopodobnie mogła się przydać. Sądzę, że zbudował ukryte schody w tym celu – a rozpoczęta niewiele wcześniej rozbudowa domu dała ku temu okazję” [37].

Jeśli Emmerton miałyby rację, to Dom o Siedmiu Szczytach przechowywałyby w swoim DNA ślady kryzysu z 1692 roku. Wykorzystanie go przez Hawthorne’a nie byłoby przypadkowe, bo żaden inny budynek nie pozostawałby w takim stopniu naznaczony historią tamtych przerażających miesięcy. A jednak ten pozornie najważniejszy detal – ukryte schody – nie pojawia się w powieści ani razu.

Dlaczego? Skoro stanowiły centralny element konstrukcji budynku i mieszkańcy doskonale o nich wiedzieli, skoro wpłynęły na Hawthorne’a i jego literacką wizję domu ze szczytami, dlaczego nie wspomniał o nich w książce? Zrazu wydaje się, że nie ma jasnej odpowiedzi na to jakże istotne pytanie. „Zastanawiam się nad tym – pisze Emmerton – czy Hawthorne nie natknął się gdzieś, w jakimś starym liście, na wzmiankę o ukrytych schodach i nie wykorzystał jej w pierwszej wersji lub brudnopisie swojej książki, ale gdy pokazał tekst pannie Ingersoll, napotkał silny sprzeciw wobec wszystkiego, co mogłoby zainteresować jej domem ciekawskich” [38]. Może ukrytym schodom pisane było pozostać elementem znanym tylko mieszkańcom, niczym zamurowany w ścianach rodzinny sekret.

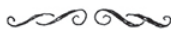
A jednak Emmerton utrzymuje, że schody w powieści pośrednio istnieją, że mają na nią wpływ, że oddziałują zarówno na czytelników, jak i na tych, którzy odwiedzają dom. „Mam bowiem wrażenie, że wyczuwamy w tej historii nieobecność tajemnych schodów, tak jak wyczuwamy nieobecność kawałka puzzli, który zaginął i zostawił puste miejsce w układance” [39].

Kilka lat temu kierownictwo Domu o Siedmiu Szczytach wyznało prawdę: schody nie zostały zbudowane ani przez Turnera, ani przez Ingersoll, ani przez szmuglerów, ani przez bojowników o wolność, ani przez czarownice, tylko przez samych Emmerton i Chandlera, gdy przygotowywali dom do otwarcia dla zwiedzających. Hawthorne nie wspominał o nich, bo za jego czasów nie istniały, a drzwi na piętrze, za którymi zaczynają się schody, pierwotnie prowadziły do składziku na drewno.

Lektura wyjaśnień Emmerton w świetle tej informacji ujawnia nadzwyczajną próbę mitotwórstwa: właścicielka domu sugeruje, że schody zainspirowały autora powieści, a jednocześnie podsuwa powód, dla którego o nich nie napomknął. Jest to także z jej strony niespotykana próba krytyki literackiej, zamienia bowiem schody w ukrytą obecność, która miała wpływ

na dzieło Hawthorne'a – niewidoczną obecność, architektoniczną zjawę nawiedzającą powieść o nawiedzonym domu.

Emmerton bardzo się postarała, żeby dom pozostał nieprzemijającą atrakcją wśród innych muzeów i neokolonialnych rezydencji rozsianych po Nowej Anglii. Z biegiem lat zmieniał się wygłaszany przez przewodników tekst na temat ukrytych schodów, ich pochodzenia i znaczenia. Nadal zresztą poddają się one rozmaitym wiarygodnym interpretacjom. Emmerton i Chandler zrozumieli najwyraźniej, że dorzucenie nietypowego elementu do konstrukcji domu natychmiast otwiera oszałamiające możliwości. Ukryte schody tylko z racji tego, że ich funkcja nie jest oczywista, dodają całemu budynkowi aury niesamowitości. Ich znaczenie może się zatem zmieniać. Kolej podziemna^[6*], procesy czarownic, przemytnicy, wojny z Indianami – ukryte schody mogą przywoływać i obejmować wszystkie te aspekty historii właśnie dlatego, że tak naprawdę nie odegrały żadnej wyraźnej roli.



Duchy Salem w dziwny sposób wciąż się wśród nas utrzymują. Na początku XVIII wieku zrehabilitowano większość z dziewiętnastu kobiet i mężczyzn straconych w 1692 roku, ale sześć kobiet – Bridget Bishop, Susannah Martin, Alice Parker, Ann Pudeator, Wilmot Redd i Margaret Scott – nie doczekało się oczyszczenia z zarzutów jeszcze przez ponad dwieście lat. Dopiero w 1946 roku zgłoszono wniosek w ich sprawie do zgromadzenia stanowego Massachusetts, upadł on jednak – podobnie jak w latach 1950, 1953 i 1954. Trzeba było dokonać zmiany w samym wniosku, żeby doprowadzić do jego przegłosowania i w 1957 roku kobiety zostały w końcu zrehabilitowane, choć jednocześnie zgromadzenie zwolniło władze stanowe z jakichkolwiek prawnych lub finansowych zobowiązań wobec potomków ofiar^[40]. Inaczej mówiąc, niezależnie od tego, jak wielkie korzyści (i w jak nikczemny sposób) uzyskali przed laty szeryf George Corwin i jemu podobni, nie zamierzano naprawiać krzywd.

Miasto wydaje się uwieszone między przeszłością i teraźniejszością, jak podwójnie naświetlony negatyw^[41]. Pod koniec XIX wieku różne firmy z Salem (m.in. sklep rybny, wytwórnia popcornu, sklep rowerowy) zaczęły się posługiwać w swojej działalności handlowej określeniem *Witch City* – Miasto Wiedźm, a gdy nastały lata trzydzieste, Salem zaczęło dostrzegać swój potencjał turystyczny. W 1971 roku nakręcono tam kilka odcinków serialu *Ożeniłem się z czarownicą*, a wkrótce potem do miasta przybyła wiccanka^[7*] Laurie Cabot. Otworzyła sklep dla czarownic z akcesoriami do uprawiania czarów i różnymi ozdobami, szybko zdobywając coraz szersze grono klientów. Cabot, w 1977 roku nazwana przez gubernatora Massachusetts Michaela Dukakisa „oficjalną wiedźmą Salem”, bardziej niż ktokolwiek inny odmieniła oblicze miasteczka, przekształcając je w mekkę dla ludzi zainteresowanych pogańskimi praktykami i disneyowskim wyobrażeniem latających na miotłach czarownic w czarnych stożkowatych kapeluszach.

Ale jaki związek ma to wszystko z wydarzeniami 1692 roku? Ludzie straceni wyrokiem sądu niemal na pewno nie byli czarownikami, wiedźmami ani sługami szatana o nadprzyrodzonych mocach. Byli pobożnymi chrześcijanami, których niesłusznie oskarżono o czary, i niewykluczone, że odczuwaliby taką samą niechęć wobec współczesnych wiccan jak ich oskarżyciele. Dezorientujące połączenie przez Hawthorne'a romansu i powieści, faktów i fikcji odzwierciedla to, jak traktujemy osoby osądzone w Salem. Widzimy w nich niewinne ofiary, a jednocześnie w kulturze masowej wielokrotnie wracamy do koncepcji, że paradoksalnie były to prawdziwe czarownice, które w niewyjaśniony sposób zdobyły magiczne moce. Obra-

zy Salem w popkulturze XX i XXI wieku – nie tylko w *Ożeniłem się z czarownicą*, ale i w nowym serialu telewizyjnym *American Horror Story*, w którym kowen[8*] składa się z potomków mieszkańców Salem, w *History of Magic in North America* J.K. Rowling, gdzie zapewnia się, że „wśród ofiar śmiertelnych były istotnie czarownice, choć jeśli chodzi o zarzucane im czyny, całkowicie niewinne”[42], i oczywiście w serialu *Salem*, gdzie miasto jest sceną metafizycznej bitwy między czarownicami i purytanami – wskazują, że ofiary 1692 roku traktuje się jak rzeczywiste czarownice zdolne do rzucania zaklęć i czarów.

To pomieszanie stanowi o charakterze miasta i jest jego siłą napędową. Trudno zaprzeczyć, że w dzisiejszych czasach procesy czarownic z Salem dla okolicznych mieszkańców oznaczają jedno: pieniądze. Podczas Halloween miasto przeżywa prawdziwe oblężenie, mimo że ani wiccanie, ani purytanie nie obchodzą tego święta. Salem ze swoim logo z czarownicą na miotle na policyjnych wozach zamieniło realną tragedię w spektakl. Te same nierozwiązane sprawy, które mobilizują historyków do prób zrozumienia przeszłości Salem, sprzyjają też jego kiczowatej popularności.

W mieście, gdzie króluje tandeta, nonsens i kilka gustownych pomników, Dom o Siedmiu Szczytach nie chce mieć z tym nic wspólnego – przewodnicy nie poruszają kwestii duchów i zachęca się ich, żeby ignorowali pytania na ten temat. Tytułowy dom z powieści Hawthorne’a jest przedstawiany po prostu jako muzeum. A jednak jego magia w dalszym ciągu wiąże się w dużej mierze z ukrytymi schodami, elementem architektonicznym wprowadzonym po to, by zrobić wrażenie na turystach.

Duchy Salem i Domu o Siedmiu Szczytach są tworem pewnej dwoistości w podejściu do historii. Znamy Salem, wiemy, że doszło tam do tragedii, to nasza opowieść ku przestrodze o masowej hysterii i prześladowaniach. Ale nie postępujemy konsekwentnie: ofiary bierzemy za prawdziwe czarownice, przypisujemy straconym nadnaturalne moce, wracamy do ich śmierci dla zabawy i rozrywki. Przede wszystkim zaś nie wynosimy nic z lekcji, jaką ponoć był dla nas rok 1692 – bo bynajmniej nie po raz ostatni w amerykańskiej historii bezsilną mniejszość zamieniono wówczas w kozły ofiarne, prześladowano i uśmiercono za poduszczeniem ciemnego ludu. Wspominamy wydarzenia z Salem, ale nie do końca pamiętamy, dlaczego są ważne.

I tak duchy wciąż snują się po ulicach i nawiedzają budynki, które wzniesiono w miejscach egzekucji. Nie pozwalają umrzeć wydarzeniom z 1692 roku, ale nie domagają się sprawiedliwości. Pozostaje jedynie szept w mroku lub dziwna obecność na schodach, niewiele więcej.

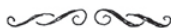
RUCHOMY GRUNT

St. Francisville, Luizjana

W swojej książce *In the Devil's Snare* (W sidłach diabła) historyczka Mary Beth Norton twierdzi, że za procesami czarownic stał jeden istotny fakt napędzający histerię. Otóż sędziowie należeli do grona przywódców wojskowych i cywilnych, którym wcześniej wielokrotnie nie udawało się zabezpieczyć hrabstwa Essex przed atakami Indian podczas wojny króla Filipa^[9*], „skoro więc nie mogli pokonać szatana w lasach i garnizonach północno-wschodniej granicy, próbowali tego dokonać w sali sądowej Salem”^[43]. Procesy czarownic może i zaczęły się od zeznań grupy nastolatków, Norton utrzymuje jednak, że przywódcy miasta w tym wybuchu hysterii szybko dostrzegli szansę odkupienia własnych win za wcześniejsze porażki: to oni byli sądzeni i postanowili się uniewinnić.

Teoria Norton przypomina nam, że purytanie, którzy osiedlili się w Nowej Anglii, nie byli jedynie fanatykami religijnymi, lecz także aktywnie i nieprzerwanie uczestniczyli w wojnie terytorialnej – z Francuzami, Indianami Wabanaki i innymi plemionami. Walczyli także między sobą. Do duchów nawiedzających Salem oprócz osób niesłusznie oskarżonych o uprawianie czarów należy więc zaliczyć również ofiary tamtych konfliktów. Jak to ujął Hawthorne, kłótwa sięga fundamentów miasta, jego opoki: „Chodniki Mainstreet – pisze w jednym ze szkiców – trzeba kłaść na grobach czerwonoskórych”^[44].

Salem oczywiście nie jest jedynym miejscem w Stanach Zjednoczonych, gdzie bruk położono na grobach Indian. Nie ma takiego miejsca, które nie byłoby już zamieszkane przed przybyciem Europejczyków; nie ma miasta, domu, które nie wznosiłyby się na wcześniejszym domostwie kogoś innego. Najczęściej próbujemy się jakoś uporać z tym faktem, opowiadając o duchach.



Okolo 2400 kilometrów na południe od Salem, niedaleko autostrady stanowej numer 61 w Luizjanie, rozciąga się plantacja Myrtles. Usytuowana w pewnym oddaleniu od drogi rezydencja, otoczona gigantycznymi dębami obrosniętymi oplątą, to nisko posadowiony budynek z gankiem osłoniętym delikatnymi, ażurowymi arkadami, pod rzędem symetrycznych szczytów na piętrze. Dom wybudował w 1796 roku David Bradford, prawnik z Pensylwanii, który w pierwszych latach republiki odegrał znaczącą rolę w buncie przeciwko akcyzie na whiskey, znanym jako Whiskey Rebellion. Gdy wydano nakaz jego aresztowania, Bradford zbiegł z niedawno utworzonych Stanów Zjednoczonych na ziemię kontrolowaną przez Hiszpanów i osiadł w miejscu, które nosi teraz nazwę St. Francisville w stanie Luizjana. Chociaż rezydencję Myrtles wielokrotnie rozbudowywano i remontowano, nie odnosi się tam wrażenia chaosu jak w Domu o Siedmiu Szczytach. Wszystko wydaje się starannie uporządkowane i na

swoim miejscu.

Przyjrzyjmy się jednak uważnie. Dziurka od klucza w drzwiach frontowych jest zainstalowana do góry nogami – detal dodany przez Ruffina i Mary Catherine Stirlingów, którzy kupili ten dom w 1834 roku i powiększyli go prawie o połowę. Według ludowych wierzeń przez dziurkę od klucza do domu próbują się dostać nocą mieszkające wśród drzew duchy, był to więc sposób, żeby je przechytrzyć i zatrzymać na zewnątrz.

W dziejach plantacji Myrtles popełniono co najmniej dziesięć morderstw. Zastrzelono tu na przykład trzech żołnierzy Unii, gdy podczas wojny secesyjnej usiłowali splądrować posiadłość, a w 1871 roku na ganku zginął od kuli William Drew Winter, mąż Sarah, córki Stirlingów, który wciąż ponoć krąży po domu.

Najbardziej znany jest jednak duch niewolnicy imieniem Chloe. Jej historia, szczególnie lubiana przez zwiedzających, jest główną atrakcją wycieczek po plantacji. Gdy na początku XIX wieku zamieszkał w Myrtles zięć Bradforda, sędzia Clark Woodruff, wpadła mu w oko pewna bardzo młoda niewolnica – jasnoskóra Mulatka mająca nie więcej niż trzynaście, czternaście lat – którą ściągnął do domu i uczynił swoją nałożnicą. Jako kochanka swego pana Chloe cieszyła się dużo większymi przywilejami niż inni niewolnicy na plantacji i mogła swobodnie poruszać się po domu. Wykorzystała tę swobodę, żeby podsłuchiwać Woodruffa, który pewnego dnia, zajęty załatwianiem interesów, przylapał ją z uchem przytkniętym do drzwi. Za karę to ucho jej odciął – od tamtej pory nosiła zielony turban, żeby ukryć defekt.

Chloe wysłano do pracy w kuchni. By odzyskać względy kochanka i właściciela, obmyśliła plan, jak się zrehabilitować w jego oczach. Do ciasta upieczonego dla dzieci Woodruffa, Mary Octavii, Jamesa i Cornellii Gale, dodała łagodną truciznę (gotowane liście oleandra) w takiej dawce, żeby dzieci się tylko pochorowały. Mogłaby się potem nimi zajmować, gdy będą dochodzić do zdrowia, dowodząc tym samym swej wartości i odzyskując dawną pozycję w domu. Skutki tego planu były jednak fatalne – oleander nie tylko spowodował chorobę dzieci i żony Woodruffa, Sarah, która też się skusiła na ciasto, ale wyprawił ich na tamten świat.

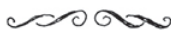
Woodruff nie potrzebował dużo czasu, żeby się domyślić, kto zamordował jego rodzinę. Chloe uciekła do chat niewolników w nadziei, że będzie tam bezpieczna, ci jednak ją wydali. Woodruff rozkazał im powiesić Chloe, a potem wrzucić jej ciało do rzeki. Brutalnie zamordowana i pozbawiona stosownego pochówku Chloe nawiedza odtąd plantację Myrtles, rozmawia z gośćmi, snuje się po korytarzach i pojawia się na zdjęciach – zawsze w zielonym turbanie na głowie.

Historia Chloe, melodramatyczna i łzawa, jest fikcyjna – albo w przeważającej mierze, albo całkowicie, w zależności od tego, z kim się rozmawia^[45]. W rodzinie Woodruffa nikogo nie otruto. Jego żona Sarah oraz dzieci, James i Cornelia Gale, zmarli na żółtą febrę w odstępie kilkunastu miesięcy na początku lat dwudziestych XIX wieku, natomiast Mary Octavia dożyła roku 1889. W żadnym dokumencie z archiwum plantacji nie figuruje niewolnica o imieniu Chloe. Nie ma w tym nic zaskakującego: historia Chloe zawiera kilka podstawowych motywów powszechnych w amerykańskiej tradycji i brzmi jak zlepek klasycznych stereotypów, a nie historia prawdziwej osoby. Łączą się w niej typowa czarna rozpustnica, nad wiek rozwinięta młoda dziewczyna, która burzy naturalny porządek tradycyjnej rodziny, starając się zastąpić białą żonę, oraz postać „czarnej mamki”, niewolnicy, która dzięki temu, że obdarza miłością i troską dzieci swego pana, zajmuje stałe miejsce u jego boku. Przedstawiana w niektórych wersjach jako dziewczyna o bardzo jasnej karnacji Chloe, jak wskazuje historyczka

Tiya Miles, odpowiada także obrazowi „tragicznej Mulatki”: kobiety ponętnej ze względu na swe mieszane pochodzenie, która próbuje zdobyć pozycję wśród białych, zostaje jednak odtrącona przez kochanka. Brak wyraźnych szczegółów i historycznej konkretyzacji oznacza, że legenda Chloe jest elastyczna: każdy, kto będzie opowiadał jej historię, może w razie potrzeby posłużyć się w swojej wersji różnymi stereotypami, podkreślając wybrane przez siebie aspekty.

Frances Kermeen nie słyszała o Chloe ani nie знаła żadnej innej historii niesamowitej związanej z plantacją, gdy kupowała ją w 1980 roku w nadziei, że zamieni rezydencję w pensjonat. Wkrótce jednak zaczęły ją nękać rozmaite paranormalne zdarzenia^[46]. Przez dziesięć lat, kiedy była właścicielką Myrtles, widziała unoszące się w powietrzu kandelabry, krążące wokół niej kule światła, wyczuwała dziwne wonie, których źródła nie potrafiła ustalić, słyszała kroki w środku nocy i głosy wołające ją po imieniu. Chloe ukazywała się gościom i rozmawiała z nimi, a duch Clarka Woodruffa próbował bałamucić nocujące na plantacji młode kobiety. W tym całym zamieszaniu pojawiła się nowa zjawia: młoda Indianka, która ukazywała się naga pod wierzbą płaczącą przed domem. Podobno ilekroć zauważył ją któryś z gości, odwracała się do niego, przez chwilę przyciągała jego spojrzenie, a potem rozwiewała się i zniknęła.

Ta ostatnia zjawia, sugerowała Kermeen, może być kluczem do rozwiązania zagadki plantacji Myrtles i jej zastępu duchów. Jak pisała w 2005 roku, istniało kilka innych teorii wyjaśniających taki natłok widm na plantacji Myrtles. Według jednej z nich pod parkingiem znajdowało się indiańskie cmentarzysko. Ziemia ta, jak opowiadała, była święta dla niewielkiego indiańskiego plemienia Tunica, dobrze znanego w dolinie rzeki Missisipi w okresie kolonialnym. Tubylcy doświadczeni w pozyskiwaniu soli (wówczas towaru bardzo wartościowego) dla hiszpańskich i francuskich kolonistów byli cennymi partnerami handlowymi. W opinii Kermeen, gdy Bradford postanowił założyć plantację, szukał miejsca górującego nad okolicznymi mokradłami i nieświadomie wybrał ziemię świętą dla Indian, którzy grzebali swych zmarłych na wzgórzach. Właśnie ta niefortunna decyzja zapoczątkowała wszystkie kłopoty.



Angielska fascynacja indiańskimi cmentarzyskami sięga co najmniej XVIII wieku. Poeta amerykańskiej rewolucji Philip Freneau był jednym z pierwszych, dla których te święte miejsca łączyły w sobie egzotykę i grozę. W poemacie z 1787 roku *The Indian Burying Ground* (Indiańskie cmentarzysko) widzi duchy pokonanych Indian, które wciąż polują, posilają się i bawią:

Gościu, którego los przynosi,
Pomnij: pokój się zmarłym należy.
Widzisz, jak ziemia się wznosi?
Każdy w grobie siedzi, nie leży.

Strzeżcie się indiańskich cmentarzysk, ostrzega nas Freneau, bo wciąż toczy się tam życie.

W latach siedemdziesiątych XX wieku idea ta odżyła na nowo w zbiorowej wyobraźni Amerykanów, nabierając złowieszczości charakteru i stając się inspiracją dla serii horrorów i książek o nawiedzonych domach. Swoją popularność niemal całkowicie zawdzięcza bestsel-

lerowi Jaya Ansona *Amityville Horror* i jego adaptacji filmowej, przełomowej dla tego gatunku. Książka Ansona, reklamowana jako historia autentyczna, powstała na podstawie relacji George'a i Kathleen Lutzów, którzy w wiosce Amityville na Long Island w stanie Nowy Jork przeżyli ponoć wstrząsające chwile. Kupując wymarzony dom, wiedzieli, że popełniono w nim sześć morderstw: w październiku 1974 roku dwudziestotrzyletni Ronald DeFeo junior zastrzelił tam ojca, matkę, dwie siostry i dwóch braci. Nie zrażając się tym, Lutzowie zakupili dom niewiele ponad rok później. Lecz gdy tylko się wprowadzili, rozpoczęła się cała seria niewyjaśnionych zdarzeń. George budził się codziennie w nocy o 3.15 (o tej porze DeFeo dokonał swojej zbrodni), a dzieci Lutzów zaczęły spać na brzuchach (w tej samej pozycji, w jakiej znaleziono martwe ofiary), dziwnie się zachowywały i twierdziły, że widzą parę czerwonych oczu unoszącą się w powietrzu przed ich sypialnią. Nie minął miesiąc, a Lutzowie porzucili dom w Amityville, zostawiając w nim wszystkie swoje rzeczy.

Jak twierdzi Anson, gdy George i Kathleen Lutzowie próbowali dociec, dlaczego ich nowy dom jest nawiedzony, członek Towarzystwa Historycznego Amityville wyjawił im, że na działce, na której stoi budynek, Indianie ze szczepu Shinnecock mieli kiedyś „zagrodę dla chorych, obłąkanych i konających. Tych nieszczęśników trzymano tam skrzepowanych, dopóki nie umarli z zimna”^[47]. Anson dodał jeszcze, że „Shinnecockowie nie usypali na tym terenie poświęconego kurhanu grobowego, wierzyli bowiem, że roi się tam od demonów”. Gdy jednak badacz zjawisk paranormalnych Hans Holzer i medium Ethel Johnson-Meyers zbadali dom w Amityville, Johnson-Meyers nawiązała kontakt z duchem wodza Shinnecocków, który jej przekazał, że dom stoi na prastarym indiańskim cmentarzysku^[48].

Te rewelacje nie znajdują żadnego potwierdzenia w faktach. Indianie Shinnecock mieszkali jakieś 80 kilometrów od Amityville, a według Rica Osuny, który badaniu wydarzeń związanych z Amityville poświęcił całe lata, najbliższe zlokalizowane ludzkie szczątki odkryto do tej pory w odległości około dwóch kilometrów od domu. Poza tym ani Shinnecockowie, ani członkowie jakiegokolwiek innego indiańskiego plemienia nie traktowałiby chorych i umierających w tak bezduszny i brutalny sposób. Wygląda zresztą na to, że historia z *Amityville Horror* była misterną konfabulacją. W 1978 roku Lutzowie pozwali do sądu dwóch jasnowidzów i kilku pisarzy pracujących nad innymi wersjami historii ich domu, zarzucając im naruszenie prywatności. W trakcie procesu William Weber, obrońca Ronalda DeFeo, zeznał, że cała historia została od początku do końca wymyślona przez niego i Lutzów i że dostarczył małżeństwu istotne szczegóły na temat zbrodni DeFeo, żeby mogli uwiarygodnić swoją relację^[49].

Wzbogacony o sensacyjną otoczkę obraz indiańskich obrzędów pogrzebowych nie powińien w zasadzie nikogo dziwić. Dziwi natomiast to, jak szybko wątek nawiedzonego cmentarzyska przyjął się i rozprzestrzenił w amerykańskiej kulturze. Indiańskie cmentarze pojawiły się w *Duchu II*, w adaptacji *Łśnienia* Stephena Kinga w reżyserii Stanleya Kubricka oraz w niezliczonych mniej znanych filmach, powieściach i serialach telewizyjnych. Legenda stała się tak wszechobecna, że teraz jest już właściwie kliszą, a ostatnio najczęściej występuje w żartobliwej formie w najróżniejszych komediach, od *South Parku* po sitcom *Parks and Recreation*.

Szczególnie uderzającym przykładem tej narracji jest *Szmętarz dla zwierzków*, powieść Stephena Kinga z 1983 roku, autor bowiem bardzo szczegółowo opisuje charakter i rolę indiańskiego cmentarza. Louis Creed, główny bohater książki, przeprowadza się z rodziną na prowincję stanu Maine, by podjąć pracę lekarza na miejscowej uczelni. Gdy kot córki ginie pod kołami samochodu na pobliskiej autostradzie, jego nowy sąsiad, Jud Crandall, zabiera zwie-

rzę na cmentarzysko Indian Mikmaków, które ma moc przywracania zmarłym życia. Pogrzebany tam kot wraca następnego dnia żywy, aczkolwiek odmieniony: złośliwy, cuchnący śmiercią i splugawioną ziemią. Gdy dwuletni syn Louisa ginie na tej samej autostradzie, zrozpaczony ojciec próbuje go ożywić w ten sam sposób – z przerażającymi, jak się można spodziewać, skutkami.

W czasie gdy książka pojawiła się na rynku, problem był bardzo aktualny. Jak podkreśla badaczka Renée Bergland, kiedy King pisał *Smętarz dla zwierzaków*, władze stanu Maine toczyły wielki spór prawny ze szczepami Malecite, Penobscot i Passamaquoddy z Konfederacji Wabanaki^[50]. W 1972 roku plemiona procesowały się ze stanem Maine i władzami federalnymi, próbując odzyskać ziemie, które według prawa federalnego należały do nich (chodziło o 60 procent powierzchni całego stanu). Od dawna zamieszkane przez nierdzennych Amerykanów sporne ziemie były domem dla ponad 350 tysięcy ludzi, których należałoby przesiedlić, gdyby plemiona wygrały. Gdy stało się jasne, że ich roszczenia są zasadne, władze wystarły się o ugodę, która nie wymagała wysiedlenia tak dużej liczby nierdzennych mieszkańców stanu, i ostatecznie trzem plemionom przekazano – wraz z innymi gwarancjami federalnymi – ponad 81 milionów dolarów, z czego większość została przeznaczona na zakup niezagospodarowanych terenów w Maine.

Cała ta historia majączy gdzieś w tle powieści Kinga. Gdy Louis zwiedza wraz z rodziną i sąsiadem Judem zarośnięte tereny za domem, jego żona Rachel pyta: „Kochanie, czy to jest nasze?”. „Owszem, to część posiadłości”, odpowiada Louis. Ale jednocześnie myśli, że to „zupełnie nie to samo”^[51]. Wyraźny rozdźwięk między formalnym posiadaniem aktu notarialnego a prawdziwą własnością ziemi wyczuwalny jest w całej książce.

Jud wielokrotnie nawiązuje do sporu o ziemię, który w tym czasie rzeczywiście toczył się w stanie Maine, chociaż w książce Kinga o ziemię walczy plemię Mikmaków (dziwne przekłamanie: Mikmakowie nigdy nie należeli do Konfederacji Wabanaki i zamieszkiwali głównie tereny Kanady, nie Maine). „Teraz Mikmakowie, stan Maine i rząd Stanów Zjednoczonych spierają się w sądzie, do kogo należy ta ziemia”, mówi w pewnym momencie Jud. „Do kogo należy? Nikt nie wie tak naprawdę, Louis. Już nie. Różni ludzie rościli sobie do niej prawa w różnych czasach, ale nikomu nie udało się przejąć jej na długo”^[52]. Jud podkreśla, że magiczna moc tej ziemi jest starsza niż jej poprzedni właściciele: „Mikmakowie znali to miejsce. Nie znaczy to jednak, że oni je stworzyli. Nie zawsze tu mieszkali”^[53].

Frances Kermeen w swoim opisie plantacji Myrtles stosuje podobne rozumowanie. Omawiając „święte indiańskie cmentarzysko” pod przydomowym parkingiem, wysnuwa hipotezę, że „Indianie wybrali to miejsce, ponieważ posiadało mistyczne właściwości. Donoszono, że w tym domu straszło długo przed tym, nim poprzedni właściciel wybrukował cmentarzysko pod parking”^[54]. Tak jak King ze swoim smętarzem, Kermeen przypisuje miejscu pochówku Indian Tunica magiczne cechy i dostrzega jego tajemniczą aurę, jednocześnie umniejszając rolę i prawa plemienia do tej ziemi – oni też byli tylko tymczasowymi mieszkańcami na terenach naznaczonych przez autonomiczną moc.

Narracja o nawiedzonych miejscach indiańskich pochówków kryje w sobie pewne lęki związane z ziemią, na której żyją Amerykanie – a konkretnie biali przedstawiciele klasy średniej. W idei własnego domu – Świętego Graala amerykańskiej klasy średniej – czai się głęboko zakorzeniona obawa, że zakupiona ziemia tak naprawdę nie należy do nas. Od czasu do czasu w horrorach zupełnie przeciętne, niewinne amerykańskie rodziny muszą stawić czoło duchom, które uparcie wracają po wiekach i pragną pomścić doznane krzywdy. Zdarza się, że

próby ich przepędzenia oznaczają konieczność stoczenia na nowo dawnych wojen z Indianami.

Powieść Kinga oraz legenda o plantacji Myrtles silnie rezonują dzięki temu, że grają na pozornie pogrzebanych, ukrytych amerykańskich lękach związanych z ziemią, którą rzekomo „posiadamy”. Jeśli nauczymy się w tym dostrzegać źródło wielu naszych opowieści o duchach, nikogo już nie powinno dziwić, że tyle miejsc w Ameryce jest nawiedzonych. W Stanach Zjednoczonych niewiele jest terenów, które nie byłyby w swojej historii przedmiotem jakiegoś sporu. Amerykanie mieszkają na nawiedzonej ziemi, bo nie mają innego wyjścia.



Tereny południowej Luizjany przechodzą ciągłą metamorfozę. Jako obszar zalewowy krętej Missisipi przybierają coraz to nowy kształt i czasem znikają, gdy rzeka zmienia swój bieg. Ziemię, na których stoi Nowy Orlean, pięć tysięcy lat temu nie istniały. Pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, mniej więcej osiemnaście tysięcy lat temu, lodowce, które podeszły aż do Cairo w stanie Illinois, zaczęły topnieć i cofając się, zalewały aluwialną równinę Missisipi. Woda niosła osady z ziem na północy przez Mississippi Embayment (nieckę ciągnącą się na południe od Illinois), by wpaść do Zatoki Meksykańskiej. Nanoszone w ten sposób osady z czasem się nawarstwiały i tak powstała delta rzeki Missisipi – a proces ten trwał jeszcze do niedawna. Gdy na początku XVIII stulecia Luizjanę odkryli Francuzi, w większości miała już aktualny kształt, ale zmiany topograficzne obserwowano jeszcze do XIX wieku. Kapitan Basil Hall, który odwiedził Nowy Orlean w 1828 roku, pisał, że mijał „niewielkie piaszczyste wyspy wzdłuż płytkich błotnistych brzegów” i sunął dalej, przez jeziora Borgne i Pontchartrain, „których delty cicho wciskają się w morze i wypychają dno ku powierzchni” [55].

Ciągła ewolucja lądu w rejonie delty Missisipi nie sprzyjała osadnictwu, a bezustanny napływ wody i namulów mógł łatwo wymazać ślady kultur, dla których prace ziemne na wielką skalę i inżynieria geologiczna – jak te stosowane w Nowym Orleanie – były nieosiągalne. Trudno też znaleźć na tych terenach materiały archeologiczne, jako że wskazówki geograficzne z relacji misjonarzy lub przekazów ustnych często nie korespondują z dzisiejszym krajobrazem.

Niemniej wskazówki istnieją, trzeba się tylko dobrze przyjrzeć. W 1968 roku strażnik z więzienia stanowego w miejscowości Angola zaczął polować w rejonie dawnej plantacji Trudeau, w pasie mokradeł na wschodnim brzegu Missisipi, nieopodal więzienia [56]. Leonard J. Charrier nie był z wykształcenia archeologiem, wiedział jednak co nieco o Luizjanie, a zwłaszcza o tym, jak z biegiem lat może się zmienić bieg rzeki. Posiłkując się dokumentami historycznymi, które odszukał w wolnym czasie, i porównując je ze zmianami koryta rzeki, dokonał zdumiewającego odkrycia: odnalazł zaginione cmentarzysko.

Za pomocą wykrywacza metali Charrier zlokalizował grób wodza plemienia Tunica, Cahury-Joliga, a także ponad sto innych mogił. Z pół plantacji Trudeau wykopał setki przedmiotów, a nie mając gdzie ich składować, znosił je do domu. Powiadomiony o znalezisku Jeffrey P. Brain, kustosz harwardzkiego muzeum Peabody, w 1970 roku przyjechał do Charriera obejrzeć bezcenne artefakty. Przedmioty z miejsc pochówku były porozkładane na wszystkich meblach, poupychane w szafkach i szafach, a także zaścielały podłogę do tego stopnia, że między nimi wiodły jedynie wąziutkie ścieżki. Jedną garderobę wypełniono ponad metrową stertą kociołków, muszkietów, wyrobów drucianych i innych znalezisk.

Charrier zgodził się wypożyczyć je muzeum, jednocześnie targując się o cenę. Gdy jednak

poproszono go o jakiś dokument od właściciela ziemi, w którym ten zrzekałby się praw do eksponatów, mężczyzna zaczął grać na zwłokę. Rozpoczęła się cała seria procesów z udziałem Charriera, muzeum, władz stanu Luizjana i skłóconych spadkobierców właścicieli plantacji Trudeau, gdzie każdy zgłaszał roszczenia do części znalezisk zwanych „skarbem Indian Tunica”.

Sami Indianie nie brali udziału w sporze sądowym, ponieważ plemię to nie było uznawane przez Stany Zjednoczone. Indianie Tunica-Biloxi od lat dwudziestych XX wieku walczyli o uznanie przez władze federalne, lecz niezmienną przeszkodę stanowił brak niepodważalnych dowodów ich historycznej obecności na terenach USA. Osobliwym zrządzeniem losu znalezisko Charriera rozwiązało ten problem, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że Indianie Tunica zamieszkiwali niegdyś południową Luizjanę; bezpośrednim następstwem tego odkrycia było więc uznanie plemienia przez rząd federalny, co nastąpiło w 1981 roku. Teraz i oni mogli zgłosić pretensje do odnalezionych artefaktów. Po trwających ponad dziesięć lat sporach prawnych Tunica-Biloxi ostatecznie odzyskali swój skarb, który teraz znajduje się w ośrodku muzealnym w pobliskim Marksville.

Rzecz jasna, nie wszyscy byli zadowoleni z tego rozstrzygnięcia. „To ja znalazłem te rzeczy – skarżył się dziennikarzowi «New York Timesa» rozgoryczony Charrier, gdy było już po wszystkim. – Spędziłem wiele, wiele godzin, wygrzebując je z ziemi, i gdybym tego nie zrobił, rzeka Missisipi zabrałaby je nam wszystkim”^[57].



Obszar, na którym kiedyś leżała plantacja Trudeau, od plantacji Myrtles dzieli 30 kilometrów, toteż twierdzenie, jakoby ta druga miała coś wspólnego z ziemiami Indian Tunica, gdzie Charrier prowadził prace wykopaliskowe, jest w sposób oczywisty fałszywe. Lecz w następstwie długotrwałej batalii prawnej wokół miejsca pochówku Indian prowadzonej przez potomków plemienia, muzeum Peabody i rząd federalny, zaczęły krążyć pogłoski, że to właśnie plantacja Myrtles leży na spornej ziemi, a skarb i jego dyskusyjna przynależność stały się częścią tradycji tego domu.

Z czasem cmentarzysko Indian Tunica i plantacja Myrtles stopiły się ze sobą, jedno stało się częścią historii drugiego. Obok fikcyjnej tragedii niewolnicy Chloe i kilkunastu niepotwierdzonych morderstw, do których rzekomo doszło na terenie Myrtles, plantacja przyswoiła sobie miejscowe legendy i pozwoliła, by osiadły niczym rzeczny osad wokół jej fundamentów. Dzisiaj jest popularnym celem wycieczek i wykorzystuje historię, by przyciągnąć rzesze entuzjastów zjawisk nadprzyrodzonych oraz poszukiwaczy duchów. Podobnie jak ziemia pod posiadłością historie te z biegiem lat przemieszczały się i przekształcały wraz z upodobaniami turystów i subtelnymi zmianami krajobrazu.

Jeśli się uważnie wsłuchać, opowieści o duchach z plantacji Myrtles mówią więcej o opowiadających niż o samych paranormalnych zdarzeniach. Niewolnica wykorzystywana przez właściciela, która staje się morderczynią, duchy Indian, którym zakłócono spokój w miejscu pochówku – wszystkie te przekazy stanowią konkretną reakcję na historyczną przeszłość. Tego rodzaju opowieści niesamowite pozwalają nam obcować z grozą otwartych ran przeszłości, a tymczasem kwestia odpowiedzialności za ową przeszłość niepostrzeżenie się rozmywa i w końcu całkowicie znika.

DOM BEZ KOŃCA

San Jose, Kalifornia

T rudno stwierdzić, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna aglomeracja San Jose w stanie Kalifornia, i czym się wyróżnia spośród dziesiątków sąsiadujących z nią podmiejskich ośrodków rozciągających się na północny zachód w kierunku San Francisco i na północny wschód w stronę Oakland. Miasto to – jeśli można je tak określić – jest powtarzalnym labiryntem, nieprzestrzenią, plamą podmiejskiej nijakości, która rozlewa się na północ od doliny Santa Clara na dwa pasy lądu: półwysep San Francisco i East Bay. Poszczególne jednostki osadnicze, takie jak Santa Clara, Sunnyvale czy Cupertino, zachodzą na siebie, a ich centra dawno już podupadły, zastąpione galeriami handlowymi i biurami, co zaburzyło poczucie przestrzennego lądu.

Eksurbanizacja nie jest oczywiście wyłączną cechą San Jose, lecz miasto to dysponuje miniaturą alegorią samego siebie w postaci wiktoriańskiej rezydencji, rozległej i amorficznej, która stoi w samym jego centrum. Jeśli istnieje jakiś centralny pomnik San Jose, jest nim ta enigmatyczna, przywodząca na myśl labirynt budowla w sercu miasta. Wycieczki ruszają co dwadzieścia minut, codziennie oprócz Bożego Narodzenia, a zwiedzanie trwa mniej więcej dwie godziny. Goście pokonują prawie dwa kilometry, niemal cały czas pozostając w murach domu. Oto rezydencja zwana Winchester Mystery House, niedaleko autostrady międzystanowej 280, przy Winchester Boulevard, dużej arterii, która wzięła od niej swą nazwę, w pobliżu multipleksu kinowego i dwóch gigantycznych galerii handlowych po drugiej stronie ulicy. Nazywana przez wielu najbardziej nawiedzonym domem na świecie.

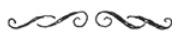
Niezniszczalna, anachroniczna, niezmienna. Kryjąca w środku swoje tajemnice.



Podstawowe fakty o początkach tego budynku są dobrze znane^[58]. W 1862 roku Sarah Pardee poślubiła Williama Wirta Winchestera, syna właściciela dobrze prosperującej firmy zajmującej się szyciem koszul, który później miał założyć spółkę Winchester Repeating Arms Company, produkującą karabiny wielostrzałowe. Jedyne córka Williama i Sarah zmarła w niemowlęctwie w 1866 roku, a piętnaście lat później na gruźlicę zmarł sam William. W 1885 roku zamożna wdowa przeprowadziła się do doliny Santa Clara, gdzie kupiła ośmiopokojowy wiejski dom i zaczęła go rozbudowywać. Rozrósł się on monstrualnie we wszystkich kierunkach i w chwili jej śmierci w 1922 roku miał sto sześćdziesiąt pokoi. Na pewnym etapie był jeszcze większy, lecz duża część uległa zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi w 1906 roku – zapadła się między innymi siedmiokondygnacyjna wieża, której Sarah już nie odbudowała. Wiele pomieszczeń pozostało nieukończonych, jak gdyby robotnicy po prostu przerwali prace w dniu, w którym Sarah Winchester zamknęła oczy na zawsze.

Dom, otwarty dla publiczności rok po jej śmierci, z miejsca zdobył sławę, przenikając do amerykańskiej kultury na wiele zaskakujących sposobów. Pojawia się między innymi w słynnej powieści Shirley Jackson (która dorastała niedaleko San Jose): gdy doktor John Montague opisuje Dom na Wzgórzu, twierdzi, że Hugh Crain, jego budowniczy, „liczył na to, że pewnego dnia Dom na Wzgórzu stanie się atrakcją turystyczną podobną do domu Winchester” [59]. Dziesięć lat później rezydencja Sarah Winchester stała się inspiracją dla Domu Strachów w Disneylandzie. Waltowi Disneyowi zależało na nawiedzonym budynku, nie chciał jednak opuszczonego domu ani ruiny, pomyślał więc o nieskazitelnej wiktoriańskiej fasadzie Winchester House. Stephen King utrzymuje, że o domu tym dowiedział się w dzieciństwie z komiksów *Ripley's Believe It or Not* i nigdy już o nim nie zapomniał. *Czerwona Róża*, miniseriał ze scenariuszem Kinga z 2002 roku opowiadający o grupie badaczy zjawisk paranormalnych, którzy prowadzą obserwacje w potężnym, rozbudowanym labiryncie pokoi, nawiązuje do Winchester House najbardziej bezpośrednio, ale jego ślady można znaleźć również w innych dziełach Kinga, od *Miasteczka Salem* po *Lśnienie*.

Jest jeszcze artysta Jeremy Blake, który niedługo przed popełnieniem samobójstwa stworzył trylogię krótkich filmów zainspirowanych domem pani Winchester. W filmach tych fasada domostwa stapia się z ruchomymi kolorami przypominającymi kalejdoskop, obrazami z animowanych westernów z lat pięćdziesiątych i podmiejskim krajobrazem San Jose. Efekt jest w najwyższym stopniu niepokojący, dzieło Blake'a wydobywa bowiem z okapów i szczytów rezydencji kryjącą się tam groźę. „To miejsce ma swój wymiar psychologiczny – powiedział wówczas Blake. – Neuroza, szalona logika i kreatywność przenikają ten zwariowany patchwork pomieszczeń na wskroś. To wszystko staje się nieprawdopodobnie zakręcone” [60].



Legenda Winchester House, którą opowiedziano już tyle razy, że większość ludzi bierze ją za pewnik, zaczyna się od śmierci córki i męża Sarah Winchester. Uznawszy, że nad rodziną ciąży jakaś klątwa, pani Winchester udała się do słynnego bostońskiego medium, Adama Coonsa. W trakcie seansu spirytystycznego Coons przekazał jej, że całą rodzinę prześladowają duchy tych, którzy zginęli od kul z karabinów Winchester, zwłaszcza Indian zastrzelonych z „broni, która zdobyła Zachód”, i że jedynym sposobem obrony przed klątwą jest rozpoczęcie budowy domu, projektu nieskończonego, będącego wiecznie w toku. Winchester przybyła więc do San Jose, kupiła ośmiopokojowy dom i wynajęła robotników, żeby rozbudowywali jej siedzibę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, do końca jej życia. Gdy zmarła w 1922 roku, wszystkie prace natychmiast wstrzymano: pokoje zostawiono nieukończone, gwoździe tkwiły w ścianach white do połowy. Tę wersję pamięta Stephen King: „Podczas jednego z seansów Sarah Winchester zapytała medium: «Kiedy umrę?» [...] Usłyszała w odpowiedzi: «Gdy pani dom zostanie ukończony»” [61].

Historia wiecznie odkładanego końca budowy, żeby oszukać śmierć, umacnia obraz kobiety, która przez przesady i łatwowierność stworzyła dom będący zaprzeczeniem wszelkich zasad zdrowego rozsądku i reguł sztuki budowlanej. Codziennie od północy do drugiej nad ranem w błękitnym pokoju w głębi domu odbywały się nocne seanse spirytystyczne, podczas których pani Winchester prosiła duchy o rady, jakie prace wykonać następnego dnia i jak się uchronić przed złymi mocami. Jednym ze znaków rozpoznawczych jej rezydencji są schody, które wznoszą się, skręcają o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i kończą się bezpośrednio pod ścianą, jak gdyby chciano przechytrzyć zjawy próbujące dręczyć samotną dziedziczkę. To

właśnie główne atrakcje domu pani Winchester: schody prowadzące donikąd, klapy w podłodze i drzwi bez pokoi, labiryntowa sieć pułapek i okrężnych korytarzy. Przy czym wszystkie te architektoniczne rozwiązania miały zwodzić duchy nękające Sarah Winchester, tworząc prywatną płataninę pomieszczeń, którą rozumiała i знаła tylko ona i gdzie mogła się czuć bezpieczna.

Pani Winchester udźwignęła ten nieprawdopodobny projekt budowlany dzięki swej ogromnej fortunie. Jak wyjaśnia przewodnik wycieczki, udziały wdowy w Winchester Rifle Company zapewniały jej dzienny dochód w wysokości około 1500 dolarów, co w przeliczeniu na dzisiejszą walutę daje ponad 32 tysiące dolarów. Mogła zatem szastać pieniędzmi do woli i stać ją było na ekscentryczność. Jednym z pierwszych przystanków na trasie obchodu jest tzw. Magazyn Miliona Dolarów (Million Dollar Storeroom), gdzie mieszczą się bezcenne witraże Tiffany'ego wykonane na zamówienie właścicielki. Pokój ten emanuje bogactwem i przepychem, ale przekaz jest jasny: coś takiego powinno zdobić wspaniały pałac, a nie tkwić w domu szalonej kobiety. Obląkana osoba nie powinna była mieć dostępu do takich rzeczy.

Jeden z witraży Tiffany'ego – z przepięknym pajęczynowym wzorem – jest wysadzany trzynastoma kamieniami półszlachetnymi. Obsesja Sarah Winchester na punkcie liczby trzynastcie to dobrze znany element jej legendy – mamy trzynastcie sypialni, trzynastcie łazienek, trzynastcie okien w niektórych pokojach – i tę triskaidekafilę przedstawia się jako kolejny dowód na ponurą ekscentryczność wdowy. Piątego września 1922 roku pani Winchester miała dokonać żywota właśnie w trzynastej sypialni, gdzie towarzyszyła jej lekarka o absurdalnym imieniu – doktor Euthanasia Meade.

Niezależnie od tego, jak przekonująco brzmi ta narracja, wiąże się z nią przynajmniej kilka problemów. Mówi się o licznych schodach, które prowadzą donikąd, tymczasem jest tam tylko jedna konstrukcja tego typu, najprawdopodobniej nieskorygowana pomyłka architektoniczna. Fascynacja liczbą trzynastcie to również późniejszy wymysł. Nie ma żadnego śladu istnienia bostońskiego medium Adama Coonsa (choć Euthanasia Meade z całą pewnością była postacią prawdziwą)^[10*], nie ma też niepodważalnego dowodu na to, że Sarah Winchester kiedykolwiek odwiedziła medium. Historia o duchach ofiar karabinów Winchester jest także niemal na pewno wymysłem. Wielu ludzi nie ma zresztą pojęcia, że Sarah była właścicielką kilku innych, zupełnie przeciętnych nieruchomości, że mieszkała w domu w Atherton, kilka kilometrów dalej, i że przez ostatnich siedemnaście lat w Winchester Mystery House, który nazywała Llanada Villa („domem na płaskiej ziemi”), bywała rzadko. A niebieski pokój pośrodku rezydencji, gdzie rzekomo każdej nocy urządziła seanse spirytystyczne? Mieściła się tam sypialnia ogrodnika.

Pozostają jednak pytania. Jeśli tę historię w większości, jeśli nie w całości, zmyślono, to w takim razie jak brzmi jej prawdziwa wersja – dlaczego dom jest tak wielki, dlaczego pani Winchester nie przestawała go rozbudowywać i dlaczego nie ma w nim żadnego dostrzegalnego porządku ani planu? Cemu rozpowiada się kłamstwa, zamiast upublicznić prawdę, i dlaczego one tak mocno zakorzeniły się w naszych umysłach? Dlaczego zdołały zatrzeć niemal wszystkie ślady prawdziwej historii i nadal tak intrygują?



Sarah Lockwood Pardee urodziła się w 1839 roku w New Haven w stanie Connecticut, w zamężnej rodzinie należącej do wyższej klasy średniej. (Przez całe życie zwracano się do niej nie Sarah, tylko Sallie na cześć babki ze strony matki). Jako czwarte z sześciorga dzieci (i za-

razem jedna z pięciu siostr, bo państwu Pardee trafił się tylko jeden syn) dorastała w „złotym wieku” nowoangielskiego industrializmu. Wynalazca Eli Whitney właśnie przeniósł swoją fabrykę do pobliskiego Hamden i przemysłowe miasteczka wokół New Haven, takie jak Lowell i Lawrence w stanie Massachusetts, tętniły życiem. Ojciec Sarah, Leonard, był z zawodu stolarzem i zdobył reputację mistrza w wykonywaniu dekoracyjnych zdobień charakterystycznych dla architektury wiktoriańskiej.

Wśród ludzi odnoszących sukcesy na fali amerykańskiego boomu przemysłowego był sąsiad państwa Pardee, Oliver Winchester. Przybył on do New Haven z Baltimore w 1845 roku niemal bez grosza przy duszy, za to z niezłomnym postanowieniem, że odniesie sukces. A ponieważ łączył w sobie w idealnych proporcjach przedsiębiorczość ze znajomością mechaniki, w niedługim czasie zdołał odmienić swój los. Wykorzystując innowacyjny projekt w produkcji męskich koszul, wraz ze swym partnerem Johnem Daviesem założył firmę Winchester and Davies Shirt Manufacturing Company, która w ciągu zaledwie kilku lat stała się istnym gigantem na rynku odzieżowym.

Tymczasem Leonard Pardee, budując domy, na jakie mogli sobie pozwolić potentaci przemysłowi, w latach 1850–1860 dziesięciokrotnie zwiększył swoje dochody i wartość jego majątku sięgnęła 15 tysięcy dolarów (dzisiaj odpowiednik mniej więcej miliona). Miał jednak pewien problem: w czasach, gdy kobiety uważano za finansową kulę u nogi, urodziło mu się zbyt wiele córek. Zapewnił dzieciom solidne wykształcenie – uczyły się języków obcych, historii sztuki i muzyki – a następnie zadbał o wydanie córek za mąż. Sarah trafiła przed ołtarz jako druga, w 1862 roku poślubiając sąsiada z lat dziecińczych, Williama Wirta Winchestera. Uroczystość wydawała się skromna jak na możliwości finansowe obydwu rodzin, ale trwała wojna, wszystkiego brakowało i nie był to dobry moment na obnoszenie się z bogactwem. W tym samym tygodniu, w którym William i Sarah wzięli ślub, toczyły się walki w Luizjanie, Missouri i Wirginii. Minął rok, odkąd pierwsza bitwa nad Bull Run uświadomiła społeczeństwu potworności wojny, a po kilku tygodniach druga bitwa nad Bull Run pochłonęła kolejnych osiemnaście tysięcy istnień. Śmierć zdołała dotrzeć do najdalszych zakątków Północy i Południa.

Większość mężczyzn z rodzin Pardee i Winchesterów uniknęła udziału w walkach, ponieważ mogli sobie pozwolić na wpłacenie 300 dolarów za odroczenie służby. (Brat Sarah wziął udział w pierwszej bitwie nad Bull Run, postanowił jednak nie zaciągać się ponownie do wojna po tym, jak pierwszy trzymiesięczny okres służby dobiegł końca; jej szwagier Homer Sprague jako jedyny członek najbliższej rodziny uczestniczył w walkach nieco dłużej). Tak czy inaczej, Oliver Winchester chciał się bardziej zaangażować w wojnę. W 1857 roku odkupił upadającą firmę Volcanic Repeating Arms Company od Horace’a Smitha i Daniela B. Wessona, dwóch projektantów, którzy wynaleźli obiecującą, ale niezbyt jeszcze popularną broń pozwalającą oddać wiele strzałów bez kłopotliwego i skomplikowanego przeładowywania amunicji, czego wymagała większość ówczesnych karabinów^[62]. (Smith i Wesson oczywiście założyli później nową firmę i, jak wiadomo, odnieśli w końcu znaczny sukces). Winchester wiedział, że karabin wielostrzałowy, którego przeładowanie trwa sekundy, nie minuty, może na zawsze zmienić obraz wojny i był przekonany, że broń tego typu musi się przyjąć w amerykańskiej armii. Zatrudnił jednego ze swych najbardziej cenionych mechaników z fabryki koszul, Benjamin T. Henry’ego, i razem z nim pracował nad udoskonaleniem pomysłu Smitha i Wessona.

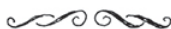
Pomimo oczywistych zalet karabin powtarzalny marki Winchester, nazywany „Henrym”,

nie wpłynął na przebieg walk. Kupowali go pojedynczy żołnierze, wojsko nie złożyło jednak hurtowego zamówienia; pod koniec wojny karabiny powtarzalne stanowiły zaledwie 1 procent uzbrojenia stosowanego w boju. William w tym czasie uważał ojcowskie zaangażowanie w produkcję broni za interesujący, acz marginalny projekt, gdyż prawdziwa rodzinna fortuna wciąż opierała się na produkcji koszul. William był wtedy sekretarzem w Winchester and Davies i razem z Sarah wiedli wygodne życie – do pełni szczęścia brakowało im jedynie dziecka. Piętnastego czerwca 1866 roku urodziła im się córeczka, której nadali imię Annie na cześć siostry Williama, niedawno zmarłej w pogoju.

Poród przebiegł bez komplikacji, ale Annie niemal natychmiast zaczęła słabnąć. Lekarz zdiagnozował u niej uwiąd, stan, w którym organizm nie może wchłoniąć kalorii ani przetworzyć własnego białka. Zazwyczaj uwiąd jest skutkiem poważnego niedożywienia, lecz Annie pokarmu nie brakowało – jej ciało nie było po prostu w stanie go przyswoić. Zakrawało na okrutną ironię losu, że w kraju cierpiącym niedawno tak wielki niedostatek, Annie, urodzona w jednej z niewielu rodzin zamożnych na tyle, by w pełni zaspokoić wszystkie potrzeby dziecka, umierała z głodu.

Annie Winchester zmarła 25 lipca, przeżywszy zaledwie czterdzieści dni. William wrócił do pracy w Winchester and Davies, tymczasem druga firma ojca przechodziła szybką metamorfozę. Karabin Henry zaczął się cieszyć coraz większym powodzeniem i przedsiębiorstwo się bogaciło. Zdobywszy lukratywne kontrakty na dostawę broni do zagranicznych armii, Oliver Winchester sprawił, że biznes kwitł nawet podczas powojennego kryzysu. W 1869 roku, po otwarciu pierwszej transkontynentalnej linii kolejowej, karabin zyskał nowe przeznaczenie: firma zaczęła go reklamować jako najlepsze narzędzie do samoobrony na terenach amerykańskiego pogranicza. Z czasem winchestery zasłużyły sobie na miano „broni, która zdobyła Zachód”, stając się symbolem amerykańskiej ekspansji i wojen z Indianami.

Zachodnia część kraju stawiała się coraz ważniejsza dla interesów firmy, toteż Winchester otworzył biura w San Francisco i w 1870 roku wysłał tam Williama i Sarah, żeby nadzorowali ich organizację. Na wykonanych wówczas portretach William wygląda na dość udręczonego i wyczerpanego, acz jego zapadnięte, zapatrzone gdzieś w dal oczy nie są pozbawione pewnego uroku. Gruźlica, która nękała go przez większość dorosłego życia, nie jest jeszcze widoczna, wygląda jednak na mężczyznę słabego zdrowia. Sarah natomiast, choć sfotografowana z półprofilu, patrzy pewnie przed siebie. Emanuje z niej jeśli nie piękno, to na pewno witalność i bystrość, świadomość otaczającego ją świata i pragnienie, by go odmienić.



Gdy ktoś mówi o zgonach w rodzinie Sarah Winchester, które skłoniły ją do wybudowania domu w San Jose, zwykle ma na myśli śmierć córeczki i męża, jak gdyby te dwa wydarzenia czasowo się pokrywały. W rzeczywistości dzieliło je szesnaście lat. Annie zmarła w 1866 roku, a Sarah do połowy lat osiemdziesiątych nadal mieszkała w New Haven. Nie mieli już z Williamem dzieci, lecz jak wynika z nielicznych ocalałych relacji, ogólnie rzecz biorąc, wiedli w tym czasie szczęśliwe i dostatnie życie.

Na początku 1880 roku zmarła matka Sarah, pod koniec roku pożegnał się z życiem jej teść, a niespełna rok później ich los podzielił William, przegrywając walkę z gruźlicą. Po kilku latach pani Winchester straciła jeszcze jedną osobę z najbliższej rodziny. W połowie lat osiemdziesiątych życie rodzinne Sarah Winchester poważnie się zatem skurczyło.

Gdy jednak przeprowadziła się do San Jose, nie przyjechała tam sama: towarzyszyły jej

dwie siostry wraz z rodzinami. Dlaczego San Jose? W latach siedemdziesiątych Sarah odwiedziła z mężem San Francisco i miasto jej się spodobało, ale prawdziwy powód łączy się ze wspomnianym szwagrem: Homer Sprague w 1885 roku został mianowany rektorem Mills College w Oakland. Gdy wraz z siostrą Sarah, Antoinette (Nettie), przeniósł się w rejon zatoki San Francisco, Sarah i jej druga siostra Isabelle (Belle) Merriman ze swoją rodziną również podjęły decyzję o przeprowadzce. W San Jose zamierzały odbudować życie rodzinne, a Sarah, która wyszła bogato za mąż i miała najbardziej stabilne dochody, postanowiła wznieść dom dla nich wszystkich.

Po okresie gorączki złota rejon zatoki San Francisco wiele obiecywał. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku liczba mieszkańców San Francisco rosła o jakieś 8 procent rocznie, ze 135 tysięcy w 1867 roku do 233 700 w roku 1880, a dzięki kolei tłumnie napływali nowi mieszkańcy. Większość jednak przybywała tam nie dla złota, lecz „życiodajnej przyrody” Zachodu. Jak to określił pewien ówczesny lekarz: „Choroby, ten dopust boży, nie dręczą nas tutaj ani nie przeszkadzają nam w zajęciach. Nie bez racji o zdrowym klimacie Kalifornii krążą legendy. Chirurdzy z San Francisco zauważyli, że rany goją się tu zdumiewająco szybko, w dużej mierze w związku z nadzwyczajną – jak się przypuszcza – czystością atmosfery”^[63].

Do Kalifornii zjeżdżali zatem ludzie dotknięci przeróżnymi chorobami, najwięcej jednak było suchotników; opowiadano o ich cudownych ozdrowieniach tylko poprzez wdychanie suchego, ciepłego powietrza Zachodu. Wedle szacunków przed rokiem 1900 jedną czwartą wszystkich migrantów do Kalifornii stanowili chorzy na gruźlicę, którzy przyjeżdżali dla podreperowania zdrowia i już tam zostawali^[64]. Gdy więc Sarah Winchester wsiadała do jednego z „pociągów po zdrowie” jadących nad zatokę San Francisco, towarzyszyła jej zabójczyni męża, tuberkuloza – zwana wówczas białą zarazą.

Sarah osiadła w niewielkiej, lecz ambitnej prowincjonalnej społeczności San Jose. Zawsze w cieniu San Francisco, swego północnego sąsiada, San Jose próbowało już wtedy czymś się wyróżnić. Jego dumą była wielka, wybudowana w 1881 roku za 5000 dolarów wieża oświetleniowa – Electric Light Tower. Wznosiła się nad skrzyżowaniem ulic Santa Clara i Market, miała 63 metry wysokości, a wieńczyło ją sześć lamp łukowych dających 24 tysiące kandel światła – można było przy niej czytać w odległości półtora kilometra. „Po raz pierwszy mieszkańcy San Jose zdali sobie sprawę, że mają u siebie cud XIX wieku – głosił «Daily Herald» – że mieszkają w jedynym mieście oświetlonym elektrycznie, z wieżą, która niczym Kolos Rodyjski stoi okrzakiem nad jego dwiema głównymi arteriami”^[65]. Policjanci lubili patrolować okolice wieży, bo często uderzały w nią migrujące kaczki i porażone prądem spadały martwe na ziemię, oni zaś mogli je zebrać i sprzedać w lokalnych restauracjach.

Pomimo witającej przybyszów latarni postępu większość ludzi docierających do doliny Santa Clara nie potrafiła się w mieście odnaleźć. „Kalifornia była szklarnią, w której ludzkość osiągała szybko, monstualną dojrzałość – relacjonowano w «Annals of California» w 1855 roku – niczym gigantyczne warzywa, z których jest tak znana”^[66]. Ludzie wszędzie „tracili głowy”; inaczej mówiąc, wpadali w obłąd. Powszechne były samobójstwa wywołane zażyciem strychniny i arsenu, jak w wypadku niejkiej Claude Lorraine, która zgubiła pończochę z zaoszczędzonymi 500 dolarami, albo mężczyzny nazwiskiem Riley, który po bezskutecznej próbie samobójczej w styczniu 1884 roku wyznał policjantom, że życie go zmęczyło, dlatego chciał umrzeć, po czym przeprosił funkcjonariuszy za „fuszerkę”. W prasie samobójstwa nazywano „rozwiązaniem wielkiego problemu”, jak w nagłówku z 13 lipca 1885 roku w „San Jose



Pierwotnie Sarah Winchester planowała powiększyć dom, żeby mógł wygodnie pomieścić jej rodzinę. Praca szwagra w Mills College dobiegła jednak końca, zanim na dobre się zaczęła, i po niespełna roku Sprague przeprowadził się z żoną do Dakoty Północnej, gdzie objął inne stanowisko akademickie. Tymczasem Belle Merriman, druga siostra Sarah, przeniosła się z rodziną do San Francisco, zostawiając tylko swoją córkę Marion, którą Sarah praktycznie adoptowała. Pomysł budowy wielkiego domu dla siebie i sióstr z rodzinami stracił sens.

Mimo to pani Winchester nie wstrzymała prac budowlanych. Początkowo zatrudniała co najmniej dwóch architektów, szybko ich jednak zwolniła; wołała sama się zająć większością projektów. Nasza wiedza o jej metodach budowlanych pochodzi głównie z dwóch ocalałych listów, jakie w 1898 roku napisała do szwagierki, Hannah Jane (Jennie) Bennett. Wyłania się z nich obraz nie opętanej przez duchy wariatki, tylko kobiety eksperymentującej z konstrukcją i projektem swego domu. „Jestem wiecznie zmuszana z jakiegoś powodu wszczynać zamieszanie – pisze 11 czerwca. – Na przykład korytarz na piętrze, który prowadzi do sypialni, nieoczekiwanie tak się zaciemnił po drobnej zmianie budowlanej, że odkąd kilka osób straciło równowagę na schodach, postanowiłam, że bezpieczeństwo wymaga interwencji, toteż ponad rok temu kazałam wyburzyć ścianę i zainstalować świetlik”^[67]. Wbrew temu, co się opowiada zwiedzającym, nie zatrudniała robotników dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Na wieść o tym, że w letnie upały tynk, którego chciała użyć, się nie wiąże, zwolniła ekipę w oczekiwaniu na ochłodzenie i napisała: „poczułam się później tak zmęczona i słaba, że odprawiłam wszystkich robotników, żeby zażyć takiego odpoczynku, jakiego mogłabym zaznać zimą”. Opis towarzyszącego jej znużenia powtarza się jak refren. „Gdybym się tak łatwo nie męczyła, robiłabym wszystko znacznie szybciej – pisała – uważam jednak, że lepiej zwolnić, niż się sforsować. Samo już przyjęcie zduna i omówienie z nim wszystkich szczegółów całkowicie mnie wycieńczyło na co najmniej cały dzień”.

Z projektu budowlanego pani Winchester przebiega postawa pasywno-agresywna: oficjalnie przygotowywała dom, by przyjmować gości, zwłaszcza rodzinę z New Haven przyzwyczajoną do rezydencji określonych rozmiarów, potem jednak stale wymawiała się od zapraszania kogokolwiek, twierdząc, że dom jest nieukończony. „Liczę na to, że któregoś dnia sytuacja pozwoli mi poczuć, iż zaproszenie przyjaciół nie będzie dla nich zbytnim kłopotem”^[68] – pisała ponad dziesięć lat od rozpoczęcia remontów. Nieustająca rozbudowa w pewnym momencie stała się chyba pretekstem, by trzymać się z dala od rodziny.

To tylko jedna, niezbyt przyjemna i łaskawa, próba wyjaśnienia całej tej sytuacji. Patrząc z innej perspektywy: być może w pewnej chwili budynek przestał być środkiem do zapewnienia rodzinie dachu nad głową, a stał się celem samym w sobie. Nie zwykliśmy postrzegać Sarah Winchester jako architektonicznej pionierki, ale przecież nią była. W czasie kiedy zaczynała prace nad rozbudową domu, większość ludzi uznawała określenie „kobieta architekt” za oksymoron. Było to długo przed tym, zanim chyba najsłynniejsza architektka początków XX wieku, Julia Morgan, próbowała się dostać do École des Beaux-Arts w Paryżu. Gdy w 1897 roku złożyła podanie, uczelnia dopiero od niedawna zaczęła przyjmować kobiety. Szczególnie oporny był właśnie wydział architektury: Morgan musiała się starać o wpisanie jej na listę studentów trzy razy, zanim łaskawie wyrażono na to zgodę. Za drugim razem już prawie się

udało, ale według jednego z członków komisji obniżono jej punktację, ponieważ „nie chciano zachęcać innych dziewcząt”^[69]. W późniejszych latach, w pierwszej połowie XX wieku, Morgan przedefiniowała architekturę rejonu zatoki San Francisco i została zatrudniona przez Williama Randolpha Hearsta, który zlecił jej zaprojektowanie wielu budynków, między innymi Hearst Castle w San Simeon w Kalifornii.

Kuszące jest zestawienie domu pani Winchester z dziełami Morgan – prac dwóch architektów początków XX wieku. Lecz porównywanie tego domu z innymi projektami architektonicznymi lub ocenianie go zbyt ściśle przez pryzmat twórczyni jest całkowicie chybione. Bez jakiegokolwiek ogólnego czy przewodniego planu, bez zamiaru osiągnięcia spójnego efektu, rezydencja pani Winchester ciągnie się i rozrasta w wielu różnych kierunkach, przywodząc na myśl rafę koralową. Jej estetyka i piękno tkwią właśnie w owej przestrzennej anarchii. Budynek ten w pewnym sensie jest formą pisma automatycznego, architektonicznego strumienia świadomości.

U wielu zwiedzających właśnie z tego powodu dom budzi taki niepokój. Wydaje się nieskończony, dużo większy wewnątrz niż z zewnątrz. Podobnie ma się sprawa z Domem na Wzgórzu Shirley Jackson i dezorientującą przestrzenią disnejowskiego Domu Strachów (tylko z lotu ptaka widać, że prawie cała trasa biegnie nie przez dom, ale przez sąsiadującą z nim halę, co daje poczucie, że małeńki budynek, do którego się wchodzi, ciągnie się w nieskończoność). Takie deprymująco bezkresne siedziby pojawiają się wielokrotnie w powieściach grozy, od *Zagłady domu Usherów* Poego aż po *Dom z liści* Marka Z. Danielewskiego, elegancko osadzonych na konsternującym fakcie, że dany budynek jest nieco większy w środku niż na zewnątrz. Nie wspominając już o niezliczonych powieściach gotyckich, gdzie występują tajne przejścia i gdzie nieskończoność nie ma charakteru nadnaturalnego – jak w rezydencji z opowiadania *Szczury w murach* H.P. Lovecrafta. Jeśli domy mają dawać poczucie bezpieczeństwa, to najbardziej przerażająca jest myśl, że mogą się ciągnąć bez końca, tworząc bezkresny labirynt.

Ale nie tylko z tej przyczyny dom pani Winchester zawładnął wyobraźnią aż tylu ludzi. Trzeba tu dodać inny rodzaj niesamowitości, spopularyzowany przez Charlesa Dickensa w *Wielkich nadziejach* z 1861 roku, powieści, w której występuje panna Havisham, mieszkająca samotnie w olbrzymim domostwie z dziewczyną o imieniu Estella. Wszystko w tym domu zastygło w czasie: zastawę stołową pokrywają pajęczyny i kurz, jest jednak wyłożona, jak gdyby w każdej chwili miała się rozpocząć uroczysta kolacja. Jak opowiada nam Pip:

Tylko tyle jeszcze zauważyłem, że w tej sali wszystko się już dawno zatrzymało w miejscu, podobnie jak kieszonkowy i ścienny zegar. Widziałem, jak pani Havisham położyła naszyjnik na to samo miejsce na stole, z którego go wzięła. Podczas gdy Estella rozdawała karty, spojrzałem na stół i widziałem, że leżący na nim pantofelek, niegdyś biały, obecnie żółty, ani razu nie był w użyciu. Spojrzałem na nogę, dla której był przeznaczony: jedwabna pończocha, niegdyś biała, obecnie żółta, była dziurawa. Na wszystkich przedmiotach znać było takie zaniedbanie, że porównałbym ślubną odzież okrywającą tę zaschlą postać do stroju śmierci, a długie welon do całunu^[70].

Tutaj też znajdujemy fikcyjną historię gotową do przetransponowania na Sarah Winchester, łącznie z dziewczyną – odgrywaną przez Marion Merriman, jej siostrzenicę. Stara panna w wiecznej żałobie, czas, który stoi w miejscu, ciągle wrażenie zahamowanego rozpadu – żadna z tych rzeczy nie ma wiele wspólnego z panią Winchester, ale pozornie pasują ideal-

nie, podsuwając gotowe wyjaśnienie tego, co się rozgrywało za zamkniętymi drzwiami. Dużych, można powiedzieć, gromadzą się wokół kobiet, które zostały same.



W piątek 29 marca 1895 roku w dzienniku „San Jose Daily News” ukazał się niepodpisany artykuł pod tytułem *Dziwna historia: kobieta, która myśli, że umrze, gdy jej dom zostanie ukończony*, z podtytułem: *Wspaniała rezydencja na Saratoga Road pod San Jose – gąszcz wież i wieżyczek*. Legenda Sarah Winchester, wdowy w wiecznej żałobie, przesądnej wariatki, która trwoni fortunę, uroiwszy sobie, że jest osaczona przez złe moce, właśnie tutaj ma swoje prawdziwe źródło.

„Pierwszy rzut oka na ten dom napawa zdumieniem – głosi artykuł. – Człowiek odruchowo przeciera oczy, nie mogąc uwierzyć, że liczba wieżyczek nie jest złudzeniem, wydają się nie-realne jak ze snu. Gdy się jednak podejdzie bliżej, widać ich więcej, więcej, coraz więcej”. Z oszołomieniem zmieszanym z lekką zgrozą anonimowy dziennikarz „Daily News” nawija bezpośrednio do idei, jakoby rezydencja dosłownie nie miała końca:

Jak to możliwe, że rozbudowuje się gotowy już właściwie dom i zachowuje jego artystyczny styl pomimo tylu zmian – oto pytanie, na które nikt nie zna odpowiedzi, pozostaje jednak faktem, że tego dokonano. Z każdej perspektywy ukazują się nowe wieże i trzeba obejść cały dom dookoła, żeby obejrzeć je wszystkie, bo każda dobudowana część ma co najmniej jeden oddzielny dach, a każdy dach jest uwieńczony wieżą z kopułą.

I zaraz potem autor przechodzi do sedna:

Ta okazała rezydencja była ponoć gotowa do zamieszkania dziesięć lat temu, lecz wciąż jeszcze poprawia się ją i rozbudowuje, albowiem właścicielka domu wierzy jakoby, że umrze, kiedy dom zostanie całkowicie ukończony. Wskutek tego przeświadczenia wzniesiono gąszcz kopuł, wież i wieżyczek, które zajmują teren godny zamku. Chociaż żadna część tej konstrukcji nie przekracza wysokości dwóch pięter, dom ten jest tak wielki, że mógłby pomieścić całą armię.

W dalszej części autor artykułu przedstawia historię, która przyłgnie do Sarah Winchester i przetrwa w niemal niezmienionym kształcie przeszło sto lat:

Gdy tylko powstają nowe pokoje – a wszystkie są wyposażane w najnowsze i najnowocześniejsze urządzenia – mebluje się je z największą elegancją i zamyka, by prawie w ogóle z nich nie korzystać. Pani Winchester mieszka w tej wielkiej rezydencji sama z siostrzenicą, a drzwi tego domu otwierają się tylko przed nielicznymi. Stukanie i pukanie ciesielskich młotków nigdy im nie przeszkadza w luksusowych apartamentach oddalonych od hałasów tak bardzo, jak gdyby budowano dom kogoś innego^[71].

Znajdujemy tutaj od razu całą mitologię, powstającą niemal *ex nihilo*: nieco anachroniczny, niewykorzystywany w pełni budynek; kobieta, dla której czas się zatrzymał, żyjąca wspomnieniami, niezdolna dołączyć do reszty ludzkości maszerującej naprzód; wewnątrz, które się nie kończy, zamienione w labirynt, gdzie znajome domowe elementy ułożono w dziwny, napawający lękiem sposób, tworząc niesamowity efekt.

Jeszcze jedna, już ostatnia rzecz, która zaprzętała zapewne umysły czytelników tamtego artykułu, mogła się przyczynić do powstania złośliwych plotek wokół Sarah Winchester. Dwa lata wcześniej, 5 maja 1893 roku, Stanami Zjednoczonymi wstrząsnęło największe od dziesięcioleci załamanie gospodarcze, doprowadzając do kryzysu, który został przyćmiony dopiero przez wielki kryzys z lat trzydziestych XX wieku. Do roku 1895 bezrobocie wzrosło z 4 do 14 procent, upadło ponad pięćset banków i tysiąc sześćset firm^[72]. Historyk Henry Adams w panice 1893 roku dostrzegał spisek Wall Street, „tych mrocznych, tajemniczych, przebiegłych, nikczemnych, pazernych i despotycznych mocy pragnących ciemnieć, grabić i niewolić lud”^[73]. H.P. Robinson, redaktor naczelny „Railway Age”, pisał w 1895 roku: „Spokojnie chyba rzecz można, że w żadnym cywilizowanym kraju w tym stuleciu, który nie byłby ogarnięty wojną lub otwartą rebelią, społeczeństwo nie było nigdy tak zdeorganizowane jak w Stanach Zjednoczonych w pierwszej połowie 1894 roku; nigdy ludzkiego życia nie ceniono tak nisko; nigdy ustanowione władze nie wydawały się tak niekompetentne w próbach wymuszenia respektowania prawa”^[74].

W kontekście niepokojów społecznych w mieście takim jak San Jose, które już wcześniej stało na krawędzi zapaści, znajdujemy Sarah Winchester – samotnicę wspierającą organizacje charytatywne, ale anonimowo, pozbawioną kółka towarzyskiego, które by jej broniło. Stanowiła łatwy cel, więc podejrzenia o obłąd, echo panny Havisham i patologiczna żaloba – wszystkie te rzeczy przywarły do Sarah Winchester, bo dla otaczających ją ludzi stanowiła jaskrawy symbol bogactwa kontrastującego z pogłębiającą się biedą. Należała do 1 procenta najbogatszych obywateli i miasto miało jej to za złe. Karą były plotki i kłamstwa.

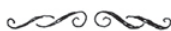
W innym czasie i miejscu, z innym właścicielem i budynkiem żadna z tych historii nie trafiłaby na tak podatny grunt. Dom Sarah Winchester jest unikatowy nie ze względu na architekturę czy motywy jego powstania, lecz dlatego, że łatwo budził różne resentymenty, które zbiegły się w szczególnym momencie historii.

Obróńców było niewielu. Dwa lata później w „San Jose Evening News” ukazał się artykuł zatytułowany *Tylko plotki. Ani ziarna prawdy w historii o pałacu Winchester*, w którym utrzymywano, że powstały mit jest „skutkiem prowincjonalnych pogłosek”. Cytowana w artykule osoba należąca do „znajomych” Sarah Winchester stwierdziła wprost, że „historia o tym, jakoby pani Winchester była przesadna i wierzyła, że umrze, gdy dom, a raczej wszystkie dobudówki, zostaną ukończone, jest absurdalna. Pani Winchester nie wierzy w przesadę, wręcz przeciwnie, jest kobietą nadzwyczaj rozsądną. Wzniosła wspaniały dom. Dokonała w pierwotnych planach wielu poprawek. Możliwe, że dom ten jest jej kaprysem, a jeśli tak, jest go w stanie zaspokoić, mając ku temu aż nadto środków”. Owa osoba, jeszcze nieusatysfakcjonowana, kontynuowała dość dobitnie:

Nieustannie zachęcamy osoby zamożne do osiedlania się w dolinie Santa Clara. Pani Winchester jest jednym z najbardziej pożądanym przybyszów, jakich mieliśmy. Jeśli ludzie, którzy tu przyjeżdżają ze swymi majątkami, są skłonni wydawać pieniądze, chyba niezbyt mądrze jest rozpowszechniać pogłoski, że są „dziwakami”, bo się nie „spoufalają” z sąsiadami. [...] Pani Winchester to wyrafinowana dama wielkiej kultury. [...] Jeśli chce zbudować zamek na terenie swej posiadłości niedaleko Campbell, może powinniśmy jej na to pozwolić, nie wiążąc jej motywów z głupimi zabobanami. Jeżeli zamożni ludzie, którzy się osiedlają w Santa Clara, mają być wyśmiewani, gdy wydają wielkie sumy, równie dobrze moglibyśmy się pozamykać w klatkach. [...] Za jakiś czas dama ta może nie pozwolić wbić gwoźdźcia z obawy, że ktoś zaraz pogna do gazety z jakąś wyssaną z palca bajką. W ten sposób wstrzymalibyśmy obieg dużych sum wśród budowniczych i meblarzy, a dlate-

go przecież zachęcamy osoby zamożne, aby się osiedlały w Santa Clara. Chcemy rozwoju przemysłu, modernizacji i upiększenia tej doliny^[75].

Artykuł ten, pełen obywatelskiego zaangażowania i napisany w formie apelu – miał zachęcać zamożnych przedsiębiorców, by się przenosili do doliny Santa Clara – był w istocie próbą sprostowania miejskich legend o stroniącej od ludzi pani Winchester. Jej dom stanowił zatem albo dzieło bogatej, nieznrównoważonej umysłowo wdowy, albo potencjalne miejsce pracy dla lokalnych rzemieślników i źródło dochodów. Historia domu Sarah Winchester, wzniesionego dzięki fortunie uzyskanej ze sprzedaży „broni, która zdobyła Zachód”, jest zawsze, jakkolwiek by patrzeć, historią z pieniędzmi w tle.



Po śmierci pani Winchester wyprzedawano jedna po drugiej należące do niej nieruchomości. Ze wszystkich składowych majątku, łącznie z budynkami i rozległymi parcelami w całej dolinie, sam dom w San Jose według jej prawnika Samuela Leiba był „wedle szacunków nic niewart”^[76]. Gargantuiczny, olbrzymi i piękny, jako wystawiona na sprzedaż nieruchomość nie miał większej wartości: zbyt dziwaczny, specyficzny, rozbuchany i niepraktyczny, by znalazł się na niego kupiec. Podczas aukcji nie zgłosił się żaden chętny, a jedynym zainteresowanym był niejaki John H. Brown, który nie miał wprawdzie pieniędzy na zakup, zaproponował jednak, że wynajmie dom z opcją kupna w przyszłości.

Brown przebył w swoim życiu długą drogę – zaczynał w wesołym miasteczku zwanym Crystal Beach na kanadyjskim brzegu jeziora Erie. Tam wynalazł jeden z pierwszych rollercoasterów: kolejka zwana Backety-Back poruszała się z prędkością jedynie 15 kilometrów na godzinę, ale i tak w czerwcu 1910 roku podczas przejażdżki zginęła kobieta, która jakimś cudem wypadła z wagonika. Brown przeniósł się z rodziną do Kalifornii, gdzie usłyszał o domu pani Winchester i pogłoskach dotyczących jego budowy. Jedną z atrakcji Crystal Beach był Tajemniczy Dom, ściągający, jak widział Brown, tłumy. Zdaniem historyczki Mary Jo Ignoffo, która spisała biografię Sarah Winchester, to właśnie Brown wskrzesił plotki na temat rezydencji, tworząc wokół niej swoistą mitologię, po czym zaczął organizować wycieczki. Gdy ewoluowało podejście społeczeństwa do ekspansji Ameryki na zachód i jej „boskiego przeznaczenia”, podobnie zmieniała się rola karabinu Winchester w narracjach przewodników. Podkreślali oni teraz, że z broni tej zginęły niezliczone rzesze Indian, które po śmierci nawiedzały wdowę czerpiącą korzyści ze sprzedaży narzędzia zbrodni. Tak jak w wypadku Myrtles, w opowieściach przewodników ważną rolę odgrywali mściwi rdzenni Amerykanie.

W pierwszych latach po otwarciu rezydencji dla publiczności jednym ze zwiedzających był Harry Houdini, znany z tego, że lubił demaskować oszustów podających się za media i dyskredytować zjawiska paranormalne. Gdy jednak trafił do domu pani Winchester, coś się zmieniło. Po tej wizycie nie mówił o szaleństwie przesądów ani o tym, że pani Winchester była obłąkana lub omamiona przez podejrzane indywidua. Wprawdzie powtórzył całą historię, w którą wówczas święcie wierzono, ale na koniec dodał: „Całe to miejsce jest pięknie wykończone, bo ta kobieta chciała, żeby robotnicy mieli mnóstwo czasu. Nie ma drugiego tak cudownego domu jak ten”^[77].

Odkąd atrakcja turystyczna, jaką stał się dom Sarah Winchester, zyskała aprobatę wielkiego demistyfikatora, jej popularność stale rosła, przy czym dawni pracownicy i przyjaciele pani Winchester wciąż próbowali korygować nieprawdziwe historie na jej temat. Na przy-

kład Roy, syn i partner w interesach Leiba, skomentował, że pani Winchester była „najtrzeźwiej myślącą i najrozsądniejszą kobietą, jaką znam, i miała lepsze rozeznanie w interesach i finansach niż większość mężczyzn”^[78]. Relacje licznych pracowników wdowy na niewiele się jednak zdały; zarówno wtedy, jak i teraz liczy się narracja, w której odbijają się szersze społeczne i kulturowe trendy, a ten frapujący architektonicznie budynek jest ich idealnym ucieleśnieniem.

Legenda Sarah Winchester karmi się kulturowymi lękami, do których nie zawsze chcemy się przyznać. Dotyczącymi kobiet, które mieszkają same, w oderwaniu od społeczeństwa. Dotyczącymi bogactwa i sposobu, w jaki krezusi żyją wśród nas. W końcu może najsilniejszymi ze wszystkich – lękami dotyczącymi „broni, która zdobyła Zachód”, i zbrodni, jakich dopuszczali się biali Amerykanie w imię szerzenia cywilizacji.

Możliwe, że owe lęki nie są ze sobą powiązane, ale skupiają się jak w soczewce w tej historii o bogatej, samotnej kobiecie nawiedzanej przez duchy Indian zastrzelonych z karabinów produkowanych przez jej teścia. Historia może nawet fascynująca, bo Sarah Winchester zostaje za te przewiny ukarana – doprowadzona do obłądu wyrzutami sumienia, niezdolna do interakcji z resztą społeczeństwa marnotrawi i przepuszcza pieniądze. Sama Winchester w niewielkim tylko stopniu czuła się winna w związku z rolą, jaką karabin powtarzalny odegrał w amerykańskiej historii, o czym świadczą zachowane dokumenty. Przenieśliśmy jednak na nią własny wstyd, jak gdyby można było zamknąć te odczucia w umyśle kogoś od dawna nieżyjącego i żyć dalej bez ciężaru winy, rozkoszując się kalifornijskim słońcem.

PROSTACKIE OBJAWIENIE

Georgetown, Nowy Jork, i Bull Valley, Illinois

Może i Sarah Winchester nie zaprojektowała swojej rezydencji na podstawie wskazówek z zaświatów, jeśli jednak istnieje obiekt, który bezspornie został zbudowany pod wpływem zmarłych, jest to dom Timothy’ego Browna w Georgetown w stanie Nowy Jork, nieco ponad 50 kilometrów na południowy zachód od Syracuse. Brown wyjaśniał później, że nie zaczął jeszcze budowy, gdy jego zmarła siostra Mary pewnego ranka podsunęła mu wizję. Przedstawiła w niej kilka rodzajów domów i poprosiła, żeby wybrał ten, który mu najbardziej odpowiada. Od tamtej chwili duchy kierowały nim podczas budowy. Jak podano później w czasopiśmie spirytystycznym „Banner of Light”, Brown „przekonał się, że jeśli przykładał dłuto w złym miejscu, jego ręka nie miała siły, by podnieść pobijak lub wykonać zamach, gdy natomiast dłuto zostało usytuowane prawidłowo, uderzenia zadawane były swobodnie”^[79].

Dom, który Brown wznosił z pomocą duchów, wciąż stoi – to nadzwyczaj osobliwa i piękna konstrukcja z lat sześćdziesiątych XIX wieku. Byłby to niczym się niewyróżniający kwadratowy budynek, gdyby nie wiszące pod okapami ozdoby z ciętego drewna, jakby z topiącego się dachu skapywała dekoracyjna, drewniana koronka. Ten drewniany lambrekin sprawia, że budynek imponuje bogactwem detali i głębią charakteru – aż się prosi, by mu się lepiej przyjrzeć. Zamiast zgodnie ze zwyczajem przykryć konstrukcję spadzistym dachem, który zapobiega gromadzeniu się śniegu, Brown postawił dach z unikatowym lejem prowadzącym do głównej rynny. (Mogło to doprowadzić do nieszczelności, która wywołała spore zniszczenia w środku, gdy w połowie pierwszej dekady XXI wieku dom stał pusty).

Duchy są niepożądanymi gośćmi w całym tego słowa znaczeniu: jak szkodniki albo korozja drewna, nie są mile widziane. Gdy właściciele odkrywają duchy na terenie swojej posesji, robią wszystko, co w ich mocy, żeby je usunąć egzorcyzmami bądź innymi metodami. Tak się dzieje zazwyczaj. Ale jest wiele historii Amerykanów, którzy postępują dokładnie odwrotnie: ludzie próbujących zaludnić swoje domy istotami nadprzyrodzonymi, z a p r a s z a ć duchy i sprawiać, by czuły się jak u siebie. Timothy Brown uważał się za część szerszego ruchu – spirytyzmu – i jego dom stanowi pomnik owego wielkiego amerykańskiego pragnienia, by obcować ze zmarłymi, które na prawie sto lat opanowało ludzkie umysły w tym kraju (i nie tylko).

W Ameryce fascynacja duchami na szerszą skalę zaczęła się w 1848 roku w niewielkim domu na północy stanu Nowy Jork, gdzie dwie siostry Fox, piętnastoletnia Margaret i dwunastoletnia Kate, wykawiły, że kontaktują się w piwnicy z duchem zmarłego mężczyzny^[80]. Dom miał opinię nawiedzonego, zanim jeszcze Foxowie się do niego wprowadzili. Niemal natychmiast po przeprowadzce zaczęły ich nękać donośne, niewyjaśnione odgłosy, drzwi same się zamykały, a przedmioty poruszały w niewytłumaczalny sposób. W tych zagadkowych okolicznościach siostry odkryły, że są w stanie porozumiewać się z zamieszkałym

w domu duchem, stukając w ścianę i podłogę. Duch z kolei odpowiadał na pytania puknięcia mi i okazało się, że zna wiek dziewcząt, a także inne istotne informacje.

Swoje doświadczenie z nim opisał jeden z sąsiadów:

Następnie zapytałem, czy pan... [wymienił nazwisko poprzedniego mieszkańca tego domu] wyraził mu [duchowi] krzywdę, a jeśli tak, niech odpowie stukaniem, i wtedy zastukał nadzwyczaj głośno trzy razy, a jednocześnie stelaż łóżka zadrżał bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Następnie zapytałem, czy został zamordowany dla pieniędzy, i znów dało się słyszeć stukanie. Poprosiłem wtedy, żeby zastukał, gdy wymienię sumę, dla której został uśmiercony. Zapytałem, czy chodziło o sto, dwieście, trzysta lub czterysta dolarów, a gdy doszedłem do pięciuset, rozległo się stukanie. Wszyscy obecni potwierdzili, że słyszeli wyraźnie. Zadałem wtedy pytanie, czy poszło o pięćset dolarów, i dało się słyszeć stukanie. [...] Poprosiłem jeszcze, żeby wystukał, ile mam lat, w jakim jestem wieku. Zastukał trzydzieści razy. Tyle mam lat, a przecież nikt stąd nie zna chyba mojego wieku oprócz mnie samego i mojej rodziny^[81].

Wkrótce potem panny Fox ruszyły w objazd po okolicy i demonstrowały swoją zdolność komunikowania się ze zmarłymi. Natychmiast też znaleźli się naśladowcy. W ciągu roku w samym Nowym Jorku pojawiło się sto osób podających się za media, a w Filadelfii zbierało się na seanse przeszło pięćdziesiąt prywatnych grup amatorów spirytyzmu. Popularnością cieszyły się nie tylko kontakty z ukochanymi, lecz także z postaciami historycznymi: Thomasem Jeffersonem i Benjaminem Franklinem, Francisem Baconem, mistykiem doby oświecenia Emanuelem Swedenborgiem, Danielem Websterem i Szekspirem. Zmarli przekazywali komunikaty stukaniem w stół, przenoszeniem przedmiotów i pismem automatycznym, co polegało na tym, że medium mazało po kartce, aż z bazgrołów zaczynały się wyłaniać słowa. Sposobów wywoływania duchów nie brakowało i spirytyzm przeżywał prawdziwy rozkwit. Według niektórych szacunków pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku w Stanach Zjednoczonych było aż jedenaście milionów spirytystów.

Atrakcyjność spirytyzmu przynajmniej częściowo brała się z jego aspektu towarzyskiego – był to sposób na zebranie społeczności, która wspólnie przeżywała żalobę lub zaspokajała ciekawość w kameralnych i emocjonalnie angażujących okolicznościach. W Georgetown Timothy Brown i jego żona organizowali doroczne spotkania spirytystów w domu, który zaczęto nazywać Brown's Temple – świątynią Browna – i jak pisano na zakończenie wspomnianego artykułu w „Banner of Light”, „jego [pana Browna] cudowna wytrwałość rozwiewa wątpliwości sceptycznych sąsiadów. Konstrukcja ta stanowi imponujący symbol siły woli skupionej na jednym obiekcie oraz przewodniej inspiracji duchowych istot z zaświatów, w którą właściciel mocno wierzy”. Brown's Temple jest bez wątpienia świadectwem potencjału stolarza samouka, osiągnięciem artystycznym z prawdziwego zdarzenia. Jest też, na co wskazują ówczesne relacje, świadectwem sposobu, w jaki spirytyści wkupiali się w łaski lokalnych społeczności, co może dodatkowo tłumaczyć tak wielką popularność tego ruchu.

Co nie oznacza, że nowa religia nie budziła kontrowersji. Słowo „spirytyzm” pojawiło się po raz pierwszy w druku w 1853 roku w książce sceptyka Johna Rossa Dix'a, który nazywał ten ruch „jeszcze jednym szarlatańskim paroksyzmem”^[82] wstrząsającym Ameryką. Mimo zagozdzonych krytyków, w kolejnych dziesięcioleciach ruch tylko zyskiwał zwolenników. Gdy w 1888 roku Margaret Fox wyznała publicznie, że wraz z siostrą sfingowały pierwotny incydent ze stukającym duchem, wielu spirytystów ostro ją potępiło i rok później była zmuszona

odwołać swoje wyznanie.

Gwałtowny rozkwit spirytyzmu i jego olbrzymia popularność nigdy nie były skutkiem jednego wydarzenia, wynikały raczej ze skumulowania się różnych obsesji i kulturowych potrzeb w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Ruch ten poprzedzała inna amerykańska filozofia – transcendentalizm, który rozpalił zbiorową wyobraźnię w 1836 roku, po publikacji eseju Ralpha Waldo Emersona zatytułowanego *Natura*. W swoim dziele Emerson podkreślał wagę osobistego objawienia, wolnego od zorganizowanej religii, w którym bezpośredni kontakt z boskością można osiągnąć poprzez samotne kontemplowanie przyrody. Jego nauki stały się później inspiracją dla kilku wybitnych dzieł literatury amerykańskiej, między innymi dla *Waldena* Henry’ego Davida Thoreau i *Żdźbeł trawy* Walta Whitmana.

Transcendentaliści często traktowali ruch spirytystyczny ze sceptycyzmem graniczącym z otwartą niechęcią. Emerson nazwał go „prostackim objawieniem” [83] i stwierdził, że adepci spirytyzmu „pomylili wzdęcia z natchnieniem” [84]. Jego pogardliwy stosunek do tego zjawiska podzielał między innymi Herman Melville, który sparodiował spirytyzm i sesję „pukania w stół” w opowiadaniu *Stolik z drewna jabłoni* – o rodzinie żyjącej w przekonaniu, że stół jest opętany przez złe moce, podczas gdy w rzeczywistości załęgły się w nim drewnojady. „Nie znoszę tej płytkiej amerykańskości – ogłosił Emerson podczas wykładu w 1859 roku – która chciałaby się bogacić na kredyt, czerpać wiedzę ze stukoczących stolików o północy, zgłębiać mechanizmy umysłu za pomocą frenologii lub zdobywać umiejętności bez nauki” [85].

Czy im się to podobało, czy nie, to właśnie Emerson i inni transcendentaliści położyli podwaliny pod osobiste objawienia, jakie obiecywał spirytyzm. Sam Emerson napisał zresztą w swoim eseju *Nominalista i realista*: „Jedna z tajemnic świata jest taka mianowicie, że żadna z rzeczy nie umiera, one trwają nadal, ale usuwają się w cień, a potem znowu wracają” [86], jak gdyby zgadzał się z tymi wszystkimi, którzy w czasie seansów sięgali do zaświatów. Według jednego z podstawowych założeń transcendentalizmu wystarczy otworzyć się na percepcję pozazmysłową, by uzyskać dostęp do otaczającej nas boskości. Jeśli Emerson mógł znaleźć Boga w lesie, czemu medium nie miałyby wykryć zmarłych bliskich w zaciemnionym pokoju?

Spirytyzm zakorzenił się mocno w amerykańskiej świadomości w tym samym czasie, kiedy ulegało zmianie nastawienie Amerykanów do śmierci [87]. W pierwszej połowie XIX stulecia trwała batalia między religią i nauką o to, jak postępować z ciałami zmarłych i po jakim czasie dopuszczalna jest sekcja zwłok. Reformatorzy podkreślali wagę higienicznych procedur, toteż rodziny, z których wiele było przyzwyczajonych do kilkudniowego czuwania przy zmarłym, teraz musiały bardzo szybko oddawać zwłoki do pochówku. Pozbawione nagle pożegnального rytuału za sprawą medycznych i sanitarnych przepisów, zwracały się ku spirytyzmem, by kontynuować rozmowę z bliskimi, szukać w owych seansach domknięcia, które im odebrano.

Spirytyści nie wierzą w istnienie piekła ani złych mocy. Świat duchów według nich tworzy raczej continuum ze światem żywych, a po śmierci zmarli odpoczywają w Krainie Wiecznego Lata. Spirytyzm dawał nadzieję i pocieszenie nie tylko dlatego, że pozwalał żywym kontaktować się ze zmarłymi, za którymi tęsknili, ale też z tego powodu, że robił to bez pośrednictwa zorganizowanej religii. W jego świecie nie ma mściwego Boga potępiającego niemowlęta, jeśli umarli przed chrztem, nie ma predestynacji skazującej człowieka na piekło bez względu na jego starania. Surowy kalwinizm purytanów ustępował miejsca życiu pozagrobowemu bez bólu i sądu, dostępnemu dla każdego. Spirytyści, chociaż oficjalnie zachowywali wiarę chrześcijańską, zaczęli umniejszać rolę Jezusa, bo bez surowego Boga i piekła nie było już teolo-

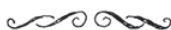
gicznej potrzeby, żeby za grzechy ludzi umierał Zbawiciel. Śmierć stawiała się po prostu częścią naturalnego procesu, któremu przygląda się łaskawe bóstwo.

Ta nowa „samodzielna” religia miała dodatkową zaletę: jako że świat duchów był dostępny dla każdego, zbędni stawali się kapłani tradycyjnie sprawujący kontrolę nad wiernymi. W krótkim czasie spirytyzm zdominowały więc kobiety: po pierwsze, uznawano powszechnie, że mają lepsze predyspozycje do nawiązywania kontaktu z duchami, a po drugie, wiele osób dostrzegało w spirytyzmie antidotum na patriarchalny mizoginizm tradycyjnej religii. W trzecim tomie *History of Woman Suffrage* (Historia ruchu sufrażystek) pod redakcją Elizabeth Cady Stanton, Susan B. Anthony i Matildy Joslyn Gage wskazano spirytystów jako „jedyne ugrupowanie religijne na świecie [...], które uznało równość mężczyzn i kobiet” [88].

Jednym z wielu powodów, dla których transcendentaliści pokroju Emersona podchodzili do spirytyzmu sceptycznie, mógł być właśnie fakt, że filozofię zredagowaną przez mężczyzn przekształcono w ruch kobiecy. Spirytyzm zwykł doceniać i respektować zachowania w innych okolicznościach uznawane za dolegliwości psychiczne, między innymi konwulsje, glosolalia, ostentacyjne manifestowanie seksualności i inne wykroczenia przeciwko wiktoriańskiej moralności. Stany diagnozowane wtedy jako nadwrażliwość i histeria akurat ułatwiały komunikację z zaświatami. W epoce, kiedy zdominowane przez mężczyzn instytucje medyczne i religijne pracowały bez wytchnienia, żeby utrzymywać w karchach, karać, diagnozować i leczyć wszystkie kobiety, które nie pasowały do narzuconego szablonu, spirytyści, jak podkreślają Stanton, Anthony i Gage, „zawsze zakładali, że kobieta może być pośrednikiem w komunikacji między niebem i ziemią [i] że duchy wszechświata mogą oddychać jej ustami” [89]. Spirytyzm proponował radykalny zwrot, obdarzając szacunkiem i umacniając tych, którzy nie chcieli albo nie mogli podporządkować się obowiązującej linii.

W pierwszych zebraniach sufrażystek brało udział mnóstwo mediów, tak że w niektórych zgromadzeniach trudno było wskazać sufrażystki, które nie byłyby zarazem spirytystkami. Wielu kobietom dodawało to pewności siebie podczas wystąpień publicznych. Gdy już pozwoliły innym (zmarłym) przez siebie przemawiać, Amerykanki coraz chętniej mówiły również w swoim imieniu. Spirytyzm był tylko jednym z wielu czynników i ruchów społecznych, które dodały impetu walce kobiet o równouprawnienie, niemniej odegrał ważną i kluczową rolę.

Gdy w coraz większym stopniu zaczął się kojarzyć z odrzuceniem patriarchalnej religii i tradycyjnego małżeństwa, prawami kobiet i innymi wywrotowymi ideami, sprzeciw wobec niego przybrał na sile. Dzisiejsza opinia o szczególnej absurdalności spirytyzmu to w dużej mierze pokłosie mizoginii, z jaką atakowano go w drugiej połowie XIX wieku. Później został wyrzucony na śmietnik karykaturalnych i niedorzecznych mód tamtego stulecia, obok frenologii, zwierzęcego magnetyzmu i ruchu abstynenckiego. Wywołany przezeń ferment polityczny doprowadził do trwałej reformy: dziewiętnastej poprawki do konstytucji, przyjętej w 1920 roku. Kiedy jednak kobiety zyskały prawo głosu, znaczenie spirytyzmu w ruchu feministycznym zaczęło być bagatelizowane i popadło w zapomnienie. Jego wpływy malały, gdy XIX wiek dobiegał końca, a po krótkim renesansie, jaki nastąpił po zakończeniu pierwszej wojny światowej, został wchłonięty przez szerszą, bardziej rozproszoną dziedzinę parapsychologii. Jako ruch z wyraźnym przywództwem i jasno wyrażanymi poglądami właściwie przestał istnieć pod koniec lat dwudziestych XX wieku.



Sam ruch może i przeminał, lecz zamiłowanie spirytystów do korzystania z najnowszych zdobyczy techniki w kontaktach ze zmarłymi ponownie doszło do głosu wśród współczesnych entuzjastów zjawisk paranormalnych i łowców duchów. Polowanie na duchy stało się domeną posiadaczy rozmaitych gadżetów. Amazon oferuje mnóstwo urządzeń dla badaczy zjawisk paranormalnych: mierniki pola elektromagnetycznego, przenośne czujniki ruchu, odbiorniki zwane „ghost boxami”, które skanują fale radiowe w poszukiwaniu głosów z zaświatów, a także wszelkiego rodzaju cyfrowe urządzenia sprzedawane jako rejestratory EVP, które według producentów zapewniają nagrania paranormalne najwyższej jakości („Przygotuj się na rozmowę z duchami!” – reklamuje się jedno z takich urządzeń, sprzedawane za prawie 120 dolarów).

Rozkwitowi branży polowania na duchy sprzyjał zalew programów typu reality show powstałych w minionym dziesięcioleciu, począwszy od *Łowców duchów* emitowanych w 2004 roku na kanale Syfy, gdzie ekipa badaczy jeździ po rzekomo nawiedzonych miejscach i za pomocą gadżetów szuka niepodważalnych dowodów na istnienie zaświatów. Trzeba do tego dodać popularność *ghost tours* w historycznych miastach w całym kraju i w muzeach takich jak Merchant's House, które coraz częściej próbują przywabić zwiedzających historiami niesamowitymi. Można powiedzieć, że spirytyzm, praktykowany obecnie podczas Halloween i w programach typu reality show, powstał z martwych.



Harry Houdini podczas swojej przemowy na temat tajemnic i wspaniałości domu Sarah Winchester wspominał o osobiwym pokoju bez kątów wybudowanym przez człowieka, którego poznał ponoć na Wschodzie: „Był uczniem spirytystów. Wybudował idealnie okrągły pokój jak w wieży, żeby diabeł, gdy przyjdzie po jego duszę, nie mógł znaleźć kąta, w którym mógłby ją złapać”. Następnie stwierdził, że pokój pani Winchester, gdzie rzekomo odbywały się seanse spirytystyczne, zbudowano w podobny sposób: „Jest tam pokój spotkań z duchami, bez kątów, żeby przybywające i oddalające się duchy nie zrobiły sobie krzywdy. Pani Winchester miała olbrzymią garderobę z szatami w różnych kolorach i dla każdego ducha wkładała inną”^[90].

Houdini mijał się z prawdą: w Winchester House nie ma okrągłych pokoi, a ten, w którym jakoby odbywały się seanse spirytystyczne, z całą pewnością jest prostokątny. Lecz to nie Houdini pierwszy wymyślił, że spirytyści budują pokoje i domy bez kątów, a opinia ta przylgnęła szczególnie do jednego domu: George’a Stickneya w Bull Valley w stanie Illinois.

Bull Valley, miejscowość położona pod Chicago i niezbyt zasługująca na tak dumną nazwę, była odludnym pustkowiem, gdy George Stickney przybył tam w 1835 roku. Pomagał w budowie pobliskiego miasteczka Nunda, gdzie następnie założył pierwszą szkołę i pracował nie tylko jako jej dyrektor, ale i nadzorca budowy dróg. W 1839 roku poznał dziesięć lat młodszą Sylvię Beckley, ożenił się i przywiózł ją na te jałowe pustkowia stanu Illinois, gdzie się osiedlili.

W 1849 roku rozpoczęli budowę domu niedaleko Nundy, na działce, która później została przyłączona do Bull Valley, i ukończyli ją w 1865 roku. Zaokrąglone rogi domu – które urozmaicają jego całkiem poza tym przeciętny włoski styl – uważa się często za dowód na spirytyzm Stickneyów, chociaż z pewnością żadne skodyfikowane przepisy budowlane nie wspominały o tym, by zaokrąglone rogi lub inne rozwiązania architektoniczne sprzyjały wizytom duchów. Nawet w Brown’s Temple nie ma okrągłych pokoi ani pomieszczeń bez kątów.

Tradycja okrągłych budynków wznoszonych po to, by uniemożliwić diabłu schwytanie ofiary w kłacie, jest dłuższa, a w każdym razie starsza od spirytyzmu i George'a Stickneya; niekiedy w ten sposób tłumaczono osobliwy kształt stodoł budowanych przez kwakrów i szejkerów. Choć nie jest jasne, skąd mógł się wziąć ten przesąd, za budową okrągłych stodoł kryje się dużo bardziej prozaiczny powód. *Encyclopaedia of Cottage, Farm, and Villa Architecture and Furniture* (Encyklopedia architektury i meblarstwa wsi i farm) Szkota J.C. Loudona, wydana po raz pierwszy w 1833 roku, zauważa, że ciało krowy i konia jest w przybliżeniu 15 centymetrów węższe z przodu niż z tyłu, co oznacza, że najbardziej ekonomiczny dla przegrody jest kształt klinowaty. Okrągła stodoła z przegrodami w tym kształcie może pomieścić tę samą liczbę zwierząt co stodoła prostokątna, zajmując trzy czwarte jej powierzchni i dając farmerowi dodatkową korzyść, jaką jest karmienie wszystkich zwierząt z centralnego punktu [91].

Istnieje chiński przesąd, jakoby złe moce – *kuei* – potrafiły się przemieszczać tylko po linii prostej, co ponoć tłumaczy zakrzywione okapy chińskich dachów. W którymś momencie mógł on przeniknąć do świadomości Amerykanów, prowadząc do „nadnaturalnych” skojarzeń z okrągłymi stodołami i domami. Mamy tu więc sytuację, w której praktyczny, acz nietypowy kształt zaczyna być kojarzony z cudzoziemskim podaniem ludowym o siłach nieczystrych, następnie legenda ta staje się częścią narracji nowego, rozwijającego się ruchu spirytystów, a ten z kolei zostaje powiązany ze zwyczajnym domem na prowincji w Illinois.

Legenda się przyjęła, zaczęły krążyć różne historie i z biegiem lat reputacja domu uczyniła z niego cel wandal i znudzonych nastolatków, toteż obecny właściciel budynku, samorząd Bull Valley, stara się rozwiewać mity związane z domem Stickneyów. W 1995 roku Phyllis Keinz, urzędniczka z Bull Valley, która pracowała w Stickney House, stwierdziła w wywiadzie dla „Chicago Tribune”, że w roli duchów występują tam co najwyżej ptaki dostające się czasem na poddasze. W tym samym artykule miejscowa polityczka Virginia Peschke z Komitetu Restauracji Stickney House przekonywała: „Nigdy nie było w tych historiach choćby ziarna prawdy i sądzimy, że zostały po prostu zmyślane przez miejscową młodzież. Mamy wrażenie, że te budwy przyczyniły się w dużej mierze do aktów wandalizmu, których ten budynek padł ofiarą” [92]. Peschke dodała, że rozmawiała z kilkoma poprzednimi mieszkańcami domu i nikt się nie skarżył na duchy. „Dom stoi na odludziu – wyjaśniła – i mieszkańcom zawsze dużo większe kłopoty sprawiali wandyale niż duchy”. Jej słowa potwierdziła jedna z byłych mieszanek Stickney House: „To po prostu coś, co młodzież lubi opowiadać o tym miejscu, żeby napędzić sobie stracha”.

Dom przechodził z rąk do rąk, aż w końcu został przekazany samorządowi Bull Valley. Teraz wznosi się samotnie na skraju miasta – przysadzisty, piętrowy budynek mieszczący komisariat policji i biuro sekretarza rady miejskiej. Stickney House, podobnie jak dom Sarah Winchester, ma zapewne niewiele wspólnego ze spirytyzmem, lecz fakt, że przypisujemy tego rodzaju konotacje nietypowym budynkom, świadczy o tym, w jak dziwny sposób ów ruch pobudza naszą wyobraźnię. Im bardziej niezwykły wydaje się jakiś dom, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie budził niepokój wśród sąsiadów, i tym bardziej potrzebujemy historii, która by wyjaśniała jego konstrukcję. To, że kilku najdziwniejszym i najbardziej enigmatycznym amerykańskim budynkom błędnie przypisuje się powiązania ze spirytyzmem, wskazuje, jak mało wiemy o tym ruchu, poza hollywoodzkimi obrazami mediów wpadających w trans i seansów z użyciem okrągłych stolików.

Dom Stickneyów nie może się równać z Domem o Siedmiu Szczytach lub rezydencją pani Winchester, jeśli chodzi o rzekome związki z duchami, lecz wśród miejscowej ludności od

dawna panuje opinia, że jest nawiedzony – przypuszczalnie zbudowany w taki sposób, by przywabić dobre duchy, w którymś momencie ściągnął też złe moce. Historie o jego dziwnej energii krążą od lat siedemdziesiątych minionego stulecia. W poście z 2011 roku na stronie internetowej www.trueghosttales.com niejaka Carri Williams opisała swoje doświadczenie związane ze Stickney House. Jej brat zginął w 1984 roku na pobliskiej autostradzie. Kilka lat później, gdy w mroźny styczniowy ranek jechała do szkoły, dostrzegła wysokiego, zakapturzonego mężczyznę ubranego na czarno, jak „sunął po śniegu w stronę kępy sosen. Dookoła nie było żadnych zabudowań. [...] Nie mogłam pojąć, co on tam robi w taki ziąb. Nie przejęłam się tym specjalnie, aż zdałam sobie sprawę, że ten mężczyzna zmierza w stronę Bull Valley i idzie w kierunku miejsca, gdzie niedaleko domu Stickneyów zginął w wypadku samochodowym mój brat”^[93]. Jak twierdzi Williams, uświadomiła sobie później, że to nie był człowiek, tylko coś w rodzaju ducha, w dodatku „złego”.

Cokolwiek można pomyśleć o tej historii, trudno ją powiązać z faktyczną przeszłością domu Stickneyów: w jego murach nie popełniono żadnego morderstwa, nie ma też śladu innych potwornych zdarzeń, które mogłyby spowodować przybycie złych mocy. Obecność złośliwego ducha dałoby się wytłumaczyć tym, że tylko troje spośród dziesięciorga dzieci Stickneyów nie zmarło w dzieciństwie, ale też śmiertelność wśród dzieci w XIX wieku wszędzie była wysoka. To po prostu jeszcze jedna z wielu historii sugerujących z grubsza, że parając się spirytyzmem, Stickneyowie ściągnęli w ten zakątek stanu Illinois zjawy, które od tamtej pory nie odeszły.

Tymczasem ubywa historii o duchach związanych z Brown’s Temple. Gdy w 2009 roku dom został wystawiony na sprzedaż, Madis Senner, doradca finansowy, który przedzierzgnął się w uzdrowiciela duchowego, próbował kupić go w nadziei na przywrócenie mu dawnej świetności. W filmiku na YouTubie opowiadał o latających kulach – tajemniczych kręgach światła, które wielu ludzi dostrzega na fotografiach domu Browna, czasem również na filmach – i stwierdził, że to „miejsce święte od tysięcy lat”. Nie dopatrując się w nim budzącego lęk nawiedzonego domu, Senner sugerował, że należy „zapomnieć o strachu, a wtedy można się tam zetknąć z boskością”^[94].

Ściany Brown’s Temple noszą piętno spirytyzmu, lecz jeśli faktycznie coś tam straszy, to nie duchy ani złe moce, lecz wypalona idea – pozostał budynek bez ożywczej siły, która zainspirowała jego powstanie.

Spirytyzm, tak jak transcendentalizm, na dobre stał się częścią amerykańskiej świadomości; miał wpływ na wiele zjawisk, które uznajemy dziś za kulturowy kanon, o czym, być może, chcielibyśmy zapomnieć. W duchy wierzyli niektórzy giganci amerykańskiej literatury, łącznie z Waltem Whitmanem i Markiem Twainem, fascynacja życiem pozagrobowym była siłą napędową filozofii i nauk Williama Jamesa, ojca amerykańskiej psychologii. Niemniej w ostatecznym rozrachunku spirytyzm nie stanowił dla tych wielkich ludzi instytucjonalnej religii ani nie był przez nich współtworzony; był jedynie niesystematycznym, dość siermiężnym zbiorem poglądów przyjętych i rozpowszechnianych głównie przez kobiety, toteż amerykańska historia uznała go za ruch ekscentryczny i naiwny, zamiast zaakceptować jego miejsce w narodowej psychice. Jako prąd polityczny i społeczny sam stał się duchem, prekursorem feministycznego wyzwolenia i wiarą bez dogmatu, która wciąż nawiedza Amerykę.

Można rzec, że spirytyzm stracił na znaczeniu pod koniec lat dwudziestych minionego stulecia, choć precyzyjniej byłoby powiedzieć, że po prostu dołączył do głównego nurtu. Odsetek Amerykanów, którzy określają siebie jako osoby duchowe, ale nie religijne, w ostatnich

latach powoli rośnie; ludzie odwracają się od zorganizowanych Kościołów i poszukują własnych ścieżek duchowych. Tymczasem w statystykach nasza wiara w duchy pozostaje na wysokim poziomie: według jednego z badań 73 procent Amerykanów wierzy w życie po śmierci, a 20 procent w możliwość porozumiewania się z duchami^[95]. I choć ci ludzie nie muszą nazywać siebie spirytystami ani spędzać piątkowych wieczorów, trzymając się za ręce przy stole, jest jasne, że przyjęli podobny system wierzeń, skoncentrowany na osobistym objawieniu bez pośrednictwa dogmatu czy doktryny oraz przekonaniu, że po śmierci dusza człowieka pozostaje w jakiś sposób dostępna dla żywych. Wiara w sferę duchową jest dziś odpolityczniona, oderwana od radykalnych celów społecznych, z jakimi spirytyzm kiedyś ściśle się wiązał, niemniej wciąż pozostaje żywa. Możemy uznać spirytyzm za nienaukową osobliwość, za myślenie życzeniowe, za hochsztaplerstwo lub określić go jeszcze inaczej, był jednak – i nadal jest – czymś dużo więcej niż zjawiskiem marginalnym.

RODZINA, KTÓRA NIE CHCIAŁA
JUŻ DŁUŻEJ ŻYĆ

Saint Louis, Missouri

Noc jest – całkiem dosłownie – ciemna i burzliwa. Nad Saint Louis rozpełtała się letnia burza. Szaroczarne chmury sprawiają, że powietrze staje się żółtawe i naelektryzowane, deszcz zacina falami. Po sprincie z parkingu do frontowych drzwi Lemp Mansion – choć to nie więcej niż 15 metrów – jestem przemoczony do suchej nitki. Tuż po błyskawicy rozlega się grzmot, pioruny uderzają bardzo blisko. W barze witrażowe portrety Williama Lempa juniora i jego pierwszej żony Lillian – Lawendowej Damy – ożywają w świetle błyskawic z niepokojącą częstotliwością, a towarzyszące błyskawicom grzmoty trzaskają chwilę potem. Idealna noc na poszukiwanie duchów: w naelektryzowanym powietrzu czuć napięcie, wszyscy są niepokojni. William Lemp na swoim portrecie wygląda na przedwcześnie postarzałego; witrażysta wycieniował twarz, by uzyskać trójwymiarowy efekt, w rezultacie jednak William sprawia wrażenie człowieka chorego, z ciemnymi obwódkami wokół oczu i głębokimi bruzdami na policzkach.

Jak gdyby wiedział, że niedługo umrze.

Najwyraźniej w przeciwieństwie do kierownictwa Domu o Siedmiu Szczytach właściciele Lemp Mansion chętnie wykorzystują reputację tego budynku, żeby na niej zarobić. Regularnie zjeżdżają się tu łowcy duchów wyposażeni w mierniki pola elektromagnetycznego i ghost boxy, by zarejestrować odgłosy i kule światła. Jestem tu, żeby dołączyć do jednej z miejscowych grup badaczy zjawisk paranormalnych. Zamierzam przenocować na miejscu, bo Lemp Mansion funkcjonuje również jako pensjonat – choć do swojego pokoju będę mógł wrócić najwcześniej o dwudziestej trzeciej. Mój pokój, apartament Elsy Lemp, jest na trasie obchodu – to najbardziej nawiedzone pomieszczenie w najbardziej nawiedzonym domu USA.

Historię rodziny Lempów można uznać za klasyczną wersję opowieści „od pucybuta do milionera”^[96]. Johann Adam Lemp wyemigrował do Ameryki z Niemiec w 1838 roku i w krótkim czasie rozkręcił intratny interes, sprzedając piwo. W tym czasie w Ameryce dostępne były tylko mocne, ciemne piwa angielskie. Uważa się, że to właśnie Lemp – równolegle z Johnem Wagnerem w Filadelfii – wprowadził lżejsze, jasne piwa typu lager, które od tamtej pory stały się w Stanach Zjednoczonych wszechobecne. Piwo Lempa szybko zdobyło popularność, zwłaszcza w społeczności niemieckich imigrantów w Saint Louis, i w 1850 roku firma produkowała już cztery tysiące beczek piwa rocznie. Przed wynalezieniem chłodzenia elektrycznego Lemp odkrył, że naturalne jaskinie pod Saint Louis zapewniają przez cały rok stabilne warunki chłodnicze, co pozwoliło mu zwiększyć produkcję bez obaw, że towar się zepsuje. Podobny sukces odnieśli jego odwieczni konkurenci, Eberhard Anheuser i Adolphus Busch, któ-

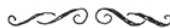
rych piwo Budweiser miało pozostawać w cieniu piwa Falstaff Lempa aż do początku XX wieku. Johann zmarł w 1862 roku, lecz firma działała nadal pod nadzorem jego syna Williama, który rozwijał browarniczą markę ojca, i gdy nadchodziło nowe stulecie, wszystko wskazywało na to, że będzie trwała wiecznie.

Do pierwszego samobójstwa w Lemp Mansion doszło w 1904 roku. Trzy lata wcześniej dwudziestoosmioletni syn Williama, Frederick, którego przygotowywano do przejęcia rodzinnego interesu, zmarł nagle na serce i William pogrążył się w rozpacz. Gdy kilka lat później, 1 stycznia 1904 roku, umarł jego najbliższy przyjaciel Frederick Pabst (z Pabst Brewing Company, znanej z piwa Blue Ribbon), miarka się przebrała. Niespełna miesiąc po tym zdarzeniu William zastrzelił się w domu – zajmowanym przez rodzinę Lempów od 1876 roku. Jego następca, William junior (Billy), nie miał głowy do interesów – trwonił pieniądze i firma zaczęła podupadać. Rozpadło się także małżeństwo Billy'ego z Lillian, a głośny rozwód tej pary w 1906 roku trafił na pierwsze strony gazet^[97]. Ale naprawdę obezwładniający cios spadł na imperium browarnicze Lempów w roku 1919, gdy wprowadzono prohibicję. Billy bez uprzedzenia zamknął interes i w ciągu dwóch następnych lat zarówno on, jak i jego siostra Elsa targnęły się na swoje życie. Rodzina wycofała się z życia publicznego i z branży browarniczej i została niemal zapomniana, aż kolejne z ośmiorga dzieci Williama seniora, Charles, poszło w ślady ojca, brata i siostry, 10 maja 1949 roku odbierając sobie życie kulą z rewolweru. (Tradycja mówi, że Charles wcześniej zastrzelił swojego psa, chociaż w spisanim po incydencie raporcie policyjnym nie ma o tym mowy)^[98].

Charles Lemp jako jedyny zostawił list, w którym napisał po prostu: „W wypadku, gdy zostanę znaleziony martwy, proszę nie winić nikogo prócz mnie”. Ludzie postanowili jednak doszukiwać się kłątwy ciążyącej na rodzinie Lempów, której członkowie byli bezradni wobec losu czekającego po kolei każdego z nich. W grze planszowej *Nawiedzony dom Lempów* gracze poruszają się po ich domu, zbierając różne karty; ten, komu trafią się karty „rewolwer” i „kula”, a potem wyląduje na polu „samobójstwo”, wypada z gry – mocno niesmaczna aluzja do potwornej serii tragedii, jakie dotknęły tę rodzinę.

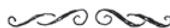
W przeciwieństwie do domu pani Winchester z jego bezkształtnym, rozbudowanym labiryntem pomieszczeń, domu George'a Stickneya o zaokrąglonych rogach lub Domu o Siedmiu Szczytach z ukrytymi schodami, w rezydencji Lempów od strony architektonicznej nie ma nic szczególnie oryginalnego. Budynek jest duży, to na pewno, okazały, lecz zewnętrzna konstrukcja jest dosyć prosta, a rozkład pomieszczeń całkiem praktyczny. Dobudówki z czasem go powiększyły, ale ogólny kształt i wygląd nie wskazują na nic niezwykłego.

A jednak sama rezydencja – dużo bardziej niż pobliski browar, jaskinie pod miastem, gdzie magazynowano kiedyś sławne piwo Falstaff, czy inne domy, które w przeszłości były w posiadaniu Lempów – pozostaje nierozzerwalnie związana z rodziną i jej kłątą. W ten właśnie sposób myślimy zazwyczaj o znamienitych starych rodach, które trwały całe pokolenia: powinna istnieć jedna siedziba będąca ucieleśnieniem ich historii. To idea zawarta w samym słowie „dom”, z jego podwójnym znaczeniem: budynku i gniazda rodzinnego. I tak jak rezydencja Usherów u Edgara Allana Poe'go, dom Lempów najwyraźniej poniósł klęskę. W *Zagładzie domu Usherów* budynek i rodzina są ze sobą związane tak mocno, że gdy Madeline, siostra Rodericka Ushera, wstaje z grobu, żeby porwać brata (ostatniego potomka rodu) ku śmierci, sam dom rozpada się pod naporem nadprzyrodzonych sił i osuwa w bagno w chwili, gdy narrator salwuje się ucieczką. Jednakże dom Lempów, w odróżnieniu od domu Usherów – i mimo tragedii i nieszczęść, jakie spadły na jego mieszkańców – wciąż stoi.



Na zewnątrz deszcz zalewa ulice, a my zbieramy się w jednej z jadalni na parterze, gdzie dostajemy lekkie przekąski i kamery na podczerwień. Dołączyła do mnie moja przyjaciółka Elizabeth i czekamy razem z innymi gośćmi. Jest nas w sumie może dwanaścioro, w wieku od kilkunastu do czterdziestu pięciu lat, stanowimy więc całkiem reprezentatywny przekrój społeczeństwa. Podczas obchodu twarze uczestników są raczej bez wyrazu, trudno dopatrzeć się w nich zainteresowania duchami lub samą rezydencją. Gdy zaczynamy się czuć swobodnie i podgryzamy seler naciowy i czerstwawe ciastka, przewodnik przedstawia nam krótką historię domu. Mamy w rękach zwykle kamery, w których zainstalowano oświetlacze podczerwieni. Zostaliśmy poinstruowani, jak je trzymać, żeby nie męczyły nam się ręce, dostajemy też inne podstawowe wskazówki: nie powinniśmy na przykład przesuwac kamery za szybko, bo obraz będzie rozmazany, ani patrzeć przez wizjer, gdy wchodzimy lub schodzimy po schodach, bo można stracić równowagę.

Gdy przewodnik kończy przekazywanie instrukcji, zabieramy sprzęt i ruszamy w stronę schodów. Trochę mi się kręci w głowie, ale uspokajam się, że to pewnie przez zbyt częste spoglądanie w kamerę na podczerwień. Mam wrażenie, że stopy nie są zbyt stabilne, ale to zapewne dlatego, że po ponad stu latach fundamenty domu się odkształciły, toteż schody oraz podłogi lekko się przechylają. Dostaję gęsiej skórki – to pewnie przez burzę na zewnątrz. Czas wejść na górę.



Polowanie na duchy bez nowoczesnych urządzeń jest dziś w zasadzie nie do pomyślenia i można chyba stwierdzić, że zjawy bez rejestrujących je maszyn nie istnieją. Ale choć gadzety stały się bardziej zaawansowane, świat duchów tak naprawdę od dawna był związany z technologią. Cztery lata przed stukającym duchem sióstr Fox Samuel F.B. Morse zademonstrował po raz pierwszy działanie telegrafu: mimo bardzo prostego mechanizmu urządzenie mogło wysyłać wiadomości tekstowe na ogromne odległości i przyjmować je, jak gdyby pochodziły z innego świata. Podobieństwa między spirytyzmem i telegrafią zauważono natychmiast i wczesne publikacje, na przykład *Spiritual Telegraph* (Duchowy telegraf), potwierdzały tę prostą analogię: tak jak telegraf jest w stanie przesłać wiadomość bardzo daleko, spirytysta robi to samo, pokonując granicę życia i śmierci. Stukotanie sióstr Fox było ostatecznie formą alfabetu Morse'a. Dwie strony tego samego medalu^[99].

Oczywiście wiara w duchy nie zaczęła się w roku 1848, ale rewolucja spirytystyczna przeformułowała to, jak w nie wierzymy. Odtąd nie stanowiły już tylko czystej emanacji lęku; teraz za pośrednictwem technologii można było nawiązać ze zmarłymi bezpośredni kontakt. I w dużej mierze tak już pozostało na kolejnych etapach postępu: łowcy duchów wcześniej czy później przystosowywali do swoich celów prawie każdą nowinkę techniczną.

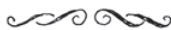
Jest oczywiście fotografia. Wynaleziona niedługo przed telegrafem, rozwijała się dynamicznie w drugiej połowie XIX wieku i stała się jednym z głównych sposobów dokumentowania obecności duchów (choć od samego początku sceptycy kwestionowali wiarygodność takich dowodów). Radio i telewizję również od razu uznano za przekazniki wiadomości z zaświatów, dopatrywano się duchów w szumach i usterkach. Wprowadzenie nagrań na taśmie magnetycznej w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku zapoczątkowało nową rewolucję w kontaktach z duchami – gdy nagrywanie stało się znacznie tańsze i wygodniejsze, taśma analogowa (z dodatkową zaletą w postaci szumów i innych niedoskonałości au-

dio) przekazała głosy zmarłych w ręce mas.

Pod koniec lat pięćdziesiątych szwedzki malarz i dokumentalista Friedrich Jürgenson postanowił zarejestrować w swoim ogrodzie odgłosy ptaków. Gdy odtwarzał nagranie, nieoczekiwanie usłyszał na taśmie głos zmarłej matki wołającej jego imię. Spędził całe lata, dokonując dalszych nagrań i udoskonalając technikę, i w roku 1967 opublikował książkę pod tytułem *Radio Contact with the Dead* (Kontakt radiowy ze zmarłymi). Dzieło Jürgensona kontynuował i znacznie rozwinął lotewski psycholog Konstantin Raudive, który bogatą dokumentację nagrań EVP opublikował w pracy *Unhörbares wird Hörbar* (Usłyszeć niesłyszalne), wydanej po angielsku w 1971 roku pod tytułem *Breakthrough. An Amazing Experiment in Electronic Communication with the Dead* (Przełom. Zaskakujący eksperyment w dziedzinie łączności elektronicznej ze zmarłymi). Raudive zrelacjonował swoje długotrwałe eksperymenty z EVP i zamieścił co bardziej osobliwe wiadomości, które otrzymał. „Tu nocni bracia, tu płoną ptaki”, przekazał mu pewnej nocy czyjś głos. Inny zakomunikował przez radio: „Tajne meldunki... tutaj jest źle”^[100].

Raudive twierdził, że jego badania odsłonią „możliwą do empirycznego udowodnienia rzeczywistość i bazę faktograficzną”^[101], sceptycy wskazują jednak na sporą swobodę w interpretacji owych sygnałów z zaświatów. Raudive wyjaśniał, że duchy mówią wieloma językami, nawet w tym samym zdaniu; że mogą posługiwać się językami, których nie znały za życia, i że czasem mówią wspak. Biorąc pod uwagę te wszystkie zjawiska, nie dziwi zbytnio, że Raudive był w stanie usłyszeć aż tyle wiadomości od gadatliwych zmarłych. Jeśli się szuka głosów z zaświatów, przy odpowiednim nastawieniu można je usłyszeć w każdym bełkocie lub hałasie^[11*].

Może mniej ważne od tego, czy ktoś wierzy, jest to, dla czego wierzy. Jürgenson wykorzystywał EVP tak jak wielu spirytystów: do nawiązania kontaktu z utraconymi bliskimi, chciał się bowiem upewnić, że nic im nie jest i że przebywają w lepszym świecie. Poszukiwanie duchów często przybiera tę postać – jest formą żałoby, przepracowaniem rozpaczy i poczucia straty. Szukamy duchów tych, z których śmiercią jeszcze się nie pogodziliśmy, jak gdybyśmy potrzebowali ich błogosławieństwa, by pozwolić im odejść.



Nie dostrzegam jednak cienia rozpaczy ani poczucia straty na twarzach osób wspinających się ze mną po schodach Lemp Mansion. Jeśli już, wyczuwa się raczej skrywaną chęć przeżycia czegoś emocjonującego i ogólne zaciekawienie. Niedaleko szczytu schodów znajduje się apartament Elsy Lemp, gdzie za kilka godzin mam przenocować. Elsa była najmłodszym z ośmiorga dzieci Williama seniora i Julii Lempów, urodziła się w 1883 roku, gdy jej matka miała czterdzieści jeden lat. W 1910 roku wyszła za mąż za wiceprezesa firmy metalurgicznej Thomasa Wrighta, lecz małżeństwo, jak wszyscy twierdzili, nie było udane. Straciwszy w pologu jedyną córkę, w 1919 roku wystąpiła o rozwód, powołując się na cierpienia psychiczne i porzucenie. Po rozstaniu Elsa, najbogatsza kobieta w Saint Louis, zmieniła testament, całkowicie wydziedziczając Thomasa. Ale po zaledwie trzynastu miesiącach wrócili do siebie i 8 marca 1920 roku ponownie wzięli ślub. Dwanaście dni później Elsa odebrała sobie życie jedną kulą wystrzeloną w serce.

Ze skromnego, nazwanego jej imieniem pokoju, gdzie mieszkała, gdy była dzieckiem, roztacza się widok na północ, z rozpościerającą się w dole panoramą miasta. Lecz chociaż Elsa padła ofiarą tej samej „kłątwy”, która dotknęła braci i ojca, nie tutaj należy szukać jej ducha.

Targnęła się na życie we własnym domu przy Hortense Place 13, ponad 10 kilometrów od Lemp Mansion. Duchy nawiedzające ten pokój pochodzą z połowy XX wieku, gdy przyjmowano tu pacjentów z przepełnionego miejscowego szpitala pediatrycznego. Zjawy śmiertelnie chorych dzieci – to one ponoć psocą: ciągną za prześcieradła, gdy goście próbują zasnąć, albo szarpią ich za nogi, jak gdyby stały przy łóżku.

Niemal każdy pokój w tym domu, jak się okazuje, ma swoją historię. W sypialni Charlesa Lempa czasem bez ostrzeżenia przemieszczają się niewielkie przedmioty. W innym apartamencie pojawia się znikąd smród ścieków, co wskazuje, że duchy tego domu cię nie lubią. Korytarzami przechadza się zjawia małego dziecka, którego tożsamości nigdy nie ustalono. W piwnicy czai się zagadkowa postać, widziano też siedzącego w jadalni na parterze nieznanego mężczyznę, który znika, gdy się do niego podchodzi. Przy tylu różnych historiach spodziewam się po trosze scen jak z Domu Strachów w Disneylandzie, dokazujących i rozrabiających półprzezroczystych postaci – do tej pory jednak, pomimo upiornej pogody na dworze, niczego nie widzieliśmy.

Aż w pewnym momencie zostaję w apartamencie Elsy Lemp sam, gdy reszta gości ogląda inne pokoje. Wszystkie światła na piętrze zgaszono i jest tylko jeden sposób, żeby coś zobaczyć: przez wizjer kamery z podczerwieni. Panoramuję powoli, zatrzymując się na małym, ledwo zipiącym okiennym wentylatorze, który burczy cicho, usiłując schłodzić pokój. Gdy kieruję kamerę na okno, przesuwają się po nim dziwne światło, świetlista fala; nieruchomieje, a potem przechodzi dalej i znika.

To mogły być reflektory przejeżdżającego za oknem samochodu, tylko że jestem na drugim piętrze i to światło musiałoby padać zza moich pleców, gdzie nie ma okien ani innych źródeł oświetlenia. Nie widzę w pobliżu nikogo i nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie tego zjawiska. Nadal celuję kamerą w wentylator, żeby sprawdzić, czy to samo zdarzy się znowu. Przez minutę obserwuję, jak urządzenie spokojnie pracuje, ale światło nie ukazuje się już więcej i nie dzieje się nic innego.

Oglądanie pogrążonego w ciemnościach domostwa przez obiektyw w podczerwieni jest bezsprzecznie niesamowitym przeżyciem. Królestwo skądinąd prozaicznych przedmiotów spowite zostaje swoistym kirem. Tęczęwki ludzkich oczu bieleją upiornie, toteż osoby stojące obok – oddychające i jak najbardziej żywe – wyglądają jak zombi. Rzeczy, które w zwykłym świetle są nieruchome, w podczerwieni leciutko pulsują, jakby za chwilę miały ożyć.

Nie chodzi tylko o podczerwień; przemierzając ten dom, zauważam, że wizjer kamery może zmienić obraz. Sposób, w jaki kamera wyróżnia z otoczenia konkretne przedmioty, rozbudza oczekiwanie, że za chwilę coś się wydarzy. Im zwykleszy przedmiot i im więcej mija czasu, tym bardziej to wrażenie się wzmaga. Spinasz się.

Horrorzy często zaczynają się od tego, że całkowicie niewinne obiekty stają się wrogię – dom, dziecko, zabawka^[12*]. Odkrywam, że jeśli zatrzymuję kamerę na jakimś przedmiocie na pięć sekund, to zwykle wystarczy, żeby stał się intrygujący. Zaczynam mieć wątpliwości co do światła, które widziałem na oknie. Może po prostu czegoś się spodziewałem, a gdy się stoi samotnie w ciemnym jak grób pokoju starego domostwa, gdy jedynym światłem jest podczerwień kamery, a w oddali słychać burzowe grzmoty – bardzo szybko można stracić zimną krew.



Jesteśmy teraz na pierwszym piętrze, w jednej z dużych, środkowych sypialni. Jako że domy

opodatkowywano kiedyś w zależności od liczby sypialni, w Lemp Mansion, jak było wówczas w zwyczaju, są olbrzymie pokoje poprzedzielane przesuwными drzwiami (po ich zsunięciu miało się dwie sypialnie w cenie jednej). Podobno łowcy duchów rejestrują silny impuls elektromagnetyczny (EMP) pośrodku pomieszczenia, podobno jest to istotna informacja, podobno na niektórych nagraniach słychać szczekanie psa z oddali. Dowiadujemy się, że kamery z podczerwienią mogą wychwycić substancje organiczne, które normalnie nie są widoczne na wykładzinie. I rzeczywiście, po skierowaniu kamery w dół na podłogę widzimy różnej wielkości plamy. W tym to pokoju Charles Lemp miał zastrzelić swojego psa i to dziwne uczucie, gdy spuszczasz wzrok i dostrzegasz pod stopami coś, co wygląda na krew biednego zwierzęcia, jak gdyby zostało zastrzelone nie dalej jak wczoraj...

Ale to prawdopodobnie nie krew; oglądane bez kamery plamy bardziej przypominają wdeptany w wykładzinę zwykły brud. Pomimo słynnych legend o domu Lempów staje się jasne, że coś przeraźliwego dzieje się zawsze podczas innej wycieczki, innej nocy.

W tym właśnie momencie moja przyjaciółka Elizabeth wyjawia mi tajemnicę: jeśli wyłączysz i włączysz lampę podczerwieni, stojąc obok kogoś innego, interferencja spowoduje pojawienie się na nagraniu tej osoby kul światła i cieni. Innymi słowy, można stworzyć własne duchy. Światło, które prześlizgnęło się po wentylatorze w apartamencie Elsy Lemp, mogło być spowodowane czymś takim. Może ktoś przechodził korytarzem, gdy nie patrzyłem, i jakieś niezidentyfikowane zakłócenie wystarczyło, aby wywołać chwilową grę światła – którą aż nazbyt chętnie chciałem uznać za zjawisko paranormalne.

Niezależnie od tego, jak intensywnie się w coś wpatrujemy, duchy najwyraźniej nie materializują się na życzenie. Dlaczego miałyby to robić? Przemierzając rzekomo nawiedzony dom, inni uczestnicy wycieczki wypatrują z przejęciem rozbłyśków światła i cieni, dowodów na istnienie duchów rodziny Lempów oraz ciążyącej na nich klątwy. Równie przekonujące jest jednak odczytanie losów Lempów jako historii rodzinnej choroby psychicznej – depresji klinicznej lub choroby afektywnej dwubiegunowej – przeniesionej w genach Williama seniora na jego nieszczęsne dzieci, które nie miały kulturowego ani medycznego wsparcia, by walczyć z tą neurologiczną przypadłością. Klątwa domu Lempów mogła być wyłącznie rezultatem zaburzonej chemii mózgu i braku odpowiednio szybkiej interwencji medycznej.



W 1901 roku do salonu jubilerskiego w centrum miasta wmaszerował mężczyzna w czarnym garniturze i przedstawił się jako William Lemp junior. Poprosił o największy diament w sklepie, po czym oznajmił właścicielowi: „Zabiorę go teraz, a pan niech prześle rachunek do browaru”. Później sprzedał diament w lombardzie i słuch po nim zaginął^[102]. W 1915 roku według historyka Davidsona Mullgardta niejaka Fannie Zell kazała sobie przysyłać kwiaty od trzech braci: Billy’ego, Charlesa i Edwina Lempów, by przekonać innych, że ma wielbicieli wśród wpływowych i bogatych mężczyzn^[103].

I jest jeszcze osobliwy przypadek Andrew Paulsena, który zjawił się w Saint Louis w 2010 roku, twierdząc, że jest ostatnim żyjącym potomkiem rodu Lempów. Miał klucz do rodzinnego mauzoleum, obraz pędzla Louise Lemp (jednej z bratanic Elsy i Billy’ego, uznanej artystki) i inne pamiątki, między innymi naczynia stołowe należące ponoć do rodziny, które zaczął sprzedawać na eBayu. „Z wielką radością zawiadamiamy zainteresowanych z Saint Louis i całego świata, że żyje potomek rodu Lempów, który jest gotów podzielić się nigdy wcześniej nieopowiadanymi historiami z życia słynnej rodziny z Saint Louis”^[104] – napisała jego współ-

niczka Cheryl Sochotsky na stronie internetowej Lemp Treasures. Andrew zaczął organizować wycieczki po różnych zakątkach Saint Louis i zgromadził wokół siebie grupkę fanów, których łączyła obsesja na punkcie rodziny słynnych browarników.

Szybko jednak intryga Paulsena zaczęła się sypać. Kobieta, która rzekomo była jego matką – Anne-Marie Konta, wnuczka Annie Lemp (najstarszej siostry Elsy i Billy'ego) – zmarła w 1973 roku, trzynastcie lat przed przyjściem na świat Paulsena. Gdy ludzie zaczęli zadawać pytania, nie był w stanie dostarczyć żadnego dowodu na to, że naprawdę jest potomkiem Lempów. Poproszony przez reporterkę „St. Louis Magazine” Jeannette Cooperman o potwierdzenie rodowodu, najpierw zwlekał z odpowiedzią, a potem zagroził jej krokami prawnymi. Tajemnicą pozostaje, dlaczego ktoś przeprowadza tak skomplikowaną mistyfikację, żeby opchnąć przez internet trochę domowych bibelotów za bezcen. Ot, kolejny przykład kogoś, kto próbuje się wzbogacić na długiej i smutnej historii tej rodziny.

Ma to związek z otaczającą ją aurą, która nie przeminęła wraz z jej fortuną. W pewnym sensie dramatyczny finał *Zagłady domu Usherów* wydaje się nazbyt optymistyczny i łatwy: gdy umiera Roderick, ostatni z rodu, dom zapada się w bagno i nazwisko znika razem z nim. W rzeczywistości upadki bywają dużo bardziej kłopotliwe i chociaż ród Lempów utracił swą dawną świetność, dom i jego nazwa przetrwały, przyciągając wraz z łowcami duchów inny gatunek upiórów.

Po wycieczce zatrzymuje nas na korytarzu kobieta z obsługi. „Widzieliście coś?” – pyta podekscytowana. Pracuje w tym miejscu dopiero od trzech tygodni i nie była jeszcze świadkiem niczego nadzwyczajnego, chociaż liczy na to, że w końcu to nastąpi. Nie ma choćby cienia wątpliwości, że dom jest nawiedzony – ostatecznie widywała duchy przez całe życie. Miała siedem lub osiem lat, gdy na ziemi należącej do jej rodziny, na terenie dawnej plantacji, po raz pierwszy ujrzała ducha: małą dziewczynkę, bladą, biegnącą, przerażoną, która zawsze wracała w okolicach jej urodzin. Kobieta nigdy nie próbowała się dowiedzieć, jaka historia się z nią wiąże: „Uznałam, że to nie moja sprawa. Nikomu nie robiła krzywdy”. Na jej twarzy maluje się teraz podniecenie: szczęściarze z nas, że mogliśmy spróbować nawiązać kontakt z duchami w tak legendarnym miejscu. Jak to możliwe, że nie udało nam się zobaczyć ani jednego?

Jeśli ktoś, tak jak ja, od dłuższego czasu zajmuje się podważaniem legend o nawiedzonych miejscach, stara się zdemaskować związane z nimi marketingowe sztuczki, podejrzane urządzenia i całą resztę tajemniczej otoczki, może czasem zapomnieć, jak prawdziwa, jak uporczywa jest wiara w duchy wielu z nas. Wiara, która na różne sposoby różnym ludziom podsuwa wytłumaczenie i sens nieprzeniknionych zjawisk. Wiara, która może nam pomóc w żalobie i przynieść nadzieję.

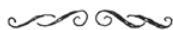
Polowanie zakończone, zabieram więc z holu bagaże i wracam po schodach do apartamentu Elsy Lemp, licząc na mocny sen w najbardziej nawiedzonym pokoju najbardziej nawiedzonego domu w kraju. Nie spałem od dwunastu godzin – wstałem o czwartej trzydziestce rano, żeby zdążyć na lot do Saint Louis. Jestem całkowicie wykończony i chociaż chciałbym sprawdzić, co się będzie działo w nocy, prawda jest taka, że po kilku minutach urywa mi się film. Jeśli tej nocy kłębiły się wokół mnie duchy, nie wyrwały mnie ze snu.

II

PO GODZINACH



w barach, restauracjach, hotelach i domach publicznych



Domy mieszkalne nie są bynajmniej jedynymi odwiedzanymi miejscami w Ameryce. Hotele, bary, księgarnie, restauracje – czyli rozmaite miejsca związane z działalnością gospodarczą – także przyciągają siły nadprzyrodzone. Jeśli nawiedzony dom działa na nas deprymująco, ponieważ dom powinien symbolizować bezpieczeństwo i spokój, które obecność ducha ma, nawiedzony sklep lub hotel są czymś przeciwnym: w tych miejscach to my jesteśmy gośćmi, przebywamy tam przez jakiś czas, ani przez chwilę nie nazywając ich w myślach „domami”.

Na przykład pokój hotelowy ma być imitacją sypialni: łóżko, telewizor, szafka nocna – to wszystko tam się znajduje. Nie jest jednak nasze: łóżko nie nasze, fotel nie nasz, obrazy nie w naszym guście. Jesteśmy tylko ostatnimi w długim korowodzie gości, którzy spali w tej pościeli i używali tych ręczników, co hotele (przynajmniej te dobre) usiłują za wszelką cenę zatuzować. Hotele są *unheimlich* w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa: przypominają domy, ale uparcie nimi nie są.

Duchy z hotelu Stanley w Estes Park w stanie Kolorado lubią przypominać gościom, że nie zatrzymali się tam jako pierwsi. Jeśli wierzyć przewodnikom turystycznym, po korytarzach i salach balowych przemieszczają się widmowe postaci w smokingach i toaletach z lat dwudziestych, wznoszą toasty szampanem i hulają całą noc^[105]. Hotel, wybudowany w 1909 roku przez przemysłowca Freelana O. Stanleya (tego, który wspólnie z bratem stworzył automobil Stanley Steamer) i nazwany na jego cześć, reklamowano jako pierwszy, w którym do ogrzewania, oświetlania i przygotowania posiłków używa się wyłącznie elektryczności^[106]. Oferował zamożnym gościom wygody i górskie powietrze. Czterokondygnacyjny, w stylu kolonialnym, położony tuż przy Parku Narodowym Gór Skalistych, przeżywał w swojej historii wzloty i upadki, zawsze jednak cieszył się powodzeniem wśród ludzi pragnących zaznać odrobiny luksusu w górskiej scenerii.

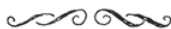
W samych historiach o tamtejszych duchach nie ma niczego nadzwyczajnego, podobne można usłyszeć w dziesiątkach innych hoteli w całych Stanach: tajemnicze dzieci biegające po korytarzach, pianino grające samo w środku nocy. To, że ktoś w ogóle zwraca uwagę na duchy w Stanleyu, ma związek z wyobraźnią jednego z gości i zrodzoną w niej powieścią – *Lśnienie*.

Stephen King z żoną Tabithą przybyli tam dzień przed Halloween, gdy hotel zamykał się na zimę. „Zorientowaliśmy się, że jesteśmy jedynymi gośćmi i te wszystkie długie, puste korytarze mamy tylko dla siebie” – pisze King. Sam w starym hotelu poczuł przypływ weny: „Oprócz naszego stolika wszędzie już ustawiono krzesła na blatach. Z korytarza dobiegała muzyka i poczułem się, jakby Bóg umieścił mnie tam specjalnie, żebym to wszystko zobaczył i usłyszał”^[107].

Owo wrażenie pustki jest kluczowe dla zjawisk nadprzyrodzonych. Niewiele rzeczy peszy nas tak bardzo, jak przebywanie w wyludnionych pomieszczeniach. Jeśli ktoś pracował na nocną zmianę lub w ochronie, dobrze wie, jak bardzo dane miejsce może się zmienić, gdy za-

mknąć się drzwi na klucz i przyciemni lampy, gdy gaśnie starannie zaprojektowane oświetlenie mające zwrócić uwagę na najnowsze gadzety, a nastrojowe światło robi się jeszcze bardziej nastrojowe. Czujesz się jak nieproszony gość. Moravian Book Shop w Bethlehem w Pensylwanii – najstarsza księgarnia w kraju, założona w 1745 roku – ma ducha, który objawia się tylko po zamknięciu. Jane Clugston, wieloletnia pracownica Moravian, powiedziała „Guardianowi”, że pewnego wieczoru, gdy zamykała księgarnię, dostrzegła w korytarzu na zapleczu ciemną postać. Postać weszła do kuchni, a gdy Clugston ruszyła za nią, zauważyła, że nie wyłączono wentylatora i kuchenki. „Nie wiem, dlaczego ta osoba, duch, zjawa mnie tam ścigała, ale chyba po to, żeby wyłączyć te urządzenia – kontynuowała Clugston. – Nie wracałam myślami do tego incydentu, aż opowiedziałam o nim komuś i usłyszałam, że to był duch. Wiele osób mówiło, że tam, na zapleczu, wyczuwały i widziały różne rzeczy”^[108]. Tak jak w opowieści Kinga o hotelu Stanley, gdy przygasa światło, robi się nieswojo.

Jeśli zaczniemy szukać innych nawiedzonych sklepów, okaże się, że występują one we wszelkich postaciach i rozmiarach – są wśród nich nawet jasno oświetlone, kolorowe sklepy z zabawkami. Chociaż dorastałem w pobliżu domu pani Winchester, nawiedzone miejsce, w którym w dzieciństwie spędzałem o wiele więcej czasu, znajdowało się gdzie indziej – przy tej samej ulicy, na drugim jej końcu. Sklep Toys „R” Us w Sunnyvale w Kalifornii ma długą historię nawiedzeń, a wszystkie krążą wokół dawnego robotnika, zmarłego z rozpaczy po stracie ukochanej. Johnny Johnson, jak się go nazywa, pracował na gigantycznej plantacji zbożowej Martina Murphy’ego, na której ziemiach stoi teraz miasteczko Sunnyvale. Zginął w 1884 roku, wykrwawiwszy się po przecięciu przez maszynę tętnicy udowej. Do tego nieszczęśliwego wypadku doszło w miejscu, gdzie później wybudowano sklep z zabawkami, i teraz jego duch snuje się między gramami planszowymi i pluszakami, włącza zdalnie sterowane samochodziki i rozrzuca piłki do koszykówki.



Historie o duchu Johnsona pojawiały się regularnie, odkąd na początku lat siedemdziesiątych wybudowano sklep; największą popularnością cieszyły się pod koniec owej dekady i potem znowu na początku lat dziewięćdziesiątych. Krajobraz wokół sklepu z biegiem lat się zmieniał, ale sam budynek, nieremontowany od nowości, pozostawał taki sam. Otynkowany klocek bez okien, z kilkoma drzwiami równie dobrze mógłby być egipskim grobowcem, szczelnie zamkniętym przed światem zewnętrznym, gdyby nie charakterystyczne kolorowe litery zapraszające dzieci w każdym wieku do zacienionego wejścia. Była pracownica o rozkoszonym imieniu Putt-Putt O’Brien w 1991 roku oświadczyła dziennikarzowi „Chicago Tribune”, że widziała ducha Johnsona. Opisała go jako młodego mężczyznę, prawdopodobnie dwudziesto- lub trzydziestokilkuletniego. Przeszedł obok niej ubrany w roboczą koszulę, pumpy i szary tweedowy kaszkiet. Dodała, że słyszała też tętent galopujących koni^[109].

„To klasyczny przypadek ducha schwytanego w pętlę czasu – wyjaśnia medium Sylvia Browne, która zyskała sławę, badając takie miejsca jak mój lokalny Toys «R» Us. – Ciężko pracuje, wykonując swoje zadania na ranczu Martina Murphy’ego, które sto lat temu świetnie tam prosperowało. Za nic w świecie nie potrafi zrozumieć, skąd się biorą te wszystkie głośnie, rozkrzyczane dzieciaki i dlaczego rozdeptują jego świeżo posadzone warzywa; nie ma pojęcia, że biegają po alejkach sklepu z zabawkami, który tam teraz stoi”^[110]. Jak twierdzi Browne, Johnson zakochał się w Elizabeth Murphy, córce szefa, i wpadł w rozpacz, gdy ta wyszła za prawnika ze Wschodniego Wybrzeża i wyjechała do Bostonu. Niedługo potem w wyniku

nieszczęśliwego wypadku doznał poważnego urazu nogi, co przypłacił życiem, a teraz jego duch przemierza alejki sklepu, utykając, i zajmuje się pracą, którą, jak wierzy, musi dokończyć.

Sława Browne jest ściśle związana z legendą Johnsona. Pod koniec lat siedemdziesiątych zorganizowała w Toys „R” Us w Sunnysvale seans spirytystyczny specjalnie po to, żeby nawiązać z nim kontakt. Wtedy dopiero od kilku lat udzielała się jako medium i duch Johnny’ego Johnsona – oraz późniejsze zainteresowanie, jakie wzbudził – nadały impet jej karierze. Na zdjęciu w podczerwieni wykonanym podczas seansu widać zebraną w kręgu grupkę ludzi. Ich sylwetki są zabarwione na białoszaro, jak to się dzieje w wypadku wydzielających ciepło ciał uchwyconych w podczerwieni. Na skraju tej grupy stoi postać oparta o ścianę; możliwe, że ręce trzyma w kieszeniach, możliwe też, że zaczęła kciukami o szlufki spodni w pozie klasycznego kowboja. W odróżnieniu od jasnych ciał ludzi na pierwszym planie postać ta wygląda, jak gdyby nie emitowała żadnego ciepła – jej sylwetka jest niemal całkowicie czarna.

W czasach, kiedy każdy może w kilka sekund zmanipulować cyfrowo dowolne zdjęcie, łatwo zapomnieć, jak intrygująca mogła być kiedyś taka fotografia, rzekomo niezbity „dowód” ukazania się zjawy. Co więcej, ludzie często nie rozumieją, na czym polega fotografia w podczerwieni. Można założyć, że ta postać jest czarna, bo jej ciało nie emituje ciepła, lecz fotografia w podczerwieni nie jest tym samym co termografia, nie rejestruje ciepłoty. Kimkolwiek jest ta postać, najprawdopodobniej po prostu stoi za daleko od źródła światła, żeby odbijać fale podczerwieni. Wyjaśnienie na pewno prostsze, choć o wiele mniej ekscytujące.

Cale to zdarzenie, łącznie z tajemniczą fotografią, opisano w nadawanym w latach osiemdziesiątych programie telewizyjnym *That’s Incredible*, co zapewniło sławę zarówno Browne, jak i oddziałowi Toys „R” Us z Sunnysvale. Pojawiwszy się w czasie, gdy powstawały pierwsze licencjonowane dzienne programy talk-show, Browne zdobyła popularność w erze głodnych sensacji mediów, kiedy coraz chętniej przedstawiano na antenie zjawiska paranormalne, żeby przyciągnąć publikę czymś oryginalnym. Historia stała się nośna, ponieważ sugerowała, że nawiedzone może być każde miejsce – nie tylko budzący grozę wiktoriański dwór lub opuszczony cmentarz. Nawet pozornie niewinny sklep z zabawkami może skrywać głębszą historię. (Niejako na potwierdzenie tej teorii w następstwie głośnego przypadku Sunnysvale inne filie Toys „R” Us, od San Bernardino w Kalifornii po North Bergen w New Jersey, także zasłynęły ze swoich duchów)[111].

Browne została później autorką poczytnych książek, pod koniec kariery inkasowała setki dolarów za usługi mediumiczne i regularnie występowała w *The Montel Williams Show*, gdzie nawiązywała kontakt z zaświatami. Relacje o zjawiskach paranormalnych z udziałem Browne należy jednak traktować z rezerwą. Chociaż często twierdziła, że pomaga organom ścigania w poszukiwaniach zaginionych, niezależna analiza jej działalności wykazała, że porady te były albo zbyt ogólnikowe, by mogły się przydać policji, albo w ogóle nieprzydatne, jeśli wręcz nie utrudniały poszukiwań[112]. Zasłynęła z tego, że notorycznie się myliła, przekonując rodzinę zaginionych osób, że te żyją, gdy w rzeczywistości były martwe, i vice versa.

Nigdy jednak nie zapomniła o Johnnym Johnsonie i wielokrotnie wracała do Sunnysvale, żeby pozostać z nim w kontakcie. Jak napisała w 2003 roku w swojej książce pod tytułem *Visits from the Afterlife* (Odwiedziny z zaświatów), próbowała wytłumaczyć Johnsonowi, że zmarł i jeśli chce się ponownie zobaczyć z utraconą ukochaną, musi jedynie „pójść ku światłu do Boga, który na niego czeka”. Johnson nie zamierzał jednak słuchać jej rad: „Miał ich już serdecznie dość i pewnego razu odpysknął mi, że jeśli nie przestanę mu wmawiać, że nie żyje,

już nigdy się do mnie nie odezwie. Uznałam, że wolę utrzymać naszą łączność, więc już nigdy o tym nie wspomniałam”^[113].

Nieoficjalna ankieta, którą przeprowadziłem wśród pracowników Toys „R” Us w grudniu 2015 roku, potwierdziła, że prawie wszyscy słyszeli o duchu Johnn’ego Johnsona, ale nikt, z kim rozmawiałem, nie twierdził, że widział cokolwiek niepokojącego. Ja sam nie pamiętam żadnych paranormalnych doświadczeń ze swoich dziecięcych wizyt w sklepie. Pewnie jednak czułbym się inaczej, gdybym został tam na noc i wziął udział w seansie spirytystycznym, zwłaszcza jeśli filmowano by go dla ogólnokrajowej stacji telewizyjnej. Nie zdziwiłbym się, gdyby w budynku widywanym jedynie w godzinach otwarcia, a teraz zaciemnionym i obcym, gdzie podenerwowany czekam, aż coś się wydarzy, różne odgłosy i refleksy nabrały dla mnie nowego znaczenia.

Obiekty komercyjne są zaprojektowane w taki sposób, aby poruszać się po nich w konkretny sposób, skusić klienta do zakupu i ułatwić mu wyjście. Istnieją niezliczone techniki, doskonalone przez dziesięciolecia badań, by to osiągnąć: w restauracjach typu fast food stosuje się jasne kolory – głównie czerwony i żółty – które wzmagają głód i przykuwają uwagę; sklepy meblowe takie jak IKEA wykorzystują specjalny rozkład pomieszczeń, by zaoferować klientom doświadczenie według precyzyjnego scenariusza; w wielkopowierzchniowych supermarketach przed kasami ustawia się półki z produktami kupowanymi pod wpływem impulsu. Naturalnie na myśl przychodzą też kasyna, gdzie każdy szczegół po przekroczeniu progu ma wywołać odpowiedni efekt psychologiczny. Niektórzy od dawna twierdzą, że najlepsze są te mroczne i chaotyczne – ich rozkład wywołuje dezorientację jak w labiryncie, żeby zniechęcić ludzi do wyjścia i skłonić do dalszej gry. Inni wolą jasne, przestronne przestrzenie z bogatym wystrojem, by dać gościom poczucie, że są wielkimi graczami, i ośmielić ich do wydawania dużych sum. Tak czy inaczej to oczywiste, że dokłada się wszelkich starań, by wykorzystać architekturę budynku, jego rozkład, wystrój, muzykę, a nawet aromaty do zaplanowania konkretnego, wysoce zmanipulowanego przeżycia.

Dopiero gdy ten scenariusz zawodzi, zaczynamy widzieć duchy. Opanowują miejsca takie jak statek „Queen Mary”, symbol bogactwa pewnej ery, teraz zamieniony w podupadłą atrakcję turystyczną w porcie Long Beach w Kalifornii. Ostatnio funkcjonuje głównie jako hotel, przechodząc z rąk do rąk kolejnych właścicieli, którzy nie doczekali się jeszcze zysków z inwestycji. Gdy razem z żoną zatrzymaliśmy się na „Queen Mary” pewnej niedzielnej nocy, przekonaliśmy się, że misterne zdobienia wewnątrz wciąż są stosunkowo nienaruszone, co daje się zauważyć między innymi w tamtejszych barach: Observation Bar i Art Deco Lounge. Nad drewnianymi elementami wystroju góruje malowidło ściennie ze ślicznotkami epoki jazzu, a czerwone skórzane fotele dają pojęcie o dawno minionym blichtrze. Na statku z lat trzydziestych XX wieku, zaprojektowanym z rozmachem dla ponad dwóch tysięcy pasażerów, nie spotykaliśmy na korytarzach prawie nikogo, nie licząc kilku osób w szortach i klapkach, które materializowały się od czasu do czasu, kontrastując z eleganckim otoczeniem. Linowiec „Queen Mary”, podobnie jak zamknięty na zimę hotel Stanley, zdaje się na coś czekać, choć dla niego wiosna nie nadejdzie nigdy.

Duchy wprowadzają się do takich miejsc: miejsc, dla których nastały ciężkie czasy i fasada zaczyna się kruszyć.

DIABELSKIE MIEJSCE

Richmond, Wirginia

W Shockoe Bottom, historycznej dzielnicy Richmond w stanie Wirginia, duchy są wszędzie^[114]. W ekskluzywnej restauracji Julep's straszy ponoć zjawa Daniela Denoona, ucznia rusznikarza. Mistrz Denoona, James McNaught, zastrzelił go w czasie kłótni, gdy ten wchodził po schodach. Tamte schody, z których stoczyło się ciało Daniela, później przebudowano i zamieniono w schowek, a pracownicy restauracji od czasu do czasu donoszą, że słyszeli dolatujący stamtąd łomot spadającego ciała. Tiki Bob's Cantina, bar przy Osiemnastej Ulicy, jest teraz zamknięty, ale w czasach świetności odbywały się w nim wybory miss bikini i zapasy w kisielu – i straszył wywijający nożem duch handlarza ryb.

W bogato zdobionym budynku dworca przy Main Street robotnicy i pracownicy ochrony późno w nocy na pustych korytarzach słyszeli kroki. W sąsiednim pubie Rosie Connolly's pojawia się kilka widm: kobieta w staromodnej sukni, która znika, gdy się do niej podchodzi, czy mężczyzna (również o nieznanej przeszłości) widywany często w kuchni. Z kolei przy East Cary Street, w budynku między Czternastą i Piętnastą Ulicą, który wzniesiono podobno w miejscu dawnego domu publicznego z początków XIX wieku, po piętrach przechadzają się kobiece zjawy ubrane w zwiewne suknie. Pracownicy słyszą ponoć, jak ktoś woła ich po imieniu, ale gdy się odwracają, nikogo nie widać.

W Shockoe Bottom trudno znaleźć budynek, z którym nie wiązałyby się jakaś historia niesamowita. Miejscowa historyczka i badaczka zjawisk paranormalnych Pamela Kinney spekuluje, że to dlatego, iż właśnie w Wirginii powstały pierwsze osady w Ameryce Północnej^[115]. Ma to sens, jeśli wszyscy zgodzimy się co do tego, że przez pojęcie „osady” rozumiemy tak naprawdę „osady Europejczyków”. Inaczej mówiąc, rodzaj duchów, jakich się szuka, i rodzaj duchów, jakie się widzi, zależą od perspektywy. Bo gdy zacząłem spisywać nadnaturalne incydenty z tych stron, wyłoniła się prosta prawda: duchy Shockoe Bottom są w przeważającej mierze białe.

To zastanawiające, bo jeśli odejdziemy kawałek dalej od nawiedzonych barów i sklepów, przy autostradzie natkniemy się na Diabelskie Pół Akra (Devil's Half Acre). Przez całe dziesięciolecie do Shockoe Bottom sprowadzano czarnoskórych mężczyzn, kobiety i dzieci, więziono ich i torturowano, gdy czekali na sprzedaż plantatorom i spekulantom. Dziesiątki handlarzy niewolników miały tu swoje biura, w miejscu, gdzie odbywały się szeroko reklamowane aukcje niewolników i ludzie zjeżdżali z całego Południa, żeby dorobić się na krzywdzie zniewolonych. W latach poprzedzających wojnę secesyjną zmieniali tutaj właściciele czarnoskórzy obojga płci liczeni w dziesiątkach tysięcy, i ta działalność skupiała się właśnie na Wall Street, w samym sercu Shockoe Bottom. Dzisiaj nie ma już Wall Street, zastąpiła ją autostrada, chociaż pozostała część tego obszaru właściwie się nie zmieniła. Trudno oszacować, ilu

ludzi straciło życie w zagrodach dla niewolników w Shockoe Bottom, w każdym razie na pobliskim cmentarzu niewolników znaleziono szczątki setek ludzi.

O historiach niesamowitych myślimy zazwyczaj w kategoriach wstrząsających tragedii, przeszłości, przed którą nie można uciec, lub niepowetowanych krzywd. Dlaczego zatem w miejscu, które powinna nękać spuścizna tak ogromnej niesprawiedliwości, gdzie doszło do tylu zgonów, straszą wyłącznie duchy białych?



Ze względu na położenie i bliskość rzeki James, co ułatwiało załadunek i rozładunek towaru, Shockoe Bottom stało się idealnym punktem do prowadzenia handlu. Oprócz tytoniu, bawełny i innych produktów kupowano i sprzedawano również ludzi. Gdy w 1808 roku zakazano transatlantyckiego handlu niewolnikami, w Richmond wymiana ludzkiego towaru jeszcze wzrosła – po Nowym Orleanie był to największy w Stanach Zjednoczonych ośrodek handlu niewolnikami.

W dziesięcioleciach poprzedzających wojnę secesyjną znaczną część amerykańskiego Południa ogarnęła „alabamska gorączka” – przeświadczenie, że każda (biała) osoba może się wzbogacić dzięki temu, że kupi na Zachodzie kawałek ziemi i będzie uprawiać bawełnę rękami niewolników; gorączka, na której handlowcy z Północy, nawet pozornie zaciekli przeciwnicy niewolnictwa, mimo wszystko doskonale zarabiali.

Skala utraconego kapitału ludzkiego tutaj, w Shockoe Bottom, jest niewyobrażalna. Więcej ludzi kupowano, sprzedawano i wynajmowano do dorywczych prac jedynie w Nowym Orleanie, ale Richmond zajmowało w kraju pierwsze miejsce, jeśli chodzi o manipulacje cenowe w handlu niewolnikami i spekulacje na przyszłych transakcjach. Innymi słowy, nie tylko handlowano tu ludźmi, lecz także budowano ekonomiczne podwaliny całego systemu opartego na niewolnictwie.

Przejawy okrucieństwa w Shockoe Bottom wyraźnie dostrzegali zagraniczni goście. W 1842 roku do Richmond w czasie swych wojaży po Ameryce zawitał Charles Dickens i chociaż samo miasto mu się spodobało, „ślicznie położone na ośmiu wzgórzach”^[116], był przerażony barbarzyńskimi scenami, które tam zobaczył. W swoich *Notatkach z podróży do Ameryki* ostro krytykował czerpiących zyski z handlu ludzkim towarem w Richmond

właścicieli, hodowców, użytkowników, nabywców i sprzedawców niewolników, którzy, póki krwa-
wo się nie zakończy ten krwawy okres dziejów, będą ich używać do pracy, kupować i sprzedawać. Zajadłe nie chcą uznać okropności tego systemu mimo całej góry świadectw i dowodów – takiego ich mnóstwa, jakiego dotychczas nigdy nie zebrano w żadnej innej dziedzinie, a trzeba dodać, że doświadczenie każdego dnia dorzuca tu jeszcze nowy ogromny materiał. Tacy ludzie chętnie uwikłaliby Amerykę w wojnę domową czy zewnętrzną, byleby tylko za jedyny swój cel i przedmiot miała ona utwierdzenie ich prawa do utrzymywania wieczystego niewolnictwa, prawa do smagania, wyzyskiwania i torturowania niewolników – prawa, którego nie kwestionowałby żaden ludzki autorytet i nie atakowała żadna ludzka władza^[117].

Jak zauważył Dickens, tacy ludzie, gdy mówią o wolności, mają na myśli „swobodę uciskania innych ludzi oraz swobodę postępowania w sposób dziki, niemiłosierny i okrutny”^[118].

„Zwyczajne towary w sklepie nie są lepiej wyeksponowane dla klientów niżli niewolnicy sprzedawani w Richmond” – stwierdził Frederick Law Olmsted, wybitny architekt i twórca

nowojorskiego Central Parku. Podczas pobytu w Richmond w latach pięćdziesiątych XIX wieku przypadkiem trafił do biura komisjonera, pustego oprócz

trojga murzyńskich dzieci, które, gdy wszedłem, bawiły się w aukcję. Niebawale czarny malec, cztero- lub pięcioletni, stał na ławie lub szafocie, jak to się tutaj nazywa, z równie czarną dziewczynką, może rok młodszą, u boku, i udawał, że ją sprzedaje za cenę oferowaną przez innego Murzynka, który turlał się po podłodze. Moje pojawienie się wcale im nie przeszkodziło. Mały licytator kontynuował zabawę i najwyraźniej przyjemność sprawiał mu ten żart, sprzedaż dziewczynki stojącej nieśmiało u jego boku^[119].

Wśród nieszczęśników, którzy trafili do tego piekła, był Solomon Northup, wyzwolony czarny mieszkaniec Północy porwany i sprzedany w niewolę. Jak później opisywał w książce, na której podstawie powstał nagrodzony Oscarem film, był przetrzymywany w Richmond po drodze z Waszyngtonu, gdzie go uprowadzono, do Nowego Orleanu, gdzie później został sprzedany. Relacjonował, że po dotarciu do Richmond jego i pozostałych pojmanych „powieziono przez ulice do należącej do pana Goodina zagrody niewolniczej, znajdującej się pomiędzy stacją kolejową a rzeką”. Tam, jak opisuje, „w przeciwległych rogach podwórza stały dwa niewielkie domki. Domki takowe często można znaleźć na podwórcach niewolniczych; używa się ich po to, by nabywcy mogli obejrzeć ludzkie ruchomości, zanim dobiją targu”^[120].

Niedługo potem Northup został przykuty do Roberta, „dużego żółtego mężczyzny, dość grubego i mięsistego, z wyrazem najgłębszej melancholii na twarzy. Był człowiekiem inteligentnym i poinformowanym”. Robert urodził się wolny, podobnie jak Northup, ale „został uprowadzony do Fredericksburga, a następnie uwięziony. Bito go, aż zrozumiał, tak jak ja, konieczność zachowania milczenia. W zagrodzie Goodina przebywał od trzech tygodni”^[121]. Northup nie został w Richmond na długo, przewieziono go dalej na południe, do Nowego Orleanu. Wtedy w Wirginii zapotrzebowanie na niewolniczą siłę roboczą było już mniejsze i w Richmond handlowano głównie ludźmi takimi jak Northup, którzy następnie trafiali na Południe i Zachód.

Pośrodku tego wszystkiego mieścił się kompleks więzienny Roberta Lumpkina. Ażeby do trzeciej na jego pół akra, trzeba było albo zejść z Broad Street po piaszczystym, nierównym nasypie, który opadał niebezpiecznie 30 metrów ku Shockoe Bottom, albo dostać się tam od strony Franklin Avenue, brudnej uliczki wijącej się w dół. Dom Lumpkina otoczony był ogrodzeniem wyrastającym na wysokość 3, a na niektórych odcinkach 3,5 metra. W pobliżu stało kilka przysadzistych ceglanych budynków, gdzie przetrzymywał czekających na sprzedaż niewolników i niewolnice. W centralnym punkcie znajdowało się więzienie, prymitywny niski barak z cegły, miejsce koszmarnych cierpień i niedoli.

Jak wspominał później pastor i abolicjonista James B. Simmons: „W tym budynku Lumpkin zwykł więzić nieposłusznych i karać opornych. Grube żelazne pręty wciąż były widoczne w co najmniej jednym z okien podczas moich kilkukrotnych wizyt w tym miejscu. Na klepisku, mniej więcej pośrodku, znajdowały się mocna żelazna klamra i obręcze do krępowania batożonych”^[122].

Podobne opisy pochodzące od zagranicznych obserwatorów, od niewolników i niewolnic, którzy przewinęli się przez posiadłość, a także od strażników więzienia Lumpkina pomogły utrwalić złą sławę tego prawdziwie makabrycznego miejsca. Jednym z wielu wychłostanych tam nieszczęśników był wielebny Armstead Mason Newman, którego zabrano do więzienia

Lumpkina w 1862 roku, gdy był jeszcze dzieckiem. Do obręczy na podłodze, jak wspominał później, przywiązano mu ręce i nogi, tak więc leżał rozciągnięty w tej pozycji twarzą do dołu, gdy nad nim stał „gigantyczny chłop” i wymierzał mu razy^[123].

Simmons nazwał to więzienie i przyległe baraki „miejscem westchnień”. W swoim czasie znane było powszechniej – w całym kraju – jako Diabelskie Pół Akra.



W wydanym w 2007 roku zbiorze opowieści niesamowitych *Haunted Richmond. The Shadows of Shockoe* (Nawiedzone Richmond. Cienie Shockoe) Scott i Sandi Bergmanowie piszą o bogatej i skomplikowanej historii Shockoe Bottom, „epicentrum najbardziej wstrząsających i tragicznych wydarzeń w historii Richmond, Wirginii i całych Stanów Zjednoczonych”. Lecz w spisie owych potworności próżno by szukać niewolnictwa: „Rejon wokół doliny Shockoe stanowił tło dla eksterminacji rdzennych plemion, rewolucji, narodzin narodu, wojen, plagi głodu, epidemii, powodzi, pożarów i katastrof budowlanych, by wymienić tylko kilka przyczyn niepokojów, tragedii i traum, jakich doświadczone w mieście”^[124]. Dalej Bergmanowie relacjonują opowieści o duchach w Rosie Connolly’s, pubie mieszczącym się w budynku zwanym dawniej Railroad YMCA, a w końcu wyznają: „Nie znaleźliśmy zbyt wielu historycznych szczegółów związanych z Railroad YMCA, które mogłyby ujawnić tożsamość ukazujących się tam duchów”^[125]. A przecież ziemia, na której stoi pub, znajduje się zaledwie kilka kroków od dawnego hotelu Charles, gdzie wielu handlarzy, łącznie z licytatorami Benjaminem i Solomonem Davisami, miało swoje biura – i rzut beretem od niegdysiejszego więzienia Lumpkina.

Zamiast zbadać trudną lokalną historię oraz to, czy duchy z pubu Rosie Connolly’s mogą mieć jakiś związek z tragedią niewolnictwa, Bergmanowie opowiadają głównie o krwawych katastrofach, takich jak: zawalenie się galerii w budynku kapitolu stanowego w 1870 roku, kiedy to zginęły sześćdziesiąt dwie osoby, a dwieście odniosło rany; pożar w Old Richmond Theatre 23 grudnia 1811 roku, w którym zginęły siedemdziesiąt dwie osoby; zawalenie się tunelu Church Hill w 1925 roku, z czterema ofiarami śmiertelnymi. „Jeśli przedwczesne odejście z tego świata jest główną przyczyną aktywności paranormalnej – zauważają – nie dziwi, że w Shockoe spotyka się tyle widm”^[126]. W Shockoe istnieje zatem hierarchia cieni: tych znanych łowcom duchów, których historie opowiada się turystom, i tych, którym pozwala się rozplątać niezauważenie we mgłę niepamięci.

Opowieści o duchach i nawiedzonych miejscach łączą nas z przeszłością, rodziną i przodkami. Historie niesamowite amerykańskiego Południa, zwłaszcza te sięgające czasów sprzed wojny secesyjnej, przydają naszemu otoczeniu głębi i bogactwa wykraczających poza chwilę obecną. Jako istoty nadprzyrodzone duchy często reprezentują uniwersalną prawdę z przeszłości. Zamieniają przestrzeń w czas i mogą sprawić, by miejsce symbolizowało jakąś ponadczasową wartość lub ideę.

Świetnym przykładem jest Thomas Jefferson, którego ducha można spotkać w jego rezydencji zwanej Monticello. Słychać tam prezydenta, jak pogwizduje na korytarzach, albo widuje się go przy biurku, podczas gdy widma jego ukochanych ptaków, przedrzeźniaczy, trzepoczą skrzydłami w kłatkach wokół niego^[127]. Ukazuje się turystom i miejscowym pracownikom w holu wejściowym, skąd przygląda się znakomitym gościom, lub u boku żony Marthy przy stole w jadalni, roztaczając wokół siebie wdzięk i aurę życzliwości. Duch Jeffersona nie cierpi, nie dręczy go żadna niesprawiedliwość, której za życia nie naprawił. Jest spokojnym,

dobrotliwym patriarchą. Jego pokrzkająca obecność, prawdziwa lub wymyślona, łączy nas z przeszłością, dając gościom wyobrażenie o życiu w Monticello dwieście lat temu.

Naturalnie Jefferson nie mieszkał tam sam. Monticello zaludnione było niewolnikami. Mimo uświadomienia wolności i elokwentnej jej obrony, mimo niezliczonych apologetów, którzy przez lata próbowali łagodzić lub bagatelizować fakt posiadania przez Jeffersona niewolników, stosunek do nich pozostaje niewybaczalnym aspektem jego spuścizny. W odróżnieniu od wielu innych ludzi nigdy specjalnie nie wstydził się tego, że jest właścicielem niewolników; przeciwnie, wielokrotnie wygłaszał długie mowy usprawiedliwiające niewolnictwo. W 1821 roku ubolewał, że „trzymamy wilka za uszy, ale ani nie możemy go zatrzymać, ani bezpiecznie wypuścić”. Niepokoił się, że gdyby nie handel niewolnikami, na całym Południu zniewoleni zbuntowaliby się i obalili białych panów. Rozproszenie niewolników na jak największym terenie to jedyny sposób, by biali utrzymali się przy życiu. „Na jednej szali leży sprawiedliwość – pisał – a na drugiej obrona własnego życia”^[128]. Jak zauważa w swojej książce *Tales from the Haunted South* (Opowieści z nawiedzonego Południa) Tiya Miles, porażający lęk, jaki przeszły większość białych, nie był „strachem przed duchami, lecz strachem przed buntem czarnych”^[129]. Jedynym sposobem utrzymania białego świata południowych piękności i wytwornych dżentelmenów było odmówienie człowieczeństwa czarnym: imion, tożsamości, rodzin^[1*].

Jefferson, z jednej strony orędownik swobód i równości, z drugiej właściciel niewolników, ucieleśnia sprzeczność Ameryki, a zwłaszcza amerykańskiego Południa z wczesnego okresu historii Stanów Zjednoczonych. I pomimo całej swej architektonicznej urody Monticello nosi nieusuwalną skazę uwikłania w niewolnictwo. W 2002 roku na skraju południowego parkingu, mniej więcej 600 metrów od głównej rezydencji, odkryto archeologiczne dowody na istnienie cmentarza niewolników. W Monticello odbywają się teraz wycieczki poświęcone życiu na plantacji, do tej pory jednak nie pojawiły się żadne doniesienia o tym, by któryś z tych zmarłych wówczas Afroamerykanów próbował nawiązać kontakt z zaświatów.

Skoro opowieści niesamowite oparte są na tradycji oralnej, przekazywane z ust do ust przez anonimowych pośredników, w kolejnych wersjach ubarwiane i cyzelowane, mogą jedynie odzwierciedlać wiedzę i mądrość tych, którzy je opowiadają. Czy nieobecność historii o duchach z Monticello wskazuje, że wciąż, po upływie ponad stu lat, istnieje luka w zbiorowej pamięci, tabu dotyczące przeszłości, niemożność rozmowy na pewne tematy? Co to znaczy wybielić duchy miasta? Czy Wirginia ma duchy, którym wciąż nie jest gotowa stawić czoła?

Nieobecność czarnych duchów w Monticello to nic niezwykłego, próżno ich szukać w większości miejsc na amerykańskim Południu. Chloe z plantacji Myrtles należy do rzadkości, podobnych do niej duchów jest znacznie mniej niż tych o jasnej karnacji. Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju wymazaniem, co nie jest znowu aż tak zaskakujące, gdyż ostatecznie w niewolnictwie chodziło o zniszczenie życia wewnętrznego zniewolonych, przysłonięcie ich człowieczeństwa, zamianę ludzi w puste ciała. Handlarze niewolnikami pojęli bardzo szybko, że najlepszym sposobem na utrzymanie niewolniczej maszyny w ruchu i uzyskanie jak najwyższych zysków jest sprowadzenie tych ludzi do szeregu oddzielnych elementów, takich jak wzrost, wiek, cena. W Nowym Orleanie pewien handlarz doradzał nowemu właścicielowi plantacji: „Najlepiej nie kupować rodzin, lecz wybierać jedynie starannie dobranych młodych robotników najlepszego gatunku w wieku od 16 do 25 lat (nie kupować dzieciaków ani starych)”^[130].

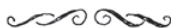
Afrykanie, których pojmano i sprowadzono do Nowego Świata, jak każda inna kultura pielęgnowali związki z przodkami i miejscami ich pochówku, czerpiąc z tych powiązań niemalą część swojej tożsamości. Rozdzielone i rozrzucone po całym kraju rodziny traciły swe więzi z przeszłością i zmarłymi. Nie było to działanie przypadkowe; wymuszona migracja zniewolonych, ułatwiona dzięki olbrzymim targom niewolników w miejscach takich jak Shockoe Bottom i Nowy Orlean, odbierała ludziom człowieczeństwo, a wszystko po to, żeby zmaksymalizować ich potencjalną wartość.

Rytuały pogrzebowe, święte miejsca pochówku, a nawet historie o duchach – tymi sposobami wszyscy ludzie próbują ośwoić śmierć. Dzięki nim pocieszamy się, że po naszym odejściu nie zostaniemy zapomniani – członek rodziny, który dba o nasz grób i przynosi kwiaty rok po roku, sprawia, że żyjemy nawet po śmierci. Właśnie tego rodzaju rytuały i obrzędy chciał odebrać swoim ofiarom handlarz, pozbawiając je nie tylko życia, ale i pamięci pośmiertnej^[131].

Celem tych wszystkich odmian przemocy było stworzenie, jak to nazywa historyk Edward E. Baptist, „nowego niewolniczego zombi”^[132], który będzie pracować, ale nie odczuwać, którego nie spowolnią ani nie przygnębią takie ludzkie cechy jak pamięć, tęsknota, rozpacz lub strach. Niewolnictwo miało stworzyć istoty wyłącznie cielesne, przepędzić z mężczyzn, kobiet i dzieci dusze, ażeby mogli funkcjonować tylko jako uległe ciała.

A jednak właściciele niewolników nigdy nie zamierzali całkowicie pozbawiać ich człowieczeństwa, pewne jego aspekty zachowywano dla konkretnych politycznych i ekonomicznych celów. Najbardziej jaskrawym przykładem takiego podejścia był wprowadzony do amerykańskiej konstytucji „kompromis trzech piątych”, który określał populację danego stanu, licząc każdego niewolnika jako trzy piąte osoby, aby zwiększyć liczbę reprezentantów Południa wybieranych do władz federalnych. Właściciele niewolników nie mogli do końca zdehumanizować tych mężczyzn i kobiet, warto jednak zdać sobie sprawę, że celem niewolnictwa było uczynienie ich jednocześnie obecnymi i nieobecnymi – stworzenie niewolnika nie musiało oznaczać całkowitego wymazania go jako osoby, tylko jego zamianę w widmo.

Na tym polega główny paradoks: ażeby zamienić żywych w duchy, trzeba ich z czegoś odrzec, pozbawić czegoś żywego; natomiast żeby podtrzymać przy życiu zmarłych pod postacią duchów, należy wypełnić ich pamięcią i historią, zachować coś, co w przeciwnym razie by przepadło.



Gdy tylko zaczniemy szukać duchów, które nie są białe, łatwo je znajdziemy. Baby Suggs zwraca się do Sethe w *Umiłowanej* Toni Morrison: „W całym kraju nie znajdziesz takiego domu, który nie byłby po kropkie wypełniony murzyńską rozpaczą”^[133]. W latach trzydziestych minionego stulecia ankieterzy pracujący dla agencji Works Progress Administration (WPA) zaczęli gromadzić historie byłych niewolników. Spisywali wspomnienia ich codziennej egzystencji, informacje dotyczące ubioru, lekarstw, a także relacje z pierwszej ręki o aukcjach i maltretowaniu. Świadectwa te zbierano w siedemnastu stanach, od Indiany po Florydę, i badania przyspieszono, kiedy stało się jasne, że możliwości gromadzenia danych szybko się kurczą – gdy przeprowadzano owe wywiady (w latach 1936–1938), z górą dwie trzecie respondentów miało już ponad osiemdziesiąt lat. Na początku XX wieku amerykańskie wyobrażenie o niewolnictwie zabarwiała nostalgia – a to za sprawą opowieści o zadowolonych niewolnikach, łaskawych właścicielach i rolniczym życiu blisko natury, czego przykładem

były książki Joela Chandlera Harrisa o wujku Remusie. Narracje byłych niewolników gromadzone przez WPA miały stworzyć bardziej obiektywny obraz. Osoby, z którymi przeprowadzono rozmowy w ramach tego projektu, gdy już mogły przemawiać własnym głosem, przedstawiły w dużej mierze nieopisany dotąd krajobraz sprzed wojny secesyjnej.

Ankieterzy dostali listę pytań i jedno z nich – numer 13 – dotyczyło duchów. Czy respondent/respondentka przypomina sobie piosenki i historie z dzieciństwa? Czy słyszał(a) opowieści o Trupiołowym i innych „wizytach” duchów? Czy osobiście widział(a) ducha? Odpowiedzi na te pytania były różne: niektórzy ankietowani nie wierzyli w pogłoski o duchach, inni sądzili, że były sposobem zastraszania ich przez białych, niektórzy opisywali duchy jako coś, co przerażało, uspokajało albo dręczyło.

Jane Arrington z Karoliny Północnej opowiedziała jednemu z ankieterów WPA historię Johna Maya, niewolnika zakatowanego przez dwóch białych mężczyzn, Billa Stone’a i Olivera Maya. Po śmierci, relacjonowała kobieta, „John May przychodził i obu ich prześladował”. Nie pozwalał im zasnąć, jęczał i zawodził przez całą noc, męczył ich niezmordowanie. Według Arrington doszło do tego, że inni niewolnicy zaczęli się bać tych dwóch białych, bo „duch Johna tak bardzo dawał im się we znaki” [134].

Inny respondent, George Bollinger, opowiedział o nawiedzonym Benton Hill w Missouri: „Pewnej nocy żeśmy tamtędy przejeżdżali i usłyszeliśmy coś, co brzmiało jak babskie krzyki. Był ze mną stary Ousbery i chciał się zatrzymać i zobaczyć co to, ale ja mu mówię: «Nie stawaj, jedź dalej, nie wiesz, co to może być»” [135].

W tych opowieściach duchy przerażają, ale za grozą zawsze kryje się jakaś przestroga. Florida Clayton wspominała, że w latach dziecięcych ona i jej rówieśnicy często widywali tajemniczy kryty wóz, który pojawiał się w Tallahassee, gdzie mieszkała, zawsze gdzieś na uboczu. I choć kusilo ich, żeby podejść i zbadać, co w nim jest, słyszeli od dorosłych, że w środku czai się „Trupiołowy”, duch, który nie lubi dzieci. Wiele lat później do Clayton dotarło, że wóz należał w rzeczywistości do łowcy niewolników, który wykradał dzieci i wywoził je na sprzedaż do Georgii, więc jej rodzice i inni dorośli wymyślili Trupiołowego, żeby je chronić [136].

Thomas Lewis z Indiany opisał „miejsce z wysokim ogrodzeniem”, gdzie miało straszyć: „Jak człek się zbliży, słysząc krzyki duchów czarnych ludzi, którzy zostali skatowani na śmierć. Rzecz trzymana jest w tajemnicy, żeby ludziska się nie zwiedzieli. Takie miejsca są zawsze ogrodzone, żeby prawda się nie wydała”. Opowiedział jeszcze historię: dwóch mężczyzn wybrało się na polowanie i ich pies, który zaczął za czymś gonić, przedarł się przez to ogrodzenie. Gdy jeden z mężczyzn ruszył za nim, jego przyjaciel zapytał: „Co chcesz zrobić?”. „Sprawdzić, co pies tam zagonił”, odpowiedział, na co jego towarzysz poradził: „Lepiej tam nie wchodzić. To miejsce nawiedzone przez duchy czarnych, których zakatowano” [137]. Isabelle Daniel z Missouri wspominała nawiedzoną fabrykę papierosów, do której żaden niewolnik nie chciał się zbliżyć po zmroku. „Gdy noce były bezwietrzne i świecił księżyc w pełni – relacjonowała – całą noc słysząc było stukanie drąga, a także głosy niewolników, skargi i płacze, a wiadomo było, że tam nikogo nie ma, jeno zjawy” [138].

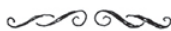
W opowieściach zebranych przez WPA pojawiają się nawiązania do wiedźm i zmór, które nawiedzają ludzi w nocy, wnikają do ich ciał i całą noc je „ujeżdżają”, by rano je opuścić. Silvia Witherspoon z Alabamy ujęła to bardzo zwięźle: „Skąd mam wiedzieć, że mnie ujeżdżają? Skarbie, rano jestem tak wykończona, że ledwo się mogę zwlec z łóżka, a wszystko przez te jędze” [139]. Duchy pozbawiają człowieka sił do pracy.

I znów: te historie niejednokrotnie wynikają z wątpli i zagrożonej więzi z przeszłością. Czasami duchy ukazują się na skutek rozpadu rodziny. Pewna mieszkanka Tennessee podczas porodu ujrzała przed sobą ducha kobiety. Nie rozpoznawszy zjawy, spytała: „Kim jesteś?”. Widmo odpowiedziało: „Nie zapominaj o starszych”, i znikło. Wtedy młoda kobieta uświadomiła sobie, że był to duch jej matki^[140]. Mężczyzna, na którego wołano wuj Louis, opowiadał o duchach bardziej z melancholią niż lękiem. Duchy, jak twierdził, są towarzyskie i chcą przebywać w pobliżu żywych. „Jak się kto wystraszy, duch się obraża i idzie gdzie indziej”^[141]. Skoro właściciele niewolników i handlarze próbowali realnie wymazać pamięć o zniewolonych, melancholijne duchy takie jak te, które widywał wuj Louis, mogły poszukiwać własnej przeszłości.

Tradycje ludowe zawsze się ze sobą mieszają, toteż ustanawianie wyraźnej i ściśle określonej granicy między opowieściami niesamowitymi społeczności białych i czarnych byłoby zbyt dużym uproszczeniem. Istnieją oczywiście historie o duchach czarnych pełniących te same funkcje, co duchy białych – wskazujących jakieś miejsce, wyjaśniających niewyjaśnione, upamiętniających zdarzenia z przeszłości. Bezsprzeczne jest jedno: historię piszą nie tylko zwycięzcy, historię piszą ci, którzy pisać potrafią. Zakaz nauki czytania i pisania obejmujący zniewolonych Amerykanów miał bezpośredni cel: odmówić im głosu i utrzymać ich pod kontrolą; jednak na dłuższą metę oznaczał też, że historie, biografie i opinie milionów Amerykanów z czasem po prostu przepadły.

Teoretycznie rzecz biorąc, opowieści niesamowite powinny stanowić antidotum na taki stan rzeczy. Wiedza oparta na tradycji ustnej, przekazywana z pokolenia na pokolenie poza oficjalnym obiegiem, powinna (zresztą często tak przecież bywa) odgrywać rolę historii alternatywnej, być świadectwem przymusowych analfabetów ciemniejących i marginalizowanych za życia. Lecz duchy Shockoe Bottom pokazują, że nie zawsze tak się dzieje, że właśnie z racji owej efemerycznej, nieokreślonej natury ich wizyty można z łatwością podporządkować dominującej narracji, i tylko jej.

„Spuścizna Wall Street jest trudna do upamiętnienia, wiąże się z nią bowiem wspomnienia, które są zbyt bolesne, kontrowersyjne i bulwersujące – napisał Jack Trammell o handlu niewolnikami w Richmond. – Ludzi interesują bitwy, kampanie i wyczyny militarne; mniej ich zajmuje to, o co w tych kampaniach walczone”^[142]. I podczas gdy ja przyjąłem założenie, że opowieści niesamowite pozwalają opowiedzieć o tym, o czym ludzie w innym wypadku nie chcieliby słuchać, tak się składa, że równie często wykorzystuje się je do utrwalania białych plam.



Dzielnica targowa Shockoe Bottom, niegdyś jedna z głównych lokomotyw gospodarki Południa, stoi dziś opustoszała, pozbawiona życia i prawdziwego ruchu handlowego. Położona daleko od wyższych uczelni, nie oferuje zbyt wielu atrakcji dla amatorów życia nocnego. Działają tam ledwie kilka barów, tajska restauracja i pizzeria sprzedająca pizzę na porcje, parę sklepików z elektronicznymi papierosami i kilka nocnych klubów. Nie oznacza to, że nie próbowano tej okolicy zrewitalizować. Przez całe lata burmistrz Richmond promował projekt wybudowania w sąsiedztwie nowego stadionu dla lokalnej drugoligowej drużyny baseballowej Squirrels. Pomysł, mający tchnąć nowe życie w podupadłą część miasta, rozwścieczył ekologów i tych, którzy się obawiali, że tak potężna budowa zniszczy cenne archeologiczne ślady przeszłości miasta.

Po ogłoszeniu owego projektu zespół archeologiczny, finansowany głównie przez Komisję Niewolniczego Szlaku Richmond, postanowił rozpocząć na terenie Diabelskiego Pół Akra prace wykopaliskowe. Staranna analiza historycznych map pozwoliła zlokalizować teren (teraz częściowo przykryty autostradą), na którym stał kiedyś kompleks Lumpkina. W grudniu 2008 roku, w czasie prac wykopaliskowych prowadzonych przez Instytut Archeologiczny James River pod kierownictwem Matthew Lairda, w błotnistej, wilgotnej ziemi odkryto pozostałości więzienia. Chociaż zespół nie odnalazł, jak oczekiwano, narzędzi tortur w rodzaju obręczy czy żelaznych łańcuchów do krępowania więźniów, odkrył za to niespodziewane ślady życia, które się tam toczyło: kawałki zastawy stołowej, między innymi angielskiej porcelany, wyrobów ceramicznych, a także pozostałości porcelanowej lalki.

Jak miasto godzi biznes z pamięcią o swojej historii? Opowieści niesamowite z Shockoe Bottom są nieszkodliwe, a w dodatku oblekają patyną niezwykłości miejskie bary i restauracje, spowijają je aurą tajemnicy i blichtru. Wabią, by spędzić czas z czymś nieuchwytnym i niedostępnym, dodają szczyptę niesamowitości do najzupełniej zwykłego poza tym wieczoru. Nie wspominają natomiast o przeszłości, której dziedzictwo może wciąż działać traumatycznie. Nie wymagają od uczestników życia nocnego Richmond, by pochylili się nad złożoną historią, a w szczególności nie wymagają od białych mieszkańców miasta i turystów, by się zmierzili z trudną prawdą. Tym, którzy woleliby nie wracać do tamtych czasów, miejska tradycja ułatwia zadanie, kierując ich uwagę na zamordowanych rusznikarzy i osławione prostytutki. Nie znaczy to wcale, że tamte, inne duchy nie są obecne. „Popłakałam się i nie mogłam przestać – wspominała Dolores McQuinn, przewodnicząca Komisji Niewolniczego Szlaku Richmond, gdy odnaleziono skorupy talerzy i resztki porcelanowej lalki. – Wyczułam tu czyjąś obecność. Jakąś więź. Ciężar, od którego od tamtej pory nie potrafię się całkowicie uwolnić”^[143].

Nie ona jedna czuła obecność duchów tych, którzy trafili do piekła Shockoe. Gdy Lupita Nyong'o zdobyła Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej za rolę Patsey w *Zniewolonym*, swoją mowę podczas odbierania nagrody zaczęła od wzmianki o duchach: „Ani przez chwilę nie zapominam, jak wiele szczęścia w życiu zawdzięczam temu, że inni tyle wycierpieli – powiedziała publiczności w Los Angeles. – Chciałabym więc oddać hołd duchowi Patsey za jej wsparcie”. A gdy dziękowała reżyserowi filmu Steve'owi McQueenowi, zwróciła się do niego: „Jestem pewna, że zmarli stoją przy tobie, oglądają to wszystko i są wdzięczni. Ja też”^[144].

Zmarli obserwują nas niezależnie od tego, czy chcemy słuchać ich historii, czy nie.

DZIDZIA

Reno, Nevada

Jedna z wielkich legend Dzikiego Zachodu opowiada o Belli Rawhide i Timber Kate^[145], dwóch prostytutkach, które pracowały w domach publicznych Reno w stanie Nevada pod koniec XIX wieku, kiedy pieniądze i życie płynęły równie szybko, jak się kończyły. Bella była niebieskooką blondynką, dorodną i uroczą, znaną z numeru scenicznego pod tytułem „Strój Ewy”: pojawiała się przed publicznością jedynie w pozłacanych liściach figowych i każdy klient za szczyptę złotego pyłu mógł zdjąć jeden liść, a mężczyzna, który zdejmował ostatni listek, mógł ją zabrać do łóżka. Timber była wysoka, muskularna, szorstka, znana nie tylko ze swych łóżkowych talentów, ale i groźnych ciosów, które rozłożyły na łopatki niejednego facecika. Były nierozłączne i twierdziły, że są siostrami, choć ta bajeczka stanowiła tylko przykrywkę dla ich związku. Przed występami Timber rozwieszała plakaty reklamujące ich show i dzięki tournée po powstających jedno za drugim miasteczkach Zachodu obie się wzbogaciły.

Wtedy w Reno pojawił się naciągacz i oszust Tug Daniels. Gdy usłyszał o sukcesie Belli i Timber, postanowił na nich zarobić, ile tylko się da. Najpierw uwiódł Bellę, niebawem jednak obie kobiety szaleńczo się w nim zakochały i z zazdrości zwróciły się przeciwko sobie. Daniels chciał się uwolnić od Timber, dlatego zbiegł wraz z Bellą do pobliskiego Carson City, gdzie stręczył jej klientów w Beehive, domu publicznym przy North Quincy Street. Podczas gdy Bella nadal świetnie zarabiała, Timber ledwo wiązała koniec z końcem i wpadła w depresję. Próbowwała przebierać się za mężczyznę i występować jako ciężarowiec, ale pomysł nie wypalił.

Po kilku latach Daniels ukradł Belli wszystkie oszczędności i czmychnął z miasta. Bella była załamana – do czasu aż w Carson City zjawiała się Timber i doszło między nimi do pojednania. Nadal pracowały w Beehive i chociaż znów były razem, Timber coraz częściej dręczyła myśl, że Bella kiedyś znowu ją zostawi. I wtedy ponownie zjawił się Tug Daniels.

Na widok gościa, który ją upokorzył i uciekł z jej ukochaną, Timber postanowiła się zemścić. Stanęli naprzeciwko siebie w Beehive. Kobieta zaatakowała pierwsza, próbując wyprowadzić jeden ze swych legendarnych ciosów, lecz Daniels się uchylił, wyciągnął nóż i brutalnie ją pociął. Gdy Timber Kate konała, uciekł przez okno na zapleczu. Niedługo potem Bella Rawhide targnęła się na swoje życie, wypijając płyn do dezynfekcji.

Żadna część tej historii nie ma umocowania w faktach i nawet starannie dawkowane szczegóły, choć wydają się tak konkretne, prowadzą donikąd. Przede wszystkim w Carson City nie ma ulicy North Quincy. A jednak na początku XX wieku mieszkańcy północnej Nevada twierdzili, że widzieli tajemnicze plakaty wciąż reklamujące występy Timber Kate i Belli Rawhide. Ci, którzy próbowali je zdejmować, dostawali cios od ducha Timber Kate. Inni wi-

dzieli ponoć umierającą Timber, obdartuskę wlokącą się po ulicy w księżycowej poświacie, przyciskającą ręce do brzucha tam, gdzie ugodził ją Daniels. Bella natomiast wciąż ukazuje się w budynku słynnego niegdyś lupanaru Beehive – mimo że nikt nie wie, gdzie ów przybytek się właściwie znajdował.



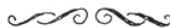
Timber i Bella nie są bynajmniej jedynymi córami Koryntu, które odnotowano w annałach historii niesamowitych Ameryki. W Red Onion Saloon w Skagway na Alasce straszy kobieta z czasów świetności tego lokalu, czyli z końca XIX wieku – niejaka Lydia, o której nie wiadomo nic prócz tego, że zapowiada swoje wizyty silną wonią perfum. Dom publiczny Dumas w Butte w Montanie powołuje się na odwiedziny podobnych duchów; mówi się o lustrach spadających ze ścian, trzęsących się łóżkach i dotyku upiornych palców. W hotelu Lincoln w Manns Choice w Pensylwanii mieści się teraz sklep z antykami, lecz duchy podejrzanej konduity wciąż snują się po jego korytarzach, trącając bibeloty oraz ozdoby. I oczywiście dochodzi jeszcze Nowy Orlean, siedziba tylu rzekomo nawiedzonych domów rozpusty, że jedna z firm oferuje wycieczki wyłącznie ich szlakiem.

Dlaczego domy uciech i ich pracownice odgrywają tak ważną rolę w zbiorach opowieści niesamowitych? Być może ma to związek z tym, że domy publiczne otacza aura tajemniczości: najczęściej działają nielegalnie, nieoficjalnie, to, co się w nich dzieje, jest przeważnie ukryte i nawet ich lokalizacja bywa często trzymana w sekrecie, przekazywana z ust do ust, które dawno już zamilkły. Każdy stary okazały budynek, każdy bar działający od lat w mieście, które kiedyś przeżywało boom, wydaje się odpowiednim kandydatem, by dostrzec w nim niegdysiejszy zamtuż. Nawiedzony budynek w Richmond przy East Cary Street uważa się za dawny dom publiczny, ale według łowców duchów to tylko plotka. Opowieści niesamowite o lunaparach – chociaż te były prawdziwymi i prężnie funkcjonującymi przybytkami – stanowią szczególną kategorię tradycji ustnej o wysoce efemerycznym charakterze.

Obraz domów publicznych Dzikiego Zachodu kojarzy się nie tylko z potajemnym seksem, lecz także z przemocą, barowymi burdami, zepsuciem i zemstą, szpecącymi napaściami (jak te, które napędzają fabułę *Bez przebaczenia* Eastwooda), gwałtami i morderstwami. Takie miejsca poza nawiasem kulturalnego społeczeństwa wydają się magnesem dla tego rodzaju intensywnych, gwałtownych ludzkich doświadczeń, jakie często stają się pożywką dla opowieści niesamowitych i nawiedzeń.

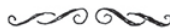
Lincoln House w Manns Choice jest ponoć nawiedzany przez kobietę, która tam pracowała, a którą rozwścieczony mąż pewnej nocy zastrzelił, odkrywszy, że nie przynosi do domu dosyć pieniędzy. Jest jeszcze obiekt nazywany Murder Bordello w Galenie w stanie Kansas, prowadzony w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku przez niejaką Nancy Wilson, nazywaną również Ma Staffleback, którą skazano razem z mężem i dwom synami za zamordowanie górnika Franka Galbraitha (a byli zamieszani w zabójstwo jeszcze ponad trzydziestu innych mężczyzn).

Domy publiczne to miejsca liminalne (od łacińskiego *limen*, czyli „próg”), graniczne, gdzie tradycyjne normy społeczne są tymczasowo zawieszane. Świat lupanarów w tej czy innej formie wydaje się światem *in extremis*, na krawędzi. I może żadna inna działalność nie nadaje się tak bardzo jak ta do inspirowania opowieści niesamowitych. Dom publiczny, swoiste połączenie tragedii i tajemnicy, brutalnej przemocy i erotycznego powabu, wydaje się idealnym miejscem do zamieszkania przez duchy.



Pod koniec listopada 2014 roku jedno z czasopism, z którymi współpracuję, wysłało mnie do Reno, żebym przeprowadził wywiad z Lance'em Gilmanem, właścicielem najsłynniejszego legalnego domu publicznego w Ameryce, Mustang Ranch. Miałem się z nim spotkać w związku z podpisaną przez niego, a wartą pół miliarda dolarów umową z Teslą, przedsiębiorstwem motoryzacyjnym, które zgodziło się właśnie wybudować olbrzymią fabrykę akumulatorów elektrycznych na należącym do Gilmana terenie przemysłowym pod Reno. Spędziłem dwa dni z Gilmanem i jego pracownikami, w tym szefową Mustang Ranch, Tarą Atkins. Fotograf, którego wysłano razem ze mną, przywiózł furgonetkę pełną sprzętu i gdy przygotowywał się do skomplikowanego ujęcia z udziałem kilku pań, ja stałem beczynnie obok i dla zabicia czasu gawędziłem z Atkins. Wtedy właśnie wspomniała, że w Mustang Ranch straszyc ^[146].

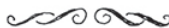
Więcej. Aktywność duchów jest wprost niebywała.



Domy publiczne na prowincji Nevady zawsze były tolerowane i choć, formalnie rzecz biorąc, nie są nielegalne, czasem grozi im zamknięcie, gdy dochodzi do „naruszenia porządku publicznego”. Joe Conforte, często nazywany ojcem chrzestnym zalegalizowanej prostytucji w Nevadzie, w 1967 roku odkupił Mustang Ranch od konkurencji, a w roku 1971, po długotrwałym lobbowaniu i sądowych potyczkach, uzyskał wreszcie od hrabstwa Storey pierwsze pozwolenie na działalność legalnego domu publicznego. Od początku dla większości władz lokalnych zaletą takich przedsięwzięć było inkasowanie opłat licencyjnych, zawsze jednak znajdowali się ludzie, którzy w prostytucji widzieli plagę. Alexa Albert, która w 1993 roku spędziła miesiąc w Mustang Ranch jako badaczka i obserwatorka (i później opisała swoje doświadczenia), nazwała pierwotny przybytek „obskurnym barem dla motocyklistów minus stół bilardowy i automat do gry” ^[147].

Tak jak w saloonach na Dzikim Zachodzie, w Mustang Ranch kłopoty czuły się jak w domu. W 1976 roku na parkingu zginął zawodowy bokser wagi ciężkiej Oscar Bonavena. Conforte ściągnął go, żeby pomógł wypromować interes, bokser jednak szybko nawiązał romans z jego żoną Sally. Choć miał zakaz wstępu do lokalu, wrócił tam 22 maja i zażądał rozmowy z właścicielem. W czasie kłótni z ochroniarzami na parkingu Bonavena dostał kulkę w serce. Ochroniarz Willard Ross Brymer przyznał się później do zabójstwa w afekcie i spędził piętnaście miesięcy w więzieniu. Szczęśliwie dla Confortego uznano, że nie był zamieszany w śmierć Bonaveny, ostatecznie jednak naraził się władzom federalnym, które w 1980 roku oskarżyły go o uchylanie się od płacenia podatków. Zbiegł do Brazylii, by uniknąć ekstradycji, i władze federalne przejęły jego „ranczo”.

Wtedy już Lance Gilman kupił gigantyczny teren przemysłowy na skraju Reno – Tahoe Reno Industrial Center. Władze hrabstwa Storey desperacko potrzebowały wpływów, jakie przynosiły domy publiczne, toteż ogłosiły, że planują wydać nowe licencje. Zdając sobie sprawę, że kolejny obskurny, szemrany burdel mógłby zaważyć na reputacji okolicy i pokrzyżować mu plany przyciągnięcia firm z sektora nowych technologii, Gilman sam kupił taką licencję i w 2002 roku otworzył Wild Horse Ranch. Kilka lat później władze federalne wystawiły na eBayu Mustang Ranch – nazwę, prawo do niej, majątek i sam budynek. I znów próbując ubiec niepożądaną konkurencję, Gilman kupił Mustang Ranch, oferując 145 100 dolarów, by później połączyć oba domy publiczne pod jednym szyldem.



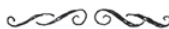
Przeniesienie Mustang Ranch wymagało czegoś więcej niż zdemontowania budynku i załadowania go na ciężarówkę. Zaprojektowany w kształcie olbrzymiego ośmioboku, miał zbyt rozłożysty szkielet, by mógł się zmieścić w wąskim kanionie, gdzie wybudowano Wild Horse Ranch, toteż ekipa Gilmana ostatecznie musiała przetransportować większą część budynku helikopterem. Został złożony na nowo po przeciwnej stronie parkingu od Wild Horse i dziś obydwa budynki łączy niełatwa relacja.

Rozkład Wild Horse Ranch jest nieskomplikowany. Wchodzi się najpierw do baru (oficjalnie działającego oddzielnie, ponieważ w domach publicznych w Nevadzie obowiązuje zakaz sprzedawania alkoholu). Za drzwiami w głębi baru znajduje się luksusowy pokój, który został urządzony tak, żeby przypominał elegancki pawilon myśliwski, z trzaskającym ogniem, miękkimi skózanymi sofami, (dosyć) gustownymi malowanymi aktami i ścianą obwieszoną głowami wypchanych zwierząt. Pod uważnym spojrzeniem łosia, bizona i kilku jeleni działają nowoczesne urządzenia monitoringu, gabinet lekarski i dobrze zaopatrzona kuchnia. Jedy- nym elementem, który gryzie się z tą myśliwską estetyką, jest lustrzana ściana wykorzysty- wana do „okazania”. Wzywa się tam wszystkie pracujące w danym momencie kobiety, by klient mógł sobie którąś wybrać.

Oświetlenie jest dyskretne, ale skuteczne: brak mrocznych zakamarków czy ciemnych ko- rytarzy. Wyczuwa się zapachy klimatyzowanego powietrza i olejku dla niemowląt, które bez wątpienia maskują kilka innych woni, i choć nazwanie tego miejsca „przytulnym” byłoby przesadą, jest tam całkiem przyjemnie. Budynek ma symetryczny plan: od salonu w stylu my- śliwskim odchodzą dwa skrzydła mieszczące poszczególne sypialnie, na tyłach zaś znajduje się basen otoczony dwoma mniejszymi skrzydłami, gdzie odbywają się imprezy.

Pierwotny budynek Mustang Ranch, z wystrojem nieco niższej klasy, nie ma tej otwartości. Wchodzi się do mrocznego, oświetlonego neonami baru z niepasującymi do wnętrza neokla- sycznymi kolumnami oplecionymi sztucznym bluszczem. Stamtąd w różne strony rozchodzą się korytarze, które nikną w ciemnościach. Z zewnątrz można się domyślić ośmiobocznego z grubsza kształtu, nie widać jednak (cały budynek otaczają żywopłoty), że z owego central- nego ośmioboku odchodzi pięć korytarzy różnych długości. „Istna ośmiornica”, powiedział mi Gilman i widok z powietrza potwierdza ten fakt: macki wcinają się w pustynię Nevady we wszystkich kierunkach.

Mustang jest w rzeczywistości nieco mniejszy niż Wild Horse, odnosi się jednak wrażenie, jakby ciągnął się w nieskończoność. Jak w wypadku domu pani Winchester, budynek ten za- kłóca nasze poczucie przestrzeni, emanując aurą tajemnicy i wywołując dezorientację. Zama- skowanie jego kształtu nie było celowe, ale powstały efekt jest taki sam: przekraczając próg tego domu, gość w gruncie rzeczy zdaje się na jego łaskę.



Atkins jest szefową Mustang Ranch od kilku lat; miejscowe duchy urzędują tam znacznie dłużej. W 2013 roku w Reno zjawiała się ekipa reality show *Ghost Adventures*, przywożąc ze sobą masę sprzętu i męskiej arogancji^[148]. W czasie programu Atkins zaprowadziła ich do budy- nku Mustang Ranch i poinformowała, że wiele kobiet boi się chodzić zwłaszcza korytarzem „B”, gdzie podobno napiera na nie niewidoczna siła, po czym od czasu do czasu znajdują na swoim ciele siniaki, których pochodzenia nie potrafią wyjaśnić. Kobiety spędzające czas

w pokoju B1, opowiadała, mają skłonności do gwałtownych wahań nastroju. Doświadczenia te nie ograniczały się tylko do pracujących dziewczyn; sprzątaczkę donosiły, że ciągną je tam za włosy niewidzialne ręce. W końcu wezwano kogoś w rodzaju szamana, żeby oczyścił budynek ze złych mocy.

Naturalnie widmo Oscara Bonaveny też się tam błąka, chociaż zastrzelono go na parkingu w poprzedniej lokalizacji Mustang Ranch. Jedna ze sprzątarek opowiedziała ekipie *Ghost Adventures* o mężczyźnie w białej koszuli, którego widziała przed budynkiem; gdy pokazano jej zdjęcie Bonaveny, potwierdziła, że to był on.

Raczej nie mam zaufania do tego typu programów. Każdy paranormalny incydent w *Ghost Adventures* czy innych podobnych formatach telewizyjnych przedstawiany jest z zastosowaniem bardzo wybiórczego i sugestywnego montażu; rekonstrukcje zdarzeń popadają w melodramatyzm i często podawane są widzom jako fakty. Jak większość osób już zapewne wie, telewizja z gatunku reality show z rzetelnością ma niewiele wspólnego, co dotyczy również rzekomych spotkań z duchami.

Lecz tamtego popołudnia, gdy stałem z Atkins w oczekiwaniu na zakończenie sesji zdjęciowej, usłyszałem opowieść o dziewczynie, nazwijmy ją Jean, do której najwyraźniej przyczepił się jakiś duch. Nie złośliwy, lecz z pewnością wszechobecny – przewracał bibeloty na toaletce i przestawiał przedmioty. Gdy na sesję zdjęciową do *Ghost Adventures* sprowadzono medium, Jean zapytała o swego osobistego ducha i usłyszała, że ma na imię Baby – Dzidzia.

Okazało się, że „Dzidzia najwyraźniej lubi wodę”, jak przekazała mi Atkins, toteż w pewnym momencie Jean umieściła w swoim pokoju małą fontannę, co ponoć uspokoiło ducha. Rozmawialiśmy o innych niesamowitych incydentach i napomknąłem, że zazwyczaj mają one związek nie tylko z samym budynkiem, ale i z ziemią, na której stoi, więc po przeniesieniu Mustang Ranch do nowej lokalizacji ich liczba powinna się zmniejszyć. Usłyszałem w odpowiedzi, że przeciwnie, od przenosin budynku aktywność duchów nawet wzrosła. Cokolwiek wywołuje tutaj paranormalną aktywność, tkwi w kościach samego domu.

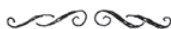
Słuchałem jej uprzejmie do chwili, gdy niemal jak na zawołanie przeszła obok nas Jean. Atkins chwyciła ją za skąpe odzienie i powiedziała: „Hej, przynieś no te swoje filmy, te z duchem”. Jean, nieco zaskoczona, spełniła jej prośbę i kilka minut później wróciła z telefonem, po czym odtworzyła mi dwa filmiki.

Pierwszy nagrała dla swojego męża; gdy pracuje w Mustang Ranch, nie widują się całymi tygodniami, więc wysłał mu od czasu do czasu takie krótkie wideo. Tańczy na nim uwodzicielsko, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z niewielkiej kuli światła – może o średnicy dwóch, trzech centymetrów – która unosi się za jej głową. Kula porusza się w kadrze w sposób niesynchronizowany z jej ruchami, czasem przelatując jej przed twarzą, gdy ona wciąż płąsa. W pewnym momencie światło znika, ale kilka sekund później znów ukazuje się w kadrze i sunie prosto ku jej głowie, a w chwili gdy nawiązuje z nią „kontakt”, dziewczyna dość komicznie upada.

Drugi filmik nakręcony jest z łóżka, jak gdyby właśnie się obudziła. Nieco drżąc dłoń kieruje aparat w stronę okna, gdzie żaluzje częściowo zasłaniają poranne słońce. Potem urządzenie obraca się do sufitu, a tam najwyraźniej widnieje liczba 13. Na filmiku widać to jak na dłoni: na suficie odbija się bladoniebieskie światło. Gdy Jean pokazała filmik koleżankom z pracy, wszystkie próbowały dojść do tego, co ta trzynastka miałaby znaczyć, co się za nią kryje, aż Atkins zauważyła, jak blisko siebie są cyfry 1 i 3 i zasugerowała, że może 13 to lite-

ra B.

B jak Baby.



Mustang nie ukrywa swej przeszłości, ale też nie chęłpi się czasami bezprawia, gdy szefował mu Joe Conforte. Jeden z apartamentów został nazwany na jego cześć (z oprawionymi relacjami prasowymi z procesu o morderstwo), ogólnie jednak panuje tam atmosfera jak w luksusowym (aczkolwiek nieco kiczowatym) hotelu z nadzwyczaj zaostrzoną ochroną.

Gdy Gilman razem ze swoją partnerką Susan Austin wszedł w branżę seksbiznesu, ich celem była zamiana legalnej prostytucji w produkt luksusowy. Koniec z przyczepami, podejrzanymi interesami – wszystko miało się odbywać całkowicie jawnie i zgodnie z prawem. Tutaj kobiety są zarejestrowane jako niezależne podmioty i płaci się im czekami, regularnie przechodzą drobiazgowe badania lekarskie, obiekt zaś i pracownice objęte są przesadną wręcz ochroną.

Być może sprzedaje się tu liminalność, ale w dużym stopniu odnosi się wrażenie, że to biznes jak każdy inny. Zatrudnionych prostytutek nie spowija aura tragedii; lista oczekujących kandydatek do pracy w Mustang Ranch jest długa, a Gilman i Atkins twierdzą, że na dziesięć kobiet dziewięć odrzucają. Praca jest w porządku, świetnie płatna, a dziewczyny są dobrze traktowane. Spora część niezależnych współpracownic Mustang Ranch zaczynała w innych legalnych domach publicznych w Nevadzie, jednak szybko próbowały się dostać do Mustanga, bo cieszył się o wiele lepszą opinią.

Co nie oznacza, jakkolwiek by na to patrzeć, że praca jest łatwa. Po dwóch dniach rozmów z prostytutkami z Mustang Ranch stało się dla mnie jasne, jak bardzo jest wymagająca od strony psychologicznej. Poza seksualnym rola pracownicy domu publicznego ma też aspekt emocjonalny i intelektualny. W związku z tym, że te kobiety sprzedają seks jako produkt luksusowy, ich praca polega nie tylko na odgrywaniu fantazji, lecz także na umiejętności prawidłowego odczytywania potrzeb klienta, jego ukrytych, niezwerbalizowanych lęków, pragnień i kompleksów. Zasugerowałem więc, że być może praca w domu publicznym w 90 procentach ma charakter psychologiczny.

„Nie – poprawił mnie Gilman – raczej w 100”^[149]. Kobiety, z którymi rozmawiałem, całkowicie się z tym zgodziły. „To opieka w najgłębszym znaczeniu tego słowa”, dodał Gilman.

Podczas naszej rozmowy o duchach Atkins wspomniała w pewnym momencie, że dziewczyny najbardziej obciążone psychicznie i zmęczone, te najbardziej wyczerpane nerwowo, mają największą szansę zobaczyć w Mustang Ranch ducha. Pomyślałem o zażaleniach związanych z pokojem B1, a w szczególności o huśtawce nastrojów u kobiet, które spędzają tam zbyt dużo czasu. Gdy jednak wskazałem na oczywistą korelację, że to wszystko może być przejawem wypalenia i wycieńczenia emocjonalnego, Atkins natychmiast odrzuciła tę sugestię. Ostatecznie, wyznała, ona też widuje duchy.



W architekturze domu publicznego forma odzwierciedla funkcję. W miejscu zaprojektowanym w taki sposób, by oddać jego liminalną naturę, na granicy prawa, gdzie odwrócony jest układ sił, sam budynek będzie tajemniczy, dziwny, zniekształcony. Bezimienna rezydencja, odosobniony zameczek, nieoznaczone wejście do sutereny, odludna chata na skraju cywilizacji przemawiają do naszego poczucia tajemnicy, cudów niewidzialnego świata, do któ-

rych zalicza się nie tylko seks, ale i duchy. Zjawy w Mustang Ranch mają, być może, mniej wspólnego z tym wszystkim, co tradycyjnie kojarzymy z domami publicznymi – bezprawiem, przemocą, tajemniczością – a więcej z faktem, że w tej branży praca jest po prostu wysoce stresogenna.

Wciąż nie mogę przestać myśleć o tych dwóch filmikach. Zakładając oczywiście, że nie były rezultatem cyfrowej manipulacji (w jakim celu?), sądzę, że owo B na suficie było świetlnym refleksem, gdy na lśniący metalicznie pasek żaluzji w specyficzny sposób padło światło, a nokautująca kula – jakimś zakłóceniem, które przypadkowo zbiegło się w czasie z utratą przez dziewczynę równowagi. Ale pierwszy przyznam się do tego, że są dni, kiedy nie jestem wcale pewien tych racjonalizacji. Z wszystkich lokalizacji, które odwiedziłem w poszukiwaniu duchów, akurat ta, gdzie wytłumaczenie psychologiczne wydawało się najbardziej prawdopodobne, była też miejscem, gdzie znalazłem najmocniejsze dowody na istnienie zjawisk paranormalnych.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PRZEJAZDEM

Los Angeles, Kalifornia

Dlaczego Elizabeth Short – Czarna Dalia – straszy w hotelu Biltmore w centrum Los Angeles? Prawda, tam właśnie po raz ostatni widziano ją żywą, dlaczego jednak nie ukazuje się na tym smętnym odcinku chodnika, przy którym znaleziono jej zwłoki? Dlaczego nie pojawia się tam, gdzie została zamordowana?

Biltmore pamięta czasy starego Hollywood, jego złote lata. Otwarty w 1923 roku, był wówczas największym hotelem na zachód od Chicago i zastąpił pobliską, równie okazałą Alexandrię jako epicentrum hollywoodzkiego blichtru. Właśnie tutaj, we wspaniałej Crystal Ballroom, w 1927 roku założona została Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej, tutaj też, w podziemnej sali bankietowej Biltmore Bowl, zorganizowano osiem ceremonii rozdania Oscarów.

Rozumiem, dlaczego ludzie sądzą, że hotel ów jest nawiedzony. Nocowałem w nim, słyszałem, w jak nieprzyjemny, dziwny sposób stukają i rżęzą rury, jak gdyby cały budynek oddychał i żył. Rozglądałem się po opustoszałych korytarzach, niemalże podejrzewając, że za którymiś drzwiami dochodzi właśnie do brutalnego mordu, że trzeba go będzie zatuszować i wymazać z pamięci, choć ślad po zbrodni jak plama wniknie w ściany. A tymczasem pełne przepychu sale balowe wciąż będą symbolizować świetność i czar dawnego Hollywood. W październiku 2010 roku spadła tutaj sześć pięter w dół klatki schodowej i poniosła śmierć na miejscu niejaka Laura Finley. Kilka godzin po znalezieniu jej półnagiego ciała w lobby hotelu mąż Laury wziął udział w przesłuchaniu do następnego sezonu *America's Got Talent* przed Piersem Morganem, Sharon Osbourne i Howiem Mandelem.

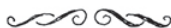
Ma się wrażenie, że takie rzeczy zdarzają się w Biltmore bez przerwy. Jedna z byłych pracownic opowiadała: „Kraży mnóstwo historii o duchu na dziesiątym i jedenastym piętrze. W czasach, kiedy sprzątałam w tym hotelu, wielu pracowników, nawet ochroniarzy, nie lubiło tam chodzić podczas nocnej zmiany z tego właśnie powodu. Moja siostra pracowała na dziesiątym piętrze w barze dla VIP-ów [...] i były tam duchy, które dotykały różnych przedmiotów, przesuwały je. Ludzie mogą mówić, że duchy nie istnieją. Proszę bardzo, niech się tam zatrzymają. Ja wiem swoje, doświadczyłam tego na własnej skórze”^[150].

Los Angeles ma swoje nawiedzone domy, nawiedzone bary i nawiedzone restauracje, ale najlepsze historie niesamowite są związane z hotelami. Nie tylko z Biltmore. Pobliska Alexandria, teraz apartamentowiec, gości podobno Rudolpha Valentino, który wciąż tańczy pod owalnym świetlikiem sali balowej. Valentino nawiedza też dom spokojnej starości mieszczący się w dawnym hotelu Knickerbocker, wraz z duchami Elvisa Presleya (straszącego w wiecznie zimnym pokoju 1016) i Williama Fawleya (który grał Freda Mertza w *Kocham Lucy*

i padł martwy w lobby Knickerbockera). Aktorka Frances Farmer została stamtąd wyprowadzona siłą i zamknięta wbrew własnej woli w szpitalu psychiatrycznym, z kolei hollywoodzka kostiumografka Irene Lentz w 1962 roku skoczyła z hotelowego dachu na wieść o śmierci Gary’ego Coopera. W Knickerbockerze ukazują się także Marilyn Monroe, choć pojawia się też w pokoju „plażowym” 246 w Rooseveltcie przy Hollywood Boulevard, gdzie dzieli się obowiązkami ze złośliwym duchem Montgomery’ego Clifta grającym przez całą noc na puzonie. Carole Lombard, Clark Gable i Harry Lee – wszyscy byli tam widywani. Hotel Culver gości widma karłów, którzy grali Manczkinów w *Czarnoksiężniku z Oz* kręconym w Sony Studios po drugiej stronie ulicy; żaden z nich tam nie zmarł, słychać tylko ich konspiracyjny szept, gdy przechodzi się korytarzami. No i jest jeszcze Hollywood Tower, hotel tak bardzo słynący z duchów, że Disney wybudował Wieżę Grozy Strefy Mroku (Twilight Zone Tower od Terror) zainspirowany jego reputacją.

Ale przecież nawiedzone są wszystkie hotele. Oszukujecie samych siebie, jeśli tego nie widzicie, jeśli nie dociera do was, że śpicie z duchami. Personel każdego hotelu ma swoje historie; każda pokojówka i każdy boy hotelowy wie, jak jest naprawdę. W *Nawiedzonym hotelu*, gotyckiej powieści Wilkie’go Collinsa z 1878 roku, włoska willa zostaje zamieniona w hotel niedługo po tym, jak stała się sceną strasześliwej, niewyjaśnionej tragedii. W wieczór otwarcia jeden z gości (człowiek „zupełnie nie zabobonny”^[151]) wynajmuje apartament numer 14, który rankiem opuszcza w pośpiechu. Na następną noc w apartamencie zatrzymuje się para – kobietę dręczą przerażające sny, po przebudzeniu boi się powtórnie zasnąć i ona też wyjeżdża pod pierwszym lepszym pretekstem.

Zalóżmy zatem, że każdy koszmar, jaki kiedykolwiek przyśnił się nam w hotelu, był czymś wołaniem o pomoc, gwałtem, którego echo dotarło do nas z przeszłości.



Można się wybrać na poszukiwanie Marilyn lub Valentino, ale prawdę powiedziawszy, są to najmniej intrygujące historie o duchach, jakie ma do zaoferowania Hollywood. Pośmiertne odwiedziny gwiazd mają swój tragiczny wymiar, to na pewno, ale po jakimś czasie stają się banalne. Nie sposób zrozumieć Hollywood, jego wspaniałości i dekadencji, jeśli zależy nam tylko na legendarnych nazwiskach. Trzeba poszukać zapomnianych historii.

„Ile razy można wysłuchiwać o tym, jak ten, jak mu tam, gra na puzonie w Rooseveltcie?” – spytała mnie Lisa Strouss^[152]. Był sierpień 2012 roku i siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku w Hollywood Hills, rozmawiając o duchach. „Dlaczego duchami są tylko ludzie znani? To takie głupie”.

Strouss jest założycielką organizacji GHOULA (Ghost Hunters of Urban Los Angeles – Łowcy Duchów Miasta Los Angeles), którą powołała wspólnie z Richardem Carradine’em latem 2008 roku. Lisa wierzy w zjawiska paranormalne w tej czy innej formie, odkąd była nastolatką. Z kolei Carradine jest sceptykiem, choć jak sam twierdzi, wielokrotnie doświadczył tzw. pełnych objawień (gdy duch ukazuje się nie w formie światła lub głosu, lecz widzialnego, przezroczystego widma całego ciała) – co w świecie zjawisk paranormalnych ceni się najwyżej. Od kilku lat GHOULA organizuje spotkania pod hasłem „Czuj duch!”, każde w innym nawiedzonym miejscu w południowej Kalifornii, zawsze trzynastego dnia każdego miesiąca.

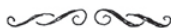
„Początkowo na nasze spotkania przychodzili ludzie – opowiadała Strouss – których znałam całe lata i nigdy nawet się nie zająknęli o duchach, aż tu nagle zjawiali się na spotkaniu i wyrzucali z siebie swoją historię. Zawsze poprzedzał ją wstęp typu: «Ja to w ogóle w duchy

nie wierzę, jestem osobą całkowicie racjonalną, jestem naukowcem i tak dalej... ale ten jeden raz...». To jest zawsze niespodzianka”. W końcu opowieść, nie wiadomo jak długo skrywana, zaczęła płynąć. „O mało nie zaczęli szlochać” – mówiła Strouss. A potem, gdy już było po wszystkim, znów zamykali się w swojej skorupie logiki. „Zawsze czują jednak ulgę, że to z siebie wyrzucili. Dodaje im to w jakiś sposób otuchy, nadziei – stwierdziła, odwracając wzrok. – Dobrze jest usłyszeć taką historię, nawet jeśli robi się strasznie”.

Właśnie na spotkaniu GHOULA w 2009 roku, w Eden Bar and Grill w Pasadenie (budynku, w którym kiedyś działała kostnica), Craig Owens poznał Bobby’ego Garcię. Owens pracował w przemyśle filmowym jako fotosista, gdy zaczął wozić ze sobą sprzęt łowcy duchów. Kiedyś, podczas pracy w studiu Warner Bros., coś go mocno przestraszyło i od tamtej pory poświęcał nowemu hobby coraz więcej czasu. Garcia wtedy już od pięciu lat poważnie zajmował się badaniem zjawisk paranormalnych – zaczynał na czatach Yahoo!, próbując skontaktować się z mieszkańcami doliny San Gabriel, którzy byłiby zainteresowani wspólnymi badaniami. Ci dwaj z miejsca się zaprzyjaźnili, tworząc dziwną, ale niemal idealną parę. Garcia jest postawnym milczkiem, całkowitym przeciwieństwem Owensa, chudego gaduły. „Bardzo się różnimy – wyznał mi Garcia – ale dużo gadamy o naszej fascynacji historią i przeszłością Los Angeles. [...] To mnie z nim łączy, obaj kochamy historię tego miasta i dużo na ten temat czytamy”^[153].

W przeciwieństwie do Owensa Garcia postrzega zjawiska nadprzyrodzone w kategoriach naukowych. „Mają wiele wspólnego z fizyką – wyjaśnił – i zjawiskami naturalnymi takimi jak błyskawice. Niektórzy sądzą, że to może być coś w rodzaju tunelu czasoprzestrzennego. W chwili, gdy się otwiera i zamyka, słyszysz głosy albo coś przez ciebie przepływa. Takie tunele otwierają się i zamykają przez cały dzień, na przykład w tej chwili, całkiem możliwe, że to się dzieje teraz. Może to mieć związek z polem magnetycznym Ziemi albo czymś takim. Nie wiem. Ale wydaje się, że to raczej kwestia nauki niż religii lub mistycyzmu”.

Po tamtym spotkaniu GHOULA postanowili połączyć siły i odszukać miejsca w Los Angeles, gdzie mogliby zacząć się na duchy. Wśród lokalizacji zaproponowanych przez Garcję był hotel Aztec.



Aztec stoi daleko od centrum Los Angeles, w miasteczku Monrovia. Zaprojektowany w latach dwudziestych minionego stulecia przez Roberta Stacy-Judda, tworzącego w tym samym czasie co Frank Lloyd Wright, w stylu inspirowanym budownictwem Majów, hotel ten był jedną z wielu przydrożnych atrakcji, które zapewniły sławę trasie Route 66. Niemniej z czasem, wraz z rozwojem sieci autostrad międzystanowych, Route 66 stała się wyłącznie ciekawostką historyczną, a Aztec podzielił jej los. Zapomniany na przedmieściach Monrovii, przez większość swej historii borykał się z problemami finansowymi i przechodził z rąk do rąk.

Owens zaskarbił sobie zaufanie i przyjaźń ówczesnej właścicielki hotelu, Kathie Reece McNeil, która pozwoliła jemu i Garcii po godzinach polować na duchy. „Wszystko właściwie przygotował Craig – wspominał Garcia. – Dogadał się z właścicielką i zdobył jej zgodę, o którą wielu bezskutecznie się starało przed nim, więc należy mu się uznanie. [...] Kierownictwo hotelu nie lubiło, żeby ktoś się tam kręcił, a gdy się zadawało pytania, nie byli zbyt skorzy do rozmowy”. (Owens wyjaśnił: „Wpadłem jej w oko”).

Trzy, cztery razy w tygodniu spędzali noce w suterenie i wolnych pokojach, czasem w towarzystwie, czasem sami. Największą nadnaturalną aktywność zarejestrowali w suterenie.

Garcia wielokrotnie słyszał głos tej samej kobiety, ledwie szept, który jednak udało mu się wyraźnie zarejestrować na nagraniu. Innym razem, gdy już szykował się do wyjścia i sprzęt nagrywający miał wyłączony, usłyszał jak wypowiada jego imię, głośno, jakby chciała zapytać: „A ty dokąd?”. „Chyba się do mnie przywiązała”, zgadywał. Owens usłyszał na jednym ze swoich nagrań EVP, jak ktoś oznajmia: „Nazywam się Quiggle”. James Quiggle, szef policji w Monrovi, uczestniczył w nalotach na suterene, gdy prowadzono tam nielegalny bar. „Osobiście przypuszczam – powiedział mi Owens – że w tym hotelu wydarzyło się coś naprawdę złego i mrocznego, a on jest w to w jakiś sposób zamieszany. [...] Myślę, że był skorumpowany”. Później miejsce Quiggle’a zajął niejaki Frank Scott. Pewnej nocy Owens poprosił innych badaczy, żeby wywołali Scotta – tylko że przekreślił jego nazwisko i powiedział „Frank Little”. „Gdy słuchałem nagrania – opowiadał mi – odzywa się nagle dziwny głos i mówi: «Frank Scott»... jakby chciał nas poprawić. Przez tę pomyłkę dowód staje się tylko bardziej przekonujący”.

Ale Aztec słynie najbardziej nie ze swojej sutereny, lecz z pokoju 120, nawiedzanego, co do czego większość się zgadza, przez ducha zwanego Razzle Dazzle. Przydomek ten podało niejedno medium, które w przeszłości odwiedziło ów pokój. Według jednej z wersji Razzle Dazzle była prostytutką zamordowaną w pokoju 120 przez swojego alfonsa. Inna wersja obsadza ją w roli aspirującej aktorki, która w noc poślubną przewróciła się, uderzyła głową o kaloryfer i poniosła śmierć na miejscu.

Jej historia, opowiadana w tylu sprzecznych wersjach, nigdy nie dotyczy osoby sławnej; traktuje o kimś, kto jest nikim, nikim w takim stopniu, że nie wiadomo nawet, jak brzmiało prawdziwe nazwisko tej kobiety. W tym kryje się mroczniejsza strona klasycznego Hollywood. W zeszłym stuleciu obietnica sławy ściągała do Los Angeles rzesze gwiazdek i innych utalentowanych młodych ludzi liczących na odkrycie, tymczasem niektórzy z nich zamiast sławy znajdowali śmierć: Virginia Rappe, która zmarła w 1921 roku wskutek pęknięcia pęcherza moczowego po szalonej imprezie z udziałem „Grubaska”, Roscoe Arbuckle’a, a może padła ofiarą brutalnego gwałtu, a może jej śmierć spowodowały komplikacje po nieudanej aborcji; Peg Entwistle, niedoszła gwiazda, której skok w 1932 roku z litery H w napisie HOLLYWOODLAND (później HOLLYWOOD) zapoczątkował modę na samobójstwa w miejscach związanych z fabryką snów; Lou Tellegen, który zadał sobie nożyczkami kilka ciosów w klatkę piersiową, gdy przeminęła jego kariera ubóstwianego amanta. Można by przez cały dzień wymieniać podobne tragedie, tak jak z nieludzką obojętnością zrobił to Kenneth Anger w książce *Hollywood Babylon*, stawiając pod pręgierzem tych, którzy położyli na szali wszystko i przegrali, wyrzuceni jak śmieci.

Lisa Strouss również mówiła o okrutnym obliczu Los Angeles, jego reputacji „miejsc brutalnego i eksploatującego. [...] Los Angeles to naprawdę popier... miasto, więc formalnie rzecz biorąc, powinno tu być więcej duchów”. Świat wyczarowywany przez Hollywood jest niewątpliwie *unheimlich*; jest światem dziwnych podobieństw, powtarzanych bez końca. Freud opisuje, że jeden z aspektów niesamowitości ma związek z nietypowym lub mimowolnym powtórzeniem^[154]; przypadkowa cyfra lub liczba mogą nie być szczególnie godne uwagi lub ważne same w sobie, ale jeśli widzi się je wielokrotnie tego samego dnia lub jeśli zaczynamy zauważać, że wszystko, co jest oznaczane cyframi – domy, pokoje hotelowe, przedziały w pociągach – niezmiennie ma ten sam numer, wtedy zaczyna się to wydawać niesamowite. Dodajmy do listy początkującą aktorkę Elizabeth Short, Czarną Dalię, brutalnie poćwiartowaną i porzuconą niczym groteskowa wizytówka, sławną teraz nie dzięki temu, co osiągnęła za ży-

cia, lecz ze względu na barbarzyństwo tego niewyjaśnionego morderstwa. Nawiedzony hotel potrafi zarejestrować obie strony wielkiej narracji klasycznego Hollywood, jasną i ciemną, pozostające blisko siebie w niszczących ścianach budynków, które zdają się żyć dalej po śmierci.



Stań na długim hotelowym korytarzu, a po chwili to poczujesz: jest coś złowieszczonego w samej naturze hotelu, jego nieskończonym, mimowolnym ciągu przestrzeni imitujących dom, pokoi, które niemal mogłyby być domem, zawsze jednak czegoś im brakuje. Kulturoznawca Wayne Koestenbaum pisze: „Niesamowitość to dom pozbawiony swojskości, którego regulamin zostaje przedarty na pół. Hotel przeobraża to uczucie w biznes i mechaniczną gościnność”^[155]. Za każdymi z tych niepokojących drzwi może się znajdować jeszcze jedna początkująca gwiazda, podobna do poprzedniej, a jednak odrobinę inna.



Parę kroków od Biltmore wznosi się Cecil. Zbudowany w 1924 roku i pierwotnie reklamowany jako hotel dla podróżujących biznesmenów, natychmiast wpadł w finansowe tarapaty. Już w 1935 roku Raymond Chandler mógł napisać: „Ten stary, niegdyś ekskluzywny hotel żeglował teraz chwiejnie pomiędzy upadłością a złą marką w branży. Za dużo w nim było wyświeconych boazerii z ciemnego drewna i popękanych luster w złożonych ramach. Za dużo dymu wisiało pod niskim sufitem hallu, a sfatygowaną skórę foteli wycierało za dużo trutni”^[156]. Został niedawno wyremontowany i przemianowany na Stay on Main, jak gdyby ta zmiana mogła mu pomóc uciec od przeszłości, chociaż oryginalna nazwa wciąż widnieje namalowana wysokimi na kilka kondygnacji literami na bocznej ścianie budynku.

Po drugiej wojnie światowej centrum Los Angeles wyludniło się, mieszkańcy przenosili się bowiem na przedmieścia, które rozlewały się we wszystkie strony, przez co śródmieście pustoszało coraz bardziej. Mniejsze hotele wyburzono, natomiast większe bryły, zbyt duże do rozbiórki, ale pomimo rozmiarów też bankrutujące, pozostawiano. Cecil ze swoimi siedmiuset pokojami stał się tanim hotelem tranzytowym sąsiadującym z dzielnicą Skid Row. Jego reputację dodatkowo nadwyreżyli dwaj seryjni mordercy, którzy w nim nocowali: Richard Ramirez zwany Nocnym Łowcą oraz pochodzący z Austrii Jack Unterweger. Ten ostatni, skazany za zabicie prostytutki w 1974 roku, podczas piętnastoletniej odsiadki z powodzeniem zajął się pisaniem. Po zwolnieniu w 1990 roku przyjechał do Los Angeles w związku ze swoją pracą pisarską, zatrzymał się w Cecilu i zamordował jeszcze co najmniej trzy prostytutki. I choć ani Unterweger, ani Ramirez nie popełnili morderstwa w murach hotelu, pozostają nierozzerwalnie z nim związani jako najsłynniejsi goście.

A przynajmniej było tak, dopóki w 2013 roku uwagi internautów nie przykuła zagadkowa śmierć Elisy Lam. Lam, studentka z Kanady przebywająca na wakacjach w Los Angeles, mieszkała w chwili zaginięcia w Cecilu. Jej ciało znaleziono prawie trzy tygodnie później w zbiorniku wodnym na hotelowym dachu, gdy goście zaczęli się skarżyć na zapach i kolor płynącej z kranu wody. Kamera monitoringu z windy nagrała ją krótko przed śmiercią. Dziewczyna wchodzi do windy, wciska guzik, ale nic się nie dzieje; po kilku sekundach wychodzi na korytarz i najwyraźniej prowadzi ożywioną rozmowę z kimś, kogo nie widać. Wraca do kabiny, przyciskając ciało do ściany, jak gdyby się przed kimś chowała. Chociaż nic nie blokuje drzwi, a Lam nie wciska żadnego przycisku, który mógłby zatrzymać mechanizm,

drzwi się nie zamykają przez całe trzy minuty nagrania, aż Lam wychodzi z windy.

Detektywi amatorzy dostali obsesji na punkcie tego nagrania i historii Lam, przekonani, że tajemnicza postać, z którą rozmawiała dziewczyna, była jej mordercą lub że dziwne nieprawidłowości w działaniu windy są dowodem na istnienie w hotelu złego ducha^[157]. Policja ustaliła później, że Lam najprawdopodobniej doświadczyła epizodu psychiatrycznego, w pewnym momencie dostała się na dach i albo celowo, albo w wyniku nieszczęśliwego wypadku wpadła do zbiornika z wodą, gdzie utonęła.

Coś, co powinno być prywatną tragedią rodziny, która straciła córkę, zamieniło się w cyrk: internetową historię z dreszczykiem, miejską legendę i inspirację dla piątego sezonu *American Horror Story*. Historia Elisy Lam okazała się fascynująca: nagranie monitoringu, niewyjaśniona awaria windy, przedziwne zachowanie dziewczyny, historia hotelu – to wystarczyło. Tak się właśnie rodzą opowieści o duchach: nie tyle na podstawie pełnego przebiegu zdarzeń, ile z fragmentów tworzących nie całkiem spójną całość, z mozaiki grozy i niepokoju, które łączą się w sposób nieprzewidywalny. I czyż można znaleźć dla tych historii lepszą scenerię niż hotel taki jak Cecil?

Cecil (lub jeśli koniecznie chcecie – Stay on Main) budzi w nas poczucie uwięzienia między różnymi przestrzeniami, zawieszenia między „tu” i „tam”. Działał całe lata, starając się bez przekonania pełnić funkcje taniego hotelu i schroniska turystycznego, i chociaż stanowi stały element centrum miasta, wiecznie wydawał się – i wydaje – budynkiem nie z tej epoki i nie na swoim miejscu.

Prawie trzy lata po śmierci Lam spędziłem w Cecilu dwie noce. W lobby znajdują się terminale komputerowe do wynajęcia i cały czas dudni tam muzyka techno, a obsługa co rano serwuje nieodpłatnie najnudniejsze hotelowe śniadanie, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się spożyć. Wystrój pokoi w budynku mającym ponad dziewięćdziesiąt lat to meble z IKEA. Nie widać, by próbowano oczyścić to miejsce z brudu gromadzącego się przez dziesięciolecia – chociaż jeśli mam być całkowicie szczerzy, nie był to wcale najgorszy hotel, w jakim w swoim życiu nocowałem.

Ale tak właśnie czujemy się w hotelach, stykając się z przeszłością, której z jednej strony nie można w pełni zgłębić, z drugiej zaś nie sposób zignorować. Hollywood nie zajmuje się tym, co niejasne, niewyjaśnione, niejednoznaczne. A takie są historie o duchach. Ktoś coś widzi, coś słyszy, może głos, który wypowiada imię, odsłaniając kawałeczek historii. Zazwyczaj niewiele więcej. Trzeba się przekopać przez archiwa, wydobyć historię zapomnianego morderstwa, odrzuconej kochanki, której imię się nie zachowało, lokalnej tradycji, choć ta nikogo już nie obchodzi. Nawet wtedy nie ma gwarancji, że zdołamy złożyć kawałki układanki w jakąkolwiek całość. Wielokrotnie opowieść niesamowita jest po prostu próbą interpretacji rozrzuconych informacji, niepowiązanych faktów, które do siebie nie pasują. Opowiadamy sobie straszne historie, bo gdyby ich nie było, chaos nieznanego byłby nie do zniesienia. Dlatego duchy trzymają się tak mocno Hollywood, dlatego szepczą spod ziemi.

Budynkiem, który najlepiej ilustruje historię starego Hollywood, nie jest wcale rezydencja Normy Desmond z *Bulwaru Zachodzącego Słońca* Billy’ego Wildera, ale hotel Earle z *Bartona Finka* Joela i Ethana Coenów. Reżyserzy nazwali go „dryfującym statkiem widmo, gdzie dostrzega się ślady obecności innych pasażerów, choć wzrok nie wyławia żadnego z nich”^[158].

O oryginalnej urodzie *Bartona Finka* decyduje między innymi to, że film ten wystrzega się standardowych rozwiązań i unika ujęć wprowadzających: wkraczamy bezpośrednio do

wnętrz, bez świadomości, jak dany budynek wygląda z zewnątrz. Widzimy więc lobby hotelu Earle, jego windę, korytarze i pokoje, ale nigdy nie widzimy go z zewnątrz. Nie mamy pojęcia o jego rozmiarach, rozkładzie, jak wygląda dla przypadkowego przechodnia – czy aby nie ciągnie się w nieskończoność. Gdyby nie rozproszone światło padające z okien, hotel równie dobrze mógłby się znajdować głęboko pod ziemią.

Gdy Barton Fink melduje się w Earle, recepcjonista pyta go: „Czasowy czy stały?”, mając na myśli, czy jest przejazdem, czy na dłużej. Fink nie rozumie pytania, jest zmieszany, jak gdyby nie był jeszcze gotów się zadeklarować. Wybąkuje wymijająco: „Na czas nieokreślony”. Recepcjonista w końcu odpowiada za niego.



W czasie gdy zacząłem bywać na spotkaniach GHOULA, najwięksi podejrzani zostali już przebadani – hotele Biltmore, Roosevelt, Culver i oczywiście Aztec. Jako że członkowie GHOULA starają się nie spotykać dwa razy w tym samym miejscu, po kilku pierwszych latach miejsca schadzek zaczęły być coraz bardziej nietypowe, jak nawiedzona kręgielnia Burbank's Pickwick Bowl czy nawiedzony statek „Queen Mary” w Long Beach. I w ten sposób znalazłem się w miejscu, którego pozornie nie podejrzewaloby się o wizyty duchów: w obrotowej restauracji na ostatnim piętrze futurystycznego Westin Bonaventure w centrum Los Angeles.

Zaprojektowany przez Johna Portmana w 1976 roku i wciąż dzierżący tytuł najwyższego hotelu w mieście, Bonaventure z rozpoznawalnym kształtem pięciu zespolonych szklanych walców stał się jednym z symboli tego miasta. W środku olbrzymie atrium z pływającymi ogrodami, pierścieniami i balkonami zdominowane jest przez centralny betonowy filar otoczony barem, który okala płytka fosa. Eskalatory i kręte schody odchodzą z lobby we wszystkie strony. Nie ma zewnętrznych okien, toteż szybko można stracić orientację co do pory dnia. Na tyle sławny, że występuje w dziesiątkach filmów, i widoczny z dwóch dużych autostrad, Bonaventure z łatwością wyróżnia się wśród okolicznych nijakich drapaczy chmur, nawet tych od niego wyższych.

Gdy go wzniesiono, duża część centrum zdążyła się już zamienić w martwą strefę. W przeciwieństwie do wielu innych miast Los Angeles przez większość swej historii dysponowało w śródmieściu osobliwym nadmiarem przestrzeni. Inwestorzy, którzy w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku próbowali ściągnąć do miasta turystów, wybudowali olbrzymie centrum z gigantycznymi hotelami, takimi jak Biltmore i Cecil. Po wojnie większość tych nieruchomości stopniowo pustoszała. W odróżnieniu od San Francisco lub Manhattanu w Los Angeles istniało niewiele geograficznych barier, które mogłyby przeszkodzić w rozbudowie przedmieść. Sporo starych budynków było zbyt dużych, by je wyburzyć, stały więc całe dziesięciolecia niezagospodarowane w opustoszałym mieście. Centrum Los Angeles, cieszące się nikłym zainteresowaniem biznesu, stało się na swój sposób wymarzoną przestrzenią – gotową do skolonizowania przez alkoholików i narkomanów, rzecz jasna, lecz także przez artystów i pisarzy, którzy znajdowali tam tanie mieszkania i nikt im nie zaglądał przez ramię.

Bonaventure, którego fasada na poziomie ulicy jest ponura i bunkrowata, sprawia wrażenie, jakby chciał się odizolować od reszty świata. Pomimo swego statusu (a może z jego powodu) z biegiem lat stał się celem niemal powszechnej krytyki. Najślynniejszy atak na hotel przypuścił w 1991 roku teoretyk literatury Frederic Jameson. „Bonaventure nie chce być częścią miasta – napisał – tylko jego odpowiednikiem, zastępnikiem i namiastką”. Jameson wskazał nie tylko fasadę, ale i szklane walce, których lustrzana powierzchnia sprawia, że ho-

tel w „osobliwy sposób oddziela się od swego sąsiedztwa – nie jest już ono nawet jego wnętrzem, ponieważ gdy spoglądamy na zewnętrzne ściany, nie widzimy samego hotelu, tylko zniekształcone obrazy otoczenia”^[159].

Bez wątpienia przestrzeń ta dezorientuje, chociaż sprawia wrażenie symetrycznej. Nie każda winda dojeżdża na ostatnie piętro i nie wszystkie klatki schodowe w atrium prowadzą na co drugi poziom. Jest tam wprawdzie przestronnie, ale betonowe pylony ograniczają widoczność i trudno czasem dostrzec, które schody wiodą tam, dokąd się chce trafić. Nazwawszy rdzeń konstrukcji „bajgłem”, krytyk i architekt Charles Willard Moore skomentował: „Człowiek coraz bardziej nerwowo będzie się kręcił wokół tego bajgla, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że się zgubił. To miejsce jest tak frustrujące jak rysunek więzienia Piranesiego”^[160]. I choć atrium jest otwarte, wiecznie robi klaustrofobiczne wrażenie.

Skłonność tego hotelu do dezorientowania gości, zakłócania przestrzeni i zamiany prostego w niesamowite bez wątpienia pomogła przyciągnąć odpowiednią liczbę duchów. Straszą tam Eli i Esther Ruvenowie, zamordowani w Bonaventure w 1979 roku podczas nieudanej transakcji narkotykowej, po której ich ciała poćwiartowano i wyniesiono w workach na śmieci. W podziemiach mieszka duch rudowłosej dziewczynki, która snuje się tunelami pod hotelowym garażem. Tunele te, gdy budowano fundamenty hotelu, były częścią zlikwidowanej już miejskiej linii tramwajowej Red Car. I choć teraz Bonaventure patrzy prosto w przyszłość rodem z *Łowcy androidów*, w ciągu dziesięcioleci po jego otwarciu duchy zaludniły go tak samo jak każdy inny hotel w mieście.

Co oznacza, że nawet w tak rozległej aglomeracji jak Los Angeles, gdzie budynki nie mogą się pochwalić długą historią zabytków Nowej Anglii, nie sposób niczego zbudować, nie wznosząc nowego na ruinach starego, na duchach przeszłości. Holgrave, bohater Hawthorne’a, może byłby tu szczęśliwszy niż w Salem, jako że w południowej Kalifornii ludzie mają mniej oporów przed rozbieraniem starych budynków pod nowe, ale nawet tutaj duchy mają się dobrze. Problem z duchami polega na tym, że nigdy nie potrafią ustalić, czy są „czasowe czy stałe” – nie zatrzymują się na dłużej, ale też nigdy tak naprawdę nie odchodzą.



W Los Angeles, mieście niezliczonych marzeń i niezliczonych marzycieli, stare, pełne przepychu budynki – zabytkowe, acz podupadłe, barokowe w formie, acz niewykorzystane w pełni – to podatny grunt dla innej plagi: nie duchów, lecz łowców duchów. Na pewnym etapie w społeczności badaczy zjawisk nadprzyrodzonych doszło do nieoczekiwanego zwrotu – pieniądze i sława zaczęły przysłać wysiłki poważnych, samotnych badaczy. Mniej więcej w czasie, kiedy powstała *GHOULA* (2008), w telewizji zaczęło się pojawiać coraz więcej programów telewizyjnych „o duchach”: *My Ghost Story*, *Fear*, *Ghost Hunters*, *Ghost Hunters International*, *Ghost Hunters Academy*, *Most Haunted USA*, *A Haunting*, *Paranormal State*, *The Othersiders*, *Celebrity Paranormal Project* itepe, itede. Prawie wszystkie powielają ten sam podstawowy schemat: „ekipa”, zwykle w podobnych T-shirtach i zazwyczaj składająca się z trzech lub czterech mężczyzn i jednej kobiety – uchwyconych w hardej pozie ze skrzyżowanymi rękami i spojrzeniem wbitym prosto w obiektyw kamery – wyrusza badać rzekomo nawiedzone miejsce. Mają ze sobą bogaty zestaw urządzeń do namierzania duchów: kamery na podczerwień, rejestratory dźwięku EVP, termometry do lokalizowania tzw. zimnych stref i niezmiennie popularne przenośne mierniki pola elektromagnetycznego.

Status Los Angeles jako filmowej i telewizyjnej mekki doprowadził do eksplozji niemal

identycznych grup imitujących ekipy z tych programów: LA Ghost Patrol, LA Paranormal Association, Ghost Interactive Investigations, Paranormal EXP, Darklands Paranormal, California Society for Paranormal Research and Assistance i tak dalej. Są wśród nich zarówno grupy poważne, jak i groteskowe – być może do najbardziej absurdalnych zaliczyć należy Paranormal Hot Squad, żeńską grupę modelek i tancerek egzotycznych, których motto brzmi: „Nastraszymy cię tak, że zeszytniejesz”.

Wszystkie te grupy sprzedają na swoich stronach internetowych koszulki i inne gadżety i każda z nich mniej lub bardziej otwarcie stara się o własne show, próbując zdobyć popularność i przyciągnąć uwagę producentów. Ludzie od lat i z wielu powodów przyjeżdżali do Los Angeles po sławę, a łowcy duchów są jedynie ostatnią falą tych, którzy pragną zaistnieć w show-biznesie.

„Ja należę do starej szkoły – wyjaśnił mi Craig Owens – tych, co nie starają się na tym zbić kasy. [...] Dziesięć, piętnaście lat temu coś takiego byłoby całkowicie nieetyczne. [...] Wizyty duchów kojarzą mi się z czymś cierpieniem, czemu próbować na tym zarabiać? Kiedyś mogła się wydarzyć tragedia”.

Dla członków GHOULA popularność nigdy nie była celem. „Tamci chcą złapać ducha – stwierdziła Strouss. – Nam zależy na historiach niesamowitych”. Zgodziła się jednak, że GHOULA ze swym błyskotliwym akronimem i zintegrowaniem tylu samotnych badaczy mogła nieumyślnie doprowadzić do powstania wielu z tych grup. „My to zapoczątkowaliśmy”, przyznała w końcu.

Choć zjawisko to może się wydawać nieszkodliwe, coraz większa liczba łowców w T-shirtach i firm liczących na to, że zarobią na duchach z przeszłości Los Angeles, w nieprzewidywany sposób wpływa na kruche zabytki miasta. To właśnie pogoń za pieniędzmi i sławą, tymi dwoma sukubami, przyczyniła się do upadku Azteca. „Niektóre z tych grup chcą zmonopolizować jakieś miejsce – żył się Owens. – Chcą być lokalną kapelą, inkasować hajs i wszystko skomercjalizować”. Statek „Queen Mary” jest jedną z takich lokalizacji. Hotel Aztec drugą – grupy zaczęły pobierać opłaty od fanów za to, że zwyczajnie przesiadują w barze, a nie dzieląc się wpływami z hotelem, szybko zraziły do siebie właścicielkę, która zwróciła się do Craiga Owensa. „Zatrudniła mnie, żebym sprawdzał, kto jest autentycznym poszukiwaczem, a kto nie – powiedział, wciąż rozgoryczony całą tą sprawą. – Nie dostałem ani centa, robiłem to za friko”. W końcu dał za wygraną. Aztec też, odwołując wszystkie spotkania, i nędzny dochód, jaki przynosiły plajtującemu hotelowi, szybko się skończył.

Jak to ujął Garcia, człowiek próbuje się zachowywać z szacunkiem, zajmować swoimi badaniami, ale przede wszystkim chce się odciąć od tej hałastry. „Byliśmy na «Queen Mary» – wspominał. – Siedzieliśmy w jednej z sal balowych, było cicho, aż tu nagle przez salę przebiega grupka, a za nią ochrona”. Chęć zabawy to jedno, większym problemem jest ponoszenie winy przez samo skojarzenie. „Wszystko psują ci, co szukają silnych wrażeń, czekają na Halloween. Ludzie cię od nich nie odróżniają, postrzegają cię tak samo jak tamtych”.



Jedno z ostatnich spotkań GHOULA, w których wziąłem udział, odbyło się latem 2012 roku w centrum Venice, w Townhouse Bar, który działa od 1915 roku, a w czasach prohibicji prowadził w podziemiach nielegalną sprzedaż alkoholu. Mówi się, że były właściciel wciąż zajmuje swój boks w dawnym podziemnym barze, gdzie teraz w weekendy koncertują lokalne zespoły. My znaleźliśmy się w Townhouse w dzień powszedni, więc podziemia nie były

otwarte, ale jedna z barmanek powiedziała, że wkrótce kończy zmianę i jeśli zaczekamy, zaprowadzi nas tam na kilka minut. Kręciliśmy się zatem po barze, czekając, aż coś się wydarzy.

W sumie ten wieczór był pozbawiony magii, jaka dawniej towarzyszyła podobnym spotkaniom, znanej mi z opowieści Strouss i Owensa. Ci dwoje nie przybyli na spotkanie w Venice, a Garcia, który zjawił się spóźniony, prawie się nie odzywał. Tymczasem schodziły się grupki łowców duchów i chociaż nikt nie nosił „klubowych” koszulek, wszyscy trzymali się swoich klik, nie integrując się z innymi. Rozmawiałem z członkami jednej z tych grup, której nazwa wyleciała mi z głowy; to mogła być LA Paranormal Association, LA Ghost Hunters albo Ghost Busters of LA – po pewnym czasie nie sposób ich rozróżnić. Lider wyglądał jak typowy absolwent USC albo UCLA^[2*] – niski, lecz muskularny, z krótko ostrzyżonymi włosami – i lakonicznie odpowiadał na moje pytania. Obowiązkowa dziewczyna – naturalnie jego – była wesoła i komunikatywna; trzeci członek tej grupki cały czas milczał.

Fatalnie się stanie, jeśli takie grupy będą reprezentować entuzjastów zjawisk paranormalnych z Los Angeles. Czołowy przedstawiciel grupy LA Ghost Patrol, zapytany któregoś roku podczas Halloween przez dziennikarza lokalnej stacji telewizyjnej, dlaczego zajmują się tym, czym się zajmują, odparł: „Chcemy dowodów. Chcemy być tymi, którzy udowodnią, że te rzeczy są prawdziwe. Chcemy być tymi, którzy to uchwycą i udowodnią światu, że one istnieją naprawdę”^[161]. To ten rodzaj gładkiej, płytkiej odpowiedzi, jaką się słyszy coraz częściej, i między innymi dlatego całemu temu przedsięwzięciu grozi popadnięcie w nonsens. Zestawcie to z pracą kogoś pokroju Craiga Owensa, którego pasjonują historie danego miejsca i to, jak mogą oddziaływać na naszą psychikę. Nie tylko historie spisane, także te zapomniane i te, które nigdy, przenigdy nie zostaną poznane.

Weźmy na przykład tajemnicę pokoju 120 w Aztecu, gdzie rzekomo mieszkała Razzle Dazzle. Przeszukawszy miejskie archiwa Monrovia, Owens nie znalazł żadnej wzmianki o prostytutce ani aktorce zamordowanej w tym hotelu. „Pokój chyba rzeczywiście jest nawiedzony, ale imię ducha to nie Razzle Dazzle, jeśli w ogóle ktoś tam zmarł”, poinformował mnie. Wyszperał natomiast coś innego. Po otwarciu hotelu miejscowa łoża wolnomularska o nazwie Elks organizowała w podziemiach comiesięczne wieczory z hazardem i alkoholem, coś, czego policja w latach prohibicji nie aprobowała, z wyjątkiem może kilku funkcjonariuszy pokroju Jamesa Quiggle’a i Franka Scotta, przypuszczalnie przekupionych lub mających udział w zyskach. Owens sądzi, że te podziemia mogły być sceną jakichś mrocznych wydarzeń, na przykład morderstwa lub brutalnego incydentu podczas jednej z imprez, które trzeba było zatuzsować.

Te comiesięczne przyjęcia, jak się dowiedział, miały swoją nieformalną nazwę. Nazywano je Razzle Dazzle Nights.

„Nikt by się o tym nie dowiedział – powiedział mi – gdybym się nie przekopał przez te cholerne papierzyska w miejskim archiwum”.

Być może na lepsze dowody nie mamy co liczyć: przypadkowa nazwa, którą jakieś medium wzięło nie wiadomo skąd podczas seansu spirytystycznego, okazała się mieć bardzo konkretny związek z historią hotelu. Może coś nam to mówić o Aztecu, ale co? Nigdy nie powstanie jasna, kompletna narracja, bo już nikt z uczestników tamtych nocnych hulank nie żyje i nikt nam o nich nie opowie.

Tego typu opowieści niesamowite nie mają szans doczekać się idealnego hollywoodzkiego

rozwiązania. Inna łowczyni duchów z Los Angeles, Michele Yu, nazwała to kiedyś „paranormalną archeologią”^[162] – analogia tak samo dobra jak każda inna: dostajemy strzępy, które wskazują na jakieś przeszłe zdarzenia, sugerują cel, nie mają jednak do zaproponowania nic definitywnego i koniec końców wpatrują się w nas wyczekująco.

W przeciwieństwie do tych, którzy poszukują Świętego Graala w postaci bezsprzecznych, obiektywnych dowodów życia nadprzyrodzonego, dla Lisy Strouss zjawiska paranormalne są raczej drogą do autorefleksji. Choć wierzy w nie żarliwie, wyznała mi, że sama nigdy ducha nie widziała. „Chciałabym mieć własną historię o duchu – stwierdziła niemal z żalem. – Naprawdę chcę wierzyć, ale ciągle dyskredytuję własne doświadczenia. Jestem sama dla siebie najgorszym sceptykiem”. Poza tym, jak powiedziała, jeśli nawet mamy dowody, co tak naprawdę zyskujemy? Nie jest to tylko kwestia znalezienia dowodów, bo „nawet kiedy człowiek je zdobędzie, jest wciąż w tym samym miejscu, w którym był przedtem. Można udowodnić wszystko, czego się chce. To jak pytanie o Boga: wraca się do punktu wyjścia”.

Egzystencjalny problem dowodu jest czymś, z czym wszyscy łowcy duchów muszą się mierzyć i z czym każdy musi na swój sposób sobie poradzić. „Powiedzmy, że przedstawiamy [dowód] komisji naukowej – snuł przypuszczenia Garcia – bo w końcu do tego to się będzie sprowadzać. Nie powiedzą przecież: «Tak, to jest głos zmarłego»”. Dostatecznie długo się nad tym zastanawiał, by wiedzieć, że nigdy nie wystarczy jedno objawienie, jedno nagranie EVP, jeden film. „Trzeba zgromadzić tego mnóstwo, multum dowodów z każdego zdarzenia, i całą serię takich zdarzeń, w t e d y może by się coś miało”. Przerwał na chwilę, być może rozmyślając o donkichotowskiej naturze misji, jakiej się podjął, i nierealności zadania, które pochłonęło siedem lat jego życia, spędzonych w większości na prowadzeniu samotnych badań. „Potrzebne będzie znacznie więcej niż to, co teraz robimy, a także zbiorowa zgodność... a ta jest nierealna”.

Jeśli na kosa można patrzeć na trzynaście różnych sposobów, jak czytamy w wierszu Wallace’a Stevensa, to samo dotyczy duchów. Dla Bobby’ego Garcii jest to środek do zrozumienia nauki. Ludziom takim jak Richard Carradine i Craig Owens polowanie na duchy pozwala poszperać w historii, zgłębić przeszłość. Dla Lisy Strouss, która opuściła społeczność poszukiwaczy duchów w Los Angeles, jest to droga do odkrycia czegoś o sobie. Żadna tego rodzaju dyskusja nie odbywała się jednak w wieczór spotkania GHOULA w Venice, a mnie nie opuszczała myśl, że spóźniłem się kilka lat na dawno skończoną imprezę – jak gdybym zjawił się w Haight Ashbury po dekadzie lat sześćdziesiątych lub w klubie CBGB^[3*] po latach siedemdziesiątych. Był najwyraźniej kiedyś krótki okres, gdy zebrała się niezwykła – ekscentryczna i myśląca – grupa pełnych pasji dziwaków. Niemal od samego początku ruch ten zaczął jednak ujednolicać i komercjalizować swoje działania, kooptując nowych członków, a tych myślących rozpedzono na cztery wiatry.

Miałem już wychodzić z Townhouse, gdy barmanka zgodnie z obietnicą na koniec swojej zmiany zaproponowała, że zaprowadzi nas na dół do dawnego nielegalnego baru. Wszyscy zeszliśmy mozolnie po schodach do sali, która zgodnie z oczekiwaniami wyglądała jak każda sala koncertowa w Los Angeles w wieczór, kiedy nic się tam nie dzieje: na jednym końcu scena, pod drugą ścianą bar, jakieś aksamitne zasłony i skórzane boksy – łącznie z tym, gdzie ponoć wciąż przesiaduje dawny właściciel. Gdy obserwowałem tych łowców duchów od siedmiu boleści, którzy kręcili się po sali, dyskretnie nagrywali dźwięki na telefony, pytali się nawzajem, czy coś zobaczyli lub poculi, równie dobrze mogłem być w każdym innym barze w Los Angeles – do diabła, to b y ł jeden z tych barów.

Wtedy z tłumu wyłonił się starzec – co najmniej osiemdziesięcioletek, gęsta czupryna siwych włosów, obwisła skóra, ktoś, kto nie był łowcą duchów, ale kto słyszał o GHOULA, o fascynacji Richarda Carradine’a historią Los Angeles i wstąpił na drinka, syn dawnego burmistrza lub radnego sprzed dziesiątków lat, z innego czasu. Stanął na najniższym stopniu schodów, jak gdyby unosząc się nad całą resztą, i zaczął opowiadać o starym Venice, o linii tramwajowej, która kiedyś biegła między Venice a Santa Monica, o tym, jak Orson Welles kręcił po drugiej stronie ulicy *Dotyk zła*, dziwne wspomnienia i historie o miejscowej korupcji i plotkach. Właściwie nie miał nic konkretnego do przekazania, mówił bezładnie, gubił się, urywał w pół zdania, powtarzał się, żadna z tych rzeczy nie miała jednak znaczenia, bo oto – wśród kłębiących się dookoła łowców duchów, wśród szczerego i udawanego entuzjazmu – na mgnienie oka ucieleśnił się nad nami duch opowiadający zapomniane, fragmentaryczne historie, z jakich składa się każde miasto, historie przekazywane szeptem w podziemiach takich jak to.

III

DUCHY PRZESTRZENI PUBLICZNYCH



takich jak więzienia i szpitale psychiatryczne, cmentarze oraz
parki



Frank Wattron nie wiedział, co począć. Trzy lata wcześniej, w 1896 roku, mianowano go szeryfem hrabstwa Navajo i w tym czasie dał się poznać w całym hrabstwie i w Holbrook, jego stolicy, jako urzędnik sprawiedliwy i bezkompromisowy. Z czarnym podkreśnionym wąsem i obrzytnym za pazuchą czarnego trencza Wattron wyglądał w każdym calu jak typowy arizoński stróż prawa. W prasie pisano, że jest „człkiem wielkiego serca, szczodrym, któremu nikt nie może zarzucić najmniejszej nieuczciwości”^[163], chociaż jego bezgranicznemu miłosierdziu towarzyszyły zmienny temperament i reputacja „szorstkiego cynika”. Był lekko uzależniony od opium, z czym niektórzy wiązali jego częste huśtawki nastroju, ale szanowano go na tyle, by wybrać go na szeryfa po raz drugi. Jak to ujęto w „Argusie” z Holbrook: „Setki osób, które czytają ten artykuł, bez wątpienia pamiętają jakiś przypadek, kiedy pan Wattron wyświadczył im osobistą przysługę”^[164].

Musiał teraz zdecydować, co począć z George’em Smileyem. W 1899 roku Smiley pracował jako toromistrz dla sieci kolejowej Atchison, Topeka & Santa Fe. Gdy pewnego razu zapytał byłego brygadzystę o zaległy czek z wypłatą, między mężczyznami doszło do kłótni, która szybko zamieniła się w bójkę i w końcu Smiley strzelił brygadziście w plecy. Schwytano go, osądzono i skazano na śmierć. Egzekucja miała zostać wykonana 8 grudnia 1899 roku.

Wattron nie miał problemu z tym, by morderca dostał to, na co zasłużył: sprawa wydawała się jednoznaczna, wyrok jasny, kara sprawiedliwa. Była to jednak pierwsza egzekucja Wattrona, a prawo stanowe zobowiązywało go do powiadomienia opinii publicznej odpowiednio wcześniej, żeby podczas wykonania kary śmierci obecni byli świadkowie. Tyle że Wattron nie miał pojęcia, jak się pisze takie zawiadomienia. Wystosował więc zaproszenie, które zdradzało jego dość mroczne poczucie humoru:

Niniejszym uprzejmie zapraszam na egzekucję przez powieszenie George’a Smileya, mordercy. Jego dusza przeniesie się do wieczności 8 grudnia roku Pańskiego 1899, punktualnie o godzinie 15.00.

Wykorzystane zostaną najnowsze metody w dziedzinie naukowej strangulacji i podjęte zostaną wszelkie możliwe kroki, by okoliczności były przyjemne, a egzekucja okazała się sukcesem.

F.J. Wattron, szeryf hrabstwa Navajo

Proces Smileya był pierwszą dużą sprawą procedowaną w zupełnie nowym budynku sądu okręgowego. Prosty, elegancki, z charakterystyczną dzwonnica górującą nad spadzistym dachem i szerokim łukowatym wejściem, miał symbolizować rządy prawa na ziemi bezprawia, a jego wieża wznosiła się nad tym zachodnim miasteczkiem niczym latarnia morska lub wszytkowidzące oko. I właśnie tutaj Smiley miał się pożegnać z życiem.

Żartobliwe ogłoszenie Wattrona o zbliżającej się egzekucji dostało się do prasy i szybko wzbudziło sensację. Wisielczy humor szeryfa przyjęto ze zdumieniem i oburzeniem, ale trzeba przyznać, że rozślawił to maleńkie hrabstewko na cały kraj. Wiadomość dotarła w końcu

do prezydenta Williama McKinleya, a ponieważ Terytorium Arizony znajdowało się pod kontrolą władz federalnych, poprosił on o interwencję gubernatora, Nathana Oakesa Murphye'go. Z rozkazu tegoż wykonanie wyroku śmierci przełożono o trzydzieści dni, żeby dać Wattronowi czas na zawiadomienie o egzekucji w bardziej stosownym, żałobnym tonie.

Wattron niczego nie znosił tak bardzo jak fałszu i hipokryzji i bez wątpienia odebrał tę niepożądaną federalną interwencję za przejaw tychże. Zirytowany opublikował nowe ogłoszenie o egzekucji, tym razem w formie wiktoriańskiej karty żałobnej. W czarną obwódkę ujęty był następujący tekst:

Poprawiony statut stanu Arizona, kodeks prawny, rozdział X, paragraf 1849, strona 807 stanowi, że szeryf jest zmuszony wydać obwieszczenie o egzekucji, którego formy (niestety) nie określono.

Holbrook, Arizona

7 stycznia 1900

Z uczuciami najgłębszego żalu i smutku niniejszym zapraszam państwa, byście wzięli udział w dyskretnej, obyczajnej i humanitarnej egzekucji istoty ludzkiej; nazwisko: George Smiley, wien morderstwa.

Wzmiankowany George Smiley zostanie stracony w dniu 8 stycznia 1900 roku o godzinie 14.00.

Oczekuje się, że będą państwo zachowywać się z szacunkiem, jakiekolwiek „niepoważne” lub „nieobyczajne” uwagi są zabronione. Zachowanie ocierające się o wulgarność lub w jakikolwiek sposób burzące uroczysty charakter tego wydarzenia nie będzie tolerowane.

F.J. Wattron, szeryf hrabstwa Navajo

Proponowałbym, żeby podczas następnej sesji naszego zgromadzenia zebrała się komisja z udziałem gubernatora Murphye'go i redaktorów Dunbara, Randolpha i Hulla, by wprowadzić do naszego prawodawstwa zasady formułowania ogłoszeń o egzekucjach^[165].

Tym razem, żeby uniknąć kolejnej ingerencji władz, Wattron opublikował obwieszczenie w przeddzień egzekucji. Ósmego stycznia 1900 roku trzydziestosiedmioletni George Smiley został powieszony na szafocie w budynku sądu. Był nie tylko pierwszą osobą straconą na jego terenie, ale też jedynym legalnie straconym przestępcą w historii hrabstwa Navajo.

„Argus” donosił w wydaniu z 13 stycznia, że na krótko przed egzekucją Smiley przeszedł na katolicyzm i zanim posłano go na szubienicę, przyjął chrzest i się wypowiadał. „Do ostatnich chwil okazywał wielki spokój i opanowanie – napisano w gazecie. – Bez pomocy wszedł na szafot; mówił wyraźnie, bez drżenia w głosie i nie przejawiał najmniejszych oznak zdenerwowania”^[166]. W ostatnich słowach Smiley podziękował Wattronowi i jego zastępcom za dobre traktowanie^[1*].

Relacja ta sugeruje definitywne zakończenie sprawy oraz to, że Smiley rozstał się z życiem spokojnie, pogodzony z losem. Jednakże zdaniem Marity R. Keams, która pracowała w budynku sądu po urządzeniu w nim w 1981 roku muzeum, Smiley musiał później gdzieś zgubić spokój ducha^[167]. Któregoś roku podczas Halloween grupa nastolatków za pomocą tabliczki ouija nawiązała podobno kontakt ze zjawą, która im przekazała, że ma na imię George. Keams twierdzi, że ona i inni pracownicy muzeum wyczuwali i słyszeli Smileya, jak odkręcał krany w męskiej toalecie, i że czuła kilkakrotnie, jak bawi się jej włosami, gdy w pobliżu nikogo nie było. Wśród osób pracujących w tym budynku panuje przekonanie, że Smiley odwiedza miejsce swej egzekucji, oczekując ulaskawienia, które ma nadejść od prezydenta.

To, czy ktoś wierzy w wizyty Smileya w budynku sądu, może mieć związek ze stosunkiem do kary śmierci. Ostatecznie opinie na ten temat są bardzo różnicowane i zmieniają się z biegiem czasu, najprawdopodobniej też nie jest dziełem przypadku, że historie o niespokojnej duszy Smileya zyskiwały chętnych słuchaczy, gdy kara śmierci traciła na popularności. Z wersji zdarzeń podanej w „Argusie” wynika, że wyrok zmusił Smileya do autorefleksji – krnąbrny morderca odnalazł swoją drogę dopiero wtedy, gdy stanął w obliczu nieuchronnego końca, po czym ze spokojem i godnością pożegnał się z życiem. Za to historie niesamowite sugerują, że jego duch nawiedza gmach sądu, wciąż licząc na ulaskawienie.



Sąd okręgowy Navajo mieści się teraz w rozleglejszym kompleksie, obok powiększonego więzienia okręgowego, siedziby rady hrabstwa i innych ważnych urzędów. Jego architektura wskazuje, że zmieniło się oblicze władzy: niski i oszczędny, bez ozdób i ostentacji, emanuje skromnością i jawną niechęcią do marnotrawienia pieniędzy podatników. Arizona nie jest już granicą Dzikiego Zachodu, toteż nie trzeba epatować obywateli symbolami silnej władzy. Nowy budynek jest nudny, ale o to właśnie chodzi.

W większym stopniu niż domy prywatne gmachy użyteczności publicznej – nie tylko sądy, lecz także więzienia, zakłady dla obłąkanych i inne instytucje – są projektowane tak, by spełniały konkretną funkcję. Rzadko wznosi się je z myślą o wygodach; są budowane po to, by przekazać konkretny komunikat. Dodaje im się kolumny i rotundy w greckim lub rzymskim stylu, co ma podkreślać, że ich rodowód sięga czasów starożytnych. Miewają wyryte na kamiennych fasadach – zwłaszcza biblioteki z pewnej epoki – imiona słynnych filozofów, mężów stanu, artystów i pisarzy. Jeśli są proste i skromne, to też stanowi część przekazu.

Wspólną cechą tych gmachów jest idea ciągłości: powstały, żeby trwać wiecznie. Jednak wiele ideologii i filozofii, które dają impuls do ich budowy, z czasem się zmienia. Trendy demograficzne podlegają wahaniom, sympatie polityczne również, wybierane są nowe rządy, estetyka ewoluuje – budynki zaś często trwają jako namacalny ślad idei, które doprowadziły do ich powstania.

To, w jaki sposób gmach użyteczności publicznej – albo, jak się przekonamy, cmentarz, a nawet park – może się stać nawiedzony, ma wiele wspólnego z ewolucją pojęć kulturowych, które zmieniają się szybciej niż otaczający nas krajobraz, przez co stają się przestarzałe, archaiczne i anachroniczne.

W przeciwieństwie do obiektów komercyjnych lub prywatnych rezydencji miejsca użyteczności publicznej mają mniejsze możliwości obrony przed duchami – oraz poszukiwaczami duchów, jeśli przyklei się już do nich łątka nawiedzonych. Częściowo jest to podyktowane koniecznością: instytucje takie jak więzienie stanowe w Moundsville w Wirginii Zachodniej nie są wystarczająco dofinansowane, by mogły pokrywać bieżące wydatki, i potrzebują dochodów z tzw. czarnej turystyki, jeśli chcą uniknąć rozbiórki. Historie niesamowite stały się ważnym narzędziem dla osób walczących o ochronę budynków, które mają wartość kulturową lub społeczną, a w przeciwnym razie zostałyby zrównane z ziemią. Będąc częścią przestrzeni publicznej, należą do wyobraźni ogółu. Ostatecznie nie można przepędzić badacza zjawisk nadprzyrodzonych z miejskiego parku. Duchy pozwalają przetrwać zaniedbanym przestrzeniom, które dzięki nim znów stają się potrzebne swoim społecznościom.

MELANCHOLIJNA KONTEMPLACJA

Moundsville, Wirginia Zachodnia

Na pustkowiach hrabstwa Greenbrier w Wirginii Zachodniej przy drodze numer 60 stoi tablica informująca o wyjątkowo osobliwym zabytku kultury. Postawiona w 1979 roku, w kilkudziesięciu słowach opowiada niesamowitą historię „ducha z Greenbrier”.

NA POBLISKIM CMENTARZU POCHOWANA JEST ZONA HEASTER SHUE. ZMARŁA W 1897 ROKU Z PRZYCZYN, JAK SĄDZONO, NATURALNYCH, DOPÓKI JEJ MATCE NIE UKAZAŁ SIĘ DUCH CÓRKI, KTÓRY OPISAŁ ŚMIERĆ ZONY Z RĄK MĘŻA EDWARDA. SEKCJA ZWŁOK PO EKSHUMACJI POTWIERDZIŁA RELACJĘ ZJAWY. EDWARDA UZNANO ZA WINNEGO MORDERSTWA I TRAFIŁ DO WIĘZIENIA STANOWEGO. TO JEDYNY ZNANY PRZYPADEK, GDY ZEZNANIE DUCHA POMOGŁO SKAZAĆ MORDERCĘ.

Mąż nazywał się Erasmus Stribbling Trout Shue^[168], nie Edward, chociaż większość ludzi wołała na niego Trout. Gdy przybył do zakładu karnego w Moundsville w Wirginii Zachodniej w 1897 roku jako więzień numer 3255, nie trafił za kratki po raz pierwszy. Wcześniej skazano go za kradzież koni i spędził w więzieniu dwadzieścia miesięcy. Shue, z zawodu kowal, pierwsze małżeństwo zawarł w roku 1885. Do rozwodu doszło cztery lata później w niejasnych okolicznościach (jak twierdzili niektórzy, jego żona bała się, że Shue ją zabije). W 1894 roku ożenił się po raz drugi, biorąc za żonę niejaką Lucy A. Tritt, która zmarła niecały rok po ślubie, w lutym następnego roku. O jej śmierci wiadomo niewiele: w gazecie odnotowano tylko, że „zmarła nagle w domu”, i nie zainteresowano się przyczyną zgonu. Gdy Shue poznał Zonę Heaster, miała już kilku zalotników, ale wybrała kowala, który niedawno przybył do miasteczka, i w październiku 1896 roku wzięli ślub.

I tym razem nie minął nawet rok, gdy śmierć położyła kres małżeństwu. Rano 22 stycznia 1897 roku Shue, który załatwiał właśnie różne sprawy poza domem, posłał chłopca, Andersona Jonesa, żeby wstąpił do niego do domu i zapytał, czy pani Shue czegoś nie potrzebuje. Jones znalazł jej ciało na podłodze „rozciągnięte idealnie prosto, ze złączonymi stopami, z jedną ręką leżącą u boku, a drugą na ciele”. Głowa, jak donosiła gazeta, „była lekko przechylona w bok”^[169].

Zanim na miejsce przybył koroner George Knapp, Shue zdążył ułożyć żonę w łóżku i tulił w dłoniach jej głowę, zanosząc się spazmatycznym płaczem. Knapp, próbując ustalić przyczynę śmierci, dostrzegł „lekkie odbarwienia na szyi z prawej strony i na prawym policzku”, kiedy jednak chciał zbadać ciało dokładniej, Shue „zaprotestował tak stanowczo”, że Knapp dał za wygraną i opuścił dom, dokonawszy jedynie pobieżnych oględzin. Później zapisał, że kobieta zmarła po „długotrwałym omdleniu”^[170].

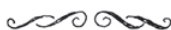
Ciało pani Shue przewieziono do domu jej matki, gdzie zostało wystawione, lecz w czasie czuwania zachowanie jej męża według naocznych świadków stawało się coraz bardziej nerwowe. Sam ubrał zwłoki i wydawał się zaniepokojony, gdy ktoś za bardzo się do nich zbliżał. Z jednej strony głowy nieboszczki podłożył poduszkę, żeby mogła „lepiej się oprzeć”, jak się sam wyraził. Mimo to ludzie zauważyli, że gdy przenoszono ciało, głowa opadała dziwnie luzno. Kobietę pochowano następnego dnia, w poniedziałek 25 stycznia.

Duch pojawił się niedługo potem.

Teściowa wdowca, Mary Jane Heaster, zawsze była przeciwna małżeństwu córki. Na wiadomość o śmierci jedynaczki była zrozpaczona, ale w kolejnych dniach, jak twierdziła, zaczęły się wizyty ducha Zony. Jak zeznawała później pod przysięgą: „To nie był żaden sen – wróciła do mnie i powiedziała, że mąż wpadł w złość, bo nie przygotowała na kolację mięsa”^[17]. Duch córki oświadczył, że Shue ją zabił, wpadłszy z tego błahego powodu w szał. Zjawia poinstruowała panią Heaster, żeby „znalazła za domem ciotki Marthy Jones na łące wśród skał piwniczkę”, gdzie za deskami zobaczy ślady krwi tam, gdzie to zrobił. Pani Heaster posłuchała wskazówek i oczywiście znalazła krew w miejscu, które odpowiadało opisowi. I co najistotniejsze, doszło do kolejnego wyznania: „Przychodziła cztery razy, w cztery noce; ale drugiej nocy powiedziała mi, że kark jej skręcił przy pierwszym kręgu”.

Po kilku takich nocach pani Heaster, która nie mogła dłużej tego znieść, udała się do prokuratora okręgowego Johna Prestona z podejrzeniem, że śmierć Zony nie nastąpiła wskutek wypadku i że duch córki będzie ją nawiedzał, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość. Prawie miesiąc po śmierci Zony ekshumowano jej zwłoki i przeprowadzono dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu. Ciało całkiem dobrze się zachowało w czasie wirginijskiej zimy. Chociaż według ducha, który rozmawiał z Mary Jane Heaster, doszło do złamania karku, autopsję rozpoczęto od poszukiwań śladów trucizny. Dopiero po wyeliminowaniu tej przyczyny zbadano szyję ofiary i ustalono, że Zona Heaster Shue rzeczywiście ma złamany kark, a bez śladów na ciele wskazujących na upadek lub inne nieszczęśliwe zdarzenie istniało duże prawdopodobieństwo, że została zamordowana.

Latem odbył się proces i Erasmusa Shue skazano za zabójstwo żony, ale – co nietypowe w wypadku morderstwa – nie zasądzono kary śmierci. Skazano go na dożywocie w zakładzie karnym w Moundsville w Wirginii Zachodniej. Nigdy nie wyszedł na wolność i zmarł w więzieniu 13 marca 1900 roku.



Zakład karny w Moundsville w kolejnych dekadach po śmierci Erasmusa Shue powoli okrywał się coraz gorszą sławą jako miejsce, gdzie fatalnie traktuje się więźniów. Doszło do tego, że w 1981 roku Robert Crain zaskarżył władze stanowe, twierdząc, że stosowano wobec niego „kary okrutne i wymyślne”, co zapoczątkowało długotrwałą batalię prawną. W 1986 roku Sąd Najwyższy Wirginii Zachodniej w wydanej opinii wymienił szereg nagannych praktyk odnoszonych w tej placówce, a lista była tak długa, że sędziowie mieli kłopoty z precyzyjnym ich podsumowaniem. Muszle klozetowe z wybijającymi ściekami, ptasie odchody pod okapami, brak regulacji temperatury (oznaczający przenikliwe zimno zimą i potworny skwar latem) – to tylko niektóre z „niedopatrzeń”. „Ze względu na zaduch, brud i rozlane ścieki – relacjonowali sędziowie – większość pomieszczeń więzienia przenika smród. Mnożą się przykłady praktyk stanowiących zagrożenie pożarowe i zagrożenie dla bezpieczeństwa, do czego dochodzą liczne uchybienia sanitarne w części, gdzie serwuje się posiłki. Jedzenie zanieczysz-

zione jest włosami, owadami i innymi ciałami obcymi”^[172]. A ponieważ władze stanowe w następnych latach nie poradziły sobie z tymi problemami, niespełna dziesięć lat później, w 1995 roku, więzienie zamknięto.

Duchy wprowadziły się tam mniej więcej w czasie, gdy wywieziono więźniów. Słyszano jednego z byłych osadzonych, Williama „Red” Snydera, którego zamordowano w celi w 1992 roku. Przywoływał przewodników i od czasu do czasu pojawiał się na nagraniach EVP. Na korytarzach widywano mroczne cienie, a niedaleko północnej bramy kręcił się oburzony duch Arvila Adkinsa. Adkins był jednym z trzech mężczyzn skazanych na śmierć w 1938 roku za nieudane porwanie, które doprowadziło do śmierci ofiary^[173]. Powieszenie Adkinsa nie przebiegło gładko: drzwi spustowe w podłodze otworzyły się za wcześniej i skazaniec runął na beton 6 metrów w dół. Wciąż żywy, ale zakrwawiony i potłuczony, został zanieiony z powrotem na górę na noszach i powieszony w należyty sposób.

Po roku 1995 władze stanowe przekazały więzienie Radzie Rozwoju Moundsville, nie dostarczyły jednak dodatkowych funduszy na jego utrzymanie czy remont. Rada postanowiła więc wykorzystać reputację więzienia, w którym straszy, i otworzyć budynek dla zwiedzających, organizując każdej jesieni inscenizowane wycieczki pod hasłem „W lochach grozy”, a przez cały rok sesje dla poszukiwaczy duchów.

Według jednego z sezonowych pracowników, z którymi rozmawiałem, podczas spaceru „w lochach grozy” nie zawsze trzeba się uciekać do pozorowanych sztuczek^[174]. Nawet bez nagrań z taśmy słychać tam dziwne odgłosy: wody kapiącej z nieznanego źródła, pobrząkiwań przeszywających upiorną ciszę. Przewodnicy opowiadają o prawdziwych morderstwach, torturach i cierpieniach, których świadkami były mury tego więzienia. Przywołują przy tym niemal wyłącznie znane fakty, czerpiąc z jego długiej i mrocznej historii.

Tego typu atrakcje stały się niebywale popularne. Socjolożka Margee Kerr wyjaśnia, że „przerażają i jednocześnie intrygują – wytwarza się dynamika przyciągania/odpychania”. Chociaż mamy nadzieję, że nigdy nie zostaniemy zamknięci w jednym z takich miejsc, mimo wszystko ciągnie nas do nich ze względu na to, co sobą reprezentują. Jak pisze Kerr: „W publicznym akcie pozbawienia wolności przestępca lub kogoś «anormalnego» społeczeństwa potwierdzają wspólne wartości, różnice między «nami» i «nimi» stają się lepiej widoczne, a linie podziału wyraźniejsze”^[175]. Jeśli przeraża nas myśl, że któregoś dnia możemy się znaleźć za kratkami choćby w Moundsville, po zakończeniu zwiedzania, jak sugeruje Kerr, pociechę niesie nam świadomość, że nie jesteśmy jednymi z tych „złych” i że za sklepem z pamiątkami możemy swobodnie znów dołączyć do cywilizacji. Wartościowe atrakcje turystyczne, zauważa Kerr, poszerzają nasze horyzonty, nie pozbawiając nas poczucia bezpieczeństwa i inspiracji; te gorsze z kolei „pozostawiają nas bez cienia refleksji”^[176].

Może jednak po wizycie w obiekcie takim jak więzienie w Moundsville powinniśmy czuć się odrobinę nie swojo. Mężczyzna, z którym rozmawiałem, wspominał, że po miesiącu, odkąd się tam zatrudnił, miejsce to zaczęło na niego oddziaływać. Po zakończeniu zmiany pracownicy raczej nie próbowali się kumpłować – nie chodzili razem na piwo ani nie opowiadali sobie po robocie żartów. „Každy chciał to jak najszybciej zostawić za sobą”.

Ostatecznie architektura więzienna ewoluowała w taki sposób, żeby wywoływać konkretne emocjonalne i fizyczne reakcje. I choć idea odosobnienia w celi wyrosła z tradycji klasztornej, w kontekście karnym izolacja rzadko owocuje resocjalizacją. Ponawiane badania wskazują raczej na coś odwrotnego: odosobnienie jest niebezpieczne dla zdrowia psychicznego i fizycznego, wywołuje narastającą psychiczną niestabilność i aspołeczne zachowania u osadzo-

nych.

Gdy projektowano i budowano więzienia w rodzaju Moundsville, wiedza na ten temat była znikoma. Do końca XVIII wieku stanowiły one rozwiązanie tymczasowe. W celi czekało się na proces i w niektórych wypadkach na wykonanie wyroku. Same kary miały wyłącznie charakter cielesny: chłosta albo śmierć. Podejście, wedle którego samo więzienie mogłoby być rodzajem kary, że można zapłacić za popełnione przestępstwo utratą wolności, jest stosunkowo nowe.

Kiedy więc wznoszono Moundsville, kara pozbawienia wolności wydawała się pewnym novum, rozwiązaniem wręcz humanitarnym. Komisarze wyznaczeni do nadzoru budowy więzienia stanowego w Filadelfii, Philadelphia Eastern, pisali w raporcie: „Jego projekt ma rozbudzać, przez cierpienia oddziałujące głównie na umysł, którym towarzyszą nauki moralne i religijne, chęć właściwego prowadzenia się, co jest jedynym pewnym sposobem zapobiegania przestępczości”^[177]. W odosobnieniu, sam na sam ze swymi myślami i Biblią, człowiek mógł się skupić na pokucie i samodoskonaleniu, nierozpraspany przez otoczenie i kolejne grzeszne pokusy.

Ale oczywiście koncepcja ta nie sprawdzała się w wypadku wszystkich przestępców, stąd druga cecha projektu filadelfijskiego więzienia: jego imponująca fasada i przypominające twierdzę, budzące grozę zewnątrz. Ów efekt był zamierzony, budynek miał bowiem, wedle powyższego raportu, „napawać tak wielkim lękiem i trwogą, ażeby zniechęcić sprawcę do popełniania przestępstw w stanach, gdzie obowiązuje kara pozbawienia wolności”.

Moundsville, tak jak więzienie stanowe w Filadelfii, miało roztaczać ponurą i melancholijną aurę, by wzbudzić jeszcze większą skrucę w przestępcach przebywających w jego murach i stanowić ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy mogliby rozważać wkroczenie na złą ścieżkę. Jak podaje encyklopedia z 1826 roku: „Styl architektoniczny więzienia nie jest sprawą bagatelną. Stanowi skuteczny sposób wzbudzenia w wyobraźni najwyższej odrazy”. W dalszej części encyklopedia zaleca, aby „elewację więzienia zaprojektowano w ciężkim i ponurym stylu, który najpewniej natchnie oglądającego przygnębieniem i grozą. Grube gzymsy, brak okien i innych ozdób, niskie drzwi, stosunkowo niewielka wysokość budynku – to niemal wszystkie cechy konieczne, żeby wywołać pożądany efekt”^[178].

Architekci, którzy projektowali placówki takie jak w Filadelfii i Moundsville, usiłowali zatem wzbudzić owo złowrogie wrażenie, z jakiego od dawna słynęło londyńskie więzienie Newgate, wywołujące w osadzonych (wedle jednego z komentatorów) trwogę i chęć „melancholijnej kontemplacji”^[179]. Zakład Philadelphia Eastern, chociaż dużo droższy od innych ówczesnych więzień, długo budził takie uczucia, przynajmniej wśród praworządnych obywateli. „Projekt i jego wykonanie nadają temu budynkowi ponurego, surowego i groźnego charakteru – pisał w 1830 roku George Washington Smith. – Efekt, jaki powstaje w wyobraźni każdego przygodnego obserwatora, jest szczególnie silny, głęboki i pouczający”^[180].

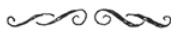
Wieżenie Moundsville nawet dzisiaj wydaje się szczególnie deprymujące, a spacer jego korytarzami wywołuje niepokój. Robi wrażenie jednocześnie klaustrofobicznego i nieskończonego, opuszczonego i bezlitosnego. Chłodny kamień wysysa z pomieszczeń całe ciepło; zimą bez wątpienia jest tam nie do wytrzymania, ale nawet podczas mojej kwietniowej wizyty panował nienaturalny chłód, jak gdyby cały budynek był „zimną strefą”. Dźwięki odbijają się od ścian w zaskakujący sposób, tworząc dziwne echo. W Moundsville dostajesz ze strachu gęsiej skórki, nawet jeśli jesteś tylko turystą.

Więzienie to przemawia też w inny sposób, przekazując historię dawnych rezydentów poprzez obrazy i napisy na ścianach. Było to poniekąd pewną anomalią, ale począwszy od lat sześćdziesiątych XX wieku aż do zamknięcia więzienia w 1995 roku strażnicy w Moundsville pozwalali więźniom malować na ścianach. Wewnętrzne powierzchnie pokryte są więc enigmatycznymi obrazami, śladami życia toczącego się w tych murach – od Wojowniczych Żółwi Ninja po słowa piosenek Guns N' Roses i Hanka Williamsa. Najczęściej są to obrazy łączące przyrodę z motywami fantastycznymi (górskie wodospady, średniowieczni rycerze, dinozaury), znaki gangów, flagi Konfederacji, czaszki i demony, a także postacie z komiksów. Nie zachowały się nazwiska autorów, a prócz tego, co wiemy z przekazów ustnych, przeznaczenie i sens tych malowideł nie są jasne. Moundsville, niegdyś szereg anonimowych cel i korytarzy, dzisiaj przechowuje w tych obrazach dziwne, zagadkowe historie ludzi, którzy byli tu więźniami.

Między budynkami – w szczególności domami mieszkalnymi, ale tak naprawdę wszystkimi budynkami, w których spędza się bardzo dużo czasu – a przebywającymi w nich ludźmi zachodzi swoiste sprzężenie zwrotne. Przez rozstawienie mebli i ozdób, rutynowe zachowania i przyzwyczajenia, nawet przez sposób rozpakowywania rzeczy w hotelowym pokoju aranżujemy i porządkujemy przestrzeń, po której się poruszamy, w taki sposób, by jak najlepiej zaspokoić swoje potrzeby. Ale nie w więzieniu. Tutaj działanie jest całkowicie jednostronne – więzienie kształtuje więźniów i nie daje im przestrzeni, żeby byli sobą, żeby działali poza sztywnymi ramami regulaminu, żeby zmieniali otoczenie zgodnie z osobistymi potrzebami. Zamknięte korytarze, długie rzędy identycznych cel, nieosłonięte toalety – wszystko jest zaprojektowane tak, by przypominać, że człowiek nie mógłby tu żyć, choć w rzeczywistości mieszkają tu tysiące.

O więzieniu Philadelphia Eastern słyszy się częściej niż o Moundsville – jest większe, bardziej znane i częściej pojawia się w internetowych zestawieniach „najbardziej nawiedzonych” zakładów karnych. Znajduje się przy tym w samym centrum Filadelfii, otoczone restauracjami, kawiarniami, luksusowymi salonami, pięknymi domami, i mimo fasady (jakby wyjętej z powieści gotyckiej) stanowi integralną część miasta. Moundsville stoi na odludziu, wyrasta z ziemi niczym anomalia, opuszczone i obojętne.

I jest jeszcze kopiec po drugiej stronie ulicy.



Kopiec Grave Creek, o wysokości ponad 20 i obwodzie prawie 275 metrów, usypany z ponad 42 tysięcy metrów sześciennych ziemi, to największy zachowany kurhan grobowy w USA, pozostałość kultury Adena, która zanikła około roku 200 naszej ery. Kultura ta jest dla antropologów tajemnicą, a ów zadziwiający kopiec opiera się próbom definitywnego wyjaśnienia jego roli lub zrozumienia tych, którzy go usypali.

Został odkryty przez Josepha Tomlinsona w 1770 roku^[18]. Po tym, jak spędził cały dzień na terenie swojego majątku na południe od Wheeling, Tomlinson wspiął się na niewielki pagórek niespełna pół kilometra od domu i zdał sobie sprawę, że stoi nie na wzgórzu, lecz na olbrzymim kopcu, który wtopił się niezauważenie w krajobraz. Kurhan ten stopniowo zaczął wzbudzać coraz większe zainteresowanie i powstawały liczne teorie mówiące o tym, co może się kryć w jego wnętrzu. Spekulowano, że znajduje się w nim klucz do poznania starożytnych cywilizacji sprzed tysięcy lat. Do roku 1838 Tomlinsonowie zebrali dość funduszy, by rozpocząć prace wykopaliskowe.

Kopiec, jak się okazało, nie skrywał tajemnic wielkich cywilizacji, a jedynie szczątki dwóch osób. Mimo to wewnątrz kurhanu udało się urządzić pewnego rodzaju muzeum, którego zawartość można było obejrzeć za ćwierć dolara. Za wejściem rozciągała się centralna komnata wsparta ceglana kolumną. „Wokół tej kolumny u podstawy zainstalowano kolistą półkę z pojemnikami – zapisał jeden ze zwiedzających w 1842 roku – w których ułożono kości, ozdoby na głowę i inne ciekawe przedmioty znalezione w tym grobowcu. Było tam ciemno, paliło się tylko kilka łójówek, które rzucały upiorne światło na zdrutowany szkielet i inne rozłożone kości”^[182]. Bez linii kolejowej i innych możliwości łatwego dojazdu do Moundsville kurhan nie mógł przyciągnąć tłumów.

Jako atrakcja turystyczna kopiec Grave Creek splajtował w 1846 roku, lecz w późniejszych latach nie porzucano planów wykorzystania tego niezwykłego obiektu w inny sposób: urządzono na nim bar, a podczas wojny secesyjnej ustawiono działa artyleryjskie. W 1874 roku odkupił go dawny więzień pobliskiego zakładu karnego. Najpierw zainstalował na jego szczycie parkiet do tańca, a docelowo zamierzał tam postawić cysternę z wodą dla więźniów i miasteczka. Ten plan też się nie powiódł i w końcu w 1909 roku obiekt przejęły władze stanowe.

Wtedy już kopiec był w fatalnym stanie. Z pomocą więźniów uzupełniono ubytki i naprawiono inne szkody. Niedaleko powstało nowe muzeum, ale choć podejmuje ono godną podziwu próbę zrekonstruowania dawnej kultury Adena, zbyt wielu rzeczy po prostu o niej nie wiemy. Kopiec jest pomnikiem luk w historii, tego wszystkiego, do czego nie mamy już dostępu.

Liczni blogerzy łączyli nawiedzone więzienie z kopcem, formułując najdziwniejsze spekulacje, w których pewną rolę odgrywali między innymi kosmici i pogrzebane olbrzymy. Te dwa obiekty stanowią studium kontrastu: jeden enigmatyczny, powstały z ziemi, z wiszącą nad nim wieczną groźbą rozpadu; drugi wyciosany ze skały, całkowicie nieprzenikniony, którego zburzenie wymagałoby olbrzymiego wysiłku. Kopiec uparcie się bronił przed merkantylnymi zakusami miejscowej ludności, natomiast więzienie z powodzeniem spienięża własną historię, uzyskując jakże potrzebne fundusze na swoje utrzymanie. I podczas gdy kurhan Grave Creek pozostaje nierozwiązaną zagadką, więzienie doskonale się wpasowuje w narrację o zbrodni i karze, siłach dobra i zła.



Człowiek, który znalazł się w więzieniu Moundsville, niezależnie od tego, jakie przestępstwo popełnił, w zasadzie przegrał swoje życie. Zakład był niedofinansowany, brakowało strażników i nie można w nim było liczyć na litość. Świat penitencjarny jest światem bezprawia i anarchii, między innymi dlatego właśnie tak nas przeraża. Według szacunków jednego z badaczy liczba więźniów w Moundsville zawsze przewyższała liczbę strażników co najmniej dwudziestokrotnie. W obiekcie, który według planów miał pomieścić sześciuset pięćdziesięciu osadzonych, często przebywało ich ponad dwa tysiące, a liczba strażników ani razu w ciągu doby nie przekraczała pięćdziesięciu.

Jak można się domyślić, notoryczny niedobór ludzi i środków doprowadził do sytuacji, w której poziom przemocy wśród więźniów często ocierał się o czystą anarchię. W listopadzie 1992 roku „Red” Snyder, przywódca Bractwa Aryjskiego, został wielokrotnie pchnięty nożem przez swojego sąsiadą, Rusty’ego Lassitera. Przyjaźnili się, ale cena za głowę Snydera zaproponowana przez jego rywala okazała się zbyt kusząca.

Ta zdrada być może tłumaczy, dlaczego duch Snydera wciąż niezmordowanie straszy w swojej celi, przywołując byłych strażników, którzy teraz oprowadzają po więzieniu wycieczki. To morderstwo jest tylko jednym z wielu aktów skrajnej przemocy dokonanych w murach Moundsville. Jego historia roi się od bestialskich czynów popełnianych przez więźniów – zazwyczaj gdy rywalizujące ze sobą gangi chciały kogoś dla przykładu ukarać. Najgorszą sławą otoczona była podziemna sala rekreacyjna – zwana Cukrzanką (ang. *Sugar Shack*) – gdzie nie prowadzono nadzoru i gdzie doszło do niezliczonych pobić, gwałtów i zabójstw.



U źródła wielu historii niesamowitych leży pragnienie szybkiego i skutecznego wymierzenia sprawiedliwości. Część naszej wiary w duchy przypuszczalnie bierze się z nadziei na idealną i niepozostawiającą wątpliwości sprawiedliwość. Wyjąwszy historie o poltergeiście, złośliwym duchu działającym bez konkretnego celu, lub o demonach i innych złych mocach, opowieści o duchach często krążą wokół pojęć zbrodni i kary. Idealnym przykładem jest historia morderstwa Zony Heaster Shue: niewiele brakowało, a morderca uniknąłby kary, ale duch wraca, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Matce udaje się pomścić córkę, *Hamlet* na opak, gdzie duch nie spocznie, dopóki nie ujmie się za nim rodzina. Istotnie, historia zjawy z Greenbrier brzmi tak literacko, że wydaje się, jakby pochodziła z powieści.

Czy jednak zjawa naprawdę pomogła skazać Erasmusa Shue?

Gdy na początku lat osiemdziesiątych autorka Katie Letcher Lyle usłyszała o duchu z Greenbrier od jednego z potomków Erasmusa, postanowiła ustalić, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Przeprowadziła rozmowy z żyjącymi potomkami uczestników tamtych wydarzeń, dokopała się do wiadomości prasowych i akt sądowych i choć przekonała się, że główne elementy tej historii są w zasadzie prawdziwe, istnieją dziwne rozbieżności między tym, jak o całej sprawie się zwykle opowiada, a rzeczywistością.

Na przykład matka Zony rzeczywiście zeznała podczas procesu zięcia, że widziała ducha, ale wystąpiła z ramienia obrony, nie oskarżenia. Prokurator John Preston sądził najwyraźniej, że historia o zjawie jest zbyt fantastyczna, żeby mogła się przydać w sprawie, i nie wezwał Mary Jane Heaster na świadka. To adwokat oskarżonego skłonił ją do złożenia zeznań, mając nadzieję, że w ten sposób zdyskredytuje całe postępowanie, gdy się okaże, że zainicjowała je matka histeryczka. Oprócz zeznań pani Heaster nie ma innych świadectw potwierdzających wizyty ducha, a ów rzekomo znaczący szczegół – powiadomienie matki o złamanym karku – nie wyjaśnia, dlaczego autopsję (skoro wykonano ją na żądanie ducha) rozpoczęto od poszukiwań śladów otrucia.

Lyle przedstawiła własną teorię na temat tego, co się naprawdę stało. W wydaniu „Greenbrier Independent” z 28 stycznia 1897 roku wiadomość o śmierci Zony Heaster Shue podano na stronie trzeciej, za to na stronie pierwszej zrelacjonowano osobliwą historię z Australii. „Jedno z najsłynniejszych morderstw w Australii – czytamy – wyszło na jaw za sprawą ducha ofiary siedzącego na barierce koło stawu, do którego wrzucono ciało. Widzieli go liczni świadkowie i zbrodnię szybko wykryto”. W dalszej części artykułu napisano:

Wiele lat później umierający mężczyzna wyznał na spowiedzi, że sam tego ducha wymyślił. Był świadkiem zbrodni, ale zagrożono mu śmiercią, gdy chciał ją ujawnić. Nie mając więc innego wyjścia, udawał, że widział ducha w miejscu, gdzie potem znaleziono zwłoki. Tak wielka jest moc

perswazji, że gdy tylko opowiedział swoją historię, wielu innych zaczęło widywać ducha, aż jego sława zatoczyła tak szerokie kręgi, że wszczęto poszukiwania i znaleziono ciało, a mordercę postawiono przed sądem^[183].

Mary Jane Heaster nie była idiotką, nie była też histeryczką. Powzięła silne podejrzenie, że Shue zabił jej córkę i że miejscowi funkcjonariusze, cokolwiek sami sądzili, nie zamierzają w tej sprawie kiwnąć palcem. Duch z Australii zainspirował ją, jak twierdzi Lyle, i postanowiła zrealizować własną wizję sprawiedliwości, którą potem wykorzystała, by zmusić służby do działania.

Lyle przyznaje, że ponieważ Mary Jane Heaster od dawna już nie żyje i nie pozostawiła swojej wersji wydarzeń, hipoteza ta jest czysto poszlakowa. Ale taki też był proces Shue. Choć autopsja wykazała, że Zonę zamordowano, podczas procesu prokurator nie przedstawił żadnych dowodów rzeczowych, które wskazywałyby na winę Erasmusa. Został skazany wyłącznie na podstawie swego podejrzanego zachowania po śmierci żony.

Sprawa Erasmusa Shue jest, jak sądzę, niepokojąca nie ze względu na swój nadprzyrodzony element, lecz z uwagi na ewidentnie szwankujący sposób działania wymiaru sprawiedliwości. Całkiem możliwe, że Shue był winny; mieszkańcy Greenbrier z pewnością tak uważali. Dlaczego więc nie mogli go skazać na podstawie dowodów materialnych? Co jest bardziej kłopotliwe w historii Zony Heaster: że niewinnego, być może, człowieka skazano za jej śmierć wyłącznie na podstawie poszlak? Czy że nie można było skazać mordercy w ramach przyjętego systemu prawnego, na którym zwykle się opieramy?

Historia o duchu odsuwa ten niepokojący dylemat. W latach po ogłoszeniu wyroku i śmierci Erasmusa Shue „duch z Greenbrier” stał się z czasem symbolem pewnego rodzaju pewności, takiej samej pewności, jakiej szukamy w grubych murach starego więzienia. Podsuwając wizję sprawiedliwości idealnej, niepomszczony duch machnięciem swej przezroczystej dłoni zbywa wszelkie prawne niejasności i zostawia nagą prawdę.

PLAMA

Danvers, Massachusetts, i Athens, Ohio

Na wzgórzu w północno-wschodnim Massachusetts górują nad okolicą pozostałości szpitala stanowego Danvers, z wieżą zegarową wciąż widoczną dla samochodów przejeżdżających autostradą międzystanową numer 95. Tutaj ponoć John Hathorne – jeden z głównych sędziów w procesach czarownic w Salem, słynący z surowości przesłuchań i przeświadczenia o winie oskarżonych – wybudował swój dom. W przedziwny sposób, w jaki Ameryka czasami kumuluje w jednym miejscu różne tragedie, jak gdyby próbując poddać zło kwarantannie, na ziemi, która należała kiedyś do Hathorne’a, wybudowano szpital stanowy. Stworzony z najszlachetniejszych pobudek, z czasem dał się poznać jako najgorszy z możliwych światów.

Danvers State Hospital, wniesiony w 1874 roku, zasłynął za sprawą H.P. Lovecrafta, który na nim wzorował swój fikcyjny Azyl Arkham. Ze szpitalem od dawna wiąże się wiele legend. Nawet po zamknięciu obiektu w roku 1992 jego sława nie przeminięła. Z ozdobną, lecz złowrogą wiktoriańską fasadą, długimi skrzydłami i ponurą wieżą zegarową pośrodku wyglądał jak wzorcowy przykład nawiedzonego szpitala psychiatrycznego. To nie przypadek – był jednym z wielu obiektów opartych na modelu wypracowanym przez psychiatrę Thomasa Kirkbride’a i po raz pierwszy zrealizowanym w 1848 roku w stanowym zakładzie dla obłąkanych w Trenton w stanie New Jersey. Gdy stulecie dobiegało końca, podobne gmachy rozsiane były już po całym kraju, od Salem w stanie Massachusetts po Salem w stanie Oregon – gdzie znajduje się stanowy szpital psychiatryczny (i gdzie toczy się akcja powieści *Lot nad kukulczym gniazdem* Kena Keseya). W ciągu ostatnich dziesięcioleci większość tych budynków została jednak opuszczona, zburzona lub zaadaptowana do innych celów – w niewielu wciąż działają szpitale psychiatryczne.

Danvers zaczął zamykać swoje oddziały pod koniec lat sześćdziesiątych i w 1992 roku całkowicie zakończył działalność. Po wieloletnich staraniach w 2006 roku nieruchomość odkupił deweloper i rozpoczął remont z zamiarem utworzenia tam luksusowych apartamentów. Zburzono potężne skrzydła szpitala, zachowano tylko centralną część administracyjną z wieżą zegarową. W środku czuć zapach nowych wykładzin i świeżej farby. Jeśli teraz budynek robi upiorne wrażenie, to raczej nie w związku ze swoją szpitalną przeszłością, lecz ze względu na wybitną przeciętność wewnątrz: po przestąpieniu jego progu można się poczuć jak w każdym niedrogim hotelu sieciowym w kraju.



W odróżnieniu od Moundsville i Philadelphia Eastern, które miały w zamierzeniu emanować melancholijną grozą, a ich architektura stanowiła część kary, Danvers i jego liczne rodzeństwo starały się stwarzać przyjazną atmosferę, by przekonać zarówno pacjentów, jak

i członków ich rodzin, że znaleźli się w dobrych rękach.

Przez całe wieki obłąkanych zaliczano do tej samej grupy społecznej co niewidomych, nędzarzy, chorych i starców. Ci wszyscy, którzy nie mogli pracować ani w inny sposób przyczyniać się do rozwoju społeczeństwa, byli traktowani mniej więcej jednakowo, niezależnie od specyfiki swojej sytuacji. Przed powstaniem przytułków obłąkanych członków rodziny zamykano w odosobnionych częściach domu. (Najsłynniejszym przykładem jest oczywiście Bertha z *Dziwnych losów Jane Eyre*, „wariatka na strychu”, którą znajduje główna bohaterka). Stopniowo jednak, w XVII i XVIII wieku, pierwsze przytułki zaczęły oferować zamożnym rodzinom miejsca, gdzie można było umieścić obłąkanych krewnych. W tym świetle taki zakład był po prostu strychem bądź piwnicą, tylko że przeniesionymi gdzie indziej, poza mury domu.

Początkowo przytułki dla obłąkanych okazywały się często miejscami koszmarnych nadużyć i zaniedbań. Doniesienia o polewaniu lodowatą wodą pacjentów niekontrolujących czynności fizjologicznych, przykuwaniu nagich kobiet łańcuchami do ścian, rojach pcheł i stadach szczurów oraz innych potwornościach stopniowo rodziły potrzebę utworzenia czegoś bardziej humanitarnego i higienicznego. W Anglii szpital Bethlehem – częściej nazywany Bedlam – z czasem tak bardzo zaczął się kojarzyć z bezładem, zgrozą i deprawacją, że nazwa ta trafiła do angielskich słowników jako synonim chaosu i szaleństwa.

W 1842 roku pojawił się nowy, silny głos reformatorski, który należał do Dorothei Dix. W piśmie skierowanym do legislatury rodzinnego stanu Massachusetts pomstowała na „obecne położenie ludzi obłąkanych zamykanych w tym kraju – w klatkach, schowkach, obozach i zagrodach! Skuwanych łańcuchami, nagich, objanych kijami, razami zmuszanych do uległości!”^[184]. Spotykała się z przypadkami, że chorych zamykano na kłódkę w piwnicy i wyli tam w udręce, porzuceni w ciemności na całe lata bez pomocy i leczenia. Tego nie można było tak zostawić.

Rozwiązaniem stała się tzw. terapia moralna: kiedyś skutym i zapomnianym, teraz chorym pozwalano się poruszać swobodnie po zakładzie. Już nie torturowani ani nie więzieni, mogli się bawić i pracować. Poprzez pracę i sport, hobby i inne formy rekreacji terapia moralna obiecywała rehabilitację i uwolnienie od szaleństwa. Koncepcję tę przedstawiano jako drogę do wyleczenia chorego, a nie sposób na pozbycie się go z domu. „Doświadczenie pokazuje – twierdziła Dix – że z zastosowaniem rozsądnej kuracji szaleństwo jest uleczalne tak jak przeziębienie czy gorączka”^[185].

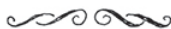
Model Kirkbride’a stał się rozwiązaniem architektonicznym, które w Stanach Zjednoczonych najsilniej kojarzono z terapią moralną. Zamiast budzić lęk, nowe obiekty miały wyglądać przyjaźnie, otoczone trawnikami i ogrodami, które pacjenci mogli sami pielęgnować. Charakterystyczny dla takiego obiektu był choćby główny budynek administracyjny, eleganci i okazały, z centralną wieżą i przedłużonymi do tyłu skrzydłami tworzącymi szerokie V. Do zalet owego rozwiązania należało między innymi to, że skrzydła można było rozbudowywać w nieskończoność. W rezultacie często rozrastały się do tysięcy metrów kwadratowych i gigantycznych rozmiarów.

Za ostentacją w modelu Kirkbride’a stał jeszcze jeden powód: chociaż szaleństwo w różnych formach towarzyszyło ludzkości od zawsze, psychiatria jako dział medycyny wciąż była w powijakach, a koncepcja „leczenia” szaleńców nie przyjęła się jeszcze całkowicie. Kirkbride wierzył, że w przeciwieństwie do innych dolegliwości, chorób umysłowych nie można leczyć w domu, wymagają wsparcia instytucjonalnego, ale jednocześnie traktował swoje zakłady jak

domy: lekarzy nazywano w nich „ojcami”, szpital „domem”, a pacjentów „rodziną”. Obiekty te stanowiły wielki i widoczny symbol psychiatrii. Wybudowane z mocnego kamienia, zaprojektowane z troską i finezją, niczym odznaka albo mundur umacniały autorytet tego działu medycyny i legitymizowały go. Ludzie widzieli w nich placówki opieki zdrowotnej, które pozwalały traktować szaleństwo jak chorobę możliwą do wyleczenia, a psychiatrę jak lekarza prowadzącego terapię. Stały się także miejscem obserwacji przeróżnych dolegliwości, które teraz można było zaliczyć do wspólnej kategorii. Takie szpitale na swój sposób tworzyły i lekarza, i pacjenta.

W drugiej połowie XIX wieku na terenie całego kraju wybudowano dziesiątki zakładów według koncepcji Kirkbride’a. Dla rodzin z klasy średniej i wyższej stały się szansą przerwania opieki nad obłąkanymi krewnymi na prywatne ośrodki, gdzie ciężar obowiązków przejmowali specjaliści. Nie można oddzielić tego zjawiska od nabierającej w tym czasie tempa industrializacji. Profesor Benjamin Reiss nazywa ówczesny zakład psychiatryczny „laboratorium, gdzie oczyszcza się kulturę i wytwarza pożytecznych obywateli” [186].

Zakłady Kirkbride’a miały być antidotum na różnego rodzaju potworności oglądane w miejscach takich jak Bedlam. Dlaczego dzisiaj tak bardzo się ich obawiamy?



Szpital Kirkbride’a są tak ogromne nie bez przyczyny. Powierzchnia Danvers pierwotnie wynosiła 6,5 tysiąca metrów kwadratowych, całkiem skromnie w porównaniu z innymi ośrodkami tego typu. Trans-Allegheny w Wirginii Zachodniej zajmował ponad 22 tysiące metrów kwadratowych, Northern Michigan Asylum w Traverse City – ponad 35 tysięcy po ukończeniu, a Greystone w New Jersey i Ridges w Athens w stanie Ohio po ponad 60 tysięcy.

Początkowo szpitale i ich wyposażenie były współfinansowane przez zamożne rodziny, które chciały dla bliskich jak najlepszej opieki. Lecz w następstwie wojny secesyjnej do jedynego federalnego szpitala Kirkbride’a w Waszyngtonie (Government Hospital for the Insane, później przemianowanego na St. Elizabeths Hospital) zaczęli się tłumnie zgłaszać weterani i stało się jasne, że obłąd nie jest problemem wyłącznie tych, którzy mają pieniądze.

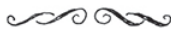
W połowie XIX wieku opieka psychiatryczna w coraz większym stopniu przechodziła pod kontrolę poszczególnych stanów. Prywatne ośrodki Kirkbride’a przekazywano władzom lokalnym, a w wielu stanach powstawały placówki wzorowane na tym modelu. Po raz pierwszy ich rozmiary i generowane przez nie koszty zaczęły być problemem. Urzędnicy publiczni nie chcieli łożyć dużych sum z pieniędzy podatników na opiekę nad stosunkowo nielicznymi pensjonariuszami tych ośrodków. Jeden z przeciwników takich wydatków, Hervey B. Wilbur, porównał koszty budowy różnych szpitali z ich pojemnością: Danvers, wybudowany za 1,6 miliona dolarów, miał jedynie czterysta pięćdziesiąt miejsc; w Ridges, wybudowanym za 950 tysięcy dolarów, przewidywano sześćset łóżek; w Worcester State Hospital w Massachusetts, za 1,25 miliona dolarów, tylko czterysta pięćdziesiąt łóżek; Greystone, kosztujący 2,5 miliona dolarów, miał jedynie osiemset miejsc i tak dalej [187]. Wilbur ostatecznie oszacował, że stworzenie jednego miejsca w szpitalach Kirkbride’a kosztuje podatnika około 2600 dolarów – nie wliczając ceny ziemi i umeblowania, nie mówiąc już o personelu i bieżących kosztach utrzymania.

Wydawało się, że rozwiązaniem będzie wtłoczenie do tych wielkich budynków jak największej liczby ludzi. Obiekty, które w zamierzeniu miały być przestronne i dawać pacjentom sporą dozę swobody, teraz stały się przepełnione, co napędzało spiralę degradacji – oplakanych

warunków, niedoborów kadrowych, przeciążonych zasobów i nieludzkiego traktowania. Jeśli model Kirkbride’a cokolwiek obiecywał w kwestii wskaźnika wyzdrowień, to biurokratyczne podejście skutecznie to udaremniło. Szpitale psychiatryczne stały się miejscami najgorszych nadużyć znamiennych dla ich poprzedników, zaniedbań, które przecież miały wyeliminować.

Pod koniec XIX wieku porzucono model Kirkbride’a na rzecz innej formy architektury: tzw. planu wiejskiego, który przewidywał budowę skupisk mniejszych, wolnostojących budynków zamiast gigantycznych, onieśmielających gmachów. Szpitale Kirkbride’a wydawały się anachroniczne, odzwierciedlały ideologię minionych czasów, kiedy marnowano pieniądze z podatków na frywolne detale architektoniczne i olbrzymie konstrukcje.

W krótkim czasie ideał Kirkbride’a przestał być uważany za postępowy i stał się symbolem niewydolności. I tak wieża zegarowa budynku administracyjnego nabrała groźnego charakteru, a starannie dodane elementy mające stworzyć bardziej domową atmosferę stały się groteskową parodią.



Pomimo tych wszystkich zmian fasady szpitali Kirkbride’a pozostały majestatyczne, chociaż ich chępliwa architektura przywodziła na myśl już nie zdrowie psychiczne i higieniczne warunki, lecz koszmar na jawie. Historie o zgonach w szpitalnych murach, zapomnianych ciałach, „leczeniu”, które przypominało sadystyczne tortury, stopniowo ustępowały miejsca historiom o duchach, przeklętej ziemi i nawiedzonych budynkach.

Opowieści niesamowite związane z nawiedzonymi szpitalami Kirkbride’a często mają swoje źródła w nader prawdziwej, jakże trudnej przeszłości. Danvers szybko zasłynął z koszmarnego przepełnienia – tłoczyło się tam cztery razy więcej pacjentów, niż planowano według oryginalnego projektu. Pacjenci czasami umierali niezauważeni przez personel i ich ciała się rozkładały, zanim ktoś je znalazł. W raporcie z 1939 roku odnotowano, że ponad 10 procent rezydentów szpitala zmarło w jego murach^[188]. Do ponurej sławy tej instytucji przyczyniał się jeszcze wątpliwy atut polegający na tym, że szeroko stosowano w niej i udoskonalano lobotomię przedczołową. Właśnie owo nagromadzenie potworności doprowadziło do namnożenia duchów, czyniąc z Danvers mekkę entuzjastów zjawisk paranormalnych. Poszukiwacze przygód próbowali się dostać do szpitala nawet po jego zamknięciu, przez co na terenie obiektu wzmocniono ochronę; od 2000 roku aresztowano ponad stu dwudziestu zafascynowanych duchami intruzów.

Wśród tych, którzy twierdzą, że coś widzieli, jest Jeralyn Levasseur, która wychowywała się na terenie szpitala (jej ojciec, Gerald Richards, był administratorem placówki). Levasseur wspomina zjawy wpatrujące się gniewnie w nią i jej siostrę, gdy były małe, a kiedy chodziła do liceum, pewnego razu w środku nocy coś znieuacka ścięgnęło z niej kołdrę. Levasseur tłumaczyła, że jej doświadczenia są konsekwencją zmieniającej się natury psychiatrii: „Jeśli cofniemy się do początków nauk medycznych i tego, co robiono ludziom – powiedziała w wywiadzie dla lokalnej gazety w 2003 roku – bez świadomości, że się ich krzywdzi, bo przecież próbowano im pomagać, musimy się zastanowić, czy ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że ich torturowano”^[189].

Historia szpitali psychiatrycznych jest siłą rzeczy historią praktyk, które kiedyś uznawano za konieczne, a teraz wydają się nam ekscentryczne lub przerażające. Doktor Henry Cotton, który w latach 1907–1930 był dyrektorem szpitala stanowego Trenton (dawnego stanowego

szpitala psychiatrycznego New Jersey, pierwszego ośrodka Kirkbride'a), przez kilkadziesiąt lat wykonywał okrutne operacje na swoich pacjentach, którym usuwał wszystko, od zębów po żołądki, święcie przekonany, że do ich niestabilności psychicznej przyczyniają się infekcje^[190].

Obciążone taką spuścizną ruiny zakładów Kirkbride'a – i związane z nimi historie – ujawniają, jak zawstydzające są przestarzałe metody stosowane kiedyś do „uzdawiania chorych”. Jakikolwiek kryły się za nimi motywy, lobotomie, kaftany bezpieczeństwa i agresywna terapia wstrząsowa teraz wydają nam się barbarzyńskie i zbędne, mającąc gdzieś w zakamarkach naszej zbiorowej świadomości. Jako kultura wciąż borykamy się z nierozwiązalnymi kwestiami, które kiedyś w takich miejscach niewłaściwie rozwiązywano: kto jest szalony? Czy my jesteśmy szaleni? I co możemy zrobić, by mieć pewność, że nie jesteśmy?

Opowieści o duchach w szpitalach psychiatrycznych najczęściej karmią się takimi obawami i w większości są sztampowe, ogólnikowe, nie mają pokrycia w faktach. Jeśli jednak istnieje szczególnie zapadający w pamięć symbol upadku szpitala Kirkbride'a – którego prawdziwość została potwierdzona – można go znaleźć w Athens w stanie Ohio, w pozostałościach szpitala Ridges.

Ridges został otwarty w 1868 roku pod nazwą Athens Lunatic Asylum – monstrualny kompleks rozciągający się na długość około 245 metrów. Inaczej niż Danvers z jego centralną wieżą, główny budynek administracyjny ma dwie wieże, co budzi dalekie skojarzenia z sylwetką katedry Notre Dame. Projekt uwzględniał między innymi ozdobne jeziora i łąki mające koić rozchwiane umysły, a także ogrody, sady i wreszcie fermę mleczną, wszystkiego zaś mieli doglądać sami pacjenci, by obiekt był w pełni samowystarczalny. Przez pewien czas gościł tam nawet aligator, który w miesiącach letnich pływał w basenie fontanny.

Szpital mógł pomieścić nieco ponad pięciuset pacjentów, liczba ta jednak szybko się podwoiła; podobnie jak w innych obiektach Kirkbride'a, i tutaj problemem stało się niebawem przepełnienie. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku zmorą szpitala były niedofinansowanie i fatalny zarząd, pacjentów leczono nieefektywnie, a duże części obiektu stały zamknięte i niewykorzystane. W tych warunkach powstała historia niesamowita tak fascynująca, że trafiła do „Journal of Forensic Sciences” – o duchu Margaret Schilling^[191].

Schilling, pacjentka oddziału opieki ciągłej szpitala Ridges, wówczas pięćdziesięcioletnia, mogła poruszać się swobodnie i nie miała poważniejszych problemów behawioralnych – była wzorową pacjentką, a jej zachowanie w żaden sposób się nie wyróżniało. Lecz 1 grudnia 1978 roku nie przyszła na kolację i zniknęła bez śladu. W ciągu kilku godzin rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, a członkowie personelu przeczesywali po kolei wszystkie oddziały. Nie znaleziono jej tamtej nocy, co niepokoiło ze względu na mroźną aurę na dworze.

Dopiero 11 stycznia 1979 roku, ponad miesiąc później, pracownicy znaleźli zwłoki Schilling na strychu opuszczonego skrzydła budynku. Na jej ciele nie dostrzeżono żadnych śladów przemocy. Wszystko wskazywało na to, że Schilling rozebrała się, złożyła starannie ubrania, a potem wyciągnęła się na zimnej podłodze i tam zmarła. Nikt nie potrafił stwierdzić, od jak dawna nie żyła, ale pomimo surowej zimy w pomieszczeniu było na tyle ciepło, że nastąpił silny rozkład.

Pacjentka nie zostawiła żadnych wskazówek co do tego, w jaki sposób się tam znalazła ani co doprowadziło do jej śmierci, pozostała jedynie makabryczna zagadka. Gdy pracownicy

podnieśli rozkładające się ciało z betonowej podłogi, ujrzeli płamę w kształcie zmarłej: upiorny zarys na kredowej bieli otoczony słabiej zaznaczoną, ciemniejszą obwódką. Wszelkie próby doczyszczania podłogi nic nie dały – plama nie chciała zejść.

I wciąż tam jest. Z czasem zainspirowała wiele historii niesamowitych i plotek na temat szpitala, lecz taki ślad nie jest niczym paranormalnym. Zespół kryminalistyczny, który zbadał płamę w 2007 roku, ustalił, że jest ona prawdopodobnie rezultatem procesu zwanego przeobrażeniem tłuszczowo-woskowym: przemiany ludzkiego tłuszczu w mydło. Eksperci znaleźli na podłodze woskowaty osad, który znacząco zmienił skład chemiczny samego betonu, przez co w tym miejscu stał się on jaśniejszy. Chociaż saponifikacja wymaga zwykle zamkniętego, wilgotnego środowiska (jakim jest, powiedzmy, trumna zakopana w odpowiedniej glebie), zespół kryminalistyczny wysnuł hipotezę, że zwłoki Schilling uległy podobnemu procesowi, mimo iż warunki na strychu nie były ku temu idealne.

To wydaje mi się dużo bardziej przerażające niż jakikolwiek duch. To, że tę kobietę, formalnie pod opieką szpitalnego personelu, pozostawiono samą na zimnej podłodze, a jej rozkładające się ciało odcisnęło ślad na surowym betonie, napawa chyba większą trwogą niż jakakolwiek historyjka o zjawie lub tajemniczych odgłosach. Nie mogąc opowiedzieć o tym, co się stało, Margaret Schilling mimo wszystko wystawiła opiekunom świadectwo, ostrą krytykę okresu psychiatrii, który pozostawił głęboką szkę na naszej historii.



Potworne praktyki nie zawsze były widoczne na pierwszy rzut oka. Członkowie rodzin i urzędnicy, którzy odwiedzali szpitale, często nie dostrzegali niczego niepokojącego. Jedną z zalet obiektów Kirkbride'a, z ich łagodnie odchylonymi skrzydłami za głównym budynkiem administracyjnym, było to, że taki rozkład pozwalał segregować pacjentów w zależności od ich stanu. Trudniejsi pensjonariusze – gwałtowni, hałaśliwi, nieuleczalni – byli zazwyczaj umieszczani na samym końcu skrzydeł, podczas gdy spokojniejsi i lepiej rokujący przebywali bliżej centrum kompleksu. Krewni oprowadzani po głównym budynku i sąsiadujących z nim pomieszczeniach wyjeżdżali w przeświadczeniu, że ich bliscy znajdują się w statecznym, godnym miejscu, nie w domu wariatów typu Bedlam. Było to ważne o tyle, że owe instytucje znajdowały się w rękach prywatnych i były uzależnione od hojności zadowolonych rodzin – klientów. To, co się działo za zamkniętymi drzwiami, miało na zawsze pozostać tajemnicą.

Historie o rozgrywających się w środku scenach zaczęły wychodzić na jaw dzięki świadectwom tych, którzy stamtąd uciekli. Jedną z najbardziej sensacyjnych relacji przedstawił niejaki Ebenezer Haskell. Haskell w 1866 roku został wbrew swojej woli zamknięty w szpitalu psychiatrycznym w Pensylwanii i uciekał stamtąd dwukrotnie, za drugim razem łamiąc sobie w trakcie ucieczki nogę. Gdy sędziowie przysięgli uznali, że nie jest obłąkany, Haskell napisał o swym pobycie w szpitalu i procesie książkę, w której podał kilka zatrważających przykładów maltretowania pacjentów, łącznie z czymś, co nazywano „kuracją na orła”, procedurą zadziwiająco podobną do tortur, jakim poddawano młodego Armsteda Masona Newmana w więzieniu Lumpkina:

Nieposłusznego pacjenta rozbiera się do naga i rzuca na wznak, czterech mężczyzn przytrzymuje go za kończyny i rozciąga je w bok, potem lekarz lub któryś z jego asystentów staje na krześle lub stole i wylewa delikwentowi na twarz kilka kubłów zimnej wody, aż ten o mało nie wyzionie ducha. Pacjent trafia później do swojego lochu wyleczony z wszystkich dolegliwości; wstrząs jest tak

wielki, że często wywołuje śmierć^[192].

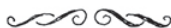
Trudno stwierdzić, w jakim stopniu relacje Haskella są wiarygodne, zwłaszcza że w oczywisty sposób kierował się osobistą wendettą. Jednakże brak jasnych informacji o tym, co się tam działo, w połączeniu z krążącymi plotkami i przeraźliwymi historiami wpływał na formułujący się w społeczeństwie ogólny obraz opieki psychiatrycznej, a w szczególności zakładów zamkniętych.

Dziewiętnastowieczny szpital dla umysłowo chorych wyraża napięcie między tym, co widzialne i niewidzialne – to jego najbardziej niepokojący aspekt. Istnieje jak najbardziej widoczna i wyrazista architektura, która przekazuje jedną historię, i istnieją najczęściej niewidoczne pokoje na obrzeżach w najbardziej oddalonych zakątkach skrzydeł, niedostępne dla ogółu.

Poe nawiązał do owego napięcia w opowiadaniu *System doktora Smoły i profesora Pierza*. Odwiedzającemu nieokreślony szpital psychiatryczny we Francji („fantastyczny zamek, mocno już podupadły, który pod wpływem czasu i zaniedbania nie nadawał się już niemal do mieszkania dla ludzi”, a jego fasada budzi w narratorze „niewysłowioną grozę”)^[193] prezentuje się wzorcowy przykład humanitarnego traktowania pacjentów, chociaż stopniowo staje się jasne, że coś jest nie w porządku. Dopiero w punkcie kulminacyjnym tej historii wychodzi na jaw, że kontrolę nad szpitalem przejęli pacjenci – udawali lekarzy, natomiast sami lekarze wraz z całym personelem zostali zamknięci w celach. Na ostatnich stronach opowiadania lekarze podejmują próbę ucieczki i wzniecają bunt. Wysmarowani smołą i oblepieni pierzem, zwracają się przeciw swym ciemnizyńcom z przerażającą, dziką furją, „bijąc, kopiąc, drapiąc i wyjąc”, pozbawieni w niewoli swego człowieczeństwa. Scena ta ilustruje cienką granicę między szaleństwem i poczytalnością. Lekarze, gdy już udało im się zbiec, są tak samo niebezpieczni i straszni jak – podejrzewamy – ich pacjenci. Inaczej mówiąc, w murach takiego przybytku obiektywna poczytalność jest właściwie niemożliwa.

Szpitaly psychiatryczne są nawiedzane przez duchy w związku z tym, co się działo za ich murami, lecz także za sprawą samych murów: architektury, która miała imponować, była jednak dziełem poprzednich pokoleń, kierujących się innymi ideałami, motywami ekonomicznymi i stosunkiem do chorych. W chwili, kiedy z największym optymizmem podchodziliśmy do możliwości leczenia umysłu, wznosiliśmy psychiatrii najbardziej okazałe pałace. W zbyt ostentacyjnym komunikowaniu przez architekturę utopijnych ideałów kryje się zatem niebezpieczeństwo.

Projektujemy budynki nie tylko dla ich aspektu utylitarnego, lecz także po to, żeby wyrazić pewne idee i odzwierciedlić wspólne wartości. Te idee i wartości często jednak zmieniają się szybciej niż same budowle. Wpływy polityczne, naprzemienne okresy nadmiernych wydatków i zaciskania pasa, ewoluujący stosunek do tego, jak rządy powinny służyć społeczeństwu – to wszystko ulega przemianom znacznie szybciej niż użyteczność budynku.



„Są to zamki Ameryki”, powiedział mi Robert Kirkbride, nawiązując do szpitali wybudowanych według koncepcji jego przodka Thomasa^[194]. Jako architekt i historyk architektury Robert zaangażował się w próby ratowania szczególnie jednego budynku: szpitala psychiatrycznego Greystone Park w Morristown w stanie New Jersey. W 2008 roku, niespełna rok po jego zamknięciu, władze miasta przedstawiły plan zburzenia gigantycznego gmachu i wybudowa-

nia na tym terenie szeregowców, przeciwko czemu zaprotestowali zaniepokojeni mieszkańcy, twierdząc, że warto zachować szpital: gargantuiczna ruina Greystone Park była przecież ważną częścią historii New Jersey, poza tym wrosła w krajobraz miasta, stanowiąc jeden z jego charakterystycznych obiektów.

Niejedno miasto musiało coś począć z taką kulą u nogi – olbrzymią, niekochaną budowlą kojarzącą się z duchami i czasami, które minęły – po zlikwidowaniu tych placówek i przeniesieniu pacjentów gdzie indziej. Nie tylko nawiedzają sny Amerykanów, ale są też zmorą dla samorządów, trzeba bowiem zdecydować, co z nimi zrobić. Wiele stoi na bardzo cennych parcelach, na które chrapkę mają deweloperzy; a jeśli nie, są to potężne gmachy wymagające ogromnych środków, żeby nie popaść w całkowitą ruinę. Pełno w nich azbestu i farby ołowiowej – toksycznych materiałów, które są innego rodzaju upiorami prześladowającymi społeczeństwo, pozostałością po odrzuconej idei z przeszłości.

Szpital Danvers to typowy kompromis, w którym zachowano najatrakcyjniejszy element – fasadę gmachu administracji – natomiast okoliczne budynki zburzono. Niektóre szpitale zamieniono w galerie handlowe, uczelnie i inne tego rodzaju obiekty. Northern Michigan w Traverse City został otwarty na nowo w 2005 roku jako Village, kompleks sklepów, restauracji i apartamentów. Szpital Hudson River w Poughkeepsie w stanie Nowy Jork po zniszczeniach wyrządzonych przez burze i dwóch pożarach podobnie: został przywrócony do życia jako wielofunkcyjna przestrzeń handlowa. Także szpital stanowy Buffalo w Nowym Jorku jest właśnie adaptowany na hotel i centrum konferencyjne.

Inne budynki nie miały tyle szczęścia. Władze Morristown rozpiwały konkurs na zagospodarowanie Greystone, ale chociaż wpłynęło sześć poważnych ofert od deweloperów, ostatecznie zdecydowano się wydać nawet do 50 milionów dolarów na rozebranie budynku. Greystone nie odszedł po cichu jak duch. Zburzenie go, gmachu z litego betonu, kosztowało stan ponad 30 milionów dolarów^[195].

Samego Roberta Kirkbride'a dręczy innego rodzaju myśl związana z tymi obiektami: materiały, z jakich zostały wzniesione. Northern Michigan, podkreśla, jest olbrzymią budowlą skonstruowaną z gatunku sosny, którego już się nie spotyka. Inaczej mówiąc, budynki te kryją w sobie inny rodzaj historii, inny rodzaj dziedzictwa: materiały ze zmieniającego się krajobrazu, archeologię naszej przeszłości.

Problem nawiedzonych szpitali Kirkbride'a – kolosalnych budowli, które odzwierciedlają nieudany utopijny plan i które straszyły jeszcze długo po tym, jak popadły w niełaskę – jest typowy dla wielu gmachów publicznych, uważanych teraz za nawiedzone. Ofiary zmiennych kolei losu, kumulowały historie związane ze śmiercią, rozpaczą i upiornymi zjawami częściowo wskutek zaniedbań, częściowo zaś dlatego, że ich twórcy i rządzący politycy próbowali wyrazić ideę, która po jakimś czasie straciła dawną siłę oddziaływania. Jeśli szpitale wzniesione według koncepcji Kirkbride'a są nawiedzone, to można powiedzieć, że ich zmorą jest rozdzwięk między tym, jak rodzi się idea, a tym, co z niej zostaje.

W OCZEKIWANIU NA DIABŁA

Charleston, Karolina Południowa, i hrabstwo Douglas, Kansas

Cmentarz przy kościele unitariańskim w Charlestonie w Karolinie Południowej to idealne miejsce dla duchów. Zarośnięty, z barokowymi nagrobkami, tchnie charakterystyczną dla amerykańskiego Południa atmosferą grozy, która przyciąga rozmaite zjawy i duchy. Przy wejściu wita nas tablica z ostrzeżeniem, że alejki są nierówne, a pomniki mogą być niestabilne. Spomiędzy rozpadających się brukowych kostek wyrasta trawa, nagrobki przechylają się wśród zieleni, porośnięte oplątą drzewa tworzą nad alejkami zielone sklepienie. Poszczególne groby są otoczone eleganckimi metalowymi ogrodzeniami, a pamięci o zmarłych dopominają się okazałe obeliski i skromniejsze krzyże. Chwasty i inne rośliny pracowicie zarastają stare nagrobki. Kiedy w 1836 roku zmarł niejaki Ephraim Seabrook Mikell, korzenie gigantycznego drzewa zaczęły wgryzać się w miejsce jego spoczynku i granit oraz drewno stopiły się ze sobą. Napis na płycie brzmi teraz „ZEŚĆ JEGO PAMIĘCI”, jako że C zostało pogrzebane w drzewie.

Na cmentarzach „dusze zmarłych pojawiają się często – zapisał w 1711 roku angielski pisarz Joseph Addison, przypisując tę myśl Platonowi – i krążą wokół miejsc, gdzie pogrzebani zostali, wciąż wdychając do ziemskich rozkoszy, pragnąc znowu wnieść w ciało, dzięki któremu zaznać ich mogli”^[196]. Tutaj, na tym cmentarzu, leży rodzina Ravenelów, ale na próżno by szukać nagrobka Annabel Ravenel. Jak podają źródła, Annabel nawiedza ten cmentarz i wdycha do dawnej miłości, czekając na powrót ukochanego żołnierza.

Jej ojciec, doktor Edmund Ravenel, dzielił swój czas między Charlestonem i pobliską Wyspą Sullivana i był znanym konchologiem (na jego cześć nazwano kilka gatunków mięczaków, m.in. *Euvola raveneli*), gdy w 1824 roku przekazano mu katedrę chemii i farmakologii na nowo utworzonym Uniwersytecie Medycznym Karoliny Południowej. Później został mianowany dziekanem tej uczelni^[197]. W 1827 roku zaprzyjaźnił się z młodym żołnierzem, niejakim Edgarem A. Perrym, który służył w forcie Moultrie na skraju Wyspy Sullivana. Ravenel najwyraźniej odgrywał rolę kogoś w rodzaju ojca w relacji z Perrym, wydziedziczonym przez oboje rodziców. Perry poznał w końcu Annabel, czternastoletnią córkę Ravenela, i tych dwoje zakochało się w sobie bez pamięci.

Gdy tylko Ravenel odkrył, że córka darzy Perry'ego uczuciem, zamknął dom na Wyspie Sullivana i wrócił do Charlestonu. Jeśli myślał, że w ten sposób rozwiąże problem, to się przeliczył. Perry pojechał w ślad za Annabel do Charlestonu, gdzie spotykali się potajemnie pod wierzbami płaczącymi na cmentarzu przy kościele unitariańskim. Gdy ich schadзки wyszły na jaw, Ravenel zamknął córkę w jej pokoju na klucz. Po kilku miesiącach dziewczyna zmarła na żółtą febrę. Ażebym Perry nie odwiedzał grobu ukochanej, ojciec zataił miejsce jej pochówku. Niedługo potem służba Perry'ego dobiegła końca i młodzian wrócił do swojego dawnego

życia. Annabel wciąż jednak czeka na niego w ich tajemnym miejscu spotkań.

Historia Annabel Ravenel wydaje się archetypową opowieścią niesamowitą ze starego Południa o owładniętej gorącym uczuciem delikatnej południowej piękności w okowach surowego patriarchalnego systemu. W nieszczęśliwą miłością, okrutnym ojcem i tragicznym finałem opowieść ta nosi wszelkie znamiona romansu gotyckiego, ale jest też uniwersalną baśnią w świecie wiktoriańskich zasad i chorobowych miazmatów Karoliny Południowej.

Historia ta jest jednak szczególnie lubiana przez mieszkańców Charlestonu, odkąd w 1885 roku odkryto, że ów żołnierz wcale nie nazywał się Edgar A. Perry. Za pseudonimem „Perry” krył się człowiek, który później zyskał sławę (głównie pośmiertną) jako autor poematu *Kruk* i noweli *Serce oskarżycielem*. Ukochanym Annabel był nie kto inny jak Edgar Allan Poe.

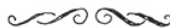
Arthur Hobson Quinn, biograf Poego, uważa za całkiem możliwe, że ten poznał Ravenelą, odbywając służbę na Wyspie Sullivana^[198], i istnieje spore prawdopodobieństwo, że koncholog stanowił pierwowzór postaci Williama Legranda z opowiadania *Złoty żuk* – był człowiekiem „dobrze wychowanym i obdarzonym niezwykle potężnym umysłem, lecz zatrutym mizantropią oraz ulegającym na przemian chorobliwym nastrojom entuzjazmu i melancholii. Głównym jego zajęciem było myślistwo i rybołówstwo, jako też włóczęgi po wybrzeżu i wśród mirtów w poszukiwaniu muszli oraz okazów entomologicznych”^[199]. Annabel Ravenel, jak uważa teraz wielu, miała się później stać inspiracją dla słynnego wiersza Poego *Annabel Lee*, gdzie Wyspa Sullivana to „królestwo nad mórz pianą”:

Niegdyś przed wielu, wielu laty
W królestwie nad mórz pianą
Żyła dziewczeczka, którą znałem;
Annabel Lee ją zwano.
Dzieweczka z kraju ponad morzem,
W królestwie nad mórz pianą
Żyła tym tylko, że mnie kocha,
I tym, że jest kochaną.

Zakochawszy się w tej pięknej dziewczynie, narrator wiersza Poego lamentuje:

Wicher napędził kłęb chmur siny
W królestwie nad mórz pianą.
I jak Serafin lodowaty,
W mroźne odziany mgły,
Do zimnej wtrącił ją mogiły^[200].

Wszystko to zdaje się oddawać zarysy romansu Annabel Ravenel i Edgara A. Perry’ego. To piękna historia, przepełniona melancholijną tęsknotą, z urodziwą konającą dziewczyną (jakże typową dla twórczości Poego), elegijna, rozsnuta wokół zarośniętego, nawiedzonego cmentarza. Niech nas nie zraża, że Edmund Ravenel nie miał córki imieniem Annabel. „Byliśmy dziećmi, ja i ona”, opowiada narrator Poego. Jeśli jednak rzeczywiście chodzi o córkę Edmunda Ravenela, byli dziećmi w bardzo różnym wieku, bo gdy Poe odbywał służbę na Wyspie Sullivana, najstarsza córka Ravenela, Mary Louisa, miała zaledwie osiemnaście miesięcy^[2*].



Na cmentarzu przy kościele unitariańskim nie można już nikogo grzebać, wszystkie miejsca są zajęte. Większość pochówków w Charlestonie odbywa się na terenie dużo większych nekropoli: Magnolia Cemetery i bardziej nowoczesnego cmentarza Live Oak Memorial Gardens. Cmentarz Magnolia został poświęcony w 1850 roku na ówczesnych przedmieściach. W przeciwieństwie do tego przy kościele unitariańskim jest otwarty, przestronny, ze wspaniałymi widokami na jezioro. Nazywany Miastem Milczących (ang. *City of Silent*), szybko stał się jednym z głównych celów wycieczek. „Jeśli chcielibyście obejrzeć największą atrakcję Charlestonu, wyprawcie się na cmentarz Magnolia – doradzano w 1866 roku w przewodniku dla podróżnych *Appleton's Hand-Book of American Travel*. – W istocie jest to bowiem przyjemne zacisze, gdzie srebrzy się woda i splatają gałęzie, z widokiem na szeroką rzekę Cooper i zasilane przez nią prześliczne jezioro, nad którymi z majestatycznych dębów wirginijskich zwieszają się pnącza niczym włosy druidów”^[201].

Rozległe, położone na pofałdowanym terenie cmentarze takie jak Magnolia, z połaciami zieleni i sprzyjającymi medytacjom widokami, powstały w odpowiedzi na palący problem naszych czasów. Od wczesnego średniowiecza miasta w chrześcijańskiej Europie (a później w Ameryce Północnej) wznoszono wokół centralnie ułożonego kościoła, przy którym jednocześnie grzebano zmarłych. Pochówek w poświęconej ziemi stanowił konieczny warunek późniejszego zmartwychwstania, toteż cmentarze były umiejscowione centralnie, tak jak świątynie, do których przylegały^[202].

Ten rozkład z kościołem pośrodku sprawdzał się świetnie w małych miastach, gdy jednak te zaczęły się rozrastać, utrzymanie go stało się niemożliwe. Przede wszystkim było po prostu zbyt wiele ciał, by dało się je pomieścić na skrawku poświęconej ziemi. Gdy kościołom kończyło się miejsce, przekopywano cmentarze i przenoszono kości do ossuarium, a w niektórych wypadkach zwyczajnie chowano nowe zwłoki na starych. Wierni skarżyli się na obywatniający trupi smród i któryś z krytyków zasugerował, że jedynym powodem palenia kadzidła podczas mszy jest zamaskowanie odoru rozkładu. I chociaż dopiero pod koniec XIX wieku w pełni zrozumiano działanie drobnoustrojów, już w XVIII stuleciu ludzie zdawali sobie sprawę, że choroby mogą się brać z martwych ciał. W 1744 roku opowiadano sobie o procesji żałobnej w Montpellier we Francji: gdy grabarze otworzyli kryptę, by umieścić w niej nowe ciało, buchnął stamtąd obłok trujących wzięwów, wskutek czego ksiądz stracił przytomność, a trzech żałobników zmarło^[203].

Planiści zrozumieli, że rozwiązaniem jest przeniesienie zwłok spod kościoła poza centrum – daleko za jego granice. W 1804 roku w Paryżu otwarto Père-Lachaise, zieloną nekropolię na obrzeżach miasta o powierzchni 47 hektarów. Porośnięte roślinnością wzgórza z szeroko rozstawionymi, okazałymi pomnikami zastąpiły ciasne, ponure rzędy rozpadających się nagrobków i w tych idyllicznych warunkach, pośród cichej kontemplacji, mogli spędzać czas zarówno żałobnicy, jak i piknikujący mieszkańcy.

Koncepcja tzw. cmentarza ogrodu szybko zdobywała popularność i duże miasta zaczęły zastępować ciasne przykościelne cmentarzyki sielankowymi terenami oddalonymi od centrum. W Stanach Zjednoczonych pierwszym z nich był Mount Auburn pod Bostonem, otwarty w 1831 roku, a następnym nowojorski Green-Wood, utworzony w roku 1838 na odległych przedmieściach o nazwie Brooklyn. Najszerzej zakrojony plan w tej materii przyjęło San Francisco, gdzie w 1900 roku władze miasta przeniosły wszystkie szczątki do maleńkiej Col-

my na przedmieściach. Dzisiaj 73 procent terenów Colmy zajmuje któryś z jej siedemnastu cmentarzy^[204]. „Colma – brzmi motto miasteczka – gdzie wspaniale jest żyć!”

Z czasem coraz trudniej było utrzymać nekropole z dala od toczącego się życia. Główny cmentarz Chicago, utworzony w 1842 roku City Cemetery, został usytuowany daleko za północnymi rubieżami miasta, na północ od North Avenue i na wschód od Clark Street. Późniejsze epidemie cholery sprawiły jednak, że zaczął pękać w szwach, a sam teren z całą pewnością nie nadawał się do długotrwałego przechowywania zwłok. Ze względu na niskie położenie był regularnie zalewany, co wywoływało niepożądany efekt – wypływanie trumien na powierzchnię. Do 1858 roku miasto rozrosło się na tyle, że zaczęło napierać na granice cmentarza i lekarz John H. Rauch stanął na czele ruchu walczącego o przeniesienie stamtąd zmarłych. Zgodnie z ówczesną wiedzą medyczną Rauch twierdził, że „trupie opary są szkodliwe dla zdrowia i niebezpieczne dla życia”^[205]. Chciał przenieść szczątki z tego podmokłego miejsca do suchszej, zalesionej lokalizacji z dala od mieszkańców, gdzie drzewa mogłyby wchłaniać trujące gazy rozkładu.

Władze miasta działały szybko. W listopadzie rada miejska posłuchała apelów Raucha i zaczęła deliberować, czy przeniesienie cmentarza byłoby możliwe, by po kilku miesiącach zlecić spółce Rosehill Cemetery Company utworzenie nowej nekropolii jeszcze dalej na północ. Cmentarz Rosehill otwarto uroczystie 28 lipca 1859 roku, a w listopadzie tego samego roku założono jeszcze wiejski katolicki cmentarz Calvary i wreszcie Graceland – w 1860 roku.

Graceland, podobnie jak Rosehill, został utworzony i był zarządzany przez prywatną spółkę na zlecenie władz miasta. Założyciel cmentarza, prawnik i spekulant ziemski Thomas Bryan, przekonał się na własnej skórze o niedostatkach starego City Cemetery. Gdy szukał miejsca dla syna, który zmarł w niemowlęctwie w 1855 roku, zauważył, że cmentarz jest zaniedbany, „wręcz w odrażającym stanie”, co skłoniło go do tego, żeby poszukać ziemi „do pochówku poza miastem, bardziej odeni odległego i godnego”^[206]. Graceland, w odróżnieniu od podmokłego City Cemetery, miał się znajdować na wyżej położonym terenie porośniętym wieloletnimi drzewami, na pagórkach z ozdobnymi, okazałymi pomnikami, w czystym, świeżym powietrzu: idylliczne miejsce wiecznego spoczynku. Obsadzony występującymi naturalnie drzewami i kwiatami, został później nazwany „najdoskonalszym przykładem nowoczesnego cmentarza parku”^[207].

Plan tworzenia nekropolii daleko poza obrzeżami ośrodków miejskich nigdy się do końca nie powiodł, miasta bowiem się rozrastają. Brooklyn jest teraz oczywiście częścią Nowego Jorku, a nieruchomości w okolicy Green-Wood należą do najdroższych w kraju – wiadomo, ilu deweloperów w okamgnieniu zaorałoby te groby, gdyby mieli szansę wybudować na nich wieżowce. Podobnie jest z Colmą w Kalifornii, otoczoną dzisiaj z wszystkich stron drogimi dzielnicami. Graceland padł ofiarą własnego sukcesu – stał się tak popularny jako cel dziennych wycieczek, że ceny okolicznych nieruchomości podskoczyły. Sąsiadująca z Graceland wioska, pierwotnie zwana Lake View, po utworzeniu cmentarza szybko się rozrosła – najpierw stała się oddzielnym miastem, by potem, w 1889 roku, przyłączyć się do Chicago.



W tych przenosinach nie chodziło jedynie o przestrzeń miejską, miały one także implikacje religijno-językowe. W Anglii miejsce, gdzie chowano zmarłych, określano dawniej wyłącznie słowem *churchyard*^[208]; działo się tak nawet wtedy, gdy miejsce pochówku nie sąsiadowało z kościołem, na przykład w wypadku masowych mogił powstałych w Londynie podczas epide-

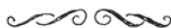
mii dżumy. Słowo *cemetery* od greckiego κοιμητήριον, znaczącego pierwotnie po prostu miejsce do spania lub sypialnię, zostało najpierw przejęte przez pierwszych chrześcijan – oni śmierć uważali za coś tymczasowego i łacińskie *coemeterium* służyło im do określenia grobowców męczenników, którzy przecież zwyczajnie „zasnęli” i mieli wkrótce powstać z martwych. Do początku XV wieku słowo *cemetery* weszło do języka angielskiego jako stosowny synonim *churchyard*, a dopiero w połowie XVIII stulecia doczekało się własnej, odrębnej definicji: „miejsce, gdzie umieszcza się zmarłych” (według słownika Samuela Johnsona z 1755 roku). Słowem *churchyard* wciąż określano poświęconą ziemię, podczas gdy *cemetery* oznaczało każde miejsce, gdzie składano ludzkie szczątki.

Jeśli *churchyard* i *cemetery* były kiedyś określeniami w zasadzie synonimicznymi, teraz reprezentują zupełnie inne pojęcia: to pierwsze oznacza miejsce niewielkie, położone blisko śródmieścia i poświęcone, drugie – rozległe, oddalone od centrum i pełniące funkcję świecką. Dzięki przeniesieniu zmarłych poza teren przykościelny „cmentarz ogród” mógł stać się też miejscem o znaczeniu ogólnospołecznym. Podczas uroczystości otwarcia cmentarza Mount Auburn sędzia Sądu Najwyższego Joseph Story mówił o przekształceniu go w „efektywne narzędzie podsycania Ambicji, stymulowania Geniuszu i uwznioślenia Nauki”. Grób, twierdził, „ma swoją wymowę, ba, wręcz nadludzką wymowę”, która „rozbudza nowe pragnienie czynienia dobra”, „przywołuje obrazy znamienitych zmarłych” oraz „domaga się od nas, ludzi, patriotów, chrześcijan, nieśmiertelnych, byśmy moce dane przez Boga poświęcili Jego służbie, a umysły stworzone Jego miłością powróciły do Niego zdolne do zachwycania się cnotą, opromienione większym duchowym i intelektualnym blaskiem”^[209]. Ów wymowny głos zza grobu mógł i powinien więc zostać wykorzystany do wzbogacania żywych, popychać nas ku wyższemu celom i obywatelskim cnotom.

W wielu miasteczkach oczywiście nadal korzysta się z przykościelnych cmentarzy. Gdy studiowałem w Oregonie w latach dziewięćdziesiątych, regularnie przejeżdżałem obok Old Scotch Church przy drodze numer 27 na obszarze niemunicipalnym niedaleko Hillsboro. Sam kościół jest zabytkiem, z niezwykle ośmioboczną wieżą i cmentarzem, gdzie pochowanych jest kilkoro pierwszych miejscowych osadników. Są tam też nowsze groby, między innymi mogiła dziecka z oryginalnym i poruszającym nagrobkiem widocznym z drogi: minitablica z koszem do koszykówki firmy Nerf.

Jednak na większości przykościelnych cmentarzy nie chowa się już zmarłych, a w niektórych miastach, na przykład w San Francisco, zabrukowano je pod budowę nowych nieruchomości. (Jedynie dwa cmentarze pozostają w granicach miasta: przy Mission Dolores Church oraz w Presidio). Inne po prostu popadły w ruinę. Bez nowych pochówków miejsca te straciły z czasem żałobników, inaczej mówiąc – jest coraz mniej osób żywotnie zainteresowanych ich pielęgnacją, toteż wiele przykościelnych cmentarzyków w Ameryce zarosło chwastami i przedstawia sobą smutny widok.

A wraz z chwastami przybyły duchy.



Przykościelne cmentarze doskonale nadają się do odwiedzin duchów nie tylko dlatego, że przebywają tam zmarli, ale też ze względu na swoją anachroniczność. W miarę jak „nekropole ogrody”, z ich naciskiem na duchowe pokrzepienie, stawały się normą, stare miejsca pochówku koło kościołów siłą rzeczy zaczęto postrzegać jako ich przeciwieństwo: ponure i zaniedbane, złowieszcze i smętne. I gdy przewodniki namawiały turystów do wizyt na Mount

Auburn, Magnolia Cemetery i Arlington, folklorysty spisywali historie o nadprzyrodzonych anomaliiach występujących na przykościelnych cmentarzykach. Duchy ukazują się w miejscach opuszczonych, a stare cmentarze są domem opuszczonych nieboszczyków.

Cmentarz przy kaplicy Świętego Pawła na Dolnym Manhattanie jest siedzibą jednego z takich dziwnych duchów: szekspirowskiego aktora George'a Fredericka Cooke'a, którego pochowano tam w 1812 roku, a przynajmniej sporą jego część. Cooke odniósł niebywały sukces w Ameryce, dokąd przyłynął z Anglii w 1810 roku, jednak już dwa lata później do grobu wpędził go alkoholizm. Spoczywał w skromnej mogile koło kaplicy Świętego Pawła, aż inny aktor, Edmund Kean, zapłacił za przeniesienie jego szczątków do bardziej okazałego grobowca. Nie obyło się bez incydentów. Kean na pamiątkę zatrzymał sobie jeden z palców u nogi Cooke'a („była to mała, czarna relikwia – zauważył jeden z obserwatorów – i mogłaby z powodzeniem uchodzić za ubijak do tytoniu”^[210]). Ponadto skradziono czaszkę Cooke'a – nikt nie wiedział, kto ją zabrał, ale później wyszło na jaw, że jest w posiadaniu doktora Johna W. Francisa, który wypożyczył ją do inscenizacji *Hamleta*, gdzie zmarły aktor pojawił się w roli Yoricka. Czaszka Cooke'a spoczywa obecnie w Scott Library na Uniwersytecie Thomasa Jeffersona, ale jego bezgłowy duch wciąż ukazuje się na cmentarzu przy kaplicy, szukając tego, co zostało mu skradzione.

Tamtejszy cmentarz jest przynajmniej w dobrym stanie, zadbany i otoczony wielkomiejskim gwarem Manhattanu. Z dala od zgiełku znajduje się natomiast cmentarz Stull w hrabstwie Douglas w stanie Kansas, legendarny z racji swego odludnego położenia. Niełatwo tam dotrzeć: gdy już się zjedzie z autostrady pod Lawrence, trzeba się poruszać bocznymi drogami, których nie rejestruje nawet Google Maps. Należy się uzbroić w cierpliwość, trochę pokłuczyć i nie dawać za wygraną. Zostawiwszy za sobą stacje benzynowe i supermarkety, sunąc w głąb coraz dzikszych zakątków Kansas, dziewiczych nieużytków i zaniedbanych ugorów, człowiek ma wrażenie, że oddala się od cywilizacji.

Stull nie jest już miasteczkiem, leży na obszarze niemunicipalnym i w pobliżu cmentarza stoi tylko kilka budynków, między innymi kościół po drugiej stronie drogi i zabity deskami sklep wędkarski. Sam cmentarz, otoczony ogrodzeniem z siatki, wyrasta niejako z drogi, zajmując zbocze Emmanuel Hill. Nagrobki w większości nadal są w dobrym stanie, równo rozstawione, z mnóstwem zielonej trawy i kęp zarośli między nimi. Kościół ewangelicki naprzeciwko jest nowy; ten, który pierwotnie sąsiadował z cmentarzem Stull, już nie istnieje.

Pierwsze historie o duchach pochodzą z artykułu w gazecie studenckiej Uniwersytetu Kansas „University Daily Kansan” z listopada 1974 roku. Donoszono w nim, że wokół cmentarza i ruin kościoła od ponad stu lat „krążą legendy o diabolicznych, nadprzyrodzonych zdarzeniach”. Jedna ze studentek wspominała, że jadąc samochodem w stronę cmentarza, ujrzała świecący na jasnoczerwono dom, jak gdyby płonął, ale gdy podjechała bliżej, dom znów wyglądał normalnie. Zacytowano uczelnianego asystenta, który słyszał, że osoby biorące udział w polowaniu na duchy w Stull miały później trzy- lub czterogodzinne luki w pamięci i nie potrafiły ich wyjaśnić. Jeden ze studentów przekazał „Daily Kansan”, że razem z dwójką przyjaciół pewnej nocy wybrał się do Stull. „Ni stąd, ni zowąd usłyszałem za sobą jakiś dźwięk i poczułem, że ktoś łapie mnie za rękę – opowiadał. – Nigdy nie zapomnę, jak zimne były te palce”^[211]. Zakładając, że to któryś z jego kolegów, odwrócił się i spostrzegł, że tamci są od niego oddaleni o jakieś 25 metrów.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „Daily Kansan” w dalszym ciągu publikował studenckie rewelacje o Stull – zwykle anonimowe lub podpisane tylko imieniem, pocho-

dzące z drugiej lub trzeciej ręki. Dwaj mężczyźni spacerujący po cmentarzu poczuli dziwny podmuch wiatru, a gdy wrócili tam, gdzie zaparkowali samochód, odkryli, że w tajemniczy sposób został przeniesiony na drugą stronę drogi i obrócony w przeciwną stronę. Pewna kobieta twierdziła, że gdy podjechała z przyjaciółmi do kościoła, wszyscy ujrzeli przed sobą gigantyczny płonący krzyż. Studentka drugiego roku opowiadała w wywiadzie, że była na cmentarzu dziewięć razy i podczas jednej z tych wizyt zostawiła w opuszczonym kościele dwoje przyjaciół. Po powrocie zastała ich leżących „w dziwnych pozycjach na podłodze”^[212] z drewnianym krzyżem obok, a gdy się zbliżyła, zaczęły nimi wstrząsać drgawki.

W końcu legendy skupiły się wokół konkretnej opowieści o zdeformowanym dziecku, które przeżyło tylko kilka dni po narodzinach i zostało pochowane na cmentarzu Stull w 1850 roku. Deformację dziecka przypisywano związkowi jego matki, czarownicy, z szatanem. W ruinach opuszczonego kościoła w Stull miały się znajdować wapienne schody prowadzące w otchłanie piekieł – dwa razy do roku sam szatan wspinał się po nich, żeby się pokłonić zmarłemu dziecku. Jakaś kreatywna dusza zasugerowała, że grób z napisem „Wittich” ma związek z kochanicą diabła i że miasteczko nie wzięło swej nazwy od pierwszego poczmistrza, Sylvestra Stulla, lecz od przekręconego słowa *skull* – czaszka. Sosnę na terenie cmentarza uznano za szubienicę dla czarownic z Kansas, a także kilku zbłąkanych samobójców. Zarówno Robert Smith z zespołu The Cure, jak i Jan Paweł II omijali ponoć Kansas ze względu na Stull (wieloletni klawiszowiec zespołu, Roger O'Donnell, temu zaprzecza; Watykan nie odpowiedział na prośbę o komentarz).

Cmentarz w Stull, chcąc nie chcąc, gościł młodzież z uczelni, która gromadziła się tam dwa razy do roku – podczas równonocy wiosennej i na Halloween – coraz liczniejsza, pijana i hałaśliwa, i czekała na przyście diabła. W 1978 roku zeszło się tam podobno sto pięćdziesiąt osób, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych było ich już blisko pięćset. Jako że szatan wiecznie sprawiał im zawód, pod jego nieobecność studenci chowali się za drzewami lub odpalali sztuczne ognie, żeby nastraszyć kolegów, potykali się o nagrobki lub wykradali ich fragmenty do swoich pokojów w akademiku, i ogólnie imprezowali w krainie zmarłych. W 1985 roku reporterka „Daily Kansan” Michelle Worrall na widok puszek porozrzucanych po cmentarzu doszła do wniosku, że „cokolwiek się czai w kościele, zaspokaja pragnienie piwem – nie krwią”^[213].

Wydaje się, że legendy o Stull zostały wyssane z palca przez redakcję uczelnianej gazety. Pisane przez i dla studentów artykuły z roku na rok coraz bardziej ubarwiały historie związane z cmentarzem, opierając się jedynie na plotkach i pogłoskach. Uwolniwszy to potworne monstrum, gazeta w późniejszych latach próbowała nad nim zapanować: zamiast duchów, relacje zaczęły dotyczyć nieuniknionych grzywien, które czekały na studentów poszukujących szatana. „Prawdziwym złem – ogłoszono w gazecie w 1990 roku – nie jest diabeł, lecz akty wandalizmu, do których dochodzi na terenie przykościelnym”^[214].

Coraz bardziej zaczęto się interesować popadającym w ruinę kościołem przy cmentarzu. Kilku lokalnych działaczy próbowało go ocalić i przywrócić chociaż w niewielkim stopniu do dawnego stanu, mimo że zaczął zagrażać bezpieczeństwu odwiedzających. Wobec braku jakichkolwiek działań świątynia pozostawała zaniedbana i groziła zawaleniem. Oto, co się dzieje, gdy coś, co przypomina scenę powieści grozy i ma związek ze śmiercią, zostawia się na pastwę przyrody – obiekt próbują przejąć poszukiwacze przygód.

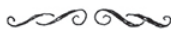
Trudniej było pozbyć się studentów, niż przepędzić duchy, lecz miejscowa społeczność postarała się ich stamtąd wyeksmitować. Utrzymanie cmentarza w dobrym stanie było szcze-

gólnie ważne, jako że rodziny nadal odwiedzają tam swoich bliskich. Ustawiono ogrodzenie z siatki, żeby utrudnić wejście, a wysłannicy szeryfa hrabstwa Douglas zaczęli patrolować okolicę. „Gdy jeździłem tam na patrol – powiedział w 2013 roku gazecie «University Daily Kansan» porucznik Steve Lewis – zatrzymywani mówili mi, że chcą po prostu zobaczyć coś strasznego, a ja im na to, że tej nocy nie zobaczą nic strasniejszego ode mnie, a potem wlepiłem im mandat”^[215].

Walący się kościół w 2002 roku w końcu rozebrano, gdy jedna z niewielu ocalałych ścian zapadła się podczas burzy, zwiększając jeszcze zagrożenie. John Solbach, jeden z okolicznych mieszkańców walczących o uratowanie świątyni, opłakiwał utratę zabytku w artykule opublikowanym przez lokalnego dziennikarza na stronie internetowej www.Lawrence.com: „Z tym budynkiem odeszła duża część historii. Ci, którzy chcieli go zachować, nie mogli przeboleć, że został zniszczony”^[216].

Zburzenie zabytkowego kościoła i usunięcie drzewa, które rzekomo służyło za szubienicę, a także działania służb porządkowych pomogły zmniejszyć liczbę intruzów. We wspomnianym artykule pewna kobieta potępiła hordy pijanych nastolatków za nieuszanowanie cmentarza, gdzie spoczywali jej przodkowie: „Ktoś napisał, że mój krewny był wilkołakiem, co naprawdę mnie zezłościło”. Sam Solbach opowiadał, że znał mężczyznę, którego syna pochowano na tym cmentarzu: „Co poniektórzy przychodzili się tam zabawić w Halloween i przewrócili nagrobek jego syna. Gdy się o tym dowiedział, rozplakał się jak dziecko”.

Ci ludzie nie widzą niczego ekscytującego, niesamowitego ani zabawnego w legendach dotyczących cmentarza Stull. „Gdy słyszą, jakoby był nawiedzony, po prostu wszystko im się w środku przewraca”, stwierdził Solbach. Można wręcz powiedzieć, że mieszkańcy Stull musieli zawrzeć pewnego rodzaju pakt z diabłem: zniszczenie kościoła mogło być ceną za ocalenie reszty cmentarza.



Chociaż w niektórych miejscach – zabytkowych domach, hotelach, zakładach karnych i szpitalach psychiatrycznych – przekonano się, że na turystach zafascynowanych duchami oraz entuzjastach zjawisk nadprzyrodzonych można nieźle zarobić, w mniejszym stopniu dotyczy to cmentarzy. W odróżnieniu od opuszczonych przykościelnych miejsc pochówku współczesne nekropolie nie gromadzą wokół siebie aż tylu historii niesamowitych i legend – i z pewnością do tego nie zachęcają. Zarządy cmentarzy w rodzaju Graceland w Chicago i Forest Lawn w Los Angeles, wciąż funkcjonujących, nie są zainteresowane tłumami poszukiwaczy przygód, wołałyby też nie wywoływać w potencjalnych klientach obawy, że nagrobki ich bliskich mogą zostać zdewastowane.

Nie znaczy to jednak, że duchy nie trafiły również na nowoczesne nekropolie Ameryki. Choć nie są tak liczne jak na starszych cmentarzach – w Stull albo w Charlestonie przy kościele unitariańskim – jeśli dobrze poszukać, można je znaleźć.

Na przykład na chicagowskim cmentarzu Graceland podobno słychać czasem płacz Inez Clarke, którą tam pochowano. Inez miała zaledwie sześć lat, gdy w 1880 roku zabił ją piorun^[217]. Jej grób jest ozdobiony piękną figurą dziewczynki. Siedzi na kamiennym konarze ze skrzyżowanymi nogami, zsuniętym z głowy letnim kapeluszem i z parasolem przy nodze. Cała figura, na której napisano tylko „Inez”, jest zamknięta w szkle i stoi na płycie nagrobnej Johna i Mary Clarke’ów. Od lat opowiada się legendy, jakoby duch Inez wciąż bał się piorunów – w czasie burz podobno całkowicie znika i wraca dopiero wtedy, gdy niebezpiecze-

ństwo mija.

Inez Clarke nazywała się tak naprawdę Briggs i zmarła 1 sierpnia 1880 roku nie od uderzenia piorunem, tylko na dyfteryt. Jej matka niewiele wcześniej ponownie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko na Clarke, później zaś zaprzeczała, jakoby miała dziecko z poprzedniego małżeństwa. Zamieszanie pogłębiło jeszcze to, że w cmentarnym archiwum „Inez Briggs” przez pomyłkę zapisano jako „Amos Briggs”. Historię o piorunie przypuszczalnie wysnuto z tropów związanych z samym pomnikiem – kapelusza i parasola – chociaż większość ludzi zgadza się co do tego, że posąg wykonano nie dla Inez, ale jako próbkę talentu rzeźbiarza, który pragnął przywabić nim klientów^[218].

To drobne zamieszanie wokół tożsamości dziecka i brak gotowego wytłumaczenia, co ta figura miałaby znaczyć, sprzyjały powstaniu legendy. Zresztą duchy często pojawiają się tam, gdzie źle prowadzone są archiwa. Czy duch Inez Clarke jest ewenementem na cmentarzu pozbawionym właściwie duchów, a może zwiastunem liczniejszych zjaw? Tak jak niemal dwieście lat temu odeszliśmy od pochówków na przykościelnych cmentarzykach, teraz powoli odchodzimy od „cmentarzy ogrodów”. Coraz większą popularnością cieszą się kremacja, pochówki ekologiczne oraz inne alternatywne rozwiązania. Epoka wystawnych, kosztownych pogrzebów wśród wzgórz „cmentarza ogrodu” prawdopodobnie stopniowo dobiega końca. Jeśli nasze dzieci i wnuki będą miały coraz mniej powodów, żeby odwiedzać te miejsca, one też mogą z czasem zostać opuszczone.

A jeśli do tego dojdzie, można się spodziewać, że Inez Clarke będzie miała więcej duchów do towarzystwa.

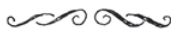
NASI ZNAMIENTENICI ZMARLI

Shiloh, Tennessee

W Cold Harbor w Wirginii walki rozpoczynają się znowu punktualnie o pierwszej w nocy – żołnierze wylaniają się z szańców wśród pól, żeby raz jeszcze wziąć udział w bitwie, która jest jak zapętlony film^[219]. W odległości godziny podróży na południe, we Fredericksburgu, miejscu jednej z najbardziej krwawych bitew wojny secesyjnej, widmowi żołnierze stoją na warcie, maszerują w szyku i opatrują rany. Duchy wszelkiego rodzaju krążą po polu bitwy pod Gettysburgiem: wykrzykiwane rozkazy słysząc w Reynolds Woods, cienie snują się po Little Round Top, niektórym zaś na wzgórzu na Devil's Den ukazuje się obdarty teksański piechur zwany „hipisem”. W Manassas, gdzie rozegrano pierwszą i drugą bitwę nad Bull Run, w powietrzu unosi się swąd spalenizny, co może mieć związek, jak przypuszcza pisarz Mark Nesbitt, z Sullivanem Ballou, majorem unionistów, który zginął podczas pierwszej bitwy nad Bull Run, a którego ciało po bitwie zostało zbezczeszczone i spalone przez konfederatów.

Pod Shiloh jedna ze zwiedzających widziała ponoć młodego żołnierza Konfederacji śpiącego pod murem. „Leżał na mchu z podciągniętymi kolanami – wspominała. – Jedną dłoń przyłożył do policzka, druga leżała przy boku, na twarzy miał kapelusz. Powiedziałam: «Czy on odpoczywa po nocy? Nic mu nie jest? Nie wygląda, jakby mu coś dolegało». Staliśmy tam i przyglądaliśmy się temu chłopakowi. Dosyć dziwnie było natknąć się na coś takiego w lesie. I po chwili już go nie było. Zwyczajnie rozplynął się w powietrzu”^[220].

Wielu turystów pod Shiloh widziało bezimiennego dobosza unionistów. Jak głosi często opowiadana historia, gdy ofensywa Unii zaczęła słabnąć, dowódca zarządził odwrót, ale dobosz ponownie odegrał sygnał do ataku. Wściekły dowódca zapytał go, dlaczego to zrobił, a chłopiec odpowiedział, że zna tylko ten jeden sygnał. Potem jednak, w następstwie błędu chłopca, siły unionistów zmobilizowały się i zajęły wzgórze, o które walczyły. Dowódca próbował później odnaleźć małego dobosza, ale okazało się, że chłopiec zginął w czasie walk.



Cmentarze wojny secesyjnej są mocno obecne w świadomości Amerykanów. Ostatecznie najsłynniejsza amerykańska mowa – przemowa gettysburska – została wygłoszona podczas uroczystości otwarcia jednego z takich cmentarzy. Przemówienie Lincolna, krótkie i symboliczne, zawiera prostą i zgrabną konkluzję: żaden wielki orator, łącznie z prezydentem, nie jest władny konsekrować takiego miejsca, mogą to zrobić jedynie ciała poległych żołnierzy, to na nich wspierają się podwaliny Stanów Zjednoczonych. Sedno przemowy Lincolna tkwi w podniosłej wierze, że o wielkości narodu stanowią jego duchy, wobec których mamy wieczny dług wdzięczności.

Cmentarze na polach bitewnych wojny secesyjnej zaczęły powstawać w 1867 roku, gdy rany wojenne jeszcze się nie zabiłiły[221]. Konflikt ten był tak brutalny i destrukcyjny, że los wielu ludzi pozostawał nieznany; listy ofiar pod koniec wojny zawierały jedynie jedną trzecią ogólnej liczby zaginionych i zabitych. Na początku 1866 roku dziennikarze, politycy i humaniści zaczęli się domagać utworzenia cmentarzy upamiętniających poległych. James Fowler Russling w „Harper's New Monthly Magazine” pytał:

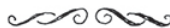
Mamy pozwolić, ażeby te czcigodne groby, chowające najlepsze prochy naszej ziemi, najdumniejsze w tym stuleciu, pozostawiono na pastwę bezczeszczących wrogich rąk albo niszczącego działania czasu i przyrody, jak to się działo w innych krajach, w innych wiekach? Czy raczej powinniśmy złożyć te szczątki czule na wielkich narodowych cmentarzach, niezbyt licznych, ale umiejscowionych centralnie; upiększyć je i przyozdobić w umiarkowany, acz stosowny sposób i uroczystie przekazać potomności jako część owej wysokiej ceny, którą nasze pokolenie zapłaciło za Unię, by stały się częścią spuścizny republiki i narodowym dziedzictwem na wieczne czasy?[222]

Północ, pobudzona do działania takimi apelami, zaczęła gromadzić szczątki poległych, by stworzyć pomniki nie tylko na cześć indywidualnych ofiar, ale i całego narodu. Coś, co zapoczątkowano pod Gettysburgiem i w dawnym obozie jenieckim pod Andersonville, szybko przerodziło się w ogólnokrajową misję, która ostatecznie doprowadziła do powstania – kosztem 4 milionów dolarów – siedemdziesięciu czterech narodowych cmentarzy ze szczątkami 303 536 poległych, co historyczka Drew Gilpin Faust nazwała „przypuszczalnie najambitniejszym programem federalnym podjętym po niespełna stu latach amerykańskiej państwowości”[223].

Od samego początku celem tego przedsięwzięcia, mniej lub bardziej jawnym, było nie tylko zapewnienie odpowiedniego pochówku żołnierzom, którzy na zawsze pozostali na polu bitwy, lecz także odtworzenie zjednoczeniowej narracji, niemal całkowicie zniszczonej przez wojnę. Naród, który wygrał bitwę toczącą się częściowo o niezależność stanów, nie mógł teraz pozwolić, by to stany wypełniały obowiązek wobec poległych – cmentarze wojny secesyjnej musiały być nadzorowane przez władze federalne, gdy postępował proces zjednoczenia wy pod egidą władz wyższego szczebla.

Utworzenie cmentarzy na polach bitewnych wojny secesyjnej idealnie zbiegło się w czasie z trendem powolnego odchodzenia od przykościelnych miejsc pochówku. Te wojskowe nekropolie, powstałe w trakcie dokonującego się procesu pozbawiania cmentarzy wyłącznie religijnego kontekstu, stały się symbolem starań Amerykanów, by nadać szczątkom żołnierzy jakiś sens. Ci ludzie mieli nigdy nie spocząć w rodzinnych mogiłach, tam skąd pochodzili. Ich ciała miały konsekrować pola bitew, nadając tym ziemiom dodatkową symboliczną wagę. Historyk Thomas W. Laqueur odnotowuje, że „ciało przez sam fakt swego umiejscowienia potrafi natchnąć sobą ziemię, w której spoczywa i obraca się w proch”[224] – ważne było, żeby tych żołnierzy pochować tam, gdzie polegli. Utworzenie owych nekropoli i zagospodarowanie pól bitewnych miało się przyczynić do stworzenia doskonalszej Unii i upamiętnić stratę, z którą nie sposób było się w pełni pogodzić.

Duchy, które na tych polach ukazują się właściwie od zawsze – duchy bez imion i tożsamości, często nawet bez przynależności politycznej – być może pomogły Amerykanom się zjednoczyć. Zakorzenione w owych słynnych miejscach, nie pozwalają zapomnieć o aktach heroizmu, przeżywają na nowo chwile męstwa i przypominają nam o swojej ofierze.



Nie zawsze tak jednak było. Podczas gdy władze federalne grzebały poległych unionistów, na gospodarczo zrujnowanym Południu zwłoki żołnierzy leżały porzucone. Zadanie grzebania konfederatów przypadło cywilom i stało się oddolnym ruchem, który pokonanym stanom Południa wyznaczył swego rodzaju cel. Mieszkańcy podejmowali spontaniczne akcje pochówku zmarłych, często zbierając w swoich społecznościach fundusze na pokrycie kosztów przedsięwzięcia. Zajmowały się tym przeważnie kobiety – pogrążone w żałobie matki i wdowy, które chciały po raz ostatni oddać cześć poległym. Oplakiwanie ofiar wojny na Południu stało się sposobem subtelnej odmowy się od Unii i kontestowania wyniku wojny. Podczas uroczystości w Savannah w stanie Georgia na cześć poległych pod Gettysburgiem ojciec Abram Ryan, poeta nazywany „głosem Konfederacji”, wyrecytował elegię ku czci poległych za sprawę „choć przegraną, to sprawiedliwą” [225].

Musiało minąć trochę czasu, zanim uhonorowano także tych żołnierzy. W 1900 roku Kongres wyasygnował środki na utworzenie sekcji konfederacyjnej na cmentarzu Arlington, a w 1906 roku władze federalne powołały komisję do spraw oznaczenia grobów żołnierzy Konfederacji, która wcieliła do krajowego systemu wcześniejsze, powstałe ad hoc cmentarze Południa. W końcu polegli konfederaci dostali stałe miejsce obok poległych unionistów. Śpiący chłopak spod Shiloh i słynny doboz unionistów mogli teraz straszyć wspólnie, zjednoczeni po śmierci.

Co jednak oznaczało, że przez prawie cztery dziesięciolecia zmarli konfederaci nie mieli gdzie straszyć, i w tych latach, zwłaszcza bezpośrednio po zakończeniu wojny secesyjnej, wydawało się, że snują się po kraju.



„Czasem widywaliśmy jednego lub dwóch jeźdźców, którzy nas mijali – opowiadał później o powojennych latach były niewolnik – i nikt się nie odzywał, nikt nic nie mówił, po prostu wszyscy szli dalej przed siebie, tylko ci z przodu rzucali: «Shiloh», a potem zwieszali głowy albo się odwracali i nikt nic nie mówił” [226]. Krążyły historie o incydencie w gminie Attakapas w Luizjanie: pewnej nocy wyzwolonego niewolnika zbudził podróżny, który poprosił o wodę. Mężczyzna napełnił wiadro wodą i podał je nieznanemu, a ten wypił całe wiadro i poprosił o jeszcze jedno. Po osuszeniu wiadra po raz drugi i trzeci podziękował mężczyźnie, zaznaczając, że pokonał przez ostatnią dobę ponad tysiąc mil i że nie pił tak smacznej wody, odkąd go zabili pod Shiloh [227].

Duchy przybywały spod Shiloh, Vicksburga, Cold Harbor i znad rzeki Antietam. Na południowym wschodzie Tennessee podróżni widywali dziwnego, ponurego wartownika pilnującego rudery na wzgórzu. Od czasu do czasu ktoś go pytał, kim jest, a wtedy niskim, grobowym głosem odpowiadał: „Duchem z tamtego świata. Zginąłem nad Chickamaugą” [228]. Widma pełniły straż, pilnując podupadłych plantacji, albo jak nieznajomy z Attakapas jeździły po nocy, prosząc o wodę, żeby zaspokoić pragnienie, którego nie dało się zaspokoić, zwieszały nisko głowy, wydawały z siebie gardłowe dźwięki i opowiadały wszystkim, którzy pytali, o swojej śmierci na polu bitwy.

Jeden z byłych niewolników wspominał kilkadziesiąt lat później zjawy, które podeszły do niego pewnej nocy: „Przybyły z przełęczą Manassas sprawdzić, czy biednym wdowom nie dzieje się krzywda. Powiedziały też, że buntownicy nie zamierzają dopuścić do ściągania po-

datków. Z tych dwóch rzeczy można było wywnioskować, że zginęły podczas buntu w Manassas. Duchy potwierdziły, że powstały z martwych i że są buntownikami” [229]. Pewnego mężczyznę z Karoliny Północnej obudziły w nocy łomotanie do drzwi i głosy domagające się, żeby wyszedł z domu. Zbliżyły się do niego ciemne postacie, które chciały wiedzieć, jak głosował w ostatnich wyborach – czy za radykalnymi republikanami, czy za demokratami – i gdy odpowiedział, że głosował na republikanów, jeden duch wetknął mu pod brodę lufę pistoletu i zaciągnął go do lasu. Tam widma zażądały, żeby zdjął koszulę. „Za co chcecie mnie chłostać? – zapytałem. – Co takiego uczyniłem?” Odpowiedziały: „Zdejmuj koszulę, w przeciwnym razie umrzesz. Przybywamy z cmentarza w Manassas i na Boga, chcemy wrócić na nasz cmentarz i skryć się, zanim nastanie dzień”. Następnie duchy wymierzyły mu dziesięć czy piętnaście razów biczem, o ile pamiętał, po czym puściły go wolno ze słowami: „Musisz obiecać, że będziesz głosować na demokratów, bo nim odejdziemy, wyzioniesz ducha” [230].

Coś, co zaczęło się w miasteczku Pulaski w stanie Tennessee od szeregu żartów – gdy kilku znudzonych konfederackich weteranów założyło klub w celu „zabawy, psot i płatania ludziom figli” – rozrosło się w pierwszą poważną organizację terrorystyczną skoncentrowaną na nękanii wyzwolonych niedawno niewolników i agitujących ich mieszkańców Północy. Sześciu założycieli przyjęło nazwę od nonsensownie zniekształconego greckiego słowa κύκλος (koło), dodając „klan”, żeby podkreślić swój szkocki rodowód: Ku Klux Klan – nazwę jednocześnie tajemniczą, przerażającą i jak to określił jeden z założycieli, przypominającą dźwięk „grzechoczących kości” [231].

W swym pierwszym wcieleniu Ku Klux Klan wprowadził terror na całym obszarze amerykańskiego Południa – jego członkowie prześladowali, katowali, torturowali i zabijali setki, tysiące ludzi w swej misji utrzymania supremacji białych. Z gospodarką opierającą się na wykorzystaniu darmowej siły roboczej Południe po zakończeniu wojny secesyjnej zostało nie tylko ze spustoszonymi i zniszczonymi plantacjami, lecz także – dzięki trzynastej poprawce i zniesieniu niewolnictwa – ze skompromitowanym modelem ekonomicznym. Połownictwo [3*] i prawa Jima Crowsa [4*] stały się z czasem substytutem niewolnictwa w tym sensie, że pomimo rasizmu białych z Południa, wyzwoleni niewolnicy wciąż stanowili kluczowy element gospodarki i nie można im było pozwolić na migrację na Północ. Tak jak właściciele niewolników nie dopuszczali do ich ucieczek przed wojną secesyjną, tak teraz stało się równie ważne, by zniechęcić wyzwolonych niewolników do przenosin, i tego zadania podjął się Ku Klux Klan.

Powodzenie owych działań było silnie uzależnione od obecności duchów. Mężczyzna, który obudził się w środku nocy i ujrzał spragnioną wody zjawę z Shiloh, został później określony mianem „czarnego radykała”, jak większość ofiar klanu. Członkowie KKK zjawiali się w domu czarnej rodziny w środku nocy, ubrani w prześcieradła i inne prowizoryczne kostiumy (formalne stroje kojarzone z tą organizacją miały się pojawić dużo później), twierdząc, że są duchami żołnierzy Konfederacji poległych w różnych bitwach. Tym historiom często towarzyszyły różnego rodzaju proste sztuczki magiczne: pod szaty wsuwano szkieletową rękę, gdy więc członek klanu się witał, podawał komuś kościaną dłoń. Inny popularny trik polegał na tym, że skrywano pod szatą impregnowany worek z rurką prowadzącą do ust członka klanu, przez co mógł on udawać, że wypija ogromne ilości wody.

Jest sprawą mocno dyskusyjną, czy te sztuczki rzeczywiście stosowano, czy to tylko bajki rozpowszechniane w szeregach klanu. Nawet jeśli historie te były prawdziwe, jest rzeczą wątpliwą, by ktoś uwierzył w tak prymitywne żarty. Jak pisze Wyn Craig Wade w swojej historii

Ku Klux Klanu, pomimo stereotypu, jakoby czarna ludność była bardziej podatna na przesady niż biali, „legendy o przerażonych «czarnuchach» pierzchających przed duchami martwych konfederatów prawdopodobnie więcej mówią o rozdmuchanym ego białych niż o łatwowierności czarnych”. Inaczej rzecz ujmując, jest prawdopodobne, że wyzwolony niewolnik zbudzony w środku nocy przez (przypuszczalnie) pijanego weterana konfederatów przebranego za ducha miał wiele, i to wcale nie nadnaturalnych powodów, żeby się bać. Jak zauważa Wade, „sugerowano, że czarni mogli udawać, mając nadzieję, że odgrywany strach oddali brutalniejszą formę zastraszenia. Rodzi się zatem pytanie: kto nabrał kogo?” [232].

Być może nigdy się nie dowiemy, jak często w rzeczywistości stosowano te niewiarygodnie brzmiące sztuczki i jaki miały one wpływ na ofiary. W każdym razie widmowy aspekt był początkowo jedną z charakterystycznych cech klanu. Podstawowym celem jego członków było zatrzymanie wyzwolonych niewolników na Południu, żeby wesprzeć gospodarkę, oraz odstraszenie białych Jankesów, którzy przybywali zapewnić nowo wyzwolonym edukację i pomoc. Jak odnotowuje w swojej książce *Night Riders in Black Folk History* (Nocni jeźdźcy w ludowej historii czarnych) Gladys-Marie Fry: „Idea powrotu zmarłych konfederatów miała sugerować, że niewolniczy reżim się nie skończył, chociaż Południe zostało ujarzmione, i że nadal obowiązują dawne ograniczenia” [233]. Co więcej, chciano pokazać, że duchy mają większą moc niż żywi, bo powstały z grobów i uzyskały nadprzyrodzony status. Biali z Południa próbowali – zazwyczaj bezskutecznie – przekonać wyzwolonych, że przenosiny na Północ są bezsensowne, bo duchy zmarłych konfederatów, nieograniczone cielesnością, mogą pójść za nimi wszędzie. W fantastycznej powieści Edwarda H. Dixona *The Terrible Mysteries of the Ku-Klux-Klan* (Strasliwe tajemnice Ku Klux Klanu) jeden z przywódców klanu dumnie ogłasza: „Klux to żywe trupy, to siła słabości. Ze związanymi sznurem rękami i nogami, sznurem, który drażni i wżera się w ropiejące rany martwego ciała, żywy Klux wstaje i wychodzi z domu w czarną noc” [234].

Wykorzystanie duchów jako środka społecznej kontroli sięga czasów sprzed powstania Ku Klux Klanu. Właściciele niewolników zatrudniali tzw. *patterollers*, zazwyczaj biednych białych, którzy nocą patrolowali okolicę – oni też regularnie wykorzystywali historie o duchach w taktyce mającej zniechęcić niewolników do podejmowania prób ucieczki. „Falszywy duch – pisze Fry – był pierwszym w stopniowo rozbudowywanym systemie nocnych stworów, a strach przed nim wzbudzano z myślą o kontrolowaniu niewolników” [235]. Mężczyzna w białym prześcieradle jadący konno przez las mógł pomóc potwierdzić prawdziwość pogłosek, że las jest nawiedzony i że ci, którym życie miłe, nie powinni się tam zbliżać. Przez rozsiewanie plotek o zjawach biali chcieli ograniczyć odpływ czarnej ludności. Jeśli cmentarze, rozstaje dróg i lasy uznano za szczególnie nawiedzane przez duchy, to dlatego, że były najłatwiejszymi szlakami ucieczki i należało ich strzec.

Dzisiaj takie miejsca powszechnie uważa się za sferę duchów. Mamy związane z nimi historie – o tragicznych zgonach, zrozpaczonych kochankach i diablach czekających na podpisanie cyrografu – w których odbija się bogata tradycja amerykańskiego folkloru. Możliwe jednak, że opowieści o duchach pojawiły się znacznie później, a miejsca te zdobyły swoją reputację o wiele bardziej pokretną drogą. W nawiedzonej tradycji wielu z nich kryje się tajemna historia nocnych patroli i ograniczania cudzej wolności. Powinny były pozostać otwarte dla wszystkich – jako miejsca spotkań, szlaki komunikacyjne, własność publiczna, uświęcone miejsca spoczynku zmarłych. Lecz w wielu zakątkach kraju, gdzie dostęp do nich był od dawna ograniczony, ściągnięto duchy zmarłych jako jeszcze jeden oręż wykorzystywany przez

niewidzialną armię.

WIATR HULA PO CATHEDRAL PARKU

Portland, Oregon

Na wideo najpierw widać młodych mężczyzn, jak chichoczą w ciemności, podświetlając sobie twarze od dołu latarkami^[236]. Jeden z nich ma na imię Isaiah, jest jeszcze Vinnie i trzeci, Jamison – poza imionami nie wiemy o nich zbyt wiele. Mogą mieć po dwadzieścia kilka lat, ale zachowują się jak banda uczniaków. Obraz zjeżdża w dół, słysząc szumy. Możliwe, że są pijani albo upaleni. Najwyraźniej świetnie się bawią i z trudem się kontrolują.

Znajdują się pod mostem St. Johns w Portland w stanie Oregon. Mosty są tu tak efektowne, że Portland bywa nazywane Miastem Mostów, a St. Johns jest chyba z nich wszystkich najpiękniejszy. Wiszący, z dwiema wieżami, pokryty zielonkawą patyną, rozciąga się nad rzeką Willamette niczym mniejszy, bardziej elegancki Golden Gate Bridge. Po zachodniej stronie rzeki biegnie nad NW St. Helens Road i łączy się z NW Bridge Avenue; po wschodniej góruje nad łagodnym zboczem, w wdzięku opadając ku dzielnicy St. Johns.

Teren pod mostem na wschodnim brzegu nosi teraz nazwę Cathedral Park – od wielkich gotyckich łuków stanowiących wsparcie dla konstrukcji. Widać stamtąd, jak malownicze jest to miasto: leniwie płynąca rzeka, ślady industrializacji ginące wśród majestatycznych gór i wszędzie zimozielone drzewa. Jest jednak zaskakująco głośno: samochody pędzące 30 metrów wyżej i wiatr wyjący między gotyckimi łukami tworzą wspólnie wrażenie, jakby w parku rozlegały się głosy i zawodzenia. Tabliczki ostrzegają krzykliwie z podpór mostu: UWAGA! SPADAJĄCE PRZEDMIOTY, PARKOWANIE NA WŁASNE RYZYKO.

Młodych ludzi, którzy nagrali to wideo i zamieścili je na YouTube, zwabił tam duch Thelmy Taylor. W 1949 roku piętnastoletnia Taylor została stamtąd uprowadzona. Nie było wtedy parku, jedynie brud, śmieci i krzaki. Dziewczyna wybierała się autostopem do miejsca swojej wakacyjnej pracy, gdy zabrał ją Morris Leland, dwudziestodwulatek, który nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca.

Tydzień po zniknięciu Taylor policja zatrzymała Lelanda za kradzież samochodu i zabrała go na komisariat, gdzie ni stąd, ni zowąd poprosił o rozmowę z kimś z wydziału zabójstw. Następnie przyznał się do wszystkiego, opisując w szczegółach, jak zamordował Taylor, ukrył jej ciało pod gałęziami i przed ucieczką stał ślady swoich palców w jej lunchboxu. Zaproponował policjantom, że wskaże im miejsce, gdzie zostawił zwłoki. Wcześniej był drobnym złodziejaszkiem, który ukradł kilka samochodów. Zamordowanie Thelmy Taylor należało do czynów zupełnie innego kalibru i sprawa ciążyła mu na sumieniu tak bardzo, że musiał się przyznać do zbrodni przesłuchującemu go policjantowi. Proces odbył się w 1951 roku – wyrok wydano szybko i mordercę skazano na śmierć. Po kilku odrzuconych prośbach o ulaskawienie Leland trafił w 1953 roku do komory gazowej.

Jak można oczekiwać, historie o Thelmie Taylor są makabryczne: podobno przed śmiercią była przez siedem dni gwałcona i torturowana. „A tak – rzekł w 2013 roku właściciel miejscowego baru w programie lokalnej stacji poświęconym zamordowanej – byłem tam któreś nocy i słyszałem, jak krzyczy: «Ratunku, pomocy, niech mi ktoś pomoże!»”^[237]. Dlatego ludzie przyjeżdżają szukać Taylor: chcą poczuć dreszczyk emocji, jaki wywołuje czyjaś śmierć, odurzenie spowodowane bliskością miejsca zbrodni. Pisarz Andy Weeks w swoim przewodniku *Haunted Oregon* (Nawiedzony Oregon) radzi, by „odwiedzić tę okolicę i przekonać się, czy usłyszysz dzikie krzyki świętej pamięci Thelmy. To nie będą przyjemne dźwięki, raczej takie, od jakich cierpię skóra”^[238]. Czy jest lepszy sposób na spędzenie chłodnego wieczoru, niż napędzić sobie takiego stracha, by znowu poczuć, że się żyje?

Krzyki, które można usłyszeć w Cathedral Parku, zlewają się ze świstem hulającego między łukami wiatru znad wody i pochodzą, tak przynajmniej się mówi, z samego mostu, z potężnych kamiennych pylonów wspierających wiszące w górze przęsło. Jedna z teorii głosi, że gdy zamordowano Thelmę Taylor, most „zarejestrował” to zdarzenie i teraz odtwarza potworność, której był świadkiem.

Jak podaje przewodnik *Ghosthunting Oregon* (Polowanie na duchy w Oregonie), w opinii badaczy zjawisk paranormalnych w Cathedral Parku „powstały idealne warunki dla nawiedzeń”: woda z rzeki i wapienne bloki wykorzystane do budowy mostu umożliwiły coś, co nazywa się „nawiedzeniem rezydualnym”. Zjawisko to, zwane także teorią „kamiennej taśmy”, opiera się na wierze, że niektóre martwe przedmioty są w stanie zarejestrować ślady pewnych zdarzeń, a potem je odtworzyć. Jak to ujęto w przewodniku: „Materiały nieożywione takie jak kamień potrafią, zwłaszcza w chwilach podwyższonego napięcia, niepokoju i strachu, wchłonąć energię żywych, podobnie jak taśma magnetofonu rejestruje głos. Tę energię można potem uwolnić, co skutkuje wizualnym lub audialnym odtworzeniem zapisanych wydarzeń”^[239].

Teorię tę spopularyzował angielski antropolog T.C. Lethbridge, którego kariera zaczęła podupadać, w miarę jak nasilała się jego obsesja na punkcie zjaw i duchów. W opublikowanej w 1961 roku książce *Ghost and Ghou* (Duch i ghul) odrzucał sceptycyzm („Nie pytamy, czy ludzie widzą duchy. Istnieje dość dowodów, że tak się dzieje”) ^[240] i skupiał się raczej na mechanizmach, które mogą tłumaczyć ich obecność – powiązanych nie tyle z życiem pozagrobowym, ile ze zdolnościami paranormalnymi osób żywych. Zamiast postrzegać duchy jako odrębne byty, przejawiające aktywność i wolę po śmierci, wysunął hipotezę, że to my, żywi, pełniimy funkcję duchowych projektorów zdolnych przesyłać idee telepatycznie, a te, odbierane przez innych, interpretowane są jako zjawiska nadprzyrodzone. Większość duchów, konkludował Lethbridge, „to jedynie mentalne obrazy wytworzone przez osoby żyjące” i idealną metaforę odnalazł w rozwijającej się dynamicznie technologii telewizyjnej. Duchy, oznajmił, „wydają się ni mniej, ni więcej, tylko telewizyjnymi obrazami. Obraz telewizyjny jest stworzonym przez człowieka duchem”^[241].

Lethbridge nie był pierwszym, który przedstawił taką koncepcję. Sir Oliver Lodge w wydanej w 1908 roku książce *Man and the Universe* (Człowiek i wszechświat) pisze o tym, jak nawiedzony dom „sfotografował” tragedię z przeszłości^[242]. Pomysły Lethbridge’a wzbudziły szerokie zainteresowanie przypuszczalnie ze względu na ich popularyzację w telewizji: w 1972 roku BBC 2 wyemitowało film telewizyjny *The Stone Tape* (Kamienna taśma) zainspirowany koncepcją „telewizyjnych” duchów Lethbridge’a. Zespół naukowców, który przenosi się do rzekomo nawiedzonej wiktoriańskiej rezydencji, odkrywa, że widywane zjawy są pewnego

rodzaju replayem, odtwarzając wcześniejszą tragedię. O sile przekazu „kamiennej taśmy” decyduje w dużym stopniu osoba odgrywająca rolę odbiornika – w tym wypadku nawiedzenie w najprostszej formie jest parapsychiczną interakcją między miejscem i osobą, między dawną tragedią a zdolnością jej wychwycenia przez obecnego świadka.

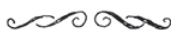
W tej wersji nawiedzenia duchy nie są w stanie skrzywdzić żywych ani w żaden sposób im zaszkodzić, mimo że przywołane obrazy mogą być przerażające i traumatyczne. Wielu łowców duchów, z którymi rozmawiałem, od Kalifornii po Luizjanę, uważa nawiedzenie rezydualne za najpopularniejsze wytłumaczenie pojęcia duchów, chociaż mechanizm ten jest równie nieprawdopodobny jak wersja przedstawiana przez spirytystów. Obiecuje, że bez względu na to, jak wielką grozę budzi otoczenie, łowca duchów nie zazna krzywdy, ale mimo wszystko oferuje ludziom dreszczyk emocji, którego potrzebują, by poczuć, że żyją.

To, jaki rodzaj duchów nawiedza Cathedral Park – jak powiedział mi Jefferson Davis, miejscowy badacz zjawisk nadprzyrodzonych – jest ważnym pytaniem. „Czy to duch-ślad, duch świadomy czy jeszcze jakiś inny?”^[243] Davis urodził się na Wybrzeżu Północno-Zachodnim i od najmłodszych lat interesował się duchami. Nazywa siebie „wyluzowanym sceptykiem”. Powiedział, że wierzy w zjawiska paranormalne, ale na razie nie widział ani nie słyszał niczego, co mogłoby je ponad wszelką wątpliwość potwierdzić: „Po prostu czekam, aż coś się stanie”.

Davis z wykształcenia jest antropologiem, siłą rzeczy odczytuje więc opowieści o duchach w szerszym kontekście kulturowych trendów i wspólnych wierzeń. Podczas gdy tradycyjny przepis na historię niesamowitą wymaga niespokojnego ducha, niedokończonego zadania, niepowetowanej krzywdy, formuła nawiedzenia rezydualnego nie wymaga tych elementów – ostatecznie zabójca Thelmy Taylor został postawiony przed sądem, jej duch nie musi zatem wzywać żywych, by ją pomścili.

Duch z Cathedral Parku służy raczej za opowieść ku przestrodze. Lokalny historyk Jim Speirs, który wychowywał się w północnej dzielnicy Portland, nie pamiętał zbyt dobrze szczegółów tego morderstwa, gdy w 2009 roku zaczął pisać o Thelmie Taylor do „St. Johns Review”. „Przypominam sobie za to mało konkretną historię z dreszczykiem, która krążyła po liceum Roosevelta, gdy chodziłem tam w latach sześćdziesiątych – napisał później. – O duchu, który straszy pod mostem St. Johns... i że należy omijać to miejsce”. Wtedy oczywiście było to dosyć łatwe, bo nie było tam parku; „tylko rozległy plac – wspominał Speirs – pełen dzikich jeżyn, skarłowaciałych drzew, porzuconych samochodów, stosów śmieci, podejrzanych zarośli i koczujących bezdomnych włóczęgów”^[244].

Dla Davisa historia Taylor jest ważna właśnie dlatego, że jest prawdziwa, choć ma wszelkie znamiona fikcyjnej legendy miejskiej. „Wiele nawiedzeń to nie zdarzenia symboliczne, lecz coś, co wydarzyło się naprawdę, dlatego są interesujące”, powiedział mi, nawiązując do tego, jak historia tego typu zaciera granice między dramatem a sensacją, przez co archetypowe aspekty historii Thelmy są tak ściśle splecione z faktami, że ich rozróżnienie staje się trudne.

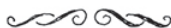


Erik Meharry nie jest pewien, kiedy dokładnie zainteresował się Thelmą Taylor. Dorastał pod Portland i jak większość dzieciaków z okolicy znał tę historię w ogólnych zarysach, próbowano nią bowiem odstraszać młodzież od podróżowania autostopem. Teraz pracuje jako śledczy w biurze adwokackim, jednak w czasie, gdy zaczął zgłębiać szczegóły życia Taylor, był zatrudniony w zakładzie pogrzebowym. („Do branży trafiłem przypadkowo – wyznał mi – po-

trzebowali kogoś do odbierania zwłok”^[245]. Dyżurując po dwadzieścia cztery godziny na dobę, mieszkał w domu pogrzebowym i w pewnym momencie – choć twierdzi, że nie miało to związku z pracą – głęboko zafascynowało go życie Taylor. Nie pamięta dokładnie, co takie go przykuło jego uwagę. „Przede wszystkim – rzekł – było mi jej ż a l”.

Zaczął zbierać informacje na ten temat – artykuły prasowe i akta sprawy, dane, które wykraczały poza legendy miejskie i historie niesamowite. I chociaż panowało przekonanie, że Taylor nawiedza Cathedral Park, Meharry odkrył, że została zamordowana ponad pół kilometra od mostu. Nie padła ofiarą gwałtu i chociaż schwytanie i przyznanie się do winy Lelanda nastąpiło po tygodniu, do morderstwa doszło rankiem po porwaniu – dziewczyna nie była więc długo więziona.

W 2012 roku Meharry założył na Facebooku stronę poświęconą Taylor, głównie po to, żeby o niej nie zapomniano, lecz także żeby oddzielić prawdę od mitów. Dwudziestego piątego września 2012 roku, mniej więcej osiem miesięcy po założeniu strony, dostał wiadomość od niejkiej Paulette Jarrett. Była krótka i treściwa: „Thelma Taylor jest moją siostrą – a ty kim jesteś?”.



James W. Loewen w często cytowanym fragmencie swojej książki *Lies Across America* (Kłamstwa Ameryki) pisze o rozróżnieniu stosowanym przez użytkowników języka suahili we wschodniej i centralnej Afryce:

Jak podaje John Mbiti, osoby mówiące w suahili dzielą zmarłych na dwie kategorie: *sasza* i *zamani*. Ci, którzy odeszli niedawno, i ich czas na ziemi pokrywa się z życiem ludzi, którzy wciąż tu są, to *sasza*, czyli „półżywi”. Nie umarli całkowicie, ponieważ żyją jeszcze w pamięci. Ludzie mogą ich ożywiać w myślach, stworzyć ich wizerunek w dziele sztuki albo przywołać w anegdocie. Gdy umiera ostatnia osoba znająca przodka, zamienia się on w *zamani*, „martwego”. Jako ogół przodków *zamani* nie są całkiem zapomniani, oddaje im się cześć. [...] Nie są jednak „półżywymi”. Na tym polega różnica^[246].

Loewen wykorzystuje to rozróżnienie, by przeanalizować problemy historyczne związane z pomnikami i tablicami pamiątkowymi rozsianymi po kraju. Podczas gdy historia jest najdokładniej udokumentowana, gdy żyją jeszcze jej świadkowie (a zatem można ją nazwać *sasza*), pomniki często mają charakter *zamani* i są, zdaniem Loewena, ideologicznie obciążone: „Pomniki i tablice *zamani*, których powstanie nie jest umotywowane poczuciem straty ani żałobą, zazwyczaj służą politycznym celom czasów, w których się je stawia”^[247]. Monumenty upamiętniające bohaterów wojennych Konfederacji lub ofiary 11 września – owoce długotrwałych sporów i burzliwych dyskusji, mocno spóźnione i wykorzystywane przez polityków do różnych osobistych celów – są ucieleśnieniem tego rodzaju pomnika w duchu *zamani*, który ma niewiele wspólnego z rozpaczą po stracie zmarłych, bo tych uhonorowałby lepiej pomnik w duchu *sasza*, na przykład spontanicznie ustawiony przydrożny krzyż lub zwykły nagrobek.

Chociaż Loewena interesują głównie oficjalne pomniki, jego klasyfikacja podsuwa nam nowy sposób spojrzenia na historie o duchach i ich ewolucję w czasie. Gromadząc opowieści niesamowite od dziesięciu lat, zauważyłem, że kontekst historyczny jest redukowany do tych samych schematów i melodramatycznych klisz. W tym świetle historie niesamowite w pewnym sensie fetyszyzują przeszłość, oddzielone od autentycznego historycznego tła – są zastę-

głą w czasie chwilą, w której odbijają się minione czasy. Francuski filozof Jean Baudrillard napisał kiedyś: „W fetyszyzmie to nie substancjalna (czy to przedmiotowa, czy podmiotowa) namiętność głos zabiera, ale n a m i ę t n o ś ć k o d o w a [...]”^[248]. W sensacyjnych opowieściach o duchach znajdujemy zamiłowanie nie tyle do indywidualnych historii lub historii jako takiej, ile do pewnego zestawu powtarzanych raz za razem klisz. Jest to efekt pamięci *zamani*: bez relacji z pierwszej ręki, bez osobistych wspomnień historie stają się pomnikami, które muszą służyć wyższym celom.



Odpowiedni przykład – Cathedral Park. Jednym z ewidentnie fałszywych szczegółów historii o Thelmie Taylor jest miejsce jej śmierci: nie zmarła w samym parku, lecz kilkaset metrów dalej. A jednak niewłaściwa lokalizacja zdarzenia, choć łatwo można tę informację podważyć, stała się integralną częścią legendy. Dlaczego wciąż pokutuje akurat to błędne przekonanie?

Most otwarto z fanfarami w 1931 roku, ale sam park powstał dopiero w latach siedemdziesiątych, a jego otwarcie nastąpiło w maju 1980 roku. Decyzja o zamianie tego terenu w park wynikała z chęci zagospodarowania martwej przestrzeni pod długim przęsłem mostu i pozbycia się problemów nabrzmiewających w takich przestrzeniach.

Parki tego typu są częścią szerszego ruchu urbanistycznego, polegającego na przystosowywaniu niewykorzystanych obszarów miejskich do nowych celów. Być może najslawniejszy i najbardziej udany przykład tej filozofii stanowi nowojorski park-deptak High Line utworzony na estakadzie dawnej linii kolejowej. Celem jest stworzenie funkcjonalnych przestrzeni z terenów, które dawniej szpeciły okolicę.

Podobne przekształcenia objęły też oczywiście dawne szpitale psychiatryczne Kirkbride’a, więc nie powinno dziwić, że wiele z adaptowanych miejsc ma – tak jak one – opinię nawiedzonych. Jedna z lokalnych firm turystycznych proponuje spacer z duchami po High Line, podczas którego przewodnik opowiada o tajemniczej postaci mieszkającej pod estakadą – o „kowboju z West Side”, który spadł stamtąd i się zabił – i o różnych dzieciach zmarłych przed laty i teraz nawiedzających deptak High Line. W Battery Park na Dolnym Manhattanie, również powstałym w drodze adaptacji, też straszy: zjawami są wiceprezydent Aaron Burr i jego córka Theodosia. Te budynki i parki przyciągają duchy, bo same są duchami: kiedyś porzucone, potem przekształcone, dostały po śmierci nowe życie. Nic dziwnego, że Igną do nich historie o przeszłości, objawiając się w formie opowieści o duchach i niewyjaśnionych zdarzeniach.

Cathedral Park, miejsce z pozoru nowe i odmienione – choć nie może całkowicie zetrzeć blizny po tym, co się wydarzyło kiedyś – zawsze wydawało się obszarem, któremu wizyty duchów są wręcz pisane. Nie da się uciec przed górującym nad nim gigantycznym mostem, przed dysharmonią między hałaśliwym ruchem samochodowym i otoczeniem parku. Nie da się uciec przed wiatrem świszczącym tam o każdej porze, jego zawodzeniem i jękami. Nawet gdyby Thelma Taylor nigdy się tam nie zjawiła, Cathedral Park i tak znalazłby swojego ducha.



Kevin Brockmeier w *Krótkiej historii umarłych*, powieści z 2006 roku, beletryzuje różnicę między *sasza* i *zamani*^[249]. Akcja toczy się w mieście zamieszkanym przez duchy *sasza*. W powieści właśnie do niego udają się niedawno zmarli i przebywają tam, dopóki ktoś o nich pamięta. Opuszczają je, gdy wśród żywych nie ma już nikogo, kto zachowałby ich w pamięci. Od-

powiednie miejsce dla Thelmy Taylor, zupełnie inne niż te, po których snuje się większość zmarłych. Wiktoriańskie damy, żołnierze Konfederacji, gwiazdki niemego kina – może i mają potomków, ale nie żyje już nikt, kto by ich znał osobiście i wciąż wspominał. Historia Thelmy Taylor różni się od wielu innych, jakie poznałem, po prostu dlatego, że tylu ludzi wciąż ją pamięta.

Gdy Jim Speirs po raz pierwszy napisał o Taylor w „St. Johns Review”, dostał kilka e-maili od osób, które znały ją za życia. Obudziwszy kilkudziesięcioletnie wspomnienia, zebrał te wiadomości na swoim blogu^[250]. Jedna z kobiet pamiętała Taylor ze szkoły podstawowej, była też na jej pogrzebie; „choć złapano Morrisa – napisała – wciąż byliśmy śmiertelnie przerażeni”. To morderstwo zmieniło pejzaż, przekształciło świat ciekawości w świat głębokich podejrzeń. Wcześniej licealiści z północnego Portland bywali na moście, skąd podziwiali wspaniałe widoki na wpływającą do miasta Willamette; po morderstwie przestali tam chodzić. „Moja koleżanka Thelma wciąż tam jest i nie obchodzi mnie, jak dobrą grają muzykę ani jak ładnie wygląda park, moja noga NIGDY na tej ziemi nie postanie!” George Parrish też wspominał Taylor: „Była chuda i słabo rozwinięta fizycznie, ale to po prostu ten głupi wiek. Chodziliśmy do tej samej klasy [...] ale słabo ją kojarzę i wątpię, czy w ogóle bym ją zapamiętał, gdyby jej nie zamordowano”.

Inny mężczyzna podzielił się ze Speirsem informacjami o samym zabójcy. „Minęło dużo czasu – pisał Bill Grubb – ale wiedzieliśmy, że Leland jest dziwny, nie przypominam sobie, żeby miał jakichś przyjaciół, i wiecznie robił coś kretyńskiego. [...] Zawsze nosił przy sobie nóż, więc mieliśmy się przed nim na baczności, ciągle się nim bawił”.

Paulette Jarrett miała tylko trzy lata, gdy zamordowano jej siostrę, wciąż jednak wyraźnie pamięta dwie sceny: gdy Thelma siedziała przed domem z koleżankami oraz gdy pewnego razu zastała siostrę w salonie żującą gumę i poprosiła ją o jedną. „Wyjęła z ust swoją i podała mi ją – wspominała. – Zaczęłam wtedy krzyczeć, nie chciałam czegoś, co miała wcześniej w buzi, chciałam dostać swoją gumę! I oczywiście zaraz zjawiła się mama i zapytała, co do diabła wyprawiamy, i Thelma wyjaśniła: «Poprosiła o gumę, więc ją poczęstowałam, ale nie chciała»”^[251]. Jako wspomnienie samo w sobie to niewiele, jest to jednak wyimek z życia, obraz osoby, która była czymś więcej niż tylko historią o swojej śmierci. Jarrett wciąż ma kolekcję zdjęć siostry – ubranej w mundur ojca, pozującej do szkolnego portretu, wiodącej życie zwyczajnej nastolatki. Jarrett, która resztę dzieciństwa spędziła pod kloszem, bo matka nie pozwalała jej nigdzie chodzić samej, wyznała, że często zadaje sobie pytanie, na jaką osobę wyrosłaby Thelma, gdyby przeżyła. „Żałuję, że nie mogłam jej poznać trochę lepiej”.



Historie niesamowite, których o Thelmie Taylor powstało całe mnóstwo, świadczą o tym, co się dzieje, kiedy czyjeś życie zostaje wchłonięte przez legendę miejską. Zaginięcie i morderstwo Taylor stały się ostrzeżeniem przed podróżami autostopem i przesiadywaniem w odludnych miejscach. Szczegóły nigdy nie były specjalnie istotne – najważniejsze, żeby ludzi nastraszyć i skłonić do pewnych zachowań. Życie w płynny sposób zamieniło się w lekcję, *sasza* w *zamani*, chaotyczny świat myśli, pragnień i wspomnień w opowieść ku przestrodze.

Gdy zadałem Jeffersonowi Davisowi pytanie, czy etyczne jest według niego oprowadzanie wycieczek i opowiadanie o śmierci Taylor, miałem wrażenie, że dylemat ten wzbudził w nim pewne rozterki. „Nikomu z nas nie zależy, żeby komukolwiek psuć dzień, miesiąc czy rok życia, na przykład komuś z rodziny zamordowanej”. Jak wielu łowców duchów, z którymi roz-

mawiałem, Davis szczerze wierzy, że na nikim nie żeruje, że robi wszystko, by wydobyć prawdę, relacjonować straszliwe wydarzenia, nie robiąc z nich sensacji, nie próbując zarabiać na czyjejs traumie. Jednocześnie, dodał, zastrzega sobie prawo do opowiadania tej historii, bo cokolwiek się zrobi, „ludzie i tak będą się obrażać i opacznie rozumieć różne rzeczy”.

Dopiero gdy napomknąłem o filmiku, który widziałem w Internecie, o chłopakach w parku próbujących nawiązać kontakt z duchem Taylor, Davis zareagował ostro. „Ci ludzie śmieją się i chichoczą – wyjaśnił – bo to dla nich doświadczenie quasi-religijne. Starają się skontaktować z drugą stroną. Nie można ocenić na podstawie takiego filmiku, co się dzieje w czyjejś głowie”.

„Dobrej zabawy życzę – rzekł Meharry. – Czemu nie? Jeśli ktoś ma z tego frajdę, nie robiąc przy tym nikomu krzywdy, to proszę bardzo”. Przyznał, że historia o Taylor i moście jest świetna: archetypowa opowieść niesamowita o tragedii dziewczyny. Potem jednak zamilkł i odwrócił wzrok. „Tylko że ja poświęciłem Thelmie Taylor tyle czasu, znam jej rodzinę, więc jestem trochę ostrożny i nieco przeczulony na jej punkcie. Wykorzystaj inne historie – powiedział w końcu – ale tę zostaw”.

Ja sam uważam, że opowieści niesamowite są naturalnym sposobem – a przynajmniej próbą – kultywowania pamięci o przeszłości, która w przeciwnym razie zostałaby zapomniana lub pominięta. Historia z Cathedral Parku, jak tyle innych opowiadań o duchach, zaciera prawdę, by wyeksponować krwawe zmyślenia, i przedkłada emocje związane z poszukiwaniem duchów oraz obcowaniem ze śmiercią nad prawdziwe życie, które skończyło się w 1949 roku.

Owszem, to osobista historia pewnej rodziny, ale jednocześnie historia miasta oraz jego społeczności i duch z Cathedral Parku nie jest tanią zagrywką, skokiem na kasę. Jako opowieść ku przestrodze stanowi coś w rodzaju legendy, która uczy nastolatków, by nie pozwalali się podwozić nieznajomym, i mimo wszystko nie ma w tym niczego złego. Jeśli nonszalanckie powtarzanie tej historii – przekazywanej z pokolenia na pokolenie, ogółoconej z autentycznych szczegółów i przesadnie makabrycznej – pomoże zapobiec kolejnej takiej tragedii, to warto ją opowiadać... nawet jeśli niektórzy woleliby poczekać, aż Thelma z miasta Sasza zawędruje do krainy *Zamani*.



Gdy zbierałem materiały do tej książki, ku swemu zaskoczeniu natknąłem się pewnego dnia na historię narzeczonego mojej przyjaciółki. Nigdy go nie poznałem osobiście, bo kilka miesięcy przed ich ślubem wyszedł na balkon swojego pokoju na trzecim piętrze akademika i się zastrzelił. Jego ciało spadło na ziemię.

Ponad piętnaście lat później życie tego mężczyzny zamieniło się w historię niesamowitą – tłumaczono jego śmiercią niewyjaśnione dreszcze i napady lęku, jakie odczuwają studenci w owym akademiku. Legenda jest tak ogólnikowa, że nie warto wręcz o niej wspominać, a przecież pod tym banałem kryje się prawdziwa historia kogoś, kto opuścił ludzi, którzy go kochali.

Nie spodziewałem się, że zetknę się tak blisko z miejską legendą. A już na pewno nie sądziłem, że tragedia przyjaciółki w tak krótkim czasie zamieni się w historię niesamowitą. Coś, co kiedyś było czyjąś niepowetowaną stratą, teraz jest „dziwnymi dźwiękami i głosami” słyszczanymi przez kogoś innego, co uświadamia, jak szybko osobista tragedia może w obcych rękach stać się częścią mitologii i zacząć żyć własnym życiem. Być może celem takiej historii,

powodem, dla którego się ją opowiada i przekazuje, jest naświetlenie bardzo realnego problemu, jakim jest depresja wśród studentów – aby ci, którzy na nią cierpią, wiedzieli, że nie są sami, i poszukali pomocy.

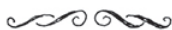
Ale bardziej prawdopodobne, że służy nam tylko do zabicia czasu.

IV

DAREMNE WSPOMNIENIA



z miast i miasteczek



Jesienią 2004 roku uczestniczyłem w konferencji w Binghamton w stanie Nowy Jork, jakieś 300 kilometrów od Manhattanu, na granicy z Pensylwanią. Samolot wylądował późno w nocy i do hotelu zabrałem się taksówką – do hotelu, który nosił nazwę Ramada Limited, gdy robiłem rezerwację, ale w międzyczasie został sprzedany podmiotowi prywatnemu (spółka Ramada nie dostrzegała już w Binghamton potencjału dochodowego). Było późno, funkcjonowałem jednak według strefy czasowej Zachodniego Wybrzeża, więc nie chciało mi się jeszcze spać. Po drodze kierowca gawędziarz przedstawił mi nad wyraz przynębiającą historię Binghamton.

Gdy jechaliśmy Front Street, poinformował mnie: „Ta ulica trafiła kiedyś do księgi rekordów Guinnessa, bo była ulicą z największą liczbą barów na świecie”. Wątpliwa sprawa (kilka innych miast chełpi się podobnym rekordem), nie sposób było jednak nie usłyszeć dumy w jego głosie, gdy wyliczał je w czasie jazdy. „Tam też był bar – wskazał pusty plac – i tam – pokazał pralnię samoobsługową – i tam był, i tam, i tam też. Wszystkie pozamykane”. Jechał dalej tym odcinkiem pustej, martwej ulicy. I wtedy wspomniał o kłatwie.

Żadna biała osoba z Binghamton, rzekł, nie jest w stanie stąd wyjechać. Nawet jeśli ktoś się wyprowadzi, wcześniej czy później zostanie ściągnięty z powrotem. Tę kławę, twierdził, rzucili na miasto Indianie, którzy kiedyś tu mieszkali, w ten sposób mszcząc się za krzywdę sprzed wieków – i zemsta ta dopiero teraz zbiera swoje żniwo.

Binghamton wybudowano na terenach zajmowanych przez Indian Onondaga i Oneida, którzy razem z Mohawkami, Kajugami, Senekami i Tuskarorami tworzyli Konfederację Irokeską. Większość tych plemion stanęła po stronie Brytyjczyków podczas wojny o niepodległość, więc gdy w 1779 roku generał John Sullivan prowadził kontyngent wojsk amerykańskich przez stan Nowy Jork, stosował taktykę spalonej ziemi, wskutek czego spustoszone co najmniej czterdzieści irokeskich wiosek, w tym osady na ziemiach Onondagów i Oneidów, gdzie teraz leży Binghamton.

Kłatwa tkwi podobno w miejscowej wodzie – osłabia chęć wyjazdu z miasta u tych, którzy ją piją. Sława nawiedzonego miasta, jaką zdobyło sobie Binghamton, nie umywa się do reputacji innych miejsc tego typu, jednak wzmianki o kłatwie wybrzmiewają od czasu do czasu, często w formie żartów służących rozbawieniu przyjaciół, gdy mówi się, że kłatwa jest kiepską wymówką dla mieszkańców pozbawionych motywacji do wyjazdu^[252]. Ale tego wieczoru, gdy usłyszałem o niej z ust taksówkarza wiozącego mnie do centrum, smutek i żal w jego głosie wyraźnie wskazywały, że naprawdę próbował zrozumieć, co się stało z tym miastem.

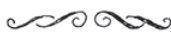
Binghamton może i straciło swoje lokale i stanowiska pracy, za to wciąż są tam karuzele z konikami. Niejaki Endicott Johnson, wielkoduszny właściciel olbrzymiej fabryki obuwia, w szczodrym geście wybudował dla robotników kilka kin i ufundował sześć zabytkowych karuzel w lokalnych parkach; pojedyncze koniki rozsiane są też po centrum miasta. Pierwotnie miały wyglądać wesoło i podnosić na duchu, ale teraz, wśród pustych witryn, sprawiają zupełnie inne wrażenie. Z otwartymi pyskami i położonymi uszami wyglądają, jakby rozpaczliwie

rzały albo uciekały przed pożarem – lub z samego Binghamton.

Co nie oznacza, że miasto nie marzy o powrocie do dawnej świetności. Inwestycja w Uniwersytet Binghamton, należący do systemu nowojorskich uniwersytetów stanowych, pomogła zrewitalizować miejscową gospodarkę i liczba ludności się ustabilizowała. Jednak w ostatnich latach olbrzymie szkody spowodowały powodzie, a w 2009 roku doszło w mieście do tragicznej strzelaniny, kiedy to niejaki Jiverly Wong zabił trzynaście osób i ranił cztery, nim wycelował broń w siebie. Wong, imigrant z Wietnamu, który mieszkał w Stanach Zjednoczonych od początku lat osiemdziesiątych i otrzymał amerykańskie obywatelstwo, ukończywszy kurs angielskiego w American Civic Association, 3 kwietnia 2009 roku wrócił do dawnej klasy i zaczął strzelać do studentów, zabił też nauczycielkę, która przyszła na zastępstwo. W liście przesłanym do miejscowej stacji telewizyjnej niedługo przed strzelaniną Wong zasugerował, że jego pogłębiająca się psychoza przynajmniej częściowo miała związek ze słabą perspektywą znalezienia pracy.

Jak widać, nieszczęścia i tragedie nie oszczędzają miasta, a wszystkie przypisuje się kłótwie sięgającej pierwszych starć między białymi a Irokezami. Źródłem kłopotów Binghamton są nie outsourcing czy zmiany demograficzne, lecz konflikt sprzed wieków, akt zemsty za gwałt zadany ponad dwieście lat temu. Do tego nietypowy jest charakter owego nawiedzenia: zamiast przeganiać białych z bezprawnie zajętej ziemi, sprawia, że nie są w stanie jej opuścić. Podupadające miasto stanowi pułapkę, ślepy zaułek. Kłątwa zamienia Binghamton w upiorną kolonię karną, której granice są niewidzialne, ale w enigmatyczny sposób spełniają swoją funkcję.

Jak to się dzieje, że całe miasto uważa się za nawiedzone? W którym momencie przestaje się chwalić tylko kilkoma nawiedzonymi budynkami i zaczyna się definiować jako nawiedzone miasto?



Większość miejscowości upamiętnia swoją przeszłość pomnikami, tabliczkami, nazwami ulic, a nawet specjalnymi paradami. Lecz te, które są nawiedzone, nie starają się jedynie podtrzymywać pamięci o przeszłości, tylko zdają się lawirować między przeszłością i teraźniejszością, jak gdyby dwie wersje tego samego miasta zachodziły na siebie. Parafrazując Hamleta nękanego przez ojcowskie widmo: czas w tych miejscach „wyszedł z formy”. Przeszłość przesącza się na ulice, wiecznie na ustach ludzi, wiecznie wypatrywana kątem oka. W takich miejscach przeszłość może i minęła, ale nie umarła.

Taka „wychodząca z formy” historia może być świetnym sposobem zarabiania na turystach, o czym przekonały się Salem, Nowy Orlean i Savannah, ale tylko jeśli da się ją sprzedać w sposób, który nikogo nie urazi. Na przykład Savannah słynie ze swoich duchów i efektownej, mrocznej przeszłości, stąd wiele firm turystycznych świetnie prosperuje, organizując *ghost tours*. Jak jednak wspomina była przewodniczka Elena Gormley, opowiadane przez nią historie niesamowite przedstawiały burzliwą przeszłość miasta tak, by nikomu nie zepsuć przyjemnego wieczoru. „Kilka opowieści sprawiało wrażenie dosyć lekkich – pisze w artykule opublikowanym na portalu Vice.com – ale większość zamieniała w rodzinną rozrywkę gwałty, pobicia i lincze na bezbronnym kobietach”^[253].

Do tej kategorii należą na przykład historie związane z piękną rezydencją Sorrel-Weed House, eleganckim domem w stylu greckiego odrodzenia, wybudowanym w 1841 roku dla zamożnego plantatora Francisa Sorrela. Chociaż Sorrel był żonaty, potajemnie romansował

z jedną z niewolnic, Haitanką o imieniu Molly. W 1860 roku jego żona Matilda, dowiedziawszy się o romansie, rzuciła się z okna na drugim piętrze i rozbiła głowę na twardym bruku. Niedługo potem znaleziono Molly wiszącą na sznurze w powozowni – przypuszczalnie kolejne samobójstwo.

Tekst wygłaszany przez przewodników przedstawia wyświechtaną wersję narracji o ciemnoskórej rozpustnicy, łudząco podobną do historii Chloe z Myrtles: seksualnie agresywna czarna kobieta destabilizuje małżeństwo białego mężczyzny. W swoim artykule Gormley proponuje inną, dużo bardziej wiarygodną wersję zdarzeń: żona Francis „mogła popełnić samobójstwo, kiedy odkryła, że mąż zgwałcił niewolnicę, ale w tej wersji cierpienia Molly na tym się nie kończą. W finale opowieści grupa mężczyzn – według niektórych mogli nimi być Francis i jego synowie – dokonała na niej linczu”.

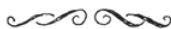
Gormley w trakcie wycieczek odtwarzała dostarczone jej nagranie EVP, na którym ponoć zarejestrowano krzyki Molly zza grobu. „Pomocy! Zostawcie mnie! O Boże!” – zawodził bezcielesny głos na taśmie, a gdy Gormley pytała turystów, co usłyszeli, „biali turyści zawsze rzucali jakieś żartobliwe komentarze. Pewnego razu w grupie sprzedawców części samochodowych jeden z nich krzyknął: «Jakbym słyszał swojego kierownika regionalnego!». Wszyscy jego koledzy parsknęli śmiechem”.

W Savannah, tak jak w wielu innych historycznych ośrodkach (na przykład w Nowym Orleanie czy Waszyngtonie), wymaga się od każdego przewodnika (także tego od *ghost tours*), by zdał egzamin z historii miasta. (Gdzie odbyła się największa w okolicy bitwa wojny o niepodległość? Na którym cmentarzu Savannah można znaleźć groby ofiar epidemii żółtej febry z 1820 roku? Na którym placu wznosi się pomnik Greene’a?) Powszechnie wiadomo, że egzamin ten jest piekielnie trudny, co ma zagwarantować odpowiednią jakość usług turystycznych i przeciwdziałać dezinformacji – profesor będący autorem testu szacuje, że przygotowanie się do niego wymaga bitych trzech miesięcy nauki.

Ale prawdziwym celem egzaminu wydawało się utrwalenie pewnych narracji kosztem innych. Gormley stwierdziła, że egzamin jest tendencyjny, marginalizuje kontrowersyjne lub problematyczne aspekty historii miasta, forując te elementy, które ukazują je w neutralnym lub korzystnym świetle. Jak mi powiedziała, Savannah „ma potworną obsesję na punkcie swojej marki”^[254]. To może tłumaczyć, dlaczego niektóre grupy złożyły przeciwko miastu pozew do sądu, utrzymując, że egzamin narusza wolność słowa. „Przez ograniczenie środowiska do tych, którzy wykuli na pamięć i bezmyślnie przyjęli oficjalną wersję historii Savannah – twierdził adwokat powoda – miasto wyraźnie chce dopilnować, żeby przewodnicy w swoich wystąpieniach przed turystami opierali się na oficjalnej narracji”^[255]. Jesienią 2015 roku miasto ustąpiło, zniosło obowiązek egzaminu, a zamiast tego ograniczyło liczbę godzin, kiedy wolno oprowadzać wycieczki po mieszkalnych dzielnicach miasta^[1*].

O Sorrel-Weed House podręcznik egzaminacyjny wspomina tylko, że jest to „dystyngowany” budynek wzniesiony w 1841 roku na południowo-zachodnim rogu ulic Harris i Bull. Nie ma wzmianki o związku Francis Sorrela z niewolnicą Molly, ani słowa o jej śmierci czy śmierci Matildy, żony plantatora. Jak się dowiedziała zainteresowana rezydencją historyczka Tiya Miles, opowieść o Molly jest prawdopodobnie zmyślona^[256]. Miles wysuwa hipotezę, że spreparowali ją bracia Stephen i Philip Baderowie jakiś czas po kupnie domu w 1996 roku i rozpoczęciu remontu (choć Stephen Bader utrzymuje, że jest w posiadaniu dokumentów potwierdzających prawdziwość tej wersji)^[257]. Mogli wykorzystać do własnych celów nie tylko opinię dziwnego, nawiedzonego miasta, jaką zyskało Savannah za sprawą wydanej w 1994

roku książki *Północ w ogrodzie dobra i zła* Johna Berendta; mogli też, dodaje Miles, zarobić na niewyremontowanym do końca domu, przypisując jego ponurą atmosferę rozpadu temu, że jest nawiedzony. Jak widać, chociaż miasto przywiązywało tak wielką wagę do arcytrudnego egzaminu z oficjalnej historii Savannah, licencjonowane firmy turystyczne wciąż doskonale zarabiają na sfabrykowanych bajkach i przekłamaniach.



Binghamton nie wykorzystuje (przynajmniej jeszcze) swojej klątwy, żeby sprzedawać bilety turystom. Na każde miasto opierające swój przemysł turystyczny na słynnych nawiedzonych miejscach przypada kilkanaście innych, pozbawionych czaru i charyzmy Salem lub Savannah, które okryły się sławą nawiedzonych w inny sposób. Dręczą je duchy tego, czym kiedyś były, czym mogłyby się stać; nękają je dawne klęski lub tragedie, które dotknęły więcej niż parę budynków – objęły całe miasto.

Tak czy inaczej, narracja o duchach i nawiedzonych miejscach jest wygodną metaforą całej gamy problemów niezwiązanych ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, a uciekanie się do niej staje się sposobem przetworzenia lub zrozumienia doświadczeń, które bez tego byłyby przytłaczające albo niepojęte.

Miasto z obsesją na punkcie własnych duchów wydaje się obciążone swym ambiwalentnym stosunkiem do przeszłości. Brzemieniem podobnym melancholii, którego nie może z siebie zrzucić, nieodstępującym je smutkiem. I chociaż zwykle nie myślimy o Stanach Zjednoczonych w tych kategoriach, ta melancholia jest tak samo częścią naszej historii jak nasze triumfy.

PODMOKŁY GRÓB

Nowy Orlean, Luizjana

Wybierz się na spacer ulicami Nowego Orleanu, a duchy otoczą cię ze wszystkich stron. W Dzielnicy Francuskiej najlepsza pora to wczesny wieczór, kiedy uczestnicy dziennych wycieczek już się porozjeżdżali, a reszta turystów pochowała się w barach na Bourbon Street lub w zacisznych eleganckich restauracyjkach. Można się przemknąć obok tych lokali i wnikać w mrok starego Nowego Orleanu, w jego przeszłość, zanurzając się raz po raz w kręgach światła ulicznych latarni.

Jeśli dopisze ci szczęście, może zacznie padać – chłodny, oczyszczający deszcz przepędza duchotę i turystów – a wtedy będziesz spacerować po bruku samotnie. W cichym szumie deszczu może usłyszysz szmer piosenki, która dolatuje z pobliskiego baru albo skądś dalej. Nie, nie jest to coś, co można usłyszeć w barze. Jak napisała folklorystka Jeanne deLavigne, to „pieśń ulatująca powoli niczym dym z ciężkich popiołów doświadczenia, niesiona wiatrem zadumy”^[258].

Nowy Orlean, jak to kiedyś ujął pisarz Lafcadio Hearn, „właściwie nie przypomina żadnego innego miejsca na globie, a z drugiej strony przywołuje mgliste wspomnienia setki miast”^[259]. Jest się jednocześnie pod arkadami dziewiętnastowiecznego Paryża, w hiszpańskim mieście portowym, a jednak nadal pośród bagien. Tutejsza wilgoć jedynie pogłębia aurę tajemnicy, tworząc wokół lamp mgliste aureole, dodaje atmosferze ciężkości, której nie można się pozbyć; tę wilgoć Hearn nazywa „widmową, tajemniczą, niewyjaśnioną”^[260].

Niedługo zaczną się nocne *ghost tours*, po dzielnicach będą się snuły piętnasto-, dwudziestoosobowe grupy przystające na rogach ulic, by posłuchać historii, które wystawiają na próbę naszą łatwowierność, acz doskonalono je całymi latami, polerowano na błysk dla osiągnięcia jak najlepszego efektu.

Na dachu budynku przy Royal Street 700 w świetle księżyca pojawia się naga kobieta. Przed wojną secesyjną i po jej zakończeniu biali mężczyźni utrzymywali niekiedy kochanki z domieszką krwi czarnych – kobiety, które uchodziły za białe, ale miały w sobie szczyptę egotyki. Ze względu na słynną zasadę jednej kropli (koncepcję, wedle której już jedna kropla krwi decydowała o uznaniu kogoś za czarnoskórego) białą mężczyzną mógł taką utrzymankę w każdej chwili porzucić, by wziąć sobie następną lub wrócić do żony. Ale w tym konkretnym domu sprawy przybrały inny obrót.

Mieszkający tu zamożny Francuz miał kochankę, której czasem nadał się imię Julie^[261]. Traktował ją jak zabawkę, nic więcej, ona jednak się w nim zakochała. Odrzuciwszy jej wielokrotne prośby o to, by się z nią ożenił, wymyślił okrutny żart. Obiecał, że ją poślubi, jeśli wytrzyma całą noc na dachu zupełnie naga. Myślał zapewne, że w ten sposób temat się skończy,

w każdym razie na pewno nie docenił jej determinacji, kobieta bowiem wspięła się na dach i zdjęła ubranie, gotowa spędzić tam czas do rana, aby udowodnić, jak bardzo go kocha. Przeziębła się i wkrótce potem zmarła. Mówi się, że wciąż można ją tam zobaczyć przy odpowiednim świetle księżyca. Trochę jak w historii Chloe z plantacji Myrtles, Julie jest stereotypem: Mulatką, która chce się dostać do towarzystwa białych, zostaje jednak odtrącona przez białego kochanka, czego konsekwencje są fatalne. To przypomina, że w wielu nowoorleańskich historiach o duchach bardziej chodzi o potwierdzenie stereotypu niż dostarczenie dowodu na istnienie zjawisk nadprzyrodzonych.

Co nie oznacza, że miasto nie dokłada wszelkich starań, by cię przekonać, że jest nawiedzone. Jak napisała deLavigne we wstępie do swojej książki *Ghost Stories of Old New Orleans* (Opowieści niesamowite starego Nowego Orleanu): „W tym mieście nie ma ani jednego zakładka, który by nie skrywał przybysza z zaświatów w tej czy innej postaci. Otulają nas tak, jak pióra obrastają ptaka”^[262]. W Nowym Orleanie zjaw jest zatrzęsienie. Tutejszy łowca duchów David Laville zapewnił mnie, że obszar w promieniu 300 metrów wokół Jackson Square to najbardziej nawiedzone miejsce w kraju. Na pytanie, dlaczego tak się dzieje, podał cztery powody. Po pierwsze, miasto jest bardzo stare. Po drugie, ma bardzo długą historię różnych tragedii: nie tylko pożarów i powodzi, lecz także katastrofalnych epidemii, między innymi cholery i żółtej febry. Po trzecie: historia przemocy – oczywiście przestępstw, ale miasto słynie też z publicznych egzekucji na głównym placu i z popularności pojedynków przy rozstrzyganiu sporów. Po czwarte, od wieków te wszystkie plagi rozgrywały się na małym obszarze Dzielnicy Francuskiej. Na koniec podaje jeszcze piąty powód: „To miasto po prostu wszyscy kochają, więc jest całkiem naturalne, że ci, którzy tu żyli i umarli, nie chcą go opuścić”^[263].

Obsesyjne zainteresowanie śmiercią w Nowym Orleanie wynika częściowo z uwarunkowań geologicznych, z którymi miasto wiecznie się boryka, bo może i jest stare, ale tereny pod nim już nie. Na obszarze o tak wysokim poziomie wód gruntowych trudno grzebać zwłoki sześć stóp pod ziemią, Nowy Orlean stanowi więc wyjątek wśród amerykańskich miast, jego nekropolie pełne są bowiem ozdobnych naziemnych mauzoleów. Nekropolie umarłych nie ustępują wcale miastu żywych: na cmentarzu St. Louis 1, który od Dzielnicy Francuskiej oddziela Basin Street, rodzinne grobowce cechuje majestat wspaniałych rezydencji, z którymi sąsiadują, chociaż niektóre równie efektownie popadają w ruinę. Kto nie może sobie pozwolić na wystawne mauzoleum, zostaje umieszczony w niszach kolumbarium, zwanych czasem „piecami”.

Nowy Orlean jest szczególnie bezwzględny dla zwłok, ponieważ w tak wilgotnym i ciepłym klimacie bakterie mnożą się szybciej. Zwłoki na północnym wschodzie lub środkowym zachodzie kraju, zwłaszcza zimą, zachowują się dłużej, a na południowym zachodzie wysychają; jednak w Stanie Pelikana^[2*] środowisko idealnie sprzyja procesom rozkładu. W Nowym Orleanie przed tym faktem nie da się uciec. Żywi i martwi zawsze przebywali tam blisko siebie, co pomaga zrozumieć, dlaczego śmierć stała się w tym mieście tak wszechobecna.

Duchy, rzecz jasna, straszą też na cmentarzu St. Louis 2, jak zresztą na wszystkich cmentarzach Nowego Orleanu. W taką noc nie trzeba jednak opuszczać Dzielnicy Francuskiej, żeby je znaleźć. Z Royal Street skieruj się do hotelu Provincial na Chartres Street, w którym podczas wojny secesyjnej, jak informują przewodnicy, urządzono szpital. W jego murach zmarły niezliczone rzesze ludzi, niektórzy od ran odniesionych w boju, wielu jednak za sprawą stosowanych w tym czasie barbarzyńskich metod leczenia. Goście z czwartego piętra twierdzą, że widują na korytarzach lekarza, wciąż w zakrwawionym kitlu. Zapomnij na chwi-

lę, że w budynku tym podczas wojny działał salon fryzjerski, jak twierdzi dziennikarz Paul Oswell^[264]. Daj się oczarować miastu, jego zamięłowaniu do historii niesamowitych i legend, daj się ponieść dalej, za hotel Provincial, na skrzyżowanie Governor Nicholls i Royal.

Na południowo-wschodnim rogu tych ulic stoi wyjątkowo okazały budynek, główna atrakcja każdego spaceru z duchami w Dzielnicy Francuskiej, gmach legenda: Lalaurie Mansion.



Rezydencja Lalaurie, z fasadą ciągnącą się wzdłuż dwóch ulic, jest obszerniejsza od wielu budynków w Dzielnicy Francuskiej. Od ponad stu lat stanowi część nowoorleańskiego przemysłu turystycznego; już w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku reklamowano ją jako nawiedzony dom^[265]. Fortunato Greco, włoski imigrant, który kupił Lalaurie Mansion w 1893 roku, narzekał, że reputacja „domu z duchami” uniemożliwia jego sprzedaż. Ażeby zarobić na chybionej inwestycji, Greco porozwieszał tabliczki z informacją, że w domu nie straszy, a jeśli ktoś chciałby samemu się o tym przekonać, musi zapłacić za wejście 10 centów. W ciągu kilku lat zarobił dzięki temu tyle, że na parterze otworzył bar tematyczny o nazwie Haunted Exchange. Na początku XX wieku budynek został podzielony na mieszkania czynszowe i zajęty przez rodziny włoskich i sycylijskich imigrantów, ale tradycja nie zginęła: dzieci pobierały po 5 centów za wycieczki po nawiedzonym domu, w trakcie których przeciągały łańcuchy po strychu i biegały w prześcieradłach za oknami. W przewodniku po Nowym Orleanie z 1895 roku Henry C. Castellanos napisał, że chociaż „po szerokich korytarzach nie snują się żadne duchy”, nad budynkiem faktycznie wisi klątwa, „która ściga każdego, kto próbował uczynić zeń stałe miejsce zamieszkania [...], gdyż wszystkie przedsięwzięcia okazują się klapą”^[266]. Właśnie klątwa może tłumaczyć, dlaczego aktor Nicolas Cage, który kupił ten dom w 2006 roku, stracił go zaledwie trzy lata później, gdy nieruchomości zajął komornik.

Dom wybudowali w 1831 roku Delphine i Louis Lalaurie. Louis był trzecim mężem Delphine. W wieku czternastu lat wyszła za trzydziestopięcioletniego wdowca, Ramona Lópeza y Ángulo de la Candelaria. López y Ángulo zginął pięć lat później w katastrofie morskiej, gdy Delphine była w ciąży. W dzień swych dwudziestych urodzin (7 marca 1805) wyszła za mąż ponownie, za innego dwukrotnie od siebie starszego wdowca. Drugi mąż, Jean Paul Blanque, zmarł w 1815 roku, przez co znów została wdową. Odziedziczywszy spory majątek po śmierci matki, była już bardzo zamożna, gdy poznała Louisa Lalaurie, lekarza. Zanim wyszła za niego za mąż w 1828 roku, urodziła mu nieślubne dziecko. Małżeństwo, jak twierdzili przyjaciele, nie było udane. Młody lekarz rozwijał swoją praktykę lekarską, ale to duży majątek żony, należące do niej nieruchomości i inne aktywa finansowały wystawny styl życia pary. W 1832 roku sytuacja stała się już tak nieznośna, że Delphine wniosła o separację.

Właśnie w czasie swego trzeciego małżeństwa Delphine zasłynęła z brutalności wobec niewolników. Kilka razy pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych oskarżano ją, jak to określił jeden z sąsiadów, „o niezgodne z prawem barbarzyńskie traktowanie niewolników”^[267]; znęcała się nad nimi, więziła ich i pozbawiała najniezbędniejszych rzeczy^[3*]. Mimo tych zarzutów pani Lalaurie unikała kary, jako że zeznania niewolników przeciwko białym nie były brane pod uwagę. W aktach sądowych nie zachowały się szczegóły jej domniemyanych czynów, jest jednak jasne, że na służbie u niej zmarło wyjątkowo dużo osób. Późniejsi apologeti próbowali ją usprawiedliwiać, twierdząc, że matka Delphine Lalaurie zginęła albo podczas buntu niewolników w Saint-Domingue, albo z rąk służby – ale żadna z tych wersji nie brzmi wiarygodnie.

Legenda państwa Lalaurie zaczyna się na dobrą sprawę w czwartkowy ranek, 10 kwietnia 1834 roku, od pożaru, który wybuchł w kuchni na parterze w budynku gospodarczym. Szybko zebrał się tłum, zarówno strażaków, jak i zaniepokojonych gapiów, gdy płomienie zaczęły sięgać kwater niewolników nad kuchnią. Miejscowy sędzia poprosił męża Delphine, by pozwolił przeprowadzić ich w bezpieczne miejsce, usłyszał jednak surową odpowiedź. „Niech co poniektórzy – odburknął Louis – zajmą się swoimi obowiązkami, zamiast wściubiać nos w nie swoje sprawy”^[268]. Sąsiedzi wcześniej już nabrali przekonania, że państwo Lalaurie zamienili kwatery niewolników w coś w rodzaju więzienia, więc sędzia na szczęście zignorował znie wagę lekarza. Gdy z jego rozkazu wyważono drzwi, oczom ratowników ukazał się przeraźliwy widok: „kilkoro nieszczęsnych Murzynów o ciałach pokrytych bliznami i skutych łańcuchami”, jak relacjonowano na łamach „Louisiana Courier”. W „New Orleans Bee” pojawiła się podobna relacja o „siedmiu niewolnikach, straszliwie okaleczonych w mniejszym lub większym stopniu [...] podwieszonych za szyję, z rozciągniętymi członkami, odciętymi kończynami [...]”. Więziono ich [...] w tych warunkach przez kilka miesięcy, nim szczęśliwie zostali uwolnieni, podtrzymywano przy życiu jedynie po to, żeby przedłużać ich katusze i żeby mogli zasmakować tego wszystkiego, co może spowodować tylko najbardziej wyrafinowane okrucieństwo”. Pewna starsza kobieta przyznała przed burmistrzem, że to ona podpaliła dom, „mając zamiar zakończyć męczarnie własne i swych towarzyszy lub zginąć w płomieniach”^[269].

Tego dla mieszkańców Nowego Orleanu było już za wiele. Nawet w mieście zbudowanym rękami czarnych, gdzie targi niewolników – największe w kraju – były symbolem nikczemnego żerowania na czarnoskórych przez spekulantów i plantatorów, okrucieństwa odkryte w Lalaurie Mansion i desperacki czyn staruszki poruszyły czułą strunę. W „New Orleans Bee” relacjonowano, że po przeniesieniu niewolników do więzienia (dla ich bezpieczeństwa) „więzienie odwiedziło co najmniej dwa tysiące osób, żeby się przekonać [...] o cierpieniach, jakich doświadczyli ci nieszczęśnicy. Kilka osób widziało też narzędzia stosowane przez nikczemników: szczypce, którymi torturowano ofiary na różne przemysłne sposoby, żelazne obroże z kolcami i kilka innych przyrządów do wymierzania nieopisanych wręcz kar”. Do zaoznienia sytuacji niewątpliwie przyczyniła się prasa – na łamach „Louisiana Advertiser” wyrażono nadzieję, że „sprawiedliwości stanie się zadość i winni zostaną ukarani”^[270].

Na sprawiedliwość było jednak za późno: Delphine i Louis zbiegli. Wyjechali w dniu pożaru najpierw do Nowego Jorku, a potem przez Atlantyk dotarli do Francji. Gdy więc gawiedź wdarła się do ich rezydencji, oboje byli już poza miastem i tłum „składający się z przedstawicieli wszystkich klas i ras” zniszczył wszystko, co napotkał na swojej drodze. Jak donoszono w „New Orleans Bee”, zamieszki „nie słabły przez całą noc”. Zanim szeryf rozpedził tłum, rozebrano niemal cały budynek, zostały tylko niektóre ściany.

Delphine Lalaurie zmarła na wygnaniu w Paryżu w roku 1849. Jej szczątki ostatecznie sprowadzono do Nowego Orleanu. Pomimo oburzenia mieszkańców tym, jak potraktowano niewolników, ówczesne gazety milczą na temat ich dalszych losów.

Sądząc po dziennikarskich doniesieniach, nie ulega wątpliwości, że sposób, w jaki państwo Lalaurie traktowali niewolników, był czymś absolutnie przerażającym, niewybaczalnym. Wykazywali się wobec bliźnich niesłychanym bestialstwem i obojętnością na ich cierpienie, co ukrywali pod fasadą towarzyskiej ogłady. Ale bezsprzecznie nie ulega też wątpliwości, że przez dziesiątki lat po pożarze z 1834 roku relacje o Lalaurie Mansion były konsekwentnie ubarwiane i wyolbrzymiane, gdy gawędziarze i historycy mnożyli okrucieństwa,

zakładując prawdę historyczną w sposób, jaki dla ofiar Delphine i jej męża był w niemalym stopniu obraźliwy.

Gdy dom zyskiwał reputację nawiedzonego, zaczęto postrzegać Delphine Lalaurie jako postać monstrualnie wręcz dwulicową: dla sensacyjnego efektu przejawiano zarówno jej wyrafinowanie, jak i sadyzm. Herbert Asbury (autor *Gangów Nowego Jorku*) napisał o niej, że „ta czarująca i ujmująca istota, która zabawiała nowoorleańską śmietankę towarzyską przy suto zastawionym stole i urzekala gości błyskotliwym dowcipem, w rzeczywistości miała serce sadystycznego demona i była bezsprzecznie obłąkana”^[271]. Jeanne deLavigne pisze w swym niepowtarzalnym stylu:

Madame Lalaurie pod subtelną i piękną maską posiadała diabelską duszę. Roześmiana i urocza dla przyjaciół i rodziny, miewała nagle napady wściekłości, których świadkami byli tylko jej niewolnicy. Przy tych okazjach (które bynajmniej nie należały do rzadkości) jej sadystycznego apetytu nie można było zaspokoić, dopóki nie zadała kilkorgu swoich czarnych służących jakiejś potwornej formy tortur. Jako że w tym domu jej słowo było świętością i miała możliwość wymierzania kar dalece bardziej nieznosnych niż sama śmierć, mogła w tym diabolicznym procederze wydawać rozkazy i otrzymywać pomoc^[272].

Według deLavigne pierwsi mieszkańcy Nowego Orleanu, którzy dotarli na miejsce tamtego brzemiennego w skutki pożaru, znaleźli nagich mężczyzn przykutych łańcuchami do ściany „z wylupionymi oczami i wyrwanymi paznokciami”; inni „mieli otwarte i zaognione rany w stawach, wielkie dziury w pośladkach tam, gdzie wykrojono mięso, wiszące w strzępach uszy, wyciągnięte i przyszyte do brody języki, obcięte i przyszyte do brzucha dłonie” i tak dalej; kobietom otwory ciała wypchano popiołem i kurzymi podrobami lub wysmarowano miodem, żeby przywabić niezliczone mrówki. „Do dziur w czaszkach wsuwano zwykły patyk, żeby mieszać w mózgu”^[273].

W ten sposób przez lata utrzymywała się reputacja pani Lalaurie: postaci wykazującej się barbarzyńskim okrucieństwem par excellence, kreolskiej markizy de Sade. Pomimo pewnych prób rehabilitacji podjętych przez białą społeczność oraz przez jej potomków w pierwszej połowie XX wieku, obraz ten nadal się utrzymuje. W ten sposób została sportretowana przez Kathy Bates w serialu *American Horror Story*: nie tylko jako kobieta okrutna, ale też niezrównana sadystka, która traktuje ciała czarnych, jakby te były przedmiotami.

Nie jest jasne, dlaczego w późniejszych opisach Lalaurie Mansion przejawiano tę historię aż do takiego stopnia. Uwięzienie i barbarzyńskie warunki, w jakich przetrzymywano niewolników, najwyraźniej nie zdołałyby wzbudzić litości i współczucia zwiedzających. Dlaczego nie wystarczyłyby zbrodnie, które rzeczywiście popełniono?



Pisząc o historii Nowego Orleanu, profesor Joseph Roach zauważa, że tutaj „pamięć funkcjonuje jednocześnie jako cytat i zmyślenie, improwizacja na podstawie zapożyczonych motywów, z odniesieniami nie tylko do przeszłości, ale i przyszłości”^[274]. Duchy są teraz częścią miejskiego przemysłu turystycznego, tak jak jazz i wudu, domy publiczne i alkohol. Podczas gdy miejsca w rodzaju Richmond w Wirginii rozbudowały ruch turystyczny poprzez wymazanie pewnych aspektów swojej przeszłości, Nowy Orlean kwitnie dzięki nagłośnieniu tych samych aspektów, chociaż jest rzeczą nieuniknioną, że przy okazji obok cytatów pojawiają

się wymysły, obok dokumentów – interpretacje.

Miasto zawsze sprzedawało swoją czarną kulturę jako towar w opakowaniu skrojonym w sam raz dla zwiedzających Dzielnicę Francuską. Jazz, zapoczątkowany przez czarną biedotę w domach publicznych, teraz bawi zamożną publiczność. Różnorodne praktyki religijne łączące katolicyzm, ewangelicki protestantyzm i wudu, są upraszczane i sprowadzane wyłącznie do egzotyki wudu, którego istota jest wypaczana jeszcze bardziej. I chociaż Disneyland zapożyczył kulturę i estetykę Dzielnicy Francuskiej, tworząc atrakcję o nazwie New Orleans Square, można też powiedzieć coś odwrotnego: Nowy Orlean zapożyczył w znacznym stopniu taktykę i estetykę Disneylandu, sprawiając, że Dzielnica Francuska emanuje aurą grozy, jednocześnie obiecując turystom bezpieczeństwo.

Tym z nas, którzy tam nie mieszkają, Nowy Orlean jawi się jako miasto dychotomiczne. W Dzielnicy Francuskiej można znaleźć muzykę, śmiech, kicz i zabawę, gdy poza jej niewidzialnymi murami unosi się upiór nędzy i przestępczości. I chociaż Izba Turystyki Stanu Luizjana zapewnia, że miasto jest przyjazne, organizatorzy wycieczek i autorzy przewodników ostrzegają, żeby nie zapuszczać się daleko poza dzielnicę turystyczną. Na przykład nowy przewodnik Fodor's poleca wizyty na cmentarzu St. Louis 3 ze względu na jego piękną architekturę grobową i historie o duchach, przestrzega jednak: „Jest to obszar miasta o wysokim wskaźniku przestępczości, należy więc zwiedzać w grupach” [275]. A zatem typowym nowoorleańskim *ghost tours*, podczas których opisuje się różnego rodzaju akty przemocy, towarzyszą złowieszcze ostrzeżenia o brutalności innego typu. Snując opowieści o dwóch miastach, przemysł turystyczny tylko pogłębia panujące w Nowym Orleanie nierówności ekonomiczne.

Wykładowczyni Anna Hartnell nazywa Dzielnicę Francuską „miejszem translacji” [276], gdzie żyjące, oddychające aspekty miasta – skomplikowane, niejednoznaczne, czasem niebezpieczne, lecz także wyczuwalnie żywe – są przetłumaczone na bezpieczny towar w łatwo przyswajalnej formie. Antropolożka Helen A. Regis nazywa to dosadniej – „przestrzennym apartheidem” [277]. Historie niesamowite są częścią owego mitotwórczego procesu, przepakowywania miasta do konsumpcji (co przypomina wysiłki na rzecz wypromowania marki Salem). Czerpiąc z brutalnych dziejów, starają się zamknąć przemoc w odległej, wyidealizowanej przeszłości, która nie ma już żadnego związku z bieżącą polityką miasta, jego relacjami rasowymi ani historią.



Szczególnie dobitnym przykładem takiego podejścia jest Lalaurie Mansion. Przez całe lata budynek popadał w ruinę. Gdy Harriet Martineau, angielska pionierka socjologii, zacięła przeciwniczka niewolnictwa, która w czasie swoich prelekcji nawoływała do jego obalenia, odwiedziła Nowy Orlean w 1836 roku, natknęła się na ruiny rezydencji. „Dom ten stoi, jak stać powinien, choć jest w opłakanym stanie – napisała później. – Zafrapował mnie ten dziwny widok zięjących pustką okien i gołych ścian pośrodku ruchliwej ulicy, i dzięki temu po raz pierwszy usłyszałam jego historię” [278]. Martineau zebrała relacje naocznych świadków i wypowiedzi mieszkańców z sąsiedztwa, wypełniając luki w wiedzy o tym domu, jednak poproszono ją od razu, żeby nie publikowała zebranych informacji jako reprezentatywnego materiału na temat niewolnictwa w Nowym Orleanie – zbrodnie Lalaurie miały stanowić wyjątek, nie regułę. Martineau była gotowa się z tym zgodzić, szybko jednak dodała, że „historia ta ujawnia, co mogło się wydarzyć w miejscu uznającym niewolnictwo, a co nie mogłoby się zdarzyć nigdzie indziej. Nawet przy najłagodniejszej interpretacji, takiej mianowicie, że Ma-

dame Lalaurie była obłąkana, faktem pozostaje, że jej obłąd mógł przybrać taki kierunek, a jej czyny zaistnieć tylko w kraju uznającym niewolnictwo, nigdzie indziej” [279].

Ale nawet wtedy, gdy zamienił się w ruinę, dom państwa Lalaurie nie miał opinii nawiedzonego. Zyskał tę reputację dopiero po opublikowaniu przez George’a Washingtona Cable’a opowiadania *The ‘Haunted House’ in Royal Street* („Nawiedzony dom” przy Royal Street), które ukazało się w 1889 roku. W historii Cable’a rezydencja emanuje złowrogą aurą:

Dom zastępnął w całkowitym bezzachu. Stojąc przez moment pośrodku salonu, zerkając po sobie, słyszycie ściany i podłogi szepczące do siebie te swoje czułe słówka, które tak często wymieniają, gdy zostawia się je same. Kiedy patrzycie wprost na duże drzwi na korytarz, ich zamek cichutko zgrzyta i powoli się rozwierają. Żaden kot ani przeciąg, wy i... Wymieniacie bez słowa uśmiechy i całkiem wam się podoba ta tajemnica, ale czy wiecie? To bardzo stara sztuczka z tymi drzwiami, która sprawiła, że wiele wrażliwych dziewcząt zaczęło się rzadziej uśmiechać; chociaż nie wątpię, że każdy stolarz mógłby ją wyjaśnić [280].

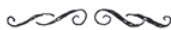
Cable i jego dwaj asystenci dokopali się do ówczesnych relacji prasowych i przeprowadzili rozmowy z uczestnikami zamieszek i ich potomkami. Ale choć autor powtarza groteskowe historie o państwie Lalaurie, bardziej zajmuje go inne nieprzyjemne zdarzenie, do jakiego doszło w murach tego domu. Albowiem dla Cable’a, który był zagorzałym orędownikiem praw czarnoskórej ludności Południa w latach po zakończeniu wojny secesyjnej, torturowanie niewolników i znęcanie się nad nimi to tylko pierwszy – i nie najbardziej niepokojący – akt dramatu, który rozegrał się na rogu Royal Street.

W 1872 roku zakończono przebudowę domu i otwarto w nim szkołę publiczną dla dziewcząt. Lower Girls’ High School, jak ją nazywano, była szkołą zintegrowaną i uczyło się w niej około dwudziestu czarnoskórych uczennic. W 1874 roku grupa białych chłopców podjęła się misji oczyszczenia systemu szkolnego z czarnych uczniów. Z jednej ze szkół wywlekli trzy kobiety, a kilka dni później pojawili się w Lower Girls’ High School, gdzie zastraszyli czarne uczennice i pozbyli się ich z placówki. Nikt nie interweniował, ani dyrektor szkoły, ani policja, natomiast w „Daily Picayune” pogratulowano „młodemu stróżom” ich „godnej podziwu stanowczości i przyzwoitości” [281].

Mimo okrucieństwa zbrodni Delphine i Louisa opinia „nawiedzonego” domu przylgnęła do rezydencji dopiero po tym drugim wydarzeniu, jak gdyby pierwszy gwałt nie dowodził dostatecznie mocno, że zamieszkuje ją coś złowieszczonego. Cable postrzegał okrucieństwa Delphine Lalaurie jako część endemicznej, systematycznej przemocy, która udzieliła się owym „młodemu stróżom” – prawdziwego zła nawiedzającego mury tego budynku.

Abolicjoniści w rodzaju Harriet Martineau wykorzystywali legendę Lalaurie Mansion, dostrzegając w niej symbol nieludzkiego systemu. Jeśli trochę ją ubarwiali, był to tylko sposób zwrócenia uwagi na to, co uważali za istotę barbarzyństwa związanego z niewolnictwem. Po jego zniesieniu, gdy zbrodnie państwa Lalaurie wyolbrzymiano aż nadto, Delphine przeistoczyła się z okrutnej właścicielki niewolników w postać istic demoniczną, sadystkę bez duszy, wcielenie czystego zła. Zamiast stać się symbolem hańby niewolnictwa, stała się czymś przeciwnym: dziwadłem, wyjątkiem. Apologeci mogą więc wykorzystywać historię Lalaurie Mansion do swoich celów: oto wyjątkowy przykład potwornej brutalności niemający nic wspólnego z „cywilizowaną” rzeczywistością, w której niewolników traktowano przyzwoicie [4*]. Nowy Orlean żywi się tego typu mitotwórstwem, gdzie tragedię zamienia się w opowieść

i tworzy się legendy, żeby budować i odbudowywać.



Za Lalaurie Mansion skieruj kroki w stronę Canal Street. Jeśli wciąż pada, słychać tę samą dziwną muzykę, gdy docierasz na Jackson Square, ledwo słyszalny szmer, śpiew bez głosu. Wtedy już wiesz, że dźwięk ten nie dobiega z żadnego baru ani placu, gdzie może gra jakiś zespół. Zawsze jest blisko, lecz na granicy słyszalności, i cichnie, gdy przestaje padać.

Będą ci mówić, że to głos Dagoberta, ojca kapucyna, który przybył do Nowego Orleanu w 1722 roku i słytał z głosu brzmiącego jak „płynny miód” – szlachetna postać działająca w Nowym Orleanie w połowie XVIII wieku. W 1745 roku został księdzem w katedrze St. Louis, głównej świątyni Dzielnicy Francuskiej. Powszechnie uwielbiany Père Dagobert był filarem miejscowej społeczności, kimś, do kogo ludzie przychodzili z najrozmaitszymi problemami. O ojcu Dagobercie zachowało się niewiele historycznych zapisków, uczestniczył jednak w osobliwym dramacie z kart nowoorleańskiej historii.

Gdy w 1768 roku Francja ogłosiła, że przekazuje Luizjanę koronie hiszpańskiej, miejscowa ludność kreolska zorganizowała bezkrwawy bunt i wygnała nowo przybyłego gubernatora. Hiszpania przysłała w jego zastępstwie Alexandra O'Reilly'ego. O'Reilly był irlandzkim oficerem, który porzucił armię brytyjską. Przeszedłszy na stronę katolickiej Hiszpanii, piął się po szczeblach kariery w hiszpańskiej armii. Gdy w sierpniu 1769 roku przybył do Nowego Orleanu, natychmiast przystąpił do tłumienia rebelii. W rzekomo przyjaznym geście zaprosił przywódców buntu na kolację, podczas której wszystkich aresztował. Spośród dziesięciu oskarżonych pięciu – Nicolas Chauvin de Lafrénière, Jean Baptiste Noyan, Pierre Caresse, Pierre Marquis i Joseph Milhet – 25 października 1769 roku trafiło z rozkazu O'Reilly'ego przed pluton egzekucyjny na Place D'Armes (teraz Jackson Square). O'Reilly rozkazał zostawić ciała rozstrzelanych tam, gdzie padły na ziemię, żeby ich widok odstraszał przyszłych konspiratorów.

Rodziny straconych przywódców udały się do ojca Dagoberta, licząc na to, że jako duchowny będzie mógł zabrać ciała z placu i zapewnić im stosowny pochówek. Ojciec Dagobert nigdy wcześniej nie wszedł w konflikt z prawem i z niechęcią myślał o złamaniu rozkazów O'Reilly'ego. W wersji deLavigne odpowiedział kobietom, które do niego przyszły: „Zaczekajcie tu do wieczora. Mam tyle rzeczy do zrobienia. Hiszpanie dręczą nas jak stado wilków. Pod żadnym pozorem nie wychodźcie z domu. Odmawiajcie różaniec i zdrzemnijcie się, jeśli możecie”^[282]. Tak więc, jak głosi legenda, kobiety czekały, aż zapadnie noc, licząc na to, że ojciec Dagobert zdoła wywiązać się z zadania.

W nocy zaczęło padać, lecz hiszpańscy żołnierze trzymali na placu wartę. I wtedy zjawił się Père Dagobert, który w jakiś sposób zdołał sformować całą procesję pogrzebową. Żałobnicy niepostrzeżenie zabrali ciała rozstrzelanych, a potem ponieśli je przez miasto nocą, śpiewając *Kyrie eleison, kyrie eleison* – „Panie, zmiłuj się nad nami”, w stronę cmentarza St. Louis, na oczach nieświadomych niczego hiszpańskich wartowników. Nikt nie wiedział, jak ojcu Dagobertowi udało się pokonać tak długą drogę z tyloma ludźmi, którzy nieśli zwłoki pięciu straconych, lecz od wielu nowoorleańczyków można usłyszeć, że w deszczowe noce wciąż słychać jego głos intonujący cicho *Kyrie eleison, kyrie eleison...*

Ale teraz pozostawiłeś plac za sobą i kolonialne intrygi sprzed stuleci też już się rozplynęły. Za Canal Street zaczyna się wylaniać duch nowego rodzaju. Wyczytałem w miejscowym przewodniku, że kiedy pewnej nocy po huraganie Katrina w 2005 roku przejeżdżało wtedy kilku

członków Gwardii Narodowej, kierowca ujrzał nagle w światłach samochodu grupę nędźnie ubranych pieszych, którzy pojawili się jakby znikąd. Nie miał szans ich ominąć i już szykował się na zderzenie, gdy ci zniknęli tak szybko, jak się pojawili.

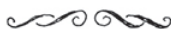
Inni, którzy po przejściu huraganu przybyli do Nowego Orleanu z pomocą, też widzieli duchy. Ulicą St. Charles dojdiesz do szkoły społecznej Sophie B. Wright przy Napoleon Avenue. W czasie huraganu stacjonowali tam kalifornijscy gwardziści i kilkoro z nich opowiadało później o dziwnych zdarzeniach. Sierżant Robin Hairston powiedziała lokalnej stacji telewizyjnej: „Leżałam w śpiworze i gdy otworzyłam oczy, w drzwiach stała dziewczynka. Nie wyobraziłam sobie tego”^[283]. Obecność duchów w tej szkole potwierdziła inna gwardzistka, Rosales Leanor. „Korzystałam z toalety i zobaczyłam mały cień – relacjonowała – jakby majaczył przede mną”. Trzecia kobieta twierdziła, że gdy otworzyła szafkę ze środkami czystości, zobaczyła śmiejącą się dziewczynkę.

Nic dziwnego. Po przejściu huraganu ciała leżały niepogrzebane przez wiele dni, a niektórych nigdy nie pochowano, ponieważ woda zmyła je do jeziora Pontchartrain lub do rzeki Missisipi. Ta katastrofa, nieporadność władz i kryzys służb miejskich stworzyły całkowicie nową relację między żywymi i martwymi. Jak powiedział później w wywiadzie dla „Washington Post” Michael Osterholm, lekarz, który pracował na miejscu katastrofy: „Jedną z wielu rzeczy, jakie uświadomił nam huragan Katrina, jest to, że Amerykanie nie przywykli do widoku porzuconych zwłok na ulicach dużych miast”^[284]. Tak jak w wypadku żołnierzy na froncie, ci, którzy przeżyli atak Katriny, borykali się później z różnymi skutkami emocjonalnymi tej katastrofy. Jak powiedział jeden z mieszkańców w dziesiątą rocznicę przejścia cyklonu: „Miasta też przeżywają traumę. Nie tylko ludzie”^[285].

W mieście, które od dawna przekładało swoją tragiczną przeszłość na rozrywkę dla turystów, reakcje na zniszczenia dokonane przez Katrinę przybrały jednocześnie przewidywalną i nieoczekiwaną postać. Już kilka miesięcy po tym zdarzeniu Nowy Orlean przyciągał turystów zainteresowanych miejscami dotkniętymi kataklizmem. Teraz przyjeżdżano nie tylko na miejscowe smakołyki typu gumbo i beignets, ale też żeby sfotografować spustoszoną dzielnicę Lower Ninth Ward i na własne oczy obejrzeć, jakie szkody poczynił huragan. Agencje turystyczne bardzo szybko zagospodarowały tę fascynację nędzą i zniszczeniem i zaczęły organizować wycieczki autokarowe, podczas których opowiada się o huraganie i umieszcza ten kataklizm w szerszym kontekście. Nader często krytycy podkreślają, że owe wycieczki wymazują z historii nowoorleańską czarną biedotę, skupiając się zamiast tego na kwestiach ekologicznych i wyludnionych ruinach. Ale jest to coś, co Nowy Orlean robił od zawsze: wykradał kulturę zmarginalizowanych, wygładzał jej ostre krawędzie i sprzedawał turystom z całego świata. To samo, co kiedyś z jazzem, wudu i duchami, teraz stało się z Katriną.

Zważywszy na historię komercjalizowania traumy w tym mieście, czy ofiary Katriny dołączają do znamienitego grona sławnych nowoorleańskich duchów? Historie niesamowite, niezależnie od wszystkiego, pozwalają miastu odnaleźć swój sens – opowiedzieć o tragediach z przeszłości, snuć opowieści ku przestrodze. Minęło ponad dziesięć lat, wody opadły i niektóre rany się zabliźniły, choć niegładko. I mimo że miasto wciąż się odbudowuje, niektóre duchy nie odeszły.

A tymczasem docierasz do rogu Jackson Avenue i Magazine Street, gdzie stoi wykwintna restauracja z hamburgerami Charcoal’s, dom ducha Very Smith.



Przysadzista, dwukondygnacyjna ceglana bryła Charcoal's jest, jak to określił jeden z recenzentów, „olbrzymią świątynią ku czci hamburgera” [286]. W środku – kontuary z odzyskanego drewna, pod sufitem staromodne żarówki o niskiej mocy, a na półkach pod ścianami słoiki piklowanych warzyw. I oczywiście – hamburgery. „Burgery dla najwybredniejszych smakoszy” – brzmi motto restauracji, co wcale nie jest przesadą: można wybrać kanapki nie tylko z wołowiną, kurczakiem i wegetariańskie, lecz także z mięsem antylopy, wapiti, bizona, sarny, z krewetkami lub łososiem. Krótko mówiąc: ze wszystkim, co tylko można sobie w hamburgerze wymarzyć.

Początki nie były zbyt udane: zepsuła się zupełnie nowa maszynka do mielenia mięsa, z niewyjaśnionych powodów popękały rury z wodą, nie wspominając o innych nieszczęśliwych wypadkach, które nękały to miejsce. Lokal miał trudności z przyciągnięciem miejscowej klienteli i obroty były słabe. Pomysł, jakoby budynek restauracji był nawiedzony, początkowo był żartem powtarzanym przez pracowników, sposobem wyjaśnienia mnożących się problemów, ale po mniej więcej roku działalności właściciele lokalu, Craig Walker junior i Blaine Prestenbach, ogłosili, że za problemy restauracji odpowiada duch Very Smith, która osiem lat wcześniej zginęła w czasie huraganu na pobliskim rogu ulic.

Nikt nie wie na pewno, co się przytrafiło Verze Smith. Sześcioletniopięcioletka wyszła z domu wieczorem 29 sierpnia, dzień po uderzeniu Katriny w ląd. Według jej konkubenta, C.N. „Maxa” Keene’a, poszła po papierosy i piwo; rano jej ciało znaleziono na skrzyżowaniu Jackson i Magazine. Najprawdopodobniej została potrącona przez pijanego kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku, jednak huragan zaczął już pustoszyć miasto i gdy kryzys narastał, działania służb skupiały się na pomocy osobom żywym, zwłoki Smith leżały więc porzucone na ulicy. Keene, sam już niemłody i nie najlepszego zdrowia, przykrył ciało Very prześcieradłem, nie wiedząc, co jeszcze mógłby zrobić w tych chwilach trwogi i chaosu.

„Zobaczyłem zakrwawione ciało, z którego wyciekały na ulicę płyny ustrojowe” [287] – powiedział dziennikarzom mieszkający niedaleko John R. Lee. Zaszokowany widokiem zwłok Very w tak przerażającym stanie, najwyraźniej ignorowanych, choć zaczęły się rozkładać w upale i wilgoci, Lee udał się na policję i poprosił, żeby zabrano ciało. Policjanci odmówili, twierdząc, że muszą w pierwszej kolejności pomagać ocalałym, i gdy Lee zapytał, czy sam może przenieść zwłoki, poinformowano go, że to niezgodne z prawem. Usłyszał, że nie można nic zrobić i że zajmą się zwłokami dopiero wtedy, gdy będą mogli, a do tego czasu mają się rozkładać na ulicy.

Lee nie zamierzał się na to godzić i wiercił policjantom dziurę w brzuchu tak długo, aż zgodzili się, żeby sam ją pochował, pod warunkiem że nie wywiezie nigdzie ciała. Przystąpił więc do przygotowywania dla Very prowizorycznej mogiły na rogu ulic. Pomogło mu kilkoro sąsiadów – wspólnie przykryli zwłoki białym brezentem i zabezpieczyli go ceglami. Jedna z sąsiadek, artystka Maggie McEleney, namalowała na brezencie krzyż i kilka lakonicznych słów: TU LEŻY VERA. BÓŻE DOPOMÓŻ.

Ciało Very później stamtąd zabrano i poddano kremacji; prochy zostały przesłane krewnym w Teksasie, gdzie w końcu doczekała się godziwego pogrzebu. W Nowym Orleanie jednak o niej nie zapomniano. Sąsiedzi, którzy znali Smith, w miejscu jej śmierci postavili bardziej trwały pomnik: prosty żelazny krzyż, dzieło miejscowego artysty Simona Hardevelda, z oplecioną drutem kolczastym tarczą zegara pośrodku. Nad zegarem znalazły się słowa: VERA, ZM. 29.08.05.

Możliwe, że już wtedy pojawiły się historie o duchu Very. W pewnym momencie właściciel

nieruchomości, który miał problemy ze znalezieniem kogoś, kto by ją od niego odkupił, nabrał przekonania, że krzyż Hardevelda jest jakiegoś rodzaju amuletem wudu, który uniemożliwia mu sprzedaż domu, toteż niemal całkowicie zniszczył pomnik z użyciem młota kowalskiego. Ale duch nie zamierzał się tak łatwo poddać. W mieście pełnym tragedii śmierć Very Smith odzwierciedlała potworności huraganu, stała się, jak to ujął miejscowy sklepikarz, „symbolem cierpienia, jakie ludzie znosili w milczeniu”^[288]. Częściowo dlatego, że jej śmierć pozostaje tajemnicą – oficjalna sekcja zwłok wykazała, że obrażenia nie mogły być skutkiem potrącenia przez samochód, przyczynę zgonu określono więc jako „nieznaną”. A częściowo dlatego, że była lubiana.

Zważywszy na to, że Vera czasem nadużywała alkoholu, wiele osób zakłada, że nie potrafiła nigdzie zagrazać miejsca i była nikim. Tymczasem Vera miała w Teksasie dwie córki, a w lokalnej społeczności krąg przyjaciół i osób bliskich. Znana ze swojej taniej biżuterii, kolorowych peruk i wymyślnych strojów, mieszkała z dwoma pieskami i konkubentem. „Nie była bynajmniej smutasem. Wiodła dobre życie. W sąsiedztwie wszyscy ją znali i uwielbiali”^[289], powiedział Hardeveld.

Vera zasługiwała na znacznie więcej – na lepszą pomoc podczas huraganu, na godniejszą śmierć. Starania Lee i innych sąsiadów, którzy oddali jej ostatnią posługę, stały się gestem buntu wobec huraganu oraz niekompetencji służb, biedy i nieudolności władz miasta. W obliczu tak skrajnej rozpacz i cierpienie można było zrobić chociaż tyle.

Gdy Abraham Lincoln zwracał się do poległych pod Gettysburgiem, postawił sprawę jasno: to nie słowa, tylko ciała poległych konsekrują ziemię. Tak też się stało w Nowym Orleanie, którego ziemię uświęciły ciała mężczyzn i kobiet takich jak Vera Smith. Róg Jackson i Magazine jest miejscem *n a w i e d z o n y m*, do którego musimy wracać. Zostać nawiedzonym przez Verę to wrócić do tego miejsca, żeby pamiętać.

Ze względu na podobne historie w Nowym Orleanie coraz większego znaczenia nabiera duch ojca Dagoberta – prowadzi fantazmatyczną procesję żałobną w nocnym deszczu, śpiewając *Kyrie eleison, kyrie eleison* – „Panie, zmiłuj się nad nami, Boże dopomóż” – i obiecuje pochować ciała pozostawione na pastwę żywiołów, zapewnić obrzędy tym wszystkim, którzy zostali porzuceni. Jego spuścizną jest wezwanie, aby bez względu na to, co się dzieje, zatroszczyć się o naszych zmarłych.

Jeśli zaś chodzi o Charcoal's: po roku właściciele zlecili Hardeveldowi – artyście, który stworzył pierwotny krzyż na cześć Very – wykonanie drugiego pomnika, tym razem przy restauracji, w nadziei, że uspokoi jej duszę. Jeden z sąsiadów powiedział mi, że zdaniem niektórych historia o duchu jest zmyślona i że właściciele restauracji wykorzystali śmierć Very jako chwyt marketingowy mający wzbudzić zainteresowanie i zwiększyć obroty. Ale w Nowym Orleanie to nic nowego, być może jest to tylko kolejny etap mitologizacji w mieście, któremu udaje się pozostawać takim samym, choć bez przerwy się odradza. Gdy Walker, współwłaściciel Charcoal's, powiedział dziennikarzom: „Mamy wiadomość dla Very: oddaliśmy tej restauracji nasze serca i dusze. Chcemy, żebyś nas wsparła”^[290], nie musi mieć znaczenia to, czy zwracał się do nadprzyrodzonej istoty, czy pośrednio do ludzi, którzy pamiętają Verę i chcą ją uczcić.

Tak czy inaczej, niezależnie od motywów, niezależnie od tego, w co kto wierzy, Vera wróciła na swój róg ulic. Od strony Jackson Avenue przy budynku znajduje się mała fontanna ozdobiona krzyżem i skrzydłami z dwóch stron: na jednym czytamy: VERA, ZMARŁA 29.08.05, na drugim widnieje żartobliwa gra słów: QUI VERA SERA – „Kto jest Verą, będzie”.

WŚRÓD RUIN

Detroit, Michigan

Duch Daniela Scottena nie czekał długo, żeby się zmaterializować. Zanim umarł w 1899 roku, Scotten był gigantem wśród biznesmenów w Detroit, uwielbianym przez wszystkich, którzy go znali. Założył spółkę Hiawatha Tobacco i rozwinął swoją firmę w olbrzymie przedsiębiorstwo, z gigantyczną fabryką przy Fort Street. Drzeworyty tej budowli ukazują potężną bryłę w kształcie prostopadłościanu z łukowatymi oknami na parterze i wielką amerykańską flagą łopoczącą na dachu. W czasach kiedy właściciele fabryk traktowali robotników niezbyt humanitarnie, Scotten zyskał sobie reputację filantropa, przekazując fundusze na potrzeby miasta; wystawiał nawet stosy drewna opałowego dla robotników i każdego, kto go potrzebował, żeby przetrwać długą zimę w Michigan.

Niedługo po śmierci Scottena fabrykę zamknięto i wystawiono na sprzedaż. Niedługo symbol sukcesu przemysłowego Detroit, teraz stała pusta i ciemna, imponujący pomnik dziedzictwa Scottena, ponury monolit o niepewnej przyszłości u zarania XX wieku. Gdy pewnego razu obok przechodzili dwaj jego dawni pracownicy, stanęła przed nimi „postać mężczyzny, biała i straszna”, na której widok obaj zaczęli krzyczeć ze strachu. Mimo przerażenia rozpoznali w zjawie swego dawnego szefa, który ryknął do nich: „Jak długo mam się tu jeszcze kręcić, żeby znów zobaczyć dym wylatujący z kominów starej fabryki?”^[291].

W czerwcu następnego roku fabryka przeszła w ręce bratanka Scottena, Owena, który na nowo ją otworzył. Z kominów znów zaczął się dobywać przemysłowy dym i duch przestał się pojawiać. Nie widziano go od tamtej pory, nawet po przeniesieniu się firmy do Buffalo w stanie Nowy Jork w 1969 roku ani po zburzeniu fabryki w Detroit w 1971 roku – na rogu Fort Street i Campau (przemianowanej później na Scotten Street), tam gdzie stała kiedyś fabryka, teraz znajduje się parking.

Nasuwa się więc pytanie: czy we wschodniej części miasta zobaczymy ducha Jamesa Warda Packarda krążącego po terenie olbrzymiej, przeszło piętnastohektarowej fabryki Packard Automotive Plant? Zakłady te, jedne z najnowocześniejszych w chwili otwarcia w roku 1903, działały do 1958 roku, gdy marka Packard przestała istnieć, lecz w budynkach fabrycznych do lat dziewięćdziesiątych mieściły się różne inne firmy. Potem już stały puste, wyniosłe, upiorne – rozległa ruina, symbol dewastacji ciągnący się przez dwanaście przecznic, prawie kilometr. Kilku inwestorów próbowało kupić tę nieruchomość i ją zrewitalizować, lecz mimo mglistych planów na przyszłość pozostaje ona gigantycznym wrakiem, który przyciąga wandalów i turystów lubujących się w zwiedzaniu takich atrakcji. I jeśli krąży tutaj duch Packarda, nikt go jeszcze nie widział.

Goethe napisał w 1827 roku:

Ameryko, ty masz lepiej
Niż nasz kontynent stary,
Nie masz zamków zrujnowanych
Ani bazaltów.
W czasie tworzenia
Nie dręczą cię ciągle
Daremne wspomnienia
Ni spory płonne^[292].

Tak było wtedy. Teraz, prawie dwieście lat później, zaczęliśmy doganiać starą Europę. Mamy obecnie mnóstwo zrujnowanych zamków, mnóstwo płonnych sporów, które możemy nazwać swoimi.

Na tle nieba Detroit rysują się sylwetki nieczynnych, opustoszałych hoteli i biurów. Pięknych przed laty teatrów złotego wieku, neorenesansowych świątyń, które porzucono na pastwę żywiołów i dewastacji. W tych wspaniałych niegdyś pałacach z podziurawionych sufitów odpada tynk, a szerokie balkony i gzymsy unoszą się nad stertami śmieci. W jednym z takich miejsc, Michigan Theatre, urządzono parking – nad samochodami i ciężarówkami wciąż widoczne są pięknie sklepione sufity.

Te budynki przyciągają wielbicieli miejskiego rozpadu, którzy nie cofną się nawet przed tym, żeby się włamać wszędzie tam, gdzie można obejrzeć wnętrza opustoszałych budowlanych szkieletów i upadłych piękności. Roosevelt Warehouse, magazyn na rogu Czternastej Ulicy i Marantette, nim został zamknięty na cztery spusty, był popularnym miejscem spotkań. Wykorzystywany jako skład książek dla szkół publicznych, został poważnie zniszczony przez pożar w 1987 roku i w końcu porzucony, a władze szkolne zostawiły tam nadwyżkę materiałów, między innymi setki książek. Gdy budynek powoli popadał w ruinę, spomiędzy książek i innych artykułów szkolnych wyrastały drzewka, prezentując szczególnie wymowny obraz upadku Detroit i – do pewnego stopnia – jego odrodzenia, a przynajmniej przejmowania miasta przez przyrodę.

Centrum Detroit jest zdominowane przez gigantyczne Renaissance Center. Zostało ono zaprojektowane przez Johna Portmana, tego samego, który jest autorem projektu Westin Bonaventure w Los Angeles, i te dwa obiekty łączy wyraźne podobieństwo, tyle tylko, że Renaissance Center ze swoimi siedmioma wieżami jest większe, a jego centralny element – hotel Marriott – dużo wyższy. W środku widzimy podobny styl, chaotyczne atrium, to samo wrażenie jak z więzienia Piranesiego. W przeciwieństwie do Bonaventure Renaissance Center nie jest jednak nawiedzone. Bo i dlaczego miałyby w nim straszyć? W Detroit nie brakuje innych nawiedzonych budynków.

Duchy lgną do miejsc zaniedbanych, tam gdzie nie narzuca się lub nie można narzucić żadnych norm. Gdzie zwyczajne kiedyś miejsca obleka tajemnica i przestaje być jasne, jaką funkcję budynek pełnił dawniej. Gdzie mnożą się cienie i nic nie ogranicza umysłu w rzutowaniu na ściany i korytarze dowolnych myśli, marzeń i koszmarów. Nowy Orlean swoją reputację miasta duchów zawdzięcza w niemałym stopniu starannie spreparowanym opowieściom, które kształtowano przez dziesięciolecia, temu, jak opakowano historię miasta z myślą o turystach. Nawiedzenie Detroit wydaje się bardziej organiczne, powstałe z ruin jak duch

ze studni na dnie opuszczonego lochu.



„Wraz z nią [ruiną] historia zmysłowo przeniknęła na scenę”^[293] – skomentował kiedyś niemiecki filozof Walter Benjamin. Ruina nie ofiaruje historii wiecznego życia, dodał, raczej przeistacza przeszłość w coś, co uświadamia „przemózny rozpad”. Tak jak mchy i rośliny obrastają szczątki starego pomnika lub akweduktu, zaciera się wyraźna zazwyczaj granica między dziełem człowieka i natury. Młody Gustave Flaubert pisał o „głębokiej i wielkiej radości”, jaka go przepełnia, gdy widzi ruiny „i ich splatanie się z przyrodą, która prędko przysłania dzieło człowieka, w chwili gdy zabraknie ręki, która by go broniła”^[294]. Kilkadziesiąt lat wcześniej wielbny William Gilpin wyraził podobną myśl: „ruiny są świętością. Zakorzenione w glebie od wieków, zasymilowane z nią, stały się niejako jej częścią; uważamy je bardziej za dzieło natury niżli ludzkiej ręki”^[295]. Święte i enigmatyczne, od wieków stanowią odpowiednie miejsce do filozoficznych rozmyślań; nie jest zbiegiem okoliczności, że dwa najbardziej znane romantyczne utwory, *Wiersze napisane w górach, w odległości kilku mil od Opactwa Tintern* Wordswortha i *Ozymandias* Shelleya, to medytacje o ruinach.

W taki sam sposób, w jaki historia niesamowita opowiedziana w ciemną noc może przyspieszyć bicie serca, ruiny wabią nas swym dziwnym urokiem, a melancholijna kontemplacja tych miejsc przynosi osobliwe pocieszenie. W obliczu bezlitosnego upływu czasu i prawdy o ludzkiej błahości uświadamiamy sobie nieuchronność własnej śmierci bez konieczności stawiania z nią twarzą w twarz. Osiemnastowieczny francuski pisarz i encyklopedysta Denis Diderot wypowiedział się za wielu z nas, gdy pisał:

Myśli, które ruiny budzą we mnie, są wielkie. Wszystko ulega zniszczeniu, wszystko ginie, wszystko przechodzi: tylko świat zostaje, tylko czas trwa. Jakże stary jest świat! Kroczę pomiędzy dwiema wiecznościami. Gdziekolwiek spojrzę, przedmioty, które mnie otaczają, zapowiadają koniec i każą mi oczekiwać mego własnego. Czymże jest moje efemeryczne istnienie w porównaniu ze skałą, która się osuwa, z doliną, która się pogłębia, z lasem, który się kołysze, z ogromem zawieszonym nad moją głową, który drży? Widzę, jak rozpada się w proch marmur grobowców; i nie chcę umrzeć!^[296]

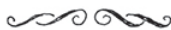
Detroit jak żadne inne miasto jest pełne ruin. I z pewnością nie można im odmówić urody. Budynki, które ocalały, pochodzą w większości z tego samego okresu: z pierwszych dekad XX wieku, kiedy miasto odcisnęło się mocno w świadomości Amerykanów dzięki rozkwitowi przemysłu samochodowego. Można sobie wyobrażać Detroit jako spetryfikowaną ruinę, lecz w pierwszym stuleciu swojej historii skupiało się na budowie nowego, nie konserwacji starego. Z budownictwa dziewiętnastowiecznego zachowało się bardzo niewiele – większość tamtych budynków zburzono, by na początku XX wieku, gdy miasto przeżywało swe najlepsze lata, zrobić miejsce pod wielkie obiekty w stylu art déco i beaux-arts.

Tyłu ludzi fetyszyzuje Detroit, bo zachwywanie się innymi ruinami jest często niemożliwe. „Czy mówienie o pięknie ruin World Trade Center jest teraz niestosowne?”^[297] – zapytała Sarah Boxer na łamach „New York Timesa” w 2002 roku, i choć odpowiedź na to pytanie zgodnie z kulturowym konsensusem zdaje się twierdząca, w Detroit na pierwszy rzut oka sprawa wygląda zgoła inaczej. Miasto to zamieniło się w ulubioną powiastkę moralizującą: szereg nieudolnych burmistrzów, zła polityka społeczna i uległość wobec związków zawodowych, to

wszystko złożyło się na ogólny pogląd, że Detroit „zasłużyło” na swój los. Tak jak kiedyś chodziliśmy oglądać cyrkowe atrakcje – kobietę z brodą i chłopca o psiej twarzy, dziwolągi, których widok nie tylko ekscytował, ale i przypominał ludziom, że sami wyglądają normalnie – ci z nas, którzy nie mieszkają w Motor City, spoglądają na jego złowieszczą architekturę, by się pocieszyć, że ich życie jest inne. Ruiny, ten architektoniczny gabinet osobliwości, są jednocześnie historią ku przestrodze i *memento mori* z kamienia i miedzi, przypomnieniem, że my też się kiedyś zestarzejemy i umrzemy. Nawiedzone teatry Detroit wabią przybyszów, bo emanują dawną dekadencją i rozrzutnością. Zamieniony w parking Michigan Theatre – czyż nie świadczy o perwersyjnym zbytku? Jak gdyby majestatyczne budowle w stylu beaux-arts były tu tak liczne, że można je wyrzucić na śmietnik.

W 2009 roku mieszkający w Detroit pisarz i fotograf James D. Griffioen narzekał w wywiadzie dla „Vice Magazine” na popularność pewnej wizji Detroit jako miasta, gdzie królują ubóstwo, wynikające z niego problemy, zniszczenie i niewiele więcej. Zawodowi fotograficy z całego świata kontaktowali się z nim, prosząc o wycieczki po mieście, szybko jednak dostrzegli pewien schemat. „Z początku człowiek czuje się podbudowany: «Jej, ci wszyscy profesjonalści są zainteresowani tym, co mam im do powiedzenia i pokazania». Tylko że to zaczyna być męczące, gdy chcesz im pokazać różne oblicza miasta, a oni potem wracają do siebie i piszą to samo co reszta. Fotograficy są najgorsi. W zasadzie interesuje ich jedno: pornografia ruin”^[298]. Zwrot, który ukuł Griffioen, „pornografia ruin” (ang. *ruin porn*), przyjął się i stał się wszechobecny, opisując rodzaj podejścia do miejskiej deterioracji, jaka niezmiennie kojarzy się z Detroit. Na tych obrazach pozostałości magazynu Roosevelt, zakładów Packarda i im podobnych są ukazane w całej swej upiornej krasie.

W ostatnich latach nastąpiła wręcz eksplozja podgatunku zwanego pornografią ruin – albumy ukazujące porzucone przestrzenie Detroit na artystycznych, efektownych fotografiach stały się solidnym źródłem dochodu. W pracach takich jak *Detroit Disassembled* (Detroit zdemontowane) Andrew Moore’a, *The Ruins of Detroit* (Ruiny Detroit) Yves’a Marchanda i Romaina Meffre’a czy historia architektury *Lost Detroit. Stories Behind the Motor City’s Majestic Ruins* (Zaginione Detroit. Historie majestatycznych ruin Motor City) Dana Austina i Seana Doerra uchwycone jest podupadłe miasto, zaprezentowane jak rozczłonkowane ciało na stole sekcyjnym, byśmy mogli oglądać je z podziwem i podszytą fascynacją trwogą.



Dwa i pół kilometra od dworca kolejowego wznosi się Masonic Temple – „świątynia masoni” – największy budynek tego typu w kraju. Piętnastopiętrowy neogotycki gigant z ponad tysiącem pomieszczeń został zbudowany przez George’a D. Masona, by zademonstrować dumę miasta, które zaczęło się jawić jako przemysłowe centrum kraju. Gdy dla Detroit, a razem z nim dla loży masoni, w ostatnich dziesięcioleciach nastały trudne czasy, zaczęły krążyć historie niesamowite o loży, w tym jedna o samym Masonie. W wersji opisanej na jednej ze stron internetowych brzmi następująco:

Finansując budowę tego budynku, pan Mason trochę przeszarżował i gdy później został bankrutem, odeszła od niego żona. Potwornie przygnębiony sytuacją finansową i osobistą, Mason odebrał sobie życie, skacząc z dachu budynku. Pracownicy ochrony twierdzą, że po dziś dzień widują jego ducha, jak wspina się po schodach na dach. Masonic Temple, gdzie nie brakuje tzw. zimnych stref, zagadkowych cieni i zatraskających się drzwi, znana jest z tego, że wywołuje u gości dziwne wrażenie, jak gdyby byli obserwowani^[299].

Popularna historia, owszem, ale należąca do tych, które są w najbardziej oczywisty sposób wyssane z palca i najłatwiej je podważyć. W chwili śmierci Mason miał osiemdziesiąt osiem lat i zmarł z przyczyn naturalnych (co szybko potwierdzi Google), ponad dwadzieścia lat po zakończeniu budowy Masonic Temple. A jednak historia ta zawiera pewną wartość, odzwierciedla bowiem popularną narrację o samym Detroit: o nadmiernych ambicjach, szaleństwie i śmierci spowodowanej finansową ruiną. Więc chociaż w oczywisty sposób jest zmyślona, wciąż się ją opowiada.

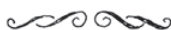
Podczas gdy w legendzie o duchu Masona odbija się historia upadku miasta, inne duchy trzymają straż, by nie dopuścić do dalszej dewastacji. Taką właśnie funkcję pełni dziwny duch pułkownika Philetusa Norrisa, który ukazuje się w nawiedzonym Two-Way Inn, barze ulokowanym kilka kilometrów na północ od śródmieścia. Gdyby nawet nie wrócił pod postacią ducha, samo jego życie byłoby dostatecznie spektakularne. Urodzony w 1821 roku, podczas wojny secesyjnej szpiegował na terenie Konfederacji na rzecz unionistów, awansując w armii do stopnia pułkownika. Po wojnie działał w zgromadzeniu stanu Ohio, a następnie przeniósł się do Detroit i wybudował dla siebie dom, gdzie obecnie działa Two-Way Inn. Został w mieście do czasu, aż zatrudniono go na stanowisku nadzorcy Parku Narodowego Yellowstone. Pod koniec życia prowadził badania etnograficzne dla Smithsonian Institution, a gdy zmarł w Kentucky, jego ciało przewieziono do Detroit, gdzie został pochowany.

Na fotografiach Norris z gęstą, bujną brodą i strojem z kozłej skóry wygląda w każdym calu jak pionier z gór Dzikiego Zachodu. Właśnie tę postać widywano wielokrotnie w Two-Way Inn: łatwo rozpoznawalny w postindustrialnej scenerii wizerunek pioniera, mało prawdopodobny kandydat na obrońcę Motor City.

W większości historii o duchu Norrisa przypisuje mu się chęć ochrony baru przed podpaleniem, co w Detroit od dawna jest powszechną plagą. Można rzec, że tak jak w wypadku Daniela Scottena duch Norrisa chroni miasto, odgrywa rolę tego, kto przeciwdziała jego degradacji i całkowitemu porzuceniu. Jest rzadkością, by istota nadprzyrodzona prezentowała tak obywatelską postawę, ma być może w Detroit jest ona koniecznością.

Tego typu opowieści niesamowite ujawniają, że nastawienie do budynków po ich zamianie w ruinę ewoluuje. Ocalałe gmachy stały się ciężarem, który miasto musi dźwigać, i wieczną pamiątką po dawnej chwale. Historie niesamowite skupione na starych budowlach Detroit reprezentują inny kaliber niż te, które traktują o neogotyckich wysokościowcach Manhattanu lub Chicago, gdzie grunty są cenne i bezużyteczne obiekty nie zagrzewają długo miejsca. Reputacja Merchant's House na Manhattanie w niemalym stopniu wynika z kontrastu między nim a okolicznymi budynkami, dom ten stanowi bowiem anachroniczną anomalię w ruchliwej, dynamicznej metropolii. W Detroit duchy trzymają straż, chroniąc przeszłość przed rozkładem przyszłości. Nakazują żywym, by odzyskali dumę z miejscowych fabryk i rezydencji albo – jak Mason – oplakują własne szaleństwo i pychę.

Jest jeszcze intrygująca postać Nain Rouge, tajemniczego Czerwonego Karła, który straszy w Detroit od ponad trzystu lat. Podczas gdy Daniel Scotten i Philetus Norris są nadprzyrodzonymi obrońcami miasta, Nain Rouge jest niszczycielem. Podczas gdy George Mason oplakuje kres świetności Detroit, Nain Rouge z tego samego powodu się raduje.



Legendy o Nain Rouge sięgają początków miasta. W 1701 roku Antoine Laumet de La Mothe

Cadillac (francuski badacz, późniejszy założyciel Detroit) brał udział w wystawnym balu w Quebecu, gdzie pojawiła się dziwna wróżbitka. Autorka wydanego w 1883 roku zbioru *Legends of Le Détroit*, Marie Caroline Watson Hamlin (o której prócz tego wiadomo niewiele), opowiadając poniższą historię, podała, że wróżbitka była „kobietą nadprzeciętnego wzrostu, o ciemnej, śniadej cerze, rozbieganych, błyszczących oczach, w osobliwie skrojonym stroju, acz harmonizującym z jej obliczem”^[300]. Na jej ramieniu przycupnął czarny kotek, który w czasie sesji od czasu do czasu lizał ją po uchu, przez co niektórym się wydawało, że sam diabeł szepcze jej instrukcje za pośrednictwem zwierzątka.

W końcu wróżbitka podeszła do Cadillaca, który poprosił ją, żeby jemu też przepowiedziała przyszłość. „*Sieur* – zwróciła się do niego – los czeka pana niezwykle. Wkrótce wyprawisz się pan w niebezpieczną podróż, założysz pan wielkie miasto, które kiedyś więcej mieszkających będzie miało niżli dzisiaj cała Nowa Francja; przy kominku w pańskim domu ogrzeje się wiele dziełek”. Ale tak jak w wypadku Makbeta, przyszłość Cadillaca miała też drugie oblicze: „Zbierają się ciemne chmury i niewyraźnie widać pańską gwiazdę – kontynuowała wróżbitka. – Działalność, którą zamierzasz się pan zająć, sprzedaż alkoholu dzikusom wbrew radom jezuitów, przysporzy wam wielu kłopotów i będzie przyczyną waszej zguby. W przyszłych lecach wasza kolonia stanie się sceną walk i przelewu krwi, Indianie zdradzą, znienawidzeni Anglicy będą próbowali ją przejść, ale pod nową flagą osiągnie szczyty, jakich w najśmielszych marzeniach pan sobie nie przedstawiasz”.

Zdezorientowany Cadillac próbował wydobyć z niej więcej informacji, ona jednak zakończyła swoją przepowiednię ostrzeżeniem: „Przyszłość wasza leży w pańskich rękach, wystrzegaj się pan ambicji ponad miarę; zniweczy wszystkie wasze plany. Niech ułagodzi Czerwonego Karła. Oby tylko go nie uraził. Jeśli jednak nie dopisze wam szczęście, nic a nic z majątku pańskiego nie trafi w ręce spadkobierców. A pańskie nazwisko będzie znane nielicznym w mieście, które pan wybudujecie”.

W tym samym roku Cadillac założył osadę, z której z czasem miało się rozwinąć Detroit, i gdy miasto błyskawicznie się rozrastało, Cadillac stawał się coraz bardziej arogancki i dumny, lekceważąc ostrzeżenia wróżbitki. Pewnego wieczoru, gdy spacerował razem z żoną, na ścieżkę przed nimi wyskoczyła „nieokrzesa na postać karła, czerwonego na twarzy, o błyszczących oczach; zamiast palić, mroziły, zamiast głębi promieniały zimnym blaskiem wypolerowanego szkła, w zdumienie i oszołomienie wprawiając wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu ich spojrzenia. Tę dziwną twarz uzupełniały uśmiechnięte usta pełne ostrych, spiczastych zębów”. Cadillac niemądrze zdzielił go laską, wykrzykując: „Zejdź mi z drogi, czerwony karle!”. Nain Rouge odpowiedział demonicznym, drwiącym śmiechem, po czym zniknął.

Zgodnie z przepowiednią wróżki szczęście szybko opuściło Cadillaca i w następnych latach Nain Rouge zamienił się z osobistego antagonisty we wroga całego miasta. Pojawia się na chwilę przed każdą dużą katastrofą, jaka na nie spada. Tak jak Binghamton ma swoją klątwę, Detroit ma swojego Czerwonego Karła. W innym zbiorze legend Charles M. Skinner pisze, że widziano Nain Rouge, „jak truchta wzdłuż brzegu w noc przed bitwą nad Bloody Run, kiedy strumyk, który potem przybrał tę nazwę, zaczerwienił się od krwi żołnierzy. Ludzie widzieli go na zadymionych ulicach, gdy w mieście wybuchł pożar w 1805 roku, a rano przed kapitulacją Hulla szczyrzył zęby w uśmiechu we mgle”^[301].

W czasach wielkiego boomu Detroit niewiele pojawiało się wzmianek o karle, zwiastunie dramatycznych tragedii i klęsk. Nain Rouge powrócił rzekomo dopiero w latach sześćdziesiątych XX wieku, objawiwszy się na krótko przed niszczycielskimi zamieszkami na tle raso-

wym w 1967 roku. W późniejszych dziesięcioleciach ukazywał się jeszcze przed katastrofalnymi burzami lodowymi i innymi kataklizmami.



Tymczasem w mieście ujawniła się nowa kategoria duchów. Do najbardziej ikonicznych obrazów współczesnego Detroit należy zdjęcie Michigan Central Station Yves'a Marchanda i Romaina Meffre'a: fotografia ukazuje budynek dworca z przodu, a kadr przycięto tak, że nie ma w nim miejsca na niebo, ziemię ani inne budowle. Gmach jest imponujący i tchnie pewną grozą. Zdjęcie nie pokazuje natomiast tego wszystkiego, co jest widoczne za autorami fotografii. Po drugiej stronie ulicy ciągnie się rząd sklepów, elegancka kawiarnia, grill-bar i *vodka bar*.

Ostatecznie oczywistym faktem jest to, że chociaż pornografia ruin skupia się na opuszczonych budynkach, Detroit przecież nie jest puste. Jak zauważa historyk Thomas J. Sugrue: „Może i liczba ludności w Detroit się zmniejszyła, ale to nie tabula rasa. Ponad 700 tysięcy osób, z których ponad trzy czwarte to Afroamerykanie, nazywa to miasto swoim domem. Dla nich ruiny Detroit nie mają w sobie nic romantycznego: są szyderstwem, które przypomina o utracie kapitału i stanowisk pracy oraz o tym, ilu ludziom przy okazji zrujnowano życie”^[302]. Z tych obrazów opustoszałych budynków trzeba wymazać robotników, którzy niemal zawsze znajdują się poza kadrem. Ci oczywiście mają swoje historie, życiorysy niemieszczące się w obiektywie aparatu – i ze swoim upartym trwaniem są jak duchy nawiedzające estetykę pornografii ruin.

Amerykańskie ruiny nie są wiekowym świadectwem dawno upadłych cywilizacji, nie są tajemniczymi zagadkami Stonehenge czy starożytnego Egiptu. Powstały za pamięci współczesnych i zostały udokumentowane tak, żeby każdy mógł je obejrzeć. Fotografie spod znaku pornografii ruin nie umożliwiają zrozumienia degradacji, jakiej jesteśmy świadkami; są antyhistorią, mimo iż ilustrują przeszłość i jej upadek. Sprowadzają złożoną rzeczywistość lub historii budynku do serii klisz, jak to się dzieje w opowieściach niesamowitych, odbywa się również na pięknie skomponowanych fotografiach, które fetyszyzują przeszłość, nie próbując jej prawdziwie oddać. Pornografia ruin jest wizualnym analogiem historii niesamowitej.

Tymczasem Detroit niezmiennie roi się od ludzi. Jest w pierwszej dwudziestce największych metropolii Ameryki – z liczbą mieszkańców większą niż Seattle, Denver, Boston czy Waszyngton. Jasne, historyczny rekord dwóch milionów należy do przeszłości, a ogromna powierzchnia sprawia, że zagęszczenie jest mniejsze, ale w żadnym wypadku miasto nie jest puste. Wręcz przeciwnie, wczesną porą w wiosenny weekend śródmieście Detroit wydawało mi się żywsze niż chicagowskie Loop albo centrum Los Angeles w tym samym czasie. Widzieć w Detroit ruinę – i nic innego – to widzieć miasto bez ludzi. To wymazać 713 tysięcy mieszkańców. Zamienić ich – wbrew ich woli – w duchy.



Czasem jednak duchy pokazują kły. Od 2010 roku w pierwszą niedzielę wiosny organizowana jest parada, podczas której dochodzi do konfrontacji Czerwonego Karła z całym miastem, z którego zostaje symbolicznie przegnany. Trochę jak obchody Mardi Gras, trochę jak festiwal Burning Man (choć nie tak duży, bogaty ani tak popularny), Marche du Nain Rouge to dziwny, aczkolwiek zabawny sposób na spędzenie niedzielnego marcowego poranka. Żon-

glerzy z pochodniami towarzyszą platformie wyglądającej jak gigantyczny karaluch, na której stoi sam Nain Rouge – a przynajmniej wcielający się w niego aktor ubrany w czarną skórę i stosownie demoniczną czerwoną maskę. Ze swojego podwyższenia przedrzeźnia tłum przy dźwiękach *War Pigs* Black Sabbath, wykrzykując: „Myślicie, że możecie mnie pokonać? To się wam nigdy nie uda!”, „Myśleliście, żeście się mnie pozbyli, ale wróciłem!”, „Przegrasz, Detroit! Już ja się o to postaram!”.

Uczestnicy parady wymachują transparentami, na których obwiniają Czerwonego Karła o swoje kłopoty (NAIN PRZEBIŁ MI OPONĘ, czytamy na jednym) albo bronią adwersarza (NIE BÓJCIE SIĘ CZERWONEGO!; POPRZYJCIE MAŁEGO!; KONIEC Z PRZEŚLADOWANIEM KARŁA!), gdy on przyznaje się do drobnych psot: „Nakarmiłem twojego psa czekoladkami!” lub „Rozesłałem kompromitujący e-mail do wszystkich twoich znajomych!”. Ale i tutaj pod żartobliwą fasadą może się zaciąć poważniejsza groźba. „To ja wpuściłem wszystkie toksyny do atmosfery i ołów do gleby – prowokuje. – To ja podniosłem opłaty za parking do 45 dolarów”. Wydaje się, że sprzymierzył się z republikanami, żeby kontrolować władze stanowe („Popieram ustawy antyzwiązkowe”; „Manipulowałem przy wynikach wyborów w Michigan!”), a także z nową falą hipsterów („Uważam, że gentryfikacja to znakomity trend urbanistyczny”; „Pracuję nad nową hipsterską poprawnością polityczną”). Tłum jest w przeważającej mierze biały i młody; uczestnicząc w publicznym potępieniu samych siebie, ci zwolennicy gentryfikacji mają, być może, nadzieję na chociaż częściowe odkupienie swojej winy. Niewykluczone, że Nain Rouge, karnawałowy kozioł ofiarny, odgrywa rolę zaworu bezpieczeństwa dla tłumionych pretensji i lęków, a to niemało, jeśli chodzi o możliwości ducha.

Trudno przewidzieć, co czeka Detroit, które tyle obiecuje, ma tak wielki potencjał i tylu oddanych mieszkańców, i tak wiele przeszkód do pokonania. Trudno spekulować, jak długo jeszcze Nain Rouge będzie wracać i nękać mieszkańców, niwecząc ich marzenia. Z dachu olbrzymiej *Masonic Temple* przypatruje się miastu duch architekta tego budynku, George’a Masona. Kiedyś, przed laty, pozwolono mu na wieczny spoczynek, potem jednak musiał zmartwychwstać, całkiem jak Nain Rouge, i zamieniono go w symbol tragicznych losów miasta.

Może w najbliższych latach znów będzie mógł spocząć w pokoju.

HILLSDALE, USA

Droga do Domu na Wzgórzu prowadzi przez Hillsdale. Eleanor Vance w *Nawiedzonym Domu na Wzgórzu* Shirley Jackson dostaje szczegółowe instrukcje, jak dotrzeć do tytułowej rezydencji, przy czym wyraźnie odradza się jej wypytywać o ów dom, gdy będzie przejeżdżać przez pobliskie miasteczko. „Podaję tak dokładne wskazówki – pisze w liście do niej doktor Montague – gdyż nie radziłbym zatrzymywać się w Hillsdale i pytać o drogę. Ludzie tamtejsi są nieuprzejmi wobec obcych i zachowują się z otwartą wrogością wobec każdego, kto pyta o Dom na Wzgórzu”^[303]. I to prawda: mieszkańcy Hillsdale z miejsca nabierają nieufności do nieśmiałej Eleanor Vance, która zamierza spędzić kilka miesięcy w nawiedzonym domu.

W powieści Jackson budowniczy Domu na Wzgórzu, Hugh Crain, materializuje się jakby znikąd, bez odpowiedniego wprowadzenia, i z pewnością nie jest mieszkańcem Hillsdale – powody jego decyzji o wyborze tej okolicy pozostają tajemnicą. Chociaż Crain wznosi Dom na Wzgórzu dla swej rodziny, jego żonie nie jest dane ujrzeć nowej rezydencji – ginie, gdy powóz, którym jedzie do nowego siedliska, przewraca się na podjeździe kilka minut przed dotarciem na miejsce. Crain, samotnie wychowując w mrocznym domostwie dwoje dzieci, żeni się jeszcze dwa razy – niestety, obie kobiety też odchodzą przedwcześnie: druga żona spada ze schodów, a trzecia umiera na suchoty. Nie jest jasne, dlaczego nieszczęścia tak się tam mnożą, wiadomo tylko, że dom Craina uwalnia jakieś niewyobrażalnie złe moce lub sam jest złem, które trwa jeszcze długo po śmierci właściciela. Mieszkańcy Hillsdale, skazani na tę mroczną budowlę na skraju miasteczka, są zmuszeni jakoś sobie radzić z tą wiecznie mającą na uboczu architektoniczną zmurą.

Dlaczego ubodzy mieszkańcy miasteczka nienawidzą tej mrocznej rezydencji? Cóż, dlatego, że są biedni. Nie stać ich, żeby się stąd wynieść, przesiedlić z rodziną, nawet wtedy gdy jakiś ekscentryczny bogacz uwalnia nieopodal straszliwe moce. „Ludzie wyprowadzają się z tego miasta, nie wprowadzają”, wyjaśnia Eleanor jeden z mieszkańców Hillsdale. Archetypowa historia o nawiedzonym domu zasadniczo dotyczy rozwarstwienia klasowego: nowobogacy, którzy nie rozumieją ziemi, ludzi ani historii, wdzierają się na scenę i próbują kupić sobie miejsce w społeczności, nic sobie nie robiąc ze zdania miejscowych. Zlekceważona zostaje legenda, na światło dzienne wydobywa się straszna tajemnica, naruszony zostaje spokój świętej ziemi i tak dalej. Mieszkańcy miasteczka odczuwają coraz silniejszy gniew, ponieważ spętani warunkami ekonomicznymi, stają się więźniami bogatych i ich kaprysów.

Shirley Jackson nigdy nie precyzuje, gdzie dokładnie leży Hillsdale ani nawet w którym stanie. „Trasa numer 39 do Ashton – instruuje w liście do Eleanor doktor Montague – następnie skręcić w lewo na trasę numer 5 w kierunku zachodnim” – i to wszystko. Przez dłuższy czas zakładałem, że wszystko dzieje się w Nowej Anglii. Jackson mieszkała w Vermontie, gdy pisała swoją powieść, i tam właśnie reżyser Robert Wise umieścił akcję swojej adaptacji pod tytułem *Nawiedzony dom* – w „najbardziej odludnym zakątku Nowej Anglii”^[304]. Ale chociaż

w całym kraju jest kilkanaście miejscowości o nazwie Ashton, żadna z nich nie leży w Nowej Anglii. Jest natomiast Ashton w stanie Illinois w pobliżu skrzyżowana autostrad stanowych 5 i 38.

Zatem Dom na Wzgórzu może tak naprawdę stać na Ziemi Lincolna^[5*]. Jeśli się jednak zastanowić, każdy stan ma swoje Hillsdale: miasteczko nękanie przez miejscowe duchy, z paranormalnym problemem dotyczącym jakiejś nieruchomości, z konfliktem między bogatymi i biednymi, który rozgrywa się w kategoriach nadprzyrodzonych.



Już Salem nauczyło nas, że nic nie wywołuje duchów tak skutecznie jak spory majątkowe. Kilkadziesiąt lat temu sprawy przybrały równie złowrogi obrót w Nyack w stanie Nowy Jork. Helen Ackley przez ponad dziesięć lat głosiła, że jej dom jest nawiedzony, nim w 1989 roku wystawiła go na sprzedaż; całe lata zaglądały tam wycieczki po nawiedzonych miejscach Nyack, wspomniano o nim nawet w jednym z numerów „Reader's Digest”. Jednak Jeffrey Stambovsky o plotkach i reputacji tego domu dowiedział się dopiero wtedy, gdy był już jego właścicielem. Stambovsky, który wcześniej mieszkał w Nowym Jorku i nie słyszał miejscowych pogłosek, stwierdził, że obecność duchów obniża wartość domu, i pozwał Ackley do sądu za to, że nie poinformowała go o jego nawiedzonej przeszłości.

Jak się okazało, duch z Greenbrier w Wirginii Zachodniej nie był ostatnim przypadkiem, kiedy to amerykański sąd musiał się zająć zjawiskami nadprzyrodzonymi, i sprawa Stambovsky kontra Ackley przechodziła powoli przez kolejne instancje. Gdy sąd oddalił powództwo Stambovsky'ego, powołując się na zasadę *caveat emptor* (jako nabywca domu powinien był z należytą starannością wszystkiego się dowiedzieć), ten złożył apelację i w końcu sędzia Israel Rubin z nowojorskiego stanowego sądu apelacyjnego przyznał mu rację.

Rubin w swej decyzji właściwie obszedł kwestię tego, czy w domu rzeczywiście straszy. Nie ma znaczenia, napisał w uzasadnieniu wyroku, czy źródło zjaw widzianych przez pozwaną jest „parapsychologiczne czy psychogenne”, jako że Ackley wielokrotnie twierdziła, że w jej domu są duchy, a więc „nie może zaprzeczyć ich istnieniu i pod względem prawnym dom ten jest nawiedzony”^[305].

Rubin wczuł się w sytuację Stambovsky'ego: można było oczekiwać od kupującego, że sprawdzi, czy w domu są termyty, zniszczenia spowodowane przez zalania i inne ewentualne usterki, wydało mu się jednak czymś niedorzecznym oczekiwać od nabywcy, żeby szukał problemów natury paranormalnej. „Z perspektywy osoby w położeniu powoda w chwili odkrycia zjawiska paranormalnego rodzi się bardzo praktyczne pytanie: «Kogo mam wezwać?»^[6*]” Rubin najwyraźniej świetnie się bawił, pisząc to uzasadnienie. Wyobraziwszy sobie, że potencjalny nabywca musiałby zatrudnić nie tylko inżyniera budowlanego i specjalistę od dezynsekcji, lecz także łowcę duchów, doszedł do następującego wniosku: „Pomysł, jakoby nawiedzenie było stanem, który można i powinno się stwierdzać w trakcie zwyczajnych oględzin nieruchomości, to zhora – trzeba ją wyegzorcyzmować ze zbioru precedensów prawnych i pozwolić jej spocząć w pokoju”. W starannie sformułowanym uzasadnieniu Rubin odrzucił zarzut Stambovsky'ego, jakoby Ackley działała nieuczciwie, twierdząc, że wszelkie próby uzyskania od niej odszkodowania nie mają „cienia szansy”. Ale „natchniony duchem sprawiedliwości” unieważnił umowę i przyznał Stambovsky'emu zwrot wpłaconej zaliczki.

Niemal dwadzieścia lat później pensylwański sąd musiał pochylić się nad podobnymi kwe-

stiami, chociaż tym razem sędziowie doszli do zgola innych wniosków. W 2008 roku Janet Milliken pozwała do sądu poprzednich właścicieli swojego domu w Thornton^[306]. W domu tym doszło do makabrycznego morderstwa i samobójstwa; został kupiony tanio na licytacji przez Kathleen i Josepha Jacono, którzy wyremontowali nieruchomość, a potem odsprzedali ją pani Milliken. Milliken po śmierci męża przeniosła się tam z Kalifornii z dwójką młodszych dzieci, nie mając pojęcia o koszarnej historii domu, i szybko się okazało, że jej rodzinę nękają wizyty z zaświatów. Poznawszy wreszcie prawdę, wniosła pozew przeciwko państwu Jacono, utrzymując, że celowo zataili przed nią informacje, które miały wymierne przełożenie na wartość domu.

Sprawa Milliken kontra Jacono oparła się aż o Sąd Najwyższy Stanu Pensylwania. Milliken powołała na świadka Randalla Bella, kalifornijskiego rzeczoznawcę, który specjalizował się w nieruchomościach „stygmatyzowanych psychologicznie”. Zdobył sławę, pomagając w sprzedaży mieszkania, gdzie zamordowano Nicole Brown Simpson i Ronalda Goldmana. Był też konsultantem przy wycenie domu, w którym członkowie sekty Mansona zabili pięć osób, w tym Sharon Tate, a także byłego domu JonBenét Ramsey i rancza Santa Fe, gdzie samobójstwo popełniło trzydziestu dziewięciu członków grupy Heaven’s Gate (Wrota Niebios), oraz innych miejsc noszących piętno brutalnej, sensacyjnej przeszłości. Sam Bell nie wierzy w duchy, uznaje jednak, że postrzeganie duchów lub historia przemocy może wpływać na wartość sprzedażową nieruchomości. „Nawiedzony dom jest kwestią percepcji – rzekł. – Jeśli nieruchomość postrzega się jako nawiedzona, to jest nawiedzona. Jeśli nie uważasz, że w niej straszy, to nie straszy”^[307]. Bell i prawnicy Milliken utrzymywali, że nie jest istotne, czy w tym domu naprawdę straszy; liczyło się to, że jego historia wpływa na cenę i że państwo Jacono przed sprzedażą winni ją ujawnić.

Ostatecznie sąd stanął po stronie państwa Jacono, nie pani Milliken. „Nie można zmierzyć efektu psychologicznego różnych rodzajów morderstw lub samobójstw”^[308] – napisano w orzeczeniu. Piętno psychologiczne, niezależnie od subiektywnego wpływu, jaki wywiera na poszczególne osoby, postawiło sąd przed tyloma niejasnymi dylematami, że ostatecznie nie sposób było uznać go za defekt materialny: „Czy bezkrwawy zgon wskutek zatrucia lub przedawkowania tworzy mniej znaczący «defekt» niż krwawa śmierć w wyniku ataku z użyciem noża lub broni palnej? Jak potraktować inne brutalne zbrodnie typu gwałt, pobicie, wtargnięcie czy znęcanie się nad dzieckiem? A co, gdyby morderstwa nastąpiły gdzie indziej, lecz w domu mieszkał sadystyczny seryjny zabójca? A gdyby w domu przeprowadzano satanistyczne rytuały?”. W przeciwieństwie do nowojorskiego sądu sędziowie z Pensylwanii cały ciężar odpowiedzialności złożyli na barkach nabywcy: *caveat emptor* – niech kupujący się strzeże.

Jeśli oczekiwano, że sprawa Milliken kontra Jacono rozstrzygnie raz na zawsze kwestię, czy duchy mogą wpływać na wartość nieruchomości, tak się z całą pewnością nie stało, a przekonanie, że reputacja nawiedzonego budynku może mieć rzeczywisty wpływ na jego cenę, powracało w następnych latach, czasem w najbardziej nieoczekiwany sposób. W dawnym brooklińskim szpitalu Caledonian, wznoszącym się nad południową stroną Prospect Parku, w 2014 roku powstały luksusowe apartamenty na wynajem i niemal natychmiast wprowadziły się do nich duchy. Zaczęły się pojawiać historie o dziwnych zapachach, niewyjaśnionych odgłosach i innych nadprzyrodzonych zjawiskach, a poza tym w ciągu sześciu miesięcy z pracy zrezygnowało tam trzech portierów. Jeden z nich poskarżył się sąsiadowi, że budynek 123 przy Park Street, jak się teraz nazywa, „to kijowe miejsce pracy, bo w tym domu

straszy”^[309]. Dyrektor firmy zarządzającej apartamentowcem potwierdził w wypowiedzi dla lokalnej prasy, że rotacja pracowników jest duża i że pojawiły się problemy z wynajęciem apartamentów.

Źródło tych niewyjaśnionych zjawisk może być jednak bardziej przyziemne. Lauren Evans w tekście dla strony internetowej Gothamist zastanawiała się, czy owe duchy nie są „zaniepokojone, co zrozumiałe, zmianą charakteru ich wieloletniego domu” i nie „zorganizowały odwetu”^[310]. Kręcąc się po budynku, by zweryfikować plotki o duchach, Evans usłyszała od pracowników, że pogłoski rozpuścili sąsiedzi w obawie, że drogie apartamenty wywindują czynsze także im. Tymczasem potencjalni najemcy mieszkań w budynku 123 przy Park Street sami ponoć próbowali wykorzystywać doniesienia o duchach jako kartę przetargową w negocjacjach, domagając się obniżenia opłat, skoro mieszkania mają już innych lokatorów. W miastach takich jak Nowy Jork, gdzie kwestie nieruchomości i gentryfikacji już stwarzają wiele problemów, nie ma większego znaczenia, czy duchy są prawdziwe; liczy się argument, jaki mogą stanowić w negocjacjach finansowych.

Przekonałem się o tym na własnej skórze, gdy razem z żoną w 2008 roku szukaliśmy pierwszego domu, w okresie tuż po pęknięciu bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości. W wielu dziwnych miejscach, które obejrzelśmy, wyczuwałem ślady życia porzuconego za sprawą kryzysu i budziło się we mnie owo niesamowite, przemożne poruszenie, jakie tego typu ślady mogą wywołać. Nigdzie jednak nie doświadczyłem tego tak silnie jak w domu, który zaczęliśmy nazywać Zamkiem Wesołego Morderstwa.

Wzniesiony na zboczu wzgórza w bok od Alvarado Boulevard, w dzielnicy Los Angeles o nazwie Echo Park, nawet z oddali wyróżniał się wśród innych domów. Gdy podjeżdżaliśmy, na niektórych ścianach dało się dostrzec namalowany wzór udający kamienne mury. Budynek wznosił się przy tej samej ulicy co szkoła podstawowa i mógł kiedyś pełnić funkcję nieoficjalnej świetlicy (może podobieństwo do zamku było dla dzieci czymś atrakcyjnym?). Drzewa cytrusowe na terenie posiadłości wyglądały na zaniedbane, były obsypane dojrzałymi i gnijącymi owocami. Wznosiła się nad nimi tylna sypialnia, z blankami ze sklejkі zgodnymi z wymogami średniowiecznej estetyki. Tymczasem fasada wciąż nosiła ślady swego poprzedniego wcielenia – parterowego domu wybudowanego w latach dwudziestych XX wieku. Była to architektoniczna wersja *Muchy*: dwa niedobrane gatunki niepotrzebnie ze sobą szczepione, czego rezultatem stało się to niebywałe szkaradziństwo.

W drzwiach minęliśmy się z inną parą. Uśmiechnęli się do nas ponuro i rzucili tylko: „Mamy nadzieję, że zabraliście maski”. Właściciele, jak się dowiedzieliśmy, nie dokręcili kranów, toteż pod umywalkami powstały kałuże czarnej pleśni, ale to jeszcze nic. Dom ten był kiedyś o połowę mniejszy i nowe przybudówki przyprawiały o ból głowy: do jedynych drzwi wychodzących na ogród na tyłach domu przechodziło się przez łazienkę, a z kuchnią sąsiedowało pomieszczenie zbyt szerokie, by było korytarzem, ale za małe na pokój. Ten „pokój” z kolei prowadził do owej wieży z sypialnią od strony ogrodu, gdzie na krawędziach sufitu widniały zdumiewające iluzjonistyczne malowidła: spowite w chusty cherubinki dmące wśród strzępiastych chmur w trąbki. Trudno było pojąć, jak można w takim miejscu stworzyć sobie dom, ale i tak przemierzaliśmy cały budynek, chłonąc jego koślawą dziwaczność, jego historię zapisaną w tandetnych rozwiązaniach. Już mieliśmy wychodzić, gdy nasz agent dostrzegł coś, co nam umknęło – na ścianie salonu nabazgrano ołówkiem słowa: TU MIESZKAŁ MORDERCA.

Wrażenie, jakie zrobił na mnie ten dom, nie opuszczało mnie przez kilka tygodni, nawet

gdy zakończyliśmy nasze poszukiwania. (Nie złożyliśmy, co nie dziwi, oferty jego kupna). Zamek Wesołego Morderstwa był niepokojący, niesamowity i miał deprymującą aurę, którą rzadko wyczuwałem w innych budynkach; przyznam, że chwilami kusi mnie, by go nazwać nawiedzonym domem. Opowiadamy sobie historie niesamowite może dlatego, że naprawdę wierzymy w zjawiska paranormalne – a może z tej przyczyny, że potrzebujemy słowa, określenia, opowieści na to niejasne uczucie, którego wyrażenie w inny sposób mogłoby się wydawać niemądre.

Po naszej wyprawie do Zamku Wesołego Morderstwa wygooglowałem jego adres ze słowami „morderca”, „zabójca”, „pedofil”, z każdą kombinacją, jaka przychodziła mi do głowy. Nic nie wyskoczyło. Inaczej niż w Pensylwanii, w Kalifornii agent nieruchomości musi powiadomić klienta, jeśli w ciągu ostatnich trzech lat w domu ktoś zginął – nie dotyczy to jednak mordercy, który tam mieszkał, ale popełniał swe zbrodnie gdzie indziej, ani takiego, którego nigdy nie schwytano. Niewykluczone, jak przypuszczam, że naprawdę mieszkał tam jakiś zabójca. Ale prawda jest zapewne dużo bardziej banalna, bardziej prozaiczna, bardziej gorzka. Właściciele kupili ów dom po zawyżonej cenie przed kryzysem i teraz znaleźli się w tarapatkach; w końcu stracili swój dom jak tysiące innych ludzi. Te naniesione ołówkiem słowa były jak grzyb, prawdopodobnie stanowiły próbę uczynienia nieruchomości jak najmniej atrakcyjną, były jak nóż w plecy banku, który ją przejął. Zmuszeni do opuszczenia domu, pozostawili w nim swoje wspomnienia – zgorzkniałe i mściwe duchy stapiające się z atmosferą melanchoлии i żalu.



Gdzie są teraz, któż to może wiedzieć? Ale to także, można rzec, część amerykańskiej historii, jako że zawsze byliśmy narodem, który prze dalej, zostawiając za sobą ruiny i gruzy. I nadal, choćbyśmy mieli najlepsze intencje, będziemy budować nawiedzone domy i miasta, bo jesteśmy w bezustannym ruchu, tworząc księżycowy pejzaż porzuconych miejsc. Jak raki pustelniki, Amerykanie zwykle opuszczają jeden dom, by przenieść się do następnego, a poprzednie mieszkanie zostaje albo zaadaptowane przez nowych mieszkańców, albo porzucone jak odpad budowlany.

„Opuszciliśmy dolinę, choć nogi wcale nieść nas nie chciały, i przy każdym zakręcie na stromej drodze oglądaliśmy się za siebie, zapewne tak jak nasi pierwsi rodzice, gdy ociągali się z opuszczeniem Edenu”^[311] – pisała korespondentka „Cincinnati Enquirer” w 1875 roku, podpisując swoją relację jedynie imieniem Abigail. Krótki artykuł Abigail, raport z podróży przez wschodnią Kalifornię i góry Sierra Nevada, pozwala spojrzeć na zmieniający się krajobraz niedługo po zakończeniu pierwszego boomu wydobywczego. „Pierwszy lunch zjedliśmy pod olbrzymią sekwoją nazwaną Illinois – kontynuowała Abigail – a potem zjechaliśmy czym prędzej do doliny Stanislaus i przez opuszczone górnicze miasta, widma minionej prosperity, dotarliśmy do Sonory. Okolice jest teraz na lata zrujnowana dla rolnictwa, bo przesiano każdy cal ziemi, ostały się tylko brzydkie sterty kamieni i wypłukanego żwiru. Cena za wydobycie złota była naprawdę wysoka”.

Według oksfordzkiego słownika języka angielskiego właśnie w artykule Abigail po raz pierwszy użyto słowa „widmo” w odniesieniu do wymarłych miast. Wyrażenie „miasto widmo” cieszyło się coraz większą popularnością, zwłaszcza w latach dwudziestych XX wieku, gdy znikwały ostatnie pozostałości kalifornijskiego boomu. W *Here They Dug the Gold* (Tutaj wydobywali złoto), popularnej historii górnictwa w Kalifornii i Nevadzie z 1931 roku, George

F. Willison napisał: „Dzisiaj wszystkie miasta widma roztaczają woń długotrwałych powolnych procesów rozpadu i rozkładu”^[312], utrwalając znaczenie tego zwrotu, który od tamtej pory stał się wszechobecny. Gdy wyludniało się coraz więcej takich miast, ukazując nam dziwny nowy krajobraz, potrzebne było odpowiednie określenie i nasunęło się skojarzenie z duchami.

Naturalnie wiele miast widm utrzymuje, że w nich straszy. Na przykład Garnet w Montanie. Nazwa wzięła się od bogatej żyły złota, której miasto zawdzięczało powstanie. W 1895 roku liczba ludności doszła do tysiąca, ale w ciągu następnych dziesięciu lat zmniejszyła się do niespełna dwustu. W 1912 roku pożar zniszczył dzielnicę handlową, a ostatni mieszkaniec Garnet zmarł w 1947 roku. Pozostawione na pastwę żywiołów ocalałe budynki stopniowo obracały się w ruinę, aż konserwatorzy zabytków wspólnie z urzędem zagospodarowania terenu zabezpieczyli je i otworzyli miasto dla zwiedzających. Kiedy jednak turyści wyjeżdżają, przywołują duchy – tak twierdzi miejscowa historyczka Ellen Baumler. Oficjalnie badaczka w Towarzystwie Historycznym Montany, Baumler pisze w wolnych chwilach książki o historii nawiedzonych miejsc w Montanie i podaje Garnet jako przykład jednego z wielu miast widm zamieszkałych teraz przez zjawy. „Czasem w zimowej ciszy w barze Kelleya brzdąka pianino i duchy tańczą do widmowej muzyki – pisze w *Montana Chillers* (Straszne historie z Montany). – W pustych pokojach rozbrzmiewają męskie głosy. Lecz w chwili, gdy żywa ludzka ręka dotyka budynku, wszelkie odgłosy milkną”^[313].

Miasta widma sprawiają wrażenie nawiedzonych, bo nawet jeśli już nigdy nie zamieszka w nich społeczność żywych, pozostają pełne śladów tych, którzy wiedli w nich swoje życie. Nasza wyobraźnia automatycznie umieszcza w ruinach dusze ludzi, którzy pozostawili po sobie niezatarte ślady, i widma ożywają przy najmniejszej zmianie wiatru, trzasku deski lub głosie zwierzęcia z oddali. Ostatecznie dużo bardziej pocieszająca jest wiara, że ktoś – nawet jeśli ten ktoś już nie żyje – wciąż korzysta z tych chat, barów i sklepów.

Amerykanie nie są jedynym narodem, który zostawia po sobie miasta widma, ale nam wychodzi to szczególnie dobrze, jako że wędrowna natura popycha nas od jednej działki górniczej do drugiej i zostawiamy po sobie niewiele więcej prócz gruzów i drewnianych chat. Opuszczone miasteczka stały się charakterystyczną cechą Dzikiego Zachodu i jego mitologii, a gdy dla krajowego przemysłu nastały ciężkie czasy – także obszarów poprzemysłowych. W pierwszych latach nowego stulecia trzeba się przygotować na przybycie nowych widm tego rodzaju. Ponieważ w miejscach takich jak Manhattan czy San Francisco może zamieszkać najwyżej 0,01 procenta najbogatszych, którzy wypierają stamtąd nawet obsługujących ich ludzi, migracja wewnętrzna będzie postępować i porzucane będą nowe miejsca. W artykule zamieszczonym w 2014 roku w „New York Timesie” zasugerowano, że wraz z nasilaniem się globalnego ocieplenia Amerykanie będą się ewakuować z południowego zachodu do stanów takich jak Maine, Oregon i Alaska^[314]. Uciekając przed katastrofalnymi suszami, przeniesiemy się stopniowo na północ i z czasem Phoenix, Sacramento i Los Angeles mogą się stać nawiedzonymi przez duchy miastami, przywodzącymi na myśl Detroit.

Żyjemy wśród nieumarłych, w miastach pełnych duchów. Budynki, które kiedyś miały swój cel i przeznaczenie – nie tylko domy, ale i banki czy gmachy rządowe – zostały wyzute ze swej dawnej przydatności, a jednak wciąż stoją i straszą. Ci z nas, którzy mogą, wyjeżdżają, przenosząc się do nowych miast w nadziei, że te nie są opanowane przez zmarłych. Pozostali, jak mieszkańcy Hillsdale w stanie Illinois, zostają na miejscu, nękani przez moce silniejsze od nich, spętani przez szaleństwo bogatych, którzy uwolnili jakąś nieopisaną zmołę, przed któ-

raża nie da się uciec.

DUCH W NOWEJ MASZYNIE

Allendale, Kalifornia

Kiedy w 2011 roku Jessamyn West i jej siostra Kate wprowadziły się po śmierci ojca do jego domu w Westport w stanie Massachusetts, nie spodziewały się, że dom będzie nawiedzony. Tom West był informatykiem i programistą, o którym zrobiło się dość głośno, gdy jego osiągnięcia udokumentował Tracy Kidder w nagrodzonej Pulitzerem książce *The Soul of a New Machine* (Dusza nowej maszyny). W publikacji z 1981 roku Kidder prześledził prace Westa i jego zespołu nad nowym komputerem dla Data General: Eclipse MV/8000. Po ukazaniu się książki, która powstała na fali wczesnej rewolucji komputerowej lat osiemdziesiątych, Tom West w oczach wielu stał się symbolem rozkwitającej branży, heroldem wspaniałej, nowej przyszłości.

A mimo to zostawił po sobie duchy. Gdy Jessamyn, która pracuje w bibliotece publicznej, i Kate, urzędniczka administracji w policji stanowej Massachusetts, wprowadziły się do – jak go nazywały – „muzeum taty”, światła zapalały się i gasły bez powodu i ludzkiej interwencji, jak gdyby duch ojca był tam z nimi i krążył po domu, robiąc obchód. Czujnik ruchu zainstalowany na podjeździe włączał się od czasu do czasu, nawet kiedy w pobliżu nikogo nie było, sygnalizując powrót czegoś, co rejestrował tylko on. Jessamyn wyznała mi: „Często mi się wydawało, że dom tęskni za tatą”^[315].

Oczywiście istniało łatwe wyjaśnienie tego wszystkiego, nawet jeśli rozwiązanie do łatwych nie należało. Tom West, zawsze na bieżąco z nowinkami technicznymi, zamontował w domu system automatyki budynkowej X10 i całą serię innych udogodnień, i wszystkie one zostały zaprogramowane w taki sposób, by dostosowywać się do jego rytmu zajęć i wyręczać go w drobnych codziennych czynnościach. W wielu pokojach gniazdko i włączniki światła zostały zastąpione wbudowanymi w ściany terminalami sterowanymi przez plik konfiguracyjny w jego laptopie.

Dom Westa był wczesnym wcieleniem czegoś, co teraz nazywa się „internetem rzeczy”: przyszłością, w której z siecią połączone są przez wi-fi lub Bluetooth nie tylko telefony i komputery, lecz także kontakty, lodówki, alarmy przeciwwłamaniowe i pralki, automatyzując nasze domy na niezliczone sposoby. Internet rzeczy był wciąż na dość wczesnym etapie rozwoju, gdy West w 2010 roku instalował ten system, mógł więc tylko zautomatyzować instalację świetlną i hydrauliczną, ale to całkowicie wystarczyło, żeby po jego śmierci wywołać dziwny i niepokojący efekt.

Jessamyn i Kate zauważyły w pewnym momencie, że rachunki za prąd gwałtownie poszły w górę. Przeszukały dom i znalazły pompę irygacyjną, która włączała się w tajemniczy sposób, mimo że – jak ustaliła Jessamyn – od kilku lat nie działała. W piwnicy uruchamiał się

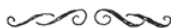
o różnych porach odkurzacz. Woda w spluczkach robiła się z niejasnych powodów gorąca, przez co rozwijały się bakterie, wypełniając łazienki fetorem.

Tego rodzaju dziwne incydenty prowadzą ludzi do przekonania, że dane miejsce jest niewiedzone, lecz w wypadku domu Westów bardziej oczywiste było to, że stopniowo psuł się skomplikowany system elektroniczny, a siostry nie dysponowały schematem, który pozwoliłby im zrozumieć, z czego wynikają usterki. Jessamyn pewnego dnia utknęła w garażu, gdy zdała sobie sprawę, że bramę można otworzyć jedynie pilotem, który się gdzieś zapodział; w końcu musiała ją ręcznie zdemontować. Problem łazienkowy, jak się przekonały, powstał za sprawą pompy wodnej w piwnicy, o której istnieniu – nie mówiąc już o funkcji – nie miały pojęcia do czasu, aż się popsuła.

I chociaż wiedziały, że światło w domu ojca nie jest kontrolowane przez duchy, były z nim kłopoty. Niektóre lampy zaprogramowano w sposób logiczny, na przykład zapalały się o godzinie siedemnastej; inne były dostosowane do indywidualnych zwyczajów Toma – zwyczajów, które nigdy nie zostały wyraźnie opisane w testamencie ani w żaden inny sposób uświadomione jego spadkobierczyniom. Światła gasnące raptownie o dwudziestą drugą miały skłonić Westa do udania się na spoczynek, co było irytujące dla każdego, kto funkcjonował według innego porządku dnia. Na domiar złego awarii uległ twardy dysk w laptopie przechowującym dane, co utrudniało (choć bynajmniej nie uniemożliwiało) przeprogramowanie systemu. Jessamyn i Kate zdebugowały najbardziej kłopotliwe programy i zatrudniły elektryków, żeby zajęli się resztą. I nauczyły się żyć z tym, czego naprawić się nie dało – ganek z tyłu domu wciąż nie ma wyłącznika światła.

Gdy West pracował dla Data General, producenta mikrokomputerów, zasłynął z aforyzmu, który zapisał na białej tablicy w swoim biurze: „Nie wszystko, co warto zrobić, warto zrobić dobrze”. Poproszony przez Tracy’ego Kiddera o wyjaśnienie, odparł: „Jeśli możesz zrobić coś na chybcika i na odwal się, ale skutecznie, to czemu nie?”^[316]. Teraz, po śmierci Westa, jego córki żyją z dziwnymi konsekwencjami tej filozofii zastosowanej w domu, gdzie ekscentryczna i czasem prowizoryczna infrastruktura powoli zaczyna się sypać.

Dom, który kontroluje w zasadzie sam siebie, zautomatyzowany i zaprogramowany, niepotrzebujący ingerencji żywych mieszkańców – w tak dziwnym nowym mieszkaniu można zrozumieć, jak będzie wyglądała przyszłość duchów. Dom został zaprojektowany dla samego Toma Westa – z uwzględnieniem konkretnego rozkładu dnia i przyzwyczajęń, preferencji i upodobań. Po jego odejściu nadal pod wieloma względami szanuje te zachowania, narzucając je nowym mieszkańcom, jak gdyby córki musiały przejąć ojcowskie zwyczaje. A jeśli dom zostanie sprzedany, przyznała Jessamyn, następni lokatorzy będą musieli w ten czy inny sposób dostosować się do tych samych ograniczeń, jako że nie sposób ich całkowicie wyeliminować, chyba że wypruje się całą instalację elektryczną i hydrauliczną. Można powiedzieć, że dom jest przeklęty – ciąży nad nim łagodna klątwa, ale mimo wszystko klątwa. Duch Toma Westa jeszcze długo będzie go zamieszkiwał.



Ray Bradbury wyobraził sobie internet rzeczy w opowiadaniu *Łagodne spadną deszcze* z 1950 roku, które okazało się jednym z najbardziej proroczych utworów literackich w historii. Opisuje dzień ze (sztucznego) życia w pełni zautomatyzowanego domu w roku 2026, w przypuszczalnie fikcyjnym kalifornijskim miasteczku Allendale. Dom wykonuje swoje zadania – zmywa, sprząta pokoje, recytuje poezję – nieświadomy faktu, że jego mieszkańcy, McClella-

nowie, nie żyją, gdyż zginęli w czasie ataku jądrowego. To rzadki przypadek utworu science fiction, który z wyjątkiem kwestii atomowego holokaustu precyzyjnie przewidział przyszłość – zautomatyzowany dom zintegrowany do tego stopnia, że może w zasadzie funkcjonować bez nas. Jeśli jeszcze do tego nie doszliśmy, z pewnością jest to marzenie futurystów, projektantów i reklamodawców i rok 2026 wydaje się całkiem rozsądną datą.

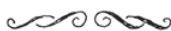
Często traktowany jako opowiadanie science fiction, utwór Bradbury'ego jest jednocześnie historią niesamowitą. Dom, istota w pewnym sensie rozumna, samowolnie podejmuje działania, rzecz nieożywiona ożywa, a jej duchy krążą po domu. „Ze ścian wystrzeliły stoliki do brydza. Karty z trzepotem opadły na sukno w deszczu kolorów i punktów. Na dębowej ławie pojawiły się szklanki martini i kanapki z jajkiem i sałatą. Zabrzmiała muzyka. Lecz nikt nie zasiadł do gry. Karty leżały nietknięte. O czwartej stoliki złożyły się niczym olbrzymie motyle i zniknęły w głębi ścian”^[317]. Bradbury daje nam ten rodzaj domu, jakiego można by się spodziewać po Domu Strachów w Disneylandzie, gdzie przemykają niewidoczne duchy, wyglupiając się i rozrabiając, jak gdyby były wciąż żywymi istotami. Tytuł opowiadania zaczerpnięty został z wiersza Sary Teasdale o tym, że przyroda nie przejmie się naszą zagładą, żaby, ptaki i drzewa nie będą zważać na ostatnie wojny ludzkości, obojętne i nieporuszone naszym końcem – co Bradbury z kolei przenosi jeszcze na technologiczne cuda, które po naszym odejściu nadal będą działać, podobne duchom, ani żywe, ani martwe.

Lecz kto kogo straszy w futurystycznej historii niesamowitej Bradbury'ego? Dom ostatecznie jest w przeważającej mierze samowystarczalny, a prawdziwymi duchami są mieszkańcy, których nie ma. Po McClellanach pozostały jedynie widmowe ślady na zewnętrznych murach:

Na czarnej fasadzie odcinało się pięć białych plam. Oto sylwetka mężczyzny, koszącego trawnik. Obok, jak na fotografii, kobieta schyla się, aby zerwać kwiatek. Jeszcze dalej widniały kolejne postaci, na zawsze utrwalone w drewnie w jednej potwornej chwili – mały chłopczyk, unoszący ręce; nad nim – kula ciśniętej piłki, a naprzeciwko dziewczynka, gotowa złapać piłkę, która nigdy nie dotknęła ziemi.

Tych pięć plam farby – mężczyzna, kobieta, dzieci, piłka – to wszystko, co zostało z dawnej białej ściany. Reszta zmieniła się w cienką warstwę węgla i żużlu^[318].

Nie żyjąc już w jego murach, McClellanowie nawiedzają własny dom. Ich życie, hobby, relacje, zawody, pragnienia i zamiłowania są widoczne w jego wnętrzach, oni sami jednak – nie. Prawdziwym bohaterem opowiadania pozostaje dom, a my obserwujemy jego walkę o życie, gdy dawni lokatorzy są już tylko widmami nawiedzającymi jego mury. I w tym aspekcie Bradbury też może dokonał pewnego odkrycia: z nastaniem internetu rzeczy to nie automatyczne domy będą nawiedzone, tylko my sami staniemy się duchami, jedynie gośćmi uzależnionymi od czegoś, co kiedyś symbolizowało poczucie bezpieczeństwa.



Co nie oznacza bynajmniej, że nie ma naukowców, którzy nie próbują uwolnić nas raz na zawsze od wiary w duchy, dowieść, że są one tylko fantazmatem, z łatwością odtwarzalnym w laboratorium. W 2014 roku badacze w szwajcarskiej École Polytechnique Fédérale de Lausanne odkryli, jak wyprodukować duchy, sugerując tym samym, że tak naprawdę żyją one tylko w naszych głowach. Uczestnik eksperymentu sterował ręcznie robotem, który był ustawiony za nim i na komendę badanego miał dotknąć jego pleców^[7*]. Czasem robot wykonywał

polecenie od razu, czasem z niewielkim opóźnieniem. Dezorientacja wywołana oczekiwaniem na reakcję i lekką zwłoką zaburzała poczucie własnego układu czuciowo-ruchowego na tyle, że badani myśleli, że ktoś inny ich dotyka – co wywoływało w nich „poczucie czyjejś obecności”: ducha za plecami, którego tam nie było.

„Mózg posiada kilka wyobrażeń przestrzennych ciała – wyjaśniał badacz Giulio Rognini. – W normalnych warunkach potrafi wytworzyć z nich jednorodną percepcję swego «ja». Gdy jednak system szwankuje z powodu choroby – albo, jak w tym wypadku, robota – może to doprowadzić do wytworzenia drugiego wyobrażenia własnego ciała, które nie jest już postrzegane jako «ja», lecz ktoś inny, czyjaś «obecność»”^[319]. Dla sceptyków badania tego typu mogą być potężną amunicją w próbach przekonania tych, którzy „coś poculi”, że tak naprawdę zwiódł ich własny umysł.

Ale choć nauka pomaga wyjaśnić, w jaki sposób mózg wyczarowuje duchy, nie wytłumaczy ich znaczenia w naszym życiu i w niewielkim stopniu przyczyni się do podkopania naszej wiary w nie. Bo wprawdzie technologie komunikacyjne poczyniły olbrzymie postępy od czasów, kiedy telegrafia inspirowała spirytystów, wciąż jednak mamy do czynienia z takimi samymi usterkami lub „chochlikami”. Filmy na YouTube z często niską rozdzielczością, wadliwym czasem naświetlania i innymi niedociągnięciami niektórym wydają się dowodami na istnienie zjawisk paranormalnych. Węszyciele spisków i ci, którzy szukają dowodów na istnienie duchów, przeglądają filmiki w internecie, by przeanalizować takie zakłócenia. Wideo pod tytułem „Spójrzcie na jej twarz, groza”, na którym twarz młodej japońskiej uczennicy powoli zmienia rysy, ma ponad 16 milionów wyświetleń^[320].

Wręcz przeciwnie, skoro technologia zmienia nasz świat w takim tempie, że ledwo można za nią nadążyć, będzie on, być może, nawiedzany przez duchy coraz bardziej. Weźmy na przykład dobrze znane zjawisko „doliny niesamowitości” (ang. *uncanny valley*): gdy wygenerowane komputerowo obrazy w coraz większym stopniu przypominają człowieka, paradoksalnie robią wrażenie bardziej, nie mniej, odpychających. Im większe podobieństwo do ludzi, tym bardziej drobne niedoskonałości – martwy wyraz oczu, nerwowe ruchy – stają się zauważalne i irytujące. Przyjmuje się, że ów problem, znany nam już od lat siedemdziesiątych, jako pierwszy steoretyzował japoński konstruktor robotów Masahiro Mori, jednak koncepcja zyskała na popularności dopiero w nowym stuleciu, kiedy animacja cyfrowa rozwinęła się na tyle, by problem ten stał się rzeczywistością. I chociaż od chwili, kiedy go zdiagnozowano, projektanci i animatorzy poczynili postępy, dolina niesamowitości ujawnia, że innowacje technologiczne często tworzą duchy tak szybko, jak je rozwiewają.

Duchy towarzyszą nam niezmiennie między innymi dlatego, że stanowią przekonujący mechanizm, który wyjaśnia wiele z tego, co jest w naszym życiu niewiadomą. Raz za razem stają się częścią naszego leksykonu, by wyjaśnić niewyjaśnione, wyrazić niewyraźne, nazwać to, czego nie rozumiemy. Jeśli naukowcy, w co szczerze wierzą, wyrugują z naszego życia duchy, będziemy musieli je zastąpić innym kulturowym dyskursem, który zaproponuje równie sensowny sposób zrozumienia śmierci i przeszłości.

Dochodzą do tego serwisy społecznościowe, również mające swój udział w tworzeniu widm. Przez kilka miesięcy w 2009 roku Facebook nakłaniał mnie do nawiązania kontaktu z pewną znajomą, z którą od dawna nie rozmawiałem – ale namawiał mnie do rzeczy niemożliwej, jako że ta znajoma zmarła kilka miesięcy wcześniej. Na widok jej profilu ukazującego się od czasu do czasu na moim Facebooku zawsze robiło mi się przykro, szczególnie że algorytmy tego serwisu nie zdołały ustalić (i najwyraźniej nie były tym zainteresowane), że moja

znajoma nie żyje. Ponieważ nasze życie w internecie trwa nadal po naszej śmierci (chyba że się zostawi specjalne dyspozycje, by je dezaktywować) i ponieważ serwisy społecznościowe wymuszają ciągłą aktywność, ci, którzy od nas odeszli, stają się cyberwidmami.

Takie powroty zmarłych zdarzają się częściej, niż nam się wydaje, a konsekwencje bywają deprymujące. Zdjęcia Rehtaeh Parsons, siedemnastoletniej Kanadyjki, która popełniła samobójstwo po skierowanej przeciwko niej kampanii cyberprzemocy, zaczęły się pojawiać po jej śmierci w reklamach internetowych: „Poznaj młode Kanadyjki gotowe na przyjaźń, randkę albo związek. Zarejestruj się już teraz!” – zachęcały^[321]. Algorytm, który przesiał internet, przechwycił te zdjęcia i wykorzystał je do reklamy, nie miał pojęcia – nie został tak zaprogramowany – o życiu Parsons, jej historii i śmierci ani o tym, jak bardzo nagle pojawienie się jej wizerunku może być traumatyczne dla tych, którzy nieoczekiwanie się z nim zetkną. W ten sposób będą nas nawiedzać duchy w nadchodzących latach: poprzez niezamierzony powrót zmarłych za sprawą stron internetowych i algorytmów, które nie są jeszcze zaprojektowane w taki sposób, by zostawić ich w spokoju.

Serwisy społecznościowe typu Facebook, Twitter i Instagram pod wieloma względami zastąpiły (a przynajmniej uzupełniły) kawiarnie, parki i bary, gdzie się spotykamy; nic dziwnego zatem, że one też zapełniły się duchami. Miejsca materialne uważa się za nawiedzone ze względu na skrzypiące drzwi, dziwne konstrukcje i inne architektoniczne osobliwości, które w naszych umysłach przeistaczają się w zjawiska paranormalne. W sieci to również kwestia architektury: kodów i algorytmów o niezamierzonych konsekwencjach, zdolnych wywoływać nieoczekiwane koszmary niczym przyprawiający o ciarki korytarz. I tak jak w wypadku architektury materialnej, jest mało prawdopodobne, byśmy kiedykolwiek całkowicie pozbyli się „ducha z maszyny”; w końcu kodowanie też jest dziełem człowieka i podobnie jak architektura pozostaje uzależnione od tysiąca zmiennych, nad którymi nigdy nie da się w pełni zapanować.

Wiara w duchy (lub jej brak) ostatecznie odzwierciedla nasz stosunek do śmierci. Ci z nas, którzy lękają się własnej śmiertelności, często znajdują pocieszenie w wierze w życie pozagrobowe i – paradoksalnie – w wynikającym z niej przekonaniu, że jeśli nie oplakujemy zmarłych jak należy, mogą wrócić, żeby nas straszyć. Jeżeli nie będziemy umieli projektować naszych cyfrowych świątyń przyszłości w taki sposób, ażeby wziąć pod uwagę zmarłych, możemy się spodziewać ich powrotu, a ten będzie i zaskakujący, i poruszający.



Historie niesamowite pokazują, jak radzimy sobie – lub nie – z tym, co było, jak przetwarzamy informacje, jak opowiadamy o przeszłości i jak próbujemy wypełnić luki w historii. Podczas rozmowy o Thelmie Taylor Erik Meharry wspomniał, że być może w przyszłości rzadziej będziemy spotykać duchy tego rodzaju, zwyczajnie dlatego, że jesteśmy zalewani wiadomościami, zwłaszcza o makabrycznych morderstwach i innych tragediach, które zazwyczaj stanowią źródło historii niesamowitych. Jak powiedział mi Meharry, brak informacji to część recepty na opowieść, a dzisiejsze wszechobecne wiadomości – nieskończony internetowy strumień aktualizacji, plotek i postów – sprawiają, że coraz trudniej o atmosferę tajemnicy. „Informacje – skwitował – zabijają opowieści niesamowite”.

Gdy go zapytałem, czy to dobrze, czy źle, odpowiedział: „Nie wiem. Romantyczna wizja samotnej istoty, która gdzieś straszy, powoli zanika [...]. Sama ta wizja najwyraźniej staje się duchem”.

A jednocześnie zalew informacji i ogrom dowodów tworzą tyle samo luk, ile wypełniają, wywołując oszałamiającą kakofonię. Nigdy nie uzyskamy pełnego obrazu, zwłaszcza mając do czynienia z sytuacjami o wielkiej emocjonalnej złożoności. Możemy się na przykład spodziewać, że duchy nadal będą towarzyszyć narodowym tragediom – zjawy takie jak tajemnicza kobieta, którą widziano na wysypisku Fresh Kills w stanie Nowy Jork w dniach po 11 września 2001 roku^[322]. Ubrana w strój pielęgniarki Czerwonego Krzyża z czasów drugiej wojny światowej, z tacą pełną kanapek, ukazała się kilku osobom, które twierdziły, że widziały ją z oddali, a gdy próbowały do niej podejść – znikła.

Poza tym nawet gdybyśmy mogli się pozbyć duchów raz na zawsze, za bardzo ich potrzebujemy. Narracja o duchach jest sposobem radzenia sobie z tym, co nieznane, i jeśli czasem wymaga od nas, byśmy przymknęli oko na prawdę, możliwe, że to cena, jaką jesteśmy gotowi zapłacić. Pod pewnymi względami nie chcemy wiedzieć za dużo, bo cokolwiek się stanie, i tak tego nie odczarujemy – duchy są dla nas zbyt ważne.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez pomocy wielu osób. Podziękowania kieruję więc do tych wszystkich, którzy podzielili się ze mną historiami o duchach albo wskazali nawiedzony dom, hotel, więzienie, park, cmentarz bądź inne miejsce. Jestem też wdzięczny wszystkim moim towarzyszom różnych wypraw i polowań na duchy, a są to w szczególności: Elise Blackwell, Emily Mandel, Elizabeth Harper, Chelsey Johnson, Eric Bebernitz, Alex Dickey, Karl Erickson i Gretchen Larsen. Podziękowania należą się też wszystkim łowcom duchów, historykom i przewodnikom, którzy odbyli ze mną rozmowy do tego projektu. Szczególnie pomogli mi Robert Kirkbride, Michele Yu, Kim Cooper, Richard Schave, Ben Miller, Margaret McGovern, Erik Meharry i Jessamyn West – ich pomysły pozwoliły mi uzyskać konieczną perspektywę w trakcie pracy nad niniejszą książką. Specjalne podziękowania kieruję pod adresem Paulette Jarrett za podzielenie się ze mną swoimi opowieściami.

Suzanne Fischer pomogła mi opracować konstrukcję i format tej książki w czasie naszych pierwszych rozmów i jestem jej wdzięczny za sugestie i przyjaźń. Ta książka zawdzięcza też bardzo wiele moim rozmowom z Michelle Legro, Franzem Potterem, Karą Thompson i Evanem Kindleyem. Specjalne podziękowania składam Liberty Hardy za jej niezachwiane wsparcie dla tego projektu i ogólnie za to, jak wspierała jest osobą. Podziękowania dla Brenny Murray za pomoc w gromadzeniu materiałów.

Część pomysłów do tej książki została opracowana w formie wykładów, które wygłosiłem w Machine Project w Los Angeles, Acme Studio w Brooklinie, Odd Salon w San Francisco i Death Salon Philadelphia w Mütter Museum. Dziękuję kierownictwu i pracownikom tych instytucji, szczególnie Markowi Allenowi, Annetcie Black i Rachel James. Dziękuję Danowi Piepenbringowi z „Paris Review” i Jane Friedman z „Virginia Quarterly Review” za opublikowanie esejów, które stały się później częścią tej książki. Podziękowania także dla Freda Rameya i całej ekipy Unbridled Books.

Miałem to wielkie szczęście, że mogłem otoczyć się pisarzami, artystami i naukowcami, którzy od samego początku czuwali nad tym projektem. Podziękowania dla Tracy Hurley Martin, Joanny Ebenstein, Tonyi Hurley, Laetitii Barbier i Cristiny Predy z Morbid Anatomy Museum – bez nich wszystkich ta książka nigdy by się nie ukazała. Podziękowania także dla Caitlin Doughty, Megan Rosenbloom, Sarah Troop i wszystkich z Bractwa Dobrej Śmierci za bezustanne wsparcie i inspirację. Szczególnie dziękuję cudownym pracownikom Betalevel: Jasonowi Brownowi, Heather Parlato, Seanowi Deyoe, Amarowi Ravvie, Dave’owi Engowi, Arianie Kelly i Aminie Cain.

Pisarz nie mógłby sobie wymarzyć lepszej agentki niż Anna Sproul-Latimer, której entuzjazm dla tego projektu, a także wiedza i wnikliwość sprawiły, że ta książka ostatecznie powstała. Odczuwam wielką wdzięczność za wsparcie otrzymane od niej i wszystkich w Ross Yoon Agency. Moja redaktorka w wydawnictwie Viking, Melanie Tortoroli, dopracowała i udoskonaliła rękopis, który dzięki niej stał się o wiele lepszy. Moje podziękowania niech przyjmą także wszyscy w Vikingu, którzy włożyli dużo pracy w wydanie tej książki.

Dziękuję rodzicom za to, że zabrali mnie tyle razy na zwiedzanie domu pani Winchester,

gdy byłem dzieckiem, i za wspieranie mojej młodszej obsesji na punkcie Stephen Kinga. Przede wszystkim zaś dziękuję Nicole za to, że zaszła ze mną tak daleko, nie bacząc na wszystkie dziwactwa, i że dzięki niej ta podróż była tak ekscytująca.

PRZYPISY

OD AUTORA / WPROWADZENIE. ANATOMIA NAWIEDZENIA

- [1] James Boswell, *Żywot doktora Samuela Johnsona*, przeł. Tadeusz Jan Dehnel, Warszawa 1962, s. 224.
- [2] Historie niesamowite z muzeum Merchant's House zostały zebrane przez Anthony'ego Bellova w: *Some Say They Never Left. Tales of the Strange and Inexplicable at the Merchant's House Museum*, New York 2007. Wszystkie cytaty – jeśli nie zaznaczono inaczej – w tłumaczeniu własnym.
- [3] Pliniusz Młodszy, *Listy*, t. 2, przeł. Roman Ziolecki, Wrocław 1837, s. 263.
- [4] Tamże, s. 265.
- [5] Lee Spiegel, *Spooky Number of Americans Believe in Ghosts*, „Huffington Post”, 8 lutego 2013.
- [6] Historię muzeum Merchant's House najlepiej przedstawiono w: Mary L. Knapp, *An Old Merchant's House. Life at Home in New York City, 1835–65*, New York 2012.
- [7] O pałacach pamięci zob. Frances A. Yates, *The Art of Memory*, London 2001.
- [8] Thomas W. Laqueur, *The Work of the Dead. A Cultural History of Mortal Remains*, Princeton 2015, s. 69.
- [9] Zob. Judith Richardson, *Possessions. The History and Uses of Haunting in the Hudson Valley*, Cambridge 2003, s. 103–109.
- [10] Zob. Dennis William Hauck, *Haunted Places. The National Directory*, New York 2002, s. 297.
- [11] Sigmund Freud, *Introductory Lessons on Psycho-Analysis*, na j. angielski przeł. James Strachey, New York 1989, s. 29.
- [12] Cyt. za: Tiya Miles, *Tales from the Haunted South. Dark Tourism and Memories of Slavery from the Civil War Era*, Chapel Hill 2015, s. 10.

I. NIESAMOWITE

- [13] Shirley Jackson, *Nawiedzony Dom na Wzgórzu*, przeł. Maria Streszewska-Hallab, Zakrzewo 2018, s. 44.
- [14] Sigmund Freud, *Niesamowite*, [w:] tegoż, *Pisma psychologiczne*, przeł. Robert Reszke, Warszawa 1997, s. 235.
- [15] Tamże.
- [16] Gaston Bachelard, *The Poetics of Space*, na j. angielski przeł. Maria Jolas, Boston 1994, s. 68. Cytowane fragmenty z j. francuskiego przeł. Sławomir Królak (*La poétique de l'espace*, 1958).

- [17] Tamże, s. 136.
- [18] Tamże, s. 6.
- [19] Władimir Nabokov, *Przejrzystość rzeczy*, przeł. Ariadna Demkowska-Bohdziewicz, Warszawa 1982, s. 17.
- [20] Nathaniel Hawthorne, *Mosses from an Old Manse*, New York 2003, s. 14.
- [21] Cyt. za: James R. Mellow, *Nathaniel Hawthorne in His Time*, Baltimore 1998, s. 175.
- [22] Nathaniel Hawthorne, *Dom o Siedmiu Szczytach*, przeł. Bronisława Bałutowa, Warszawa 1982, s. 9.
- [23] Tamże, s. 96.
- [24] Lorinda R.R. Goodwin, *Salem's House of the Seven Gables as Historic Site*, [w:] Dane Anthony Morrison, Nancy Lusignan Schultz (red.), *Salem. Place, Myth, and Memory*, Boston 2015, s. 300.
- [25] Relacje ze spotkań z duchami w Domu o Siedmiu Szczytach zebrano na niedziałającej już dziś stronie www.graveaddiction.com (przyp. red.).
- [26] Nathaniel Hawthorne, *Dom...*, dz. cyt., s. 6.
- [27] Tamże, s. 202.
- [28] Istnieje wiele opisów wydarzeń w Salem w 1692 roku. Dwa źródła, które uznałem za najbardziej pomocne, to: Mary Beth Norton, *In the Devil's Snare. The Salem Witchcraft Crisis of 1692*, New York 2003; Bernard Rosenthal, *Salem Story. Reading the Witch Trials of 1692*, Cambridge 1993.
- [29] Cyt. za: Bernard Rosenthal, dz. cyt., s. 195.
- [30] Nathaniel Hawthorne, *Dom...*, dz. cyt., s. 13. Zob. też Bernard Rosenthal, dz. cyt., s. 87.
- [31] Cyt. za: Bernard Rosenthal, dz. cyt., s. 87.
- [32] Zob. Thomas Hutchinson, *The History of Massachusetts from the First Settlement Thereof in 1628, Until the Year 1750*, Boston 1795, s. 256.
- [33] Caroline O. Emmerton, *The Chronicles of Three Old Houses*, Salem 1985, s. 29.
- [34] Tamże, s. 34.
- [35] Tamże, s. 29.
- [36] Tamże, s. 18.
- [37] Tamże, s. 15–16.
- [38] Tamże, s. 39.
- [39] Tamże, s. 38.
- [40] W ustawie z 1957 roku wymieniono jedynie Ann Pudeator oraz „pewne inne osoby”; dopiero w roku 2001 oczyszczono nazwiska ostatnich pięciu kobiet. Zob. *Massachusetts Clears 5*

from Salem Witch Trials, „New York Times”, 2 listopada 2001.

[41] Zob. Frances Hill, *Salem as Witch City*, [w:] Dane Anthony Morrison, Nancy Lusignan Schultz (red.), dz. cyt., s. 283–298.

[42] J.K. Rowling, *History of Magic in North America. Piece Two, Seventeenth Century and Beyond*, www.pottermore.com (dostęp: 1.12.2015).

[43] Mary Beth Norton, *In the Devil's Snare. The Salem Witchcraft Crisis of 1692*, New York 2003, s. 226.

[44] Nathaniel Hawthorne, *Main Street*, [w:] tegoż, *Tales and Sketches*, New York 1982, s. 1028.

[45] Zob. Tiya Miles, *Tales from the Haunted South. Dark Tourism and Memories of Slavery from the Civil War Era*, Chapel Hill 2015, rozdz. 2.

[46] Frances Kermeen, *The Myrtles Plantation. The True Story of America's Most Haunted House*, New York 2005 (pomimo tego podtytułu na stronie redakcyjnej książki klasyfikuje się ją jako fikcję literacką).

[47] Jay Anson, *The Amityville Horror*, New York 2005, s. 122.

[48] Zob. William Grimes, *Hans Holzer, Ghost Hunter, Dies at 89*, „New York Times”, 28 kwietnia 2009.

[49] Zob. Ric Osuna, *The Night the DeFeos Died. Reinvestigating the Amityville Murders*, Bloomington 2002.

[50] Zob. Renée Bergland, *The National Uncanny. Indian Ghosts and American Subjects*, Hanover 2000, s. 162–169.

[51] Stephen King, *Smętarz dla zwierzaków*, przeł. Paulina Braiter, Warszawa 2019, s. 33.

[52] Tamże, s. 259.

[53] Tamże, s. 275.

[54] Frances Kermeen, dz. cyt., s. 2.

[55] Cyt. za: Richard Campanella, *Bienville's Dilemma. A Historical Geography of New Orleans*, Lafayette 2008, s. 78.

[56] Zob. Michael F.P. Doming, *The Tale of the Tunica Treasure*, „Harvard Crimson”, 13 października 1983.

[57] *Court Denies Claim to Items Found on Indian Burial Site*, „New York Times”, 31 grudnia 1986.

[58] Najlepszą biografią Sarah Winchester jest książka Mary Jo Ignoffo, *Captive of the Labyrinth*, Columbia 2010.

[59] Fragment *Nawiedzonego Domu na Wzgórzu* Shirley Jackson w przekł. Marii Streszewskiej-Hallab, Zakrzewo 2018.

[60] Steven Henry Madoff, *Guns and Ghosts. The Winchester Witch Project*, „New York Times”, 27 lutego 2005.

[61] Fragment komunikatu prasowego *Rose Red: The Stephen King Mini-Series on ABC Inspired by a Real-Life Ghost Story*, 27 stycznia 2002, www.winchestermysteryhouse.com (dostęp: 1.12.2016).

[62] Zainteresowanych historią firmy Winchester Repeating Arms Company odsyłam do książki R.L. Wilsona *Winchester. An American Legend*, New York 2004.

[63] Susan Craddock, *City of Plagues. Disease, Poverty, and Deviance in San Francisco*, Minneapolis 2000, s. 25.

[64] Tamże, s. 23.

[65] Cyt. za: Linda S. Larson, *San Jose's Monument to Progress. The Electric Light Tower*, San Jose 1989, s. 9.

[66] Cyt. za: Kevin Starr, *Americans and the California Dream. 1850–1915*, New York 1973, s. 110.

[67] List Sarah Winchester do Jennie Bennett, 11 czerwca 1898, archiwum rodziny Bennettów, Connecticut Historical Society.

[68] List Sarah Winchester do Jennie Bennett, 14 maja 1898, tamże.

[69] Sara Holmes Boutelle, *Julia Morgan, Architect*, New York 1988, s. 30.

[70] Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*, przeł. Antoni Kazanowski, Warszawa 2018, s. 63.

[71] *Strange Story: A Woman Who Thinks She'll Die When Her House Is Built*, „San Jose Daily News”, 29 marca 1895.

[72] Zob. Samuel Rezneck, *Unemployment, Unrest, and Relief in the United States During the Depression of 1893–97*, „Journal of Political Economy” 1961, nr 4, s. 324.

[73] Cyt. za: David A. Zimmerman, *Panic! Markets, Crises, and Crowds in American Fiction*, Chapel Hill 2006, s. 65.

[74] H.P. Robinson, *The Humiliating Report of the Strike Commission*, „Forum”, (wrzesień 1894 – luty 1895), nr 18, s. 523, cyt. za: Samuel Rezneck, dz. cyt., s. 335.

[75] *Only Gossip. No Truth in the Story of the Winchester Palace*, „San Jose Evening News”, 11 października 1897.

[76] Mary Jo Ignoffo, dz. cyt., s. 206.

[77] „Oregon Daily Journal”, 3 listopada 1924.

[78] Cyt. za: Mary Jo Ignoffo, dz. cyt., s. 165.

[79] *Brown's Free Hall – Inspiration and Will*, „Banner of Light”, 18 stycznia 1879.

[80] Powstało wiele wartościowych książek poświęconych siostrze Fox, zob. np. Frank Podmore, *Modern Spiritualism. A History and a Criticism*, t. 1 i 2, London 1902 (zwłaszcza t. 2).

[81] Tamże, t. 1, s. 181.

[82] John Dix, *Transatlantic Tracings*, London 1853, s. 244.

- [83] Cyt. za: Daniel Conway Moncure, *Emerson at Home and Abroad*, London 1883, s. 189.
- [84] Ralph Waldo Emerson, *The Journals and Miscellaneous Notebooks of Ralph Waldo Emerson, 1854–1861*, red. Susan Sutton Smith, Harrison Hayford, Cambridge 1978, s. 254.
- [85] Tenże, *Success*, [w:] tegoż, *The Complete Works of Ralph Waldo Emerson*, t. 7, red. Edward Waldo Emerson, New York 1904, s. 290.
- [86] Tenże, *Nominalist and Realist*, [w:] tegoż, *Essays and Lectures*, New York 1983, s. 584.
- [87] O zmieniającej się społecznej roli zwłok zob. Ruth Richardson, *Death, Dissection and the Destitute*, London 1988.
- [88] Cyt. za: Ann Braude, *Radical Spirits. Spiritualism and Women's Rights in Nineteenth-Century America*, Bloomington 2001, s. 2. Książka Braude jest znakomitą historią spirytyzmu z rozpoznaniem jego feministycznych korzeni.
- [89] Tamże, s. 3.
- [90] Mary Jo Ignoffo, dz. cyt., s. 209.
- [91] Zob J.C. Loudon, *An Encyclopaedia of Cottage, Farm, and Villa Architecture and Furniture*, London 1846, s. 375–376.
- [92] Christine Winter, *Bull Valley Home Haunted Only by Reputation*, „Chicago Tribune”, 27 września 1995.
- [93] Carri Williams, *The Demon Walking Near the Stickney Mansion*, 13 kwietnia 2011, www.trueghosttales.com/paranormal/the-demon-walking-near-the-stickneymansion (dostęp: 1.12.2016).
- [94] Mother-Earth Prayers, *Spirit House Society*, YouTube, 28 lutego 2011.
- [95] Kathleen Weldon, *Paradise Polled. Americans and the Afterlife*, „Huffington Post”, 17 czerwca 2015.
- [96] O historii rodu Lempów i ich imperium browarnianego można przeczytać w: Rebecca F. Pittman, *The History and Haunting of the Lemp Mansion*, Loveland 2015.
- [97] Zob. tamże, s. 237–239.
- [98] Zob. tamże, s. 347–353.
- [99] Zob. Jeffrey Sconce, *Haunted Media. Electronic Presence from Telegraphy to Television*, Durham 2000.
- [100] Tamże, s. 88, 91.
- [101] Konstantin Raudive, *Breakthrough. An American Experiment in Electronic Communication with the Dead*, New York 1971, s. 2.
- [102] Rebecca F. Pittman, dz. cyt., s. 229–230.
- [103] Zob. Jeannette Cooperman, *The Last Lemp*, „St. Louis Magazine”, 15 maja 2015.

[104] Tamże.

II. PO GODZINACH

[105] Legendy o duchach w hotelu Stanley można znaleźć m.in. w: Sherri Granato, *Haunted America and Other Paranormal Travels*, Bloomington 2015.

[106] Krótka, acz solidna historia hotelu Stanley zawarta jest w: Phyllis Perry, *It Happened in Rocky Mountain National Park*, Guilford 2008, s. 38–41.

[107] Cyt. za: Gary A. Warner, *Guests and Ghosts. Relax at the Colorado Hotel That Inspired The Shining*, „Victorville Daily Press”, 14 grudnia 2002.

[108] Cyt. za: Gregory Lee Sullivan, *Visiting the Oldest Bookstore in America – And Its Resident Ghost*, „Guardian”, 25 lutego 2016.

[109] Zob. Dan Koeppel, *Ghost Sightings Aren't Spooking Sales at Toys „R” Us*, „Chicago Tribune”, 23 czerwca 1991.

[110] Sylvia Browne, *Visits from the Afterlife. The Truth About Haunting Spirits and Reunions with Lost Loved Ones*, New York 2004, s. 75.

[111] Historie o innych sklepach Toys „R” Us, które są rzekomo nawiedzone, zebrano na stronie www.ghosts.org/haunted-toys-r-us-sunnyvale-ca (dostęp: 1.12.2016).

[112] Dokonania Sylwii Browne zostały przeanalizowane w: Joseph Gomes, *Prophet Motive*, „Brill's Content”, 27 listopada 2000.

[113] Sylvia Browne, dz. cyt., s. 76.

[114] Najlepsze zbiory opowieści o duchach straszących w Shockoe Bottom: Pamela Kinney, *Haunted Richmond*, Atglen 2007; Scott Bergman, Sandi Bergman, *Haunted Richmond. The Shadows of Shockoe*, Charleston 2007.

[115] Rozmowa przeprowadzona przez autora 26 kwietnia 2015.

[116] Charles Dickens, *Notatki z podróży do Ameryki*, przeł. Barbara Czerwijowska, Warszawa 1978, s. 152.

[117] Tamże, s. 258.

[118] Tamże.

[119] Frederick Law Olmsted, *A Journey in the Seaboard Slave States, with Remarks About Their Economy*, cyt. za: Jack Trammell, *The Richmond Slave Trade. The Economic Backbone of the Old Dominion*, Charleston 2012, s. 77–78.

[120] Solomon Northup, *Zniewolony. 12 Years a Slave*, przeł. Martyna Plisenko, Zakrzewo 2014, s. 49.

[121] Tamże, s. 51–52.

[122] James B. Simmons, *Lumpkin's Slave Jail*, [w:] Charles H. Corey, *A History of the Richmond*

Theological Seminary. Reminiscences of Thirty Years' Work among the Colored People of the South, Richmond 1895, s. 76.

[123] Ned Sublette, Constance Sublette, *The American Slave Coast. A History of the Slave-Breeding Industry*, Chicago 2015, s. 586.

[124] Scott Bergman, Sandi Bergman, dz. cyt., s. 11.

[125] Tamże, s. 18.

[126] Tamże, s. 11.

[127] O duchu Thomasa Jeffersona można przeczytać w: Charles A. Stanfields, *Haunted Presidents. Ghosts in the Lives of the Chief Executives*, Mechanicsburg 2010.

[128] Cyt. za: Philip J. Schwarz, *Slave Laws in Virginia*, Athens 2010, s. 36.

[129] Tiya Miles, *Tales from the Haunted South. Dark Tourism and Memories of Slavery from the Civil War Era*, Chapel Hill 2015, s. 40.

[130] Cyt. za: Edward E. Baptist, *The Half Has Never Been Told. Slavery and the Making of American Capitalism*, New York 2014, s. 102.

[131] Zob. Vincent Brown, *The Reaper's Garden. Death and Power in the World of Atlantic Slavery*, Cambridge 2008.

[132] Edward E. Baptist, dz. cyt., s. 147.

[133] Toni Morrison, *Umilowana*, przeł. Renata Gorczyńska, Warszawa 2014, s. 12.

[134] Jane Arrington, *Born in Slavery. Slave Narratives from the Federal Writers' Project, 1936–1938*, [w:] *North Carolina Narratives*, t. 11, s. 46.

[135] George Bollinger, *Born in Slavery...*, [w:] *Missouri Narratives*, t. 10, s. 36.

[136] Florida Clayton, *Born in Slavery...*, [w:] *Florida Narratives*, t. 3, s. 62–63.

[137] Thomas Lewis, *Born in Slavery...*, [w:] *Indiana Narratives*, t. 5, s. 126–127.

[138] Isabelle Daniel (*Slave and Negro Lore*), *Born in Slavery...*, [w:] *Missouri Narratives*, t. 10, s. 204.

[139] Silvia Witherspoon (*Foots Get Tired from Choppin' Cotton*), *Born in Slavery...*, [w:] *Alabama Narratives*, t. 1, s. 430–431.

[140] Za: Edward E. Baptist, dz. cyt., s. 148.

[141] Wuj Louis (*Psychology of a Runaway Slave*), *Born in Slavery...*, [w:] *Alabama Narratives*, t. 1, s. 265–266.

[142] Jack Trammell, dz. cyt., s. 116.

[143] Cyt. za: Abigail Tucker, *Digging Up the Past at a Richmond Jail. The Excavation of a Notorious Jail Recalls Richmond's Leading Role in the Slave Trade*, „Smithsonian Magazine”, marzec 2009.

[144] Caitlin Dewey, *Transcript: Lupita Nyong'o's Emotional Oscars Acceptance Speech*, „Washing-

ton Post”, 2 marca 2014.

[145] Historia Belli i Kate jest przedstawiona w różnych źródłach, m.in. w: James Reynolds, *Ghosts in American Houses*, New York 1955; Ken Summers, *Queer Hauntings. True Tales of Gay and Lesbian Ghosts*, Maple Shade 2009.

[146] Rozmowa przeprowadzona przez autora 2 grudnia 2014.

[147] Alexa Albert, *Brothel. The Mustang Ranch and Its Women*, New York 2001, s. 12.

[148] Odcinek *Mustang Ranch* programu *Ghost Adventures*, Travel Channel, 18 października 2013.

[149] Rozmowa przeprowadzona przez autora 1 grudnia 2014.

[150] Cyt. za: Dennis Romero, *Laura Finley's Death at Old Biltmore Hotel in Downtown L.A. Perplexes Investigators. A Commenter Suggests the Place Is Haunted*, „LA Weekly”, 27 października 2010.

[151] Fragmenty *Nawiedzonego hotelu Wilkie'ego Collinsa* w przekł. Jerzego Łozińskiego, *Poznań* 2015.

[152] Rozmowa przeprowadzona przez autora 3 sierpnia 2012.

[153] Rozmowa przeprowadzona przez autora 12 sierpnia 2012.

[154] Zob. Sigmund Freud, *The Uncanny*, na j. angielski przeł. David McLintock, London 2003, s. 124.

[155] Wayne Koestenbaum, *Hotel Theory*, New York 2007, s. 116.

[156] Raymond Chandler, *Czysta robota. Opowiadania*, przeł. Robert Ginalski, Warszawa 1988, s. 78.

[157] Zob. Josh Dean, *American Horror Story: The Cecil Hotel*, www.medium.com/matter/haunted-947d642a6d59 (dostęp: 27.10.2015). Autor opisuje fascynację internautów śmiercią Lam, a także późniejsze śledztwo policyjne.

[158] Cyt. za: Lynnea Chapman King, *The Coen Brothers Encyclopedia*, Lanham 2014, s. 7.

[159] Frederic Jameson, *Postmodernizm, czyli logika kulturowa późnego kapitalizmu*, przeł. Maciej Plaza, Kraków 2011, s. 41.

[160] Charles Willard Moore, *A City Observed, Los Angeles. A Guide to Its Architecture and Landscapes*, New York 1984, s. 16.

[161] LA Ghost Patrol, *LAGP on Fox News 11 at Suicide Bridge*, YouTube, 10 marca 2012.

[162] Rozmowa przeprowadzona przez autora 3 sierpnia 2012.

III. DUCHY PRZESTRZENI PUBLICZNYCH

[163] Lloyd C. Henning, cyt. za: Leland J. Hanchett, *The Crooked Trail to Holbrook. An Arizona Cattle Trail*, Phoenix 1993, s. 217.

[164] Tamże, s. 215.

[165] Obydwa ogłoszenia można znaleźć m.in. tamże, s. 216–217.

[166] „Argus” z Holbrook, 13 stycznia 1900, cyt. za: Linda Kor, *New Marker Recognizes Smiley's Place in Navajo County History*, „Arizona Journal”, 24 lipca 2015.

[167] Zob. Antonio R. Garcez, *Arizona Ghost Stories*, Moriarty 2012.

[168] Biografię pana Shue przedstawia Katie Letcher Lyle, *The Man Who Wanted Seven Wives. The Greenbrier Ghost and the Famous Murder Mystery of 1897*, Charleston 1999.

[169] Tamże, s. 9.

[170] Tamże.

[171] Tamże, s. 118.

[172] *Crain kontra Bodenkircher*, 342 S.E.2d 422, Sąd Najwyższy Wirginii Zachodniej, 1986.

[173] Stan Bumgardner, Christine Kreiser, „*Thy Brother's Blood*”. *Capital Punishment in West Virginia*, „West Virginia Historical Society Quarterly” 1996, t.9 nr 4 i t.10 nr 1, www.129.71.204.160/history/wvhs/wvhs941.html (dostęp: 1.12.2016).

[174] Benjamin Miller. Rozmowa przeprowadzona przez autora 1 listopada 2015.

[175] Margee Kerr, *Scream. Chilling Adventures in the Science of Fear*, New York 2015, s. 54–55.

[176] Tamże, s. 64.

[177] *Report of the Commissioners Appointed to Superintend the Erection of the Eastern Penitentiary, Near Philadelphia, on the Penal Code*, [w:] *The Register of Pennsylvania, Devoted to the Preservation of Facts and Documents, and Every Other Kind of Useful Information Respecting the State of Pennsylvania*, t. 1, red. Samuel Hazard, Philadelphia 1828, s. 264.

[178] Cyt. za: Elmer Barnes, *The Evolution of Penology in Pennsylvania. A Study in American Social History*, Indianapolis 1927, s. 143.

[179] Charles C. Western, *Remarks Upon Prison Discipline*, London 1821, s. 22.

[180] John Wilkes, *Encyclopaedia Londinensis*, t. 21, London 1826, s. 421–422.

[181] O historii kopca Grave Creek od momentu jego odkrycia po teraźniejszość zob. Delf Norona, *Moundsville's Mammoth Mound*, Moundsville 1954.

[182] Tamże, s. 34.

[183] Katie Letcher Lyle, dz. cyt., s. 159.

[184] Cyt. za: Andrew Skull, *Madness in Civilization. A Cultural History of Insanity, from the Bible to Freud, from the Madhouse to Modern Medicine*, Princeton 2015, s. 192.

[185] Tamże, s. 207.

[186] Benjamin Reiss, *Theaters of Madness. Insane Asylums and Nineteenth-Century American Culture*, Chicago 2008, s. 79.

[187] Zob. Carla Yanni, *The Architecture of Madness. Insane Asylums in the United States*, Minneapolis 2007, s. 165.

[188] *The Commonwealth of Massachusetts Annual Report of the Trustees of the Danvers State Hospital for the Year Ending November 30, 1939*, 11, www.abandonedasylum.com/yahoo_site_admin1/as-sets/docs/danvers1939.14582704.pdf (dostęp: 1.12.2016).

[189] Cyt. za: Michael Puffer, *The Lore, and Lure, of Danvers State Hospital*, „Danvers Herald”, 29 października 2003.

[190] Zob. Andrew Scull, *Madhouse. A Tale of Megalomania and Modern Medicine*, New Haven 2005.

[191] Carolyn M. Zimmermann, Ünige A. Laskay, Glen P. Jackson, *Analysis of Suspected Trace Human Remains from an Indoor Concrete Surface*, „Journal of Forensic Sciences”, listopad 2008, t. 53 nr 6, s. 1437–1442.

[192] *The Trial of Ebenezer Haskell, in Lunacy, and His Acquittal Before Judge Brewster, in November, 1868, Together with a Brief Sketch of the Mode of Treatment of Lunatics in Different Asylums in This Coutry and in England*, Philadelphia 1869, s. 43.

[193] Fragmenty opowiadania Edgara Allana Poeo *System doktora Smoły i profesora Pierza* w przekł. Stanisława Wyrzykowskiego, Warszawa 1956.

[194] Rozmowa przeprowadzona przez autora 5 lipca 2015.

[195] William Westhoven, *Greystone Fading into Black*, „Daily Record”, 10 października 2015.

[196] Joseph Addison, „The Spectator”, 13 czerwca 1711, nr 90.

[197] Życie i kariera zawodowa Ravenela zostały omówione w: Lester D. Stephens, *Science, Race, and Religion in the American South. John Bachman and the Charleston Circle of Naturalists, 1815–1895*, Chapel Hill 2000.

[198] Arthur Hobson Quinn, *Edgar Allan Poe. A Critical Biography*, Baltimore 1998, s. 130.

[199] Edgar Allan Poe, *Złoty żuk*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, Warszawa 1995, s. 6.

[200] Tenże, *Miasto w morzu i inne utwory poetyckie*, przeł. Barbara Beaupré, Czerwonak 2018, s. 87.

[201] Edward Hepple Hall, *Appleton's Hand-Book of American Travel*, New York 1866, s. 353.

[202] O historii i ewolucji cmentarzy zob. Colin Dickey, *Necropolis*, „Lapham's Quarterly”, październik 2010, t. 3 nr 4.

[203] Zob. John McManners, *Death and the Enlightenment. Changing Attitudes to Death Among Christians and Unbelievers in Eighteenth-Century France*, Oxford 1985, s. 313.

[204] Zob. Carol Pogash, *Colma, Calif., Is a Town of 2.2 Square Miles, Most of It Six Feet Deep*, „New York Times”, 9 grudnia 2006.

[205] Cyt. za: Christopher Vernon, *Graceland Cemetery. A Design History*, Amherst 2011, s. 26.

[206] Tamże, s. 28.

[207] Wilhelm Miller, tamże, s. 177.

[208] Zwięzłe wyjaśnienie etymologii słów *churchyard* i *cemetery* można znaleźć w: Thomas W. Laqueur, *The Work of the Dead. A Cultural History of Mortal Remains*, Princeton 2015, s. 118–121.

[209] Joseph Story, *An Address Delivered on the Dedication of the Cemetery at Mount Auburn, September 24, 1831*, Boston 1831, s. 14.

[210] Dutton Cook, *On the Stage. Studies of Theatrical History and the Actor's Art*, t. 1, London 1883, s. 224.

[211] Jain Penner, *Legend of Devil Haunts Tiny Towns*, „University Daily Kansan”, 5 listopada 1974.

[212] Tom Ramstack, *Devil Bypasses Cemetery*, „University Daily Kansan”, 22 marca 1978.

[213] Michelle Worrall, *Ghostly Tales Haunt Town's Graveyard*, „University Daily Kansan”, 16 kwietnia 1985.

[214] Cyt. za: Elicia Hill, *Vandalism at Stull's Mythical 'Gate to Hell' Frustrates Residents*, „University Daily Kansan”, 1 listopada 2013.

[215] Tom Dehart, *Rumors, Urban Legends Surround Stull Cemetery*, „University Daily Kansan”, 31 października 2013.

[216] Richard Gintowt, *Hell Hath No Fury*, 26 października 2004, www.lawrence.com (dostęp: 1.12.2016).

[217] O duchu Inez Clarke zob.: Tom Ogden, *Haunted Cemeteries. Creepy Crypts, Spine-Tingling Spirits, and Midnight Mayhem*, Guilford 2010, s. 21; Jeff Morris, Vince Shields, *Chicago Haunted Handbook. 99 Ghostly Places You Can Visit in and Around the Windy City*, Covington 2013, s. 21–22.

[218] Wyczerpującą analizę historii pomnika można znaleźć w: John J. Binder, William G. Willard, *The Mysterious Statue of Inez 'Clarke'*, „Chicago Genealogist” 2011, t. 44 nr 1, s. 3–7.

[219] Opublikowano dużo książek o duchach z bitewnych pól wojny secesyjnej, m.in.: Beth Brown, *Haunted Battlefields. Virginia's Civil War Ghosts*, Atglen 2008; Mark Nesbitt, *Civil War Ghosts Trails. Stories from America's Most Haunted Battlefields*, Mechanicsburg 2012; Daniel Cohen, *Civil War Ghosts*, New York 1999.

[220] Cyt. za: Alan Brown, *Tales from the Haunted South*, Jackson 2004, s. 239.

[221] O powstawaniu cmentarzy upamiętniających poległych w wojnie secesyjnej zob. Drew Gilpin Faust, *This Republic of Suffering. Death and the American Civil War*, New York 2008, rozdz. 7.

[222] James F. Russling, *National Cemeteries*, „Harper's New Monthly Magazine”, sierpień 1866, s. 311–312.

[223] Drew Gilpin Faust, dz. cyt., s. 219.

[224] Thomas W. Laqueur, *The Work of the Dead. A Cultural History of Mortal Remains*, Princeton 2015, s. 54.

[225] Drew Gilpin Faust, dz. cyt., s. 245.

[226] Cyt. za: Gladys-Marie Fry, *Night Riders in Black Folk History*, Chapel Hill 1975, s. 137.

[227] Zob. Wyn Craig Wade, *The Fiery Cross. The Ku Klux Klan in America*, New York 1987, s. 36.

[228] Walter Lynnwood Fleming, *Documentary History of Reconstruction. Political, Military, Social, Religious, Educational & Industrial, 1865 to the Present Time*, t. 2, Cleveland 1907, s. 361.

[229] Gladys-Marie Fry, dz. cyt., s. 137.

[230] Cyt. za: Walter Lynnwood Fleming, dz. cyt., s. 371–373.

[231] Wyn Craig Wade, dz. cyt., s. 33.

[232] Tamże, s. 36–37.

[233] Gladys-Marie Fry, dz. cyt., s. 136.

[234] Edward H. Dixon, *The Terrible Mysteries of the Ku-Klux-Klan*, New York 1868, s. 43.

[235] Gladys-Marie Fry, dz. cyt., s. 73.

[236] GuerillaFims1, *Amateur Ghost Hunting in Cathedral Park*, YouTube, 3 listopada 2010.

[237] Tim Becker, *Thelma Taylor. Phantom in Cathedral Park?*, 29 października 2015, www.koin.com (dostęp: 1.12.2016).

[238] Andy Weeks, *Haunted Oregon. Ghosts and Strange Phenomena of the Beaver State*, Mechanicsburg 2014, s. 20.

[239] Donna Stewart, *Ghosthunting Oregon*, Cincinnati 2014, s. 22.

[240] T.C. Lethbridge, *Ghost and Ghoul*, London 1961, s. 36.

[241] Tamże, s. 151.

[242] Oliver Lodge, *Man and the Universe. A Study in the Influence of the Advance in Scientific Knowledge upon Our Understanding of Christianity*, London 1908, s. 194.

[243] Rozmowa przeprowadzona przez autora 9 marca 2015.

[244] Jim Speirs, *Speaking of Ghosts*, 9 lipca 2010, www.deathinspadesandmore.blogspot.com (dostęp: 1.12.2016).

[245] Rozmowa przeprowadzona przez autora 2 marca 2015.

[246] James W. Loewen, *Lies Across America. What Our Historic Sites Get Wrong*, New York 2000, s. 24.

[247] Tamże.

[248] Jean Baudrillard, *For a Critique of a Political Economy of the Sign*, na j. angielski przeł. Charles Levin, St. Louis 1981, s. 92. Cytowany fragment z j. francuskiego przeł. Sławomir Kró-

lak (*Pour une critique de l'économie politique du signe*, 1972).

[249] Kevin Brockmeier, *Krótko historia umarłych*, przeł. Maciej Świerkocki, Warszawa 2009.

[250] Zob. Jim Speirs, *Speaking of Ghosts*, 9 lipca 2010, www.deathinspadesandmore.blogspot.com (dostęp: 1.12.2016).

[251] Rozmowa przeprowadzona przez autora 10 stycznia 2016.

IV. DAREMNE WSPOMNIENIA

[252] Użytkownik niki-mullins zamieścił na stronie Virtual Tourist taki komentarz: „Niektórzy mówią poza tym, że wodę przekleli Indianie. I jeśli się jej napijesz, utkniesz tu, choćbyś robił wszystko, żeby wyjechać. Co do mnie, to ja się tu nie wychowywałem, DZIĘKI BOGU, ale ta klątwa chyba i tak mnie dotyczy”. Inny użytkownik, matt999tyr, na tej samej stronie potwierdza: „Szczерze mówiąc, nie jestem przesądny ani nic takiego, ale ta klątwa może być prawdziwa. Całkowicie opuściła mnie chęć wyjechania z Binghamton. Nie polecam turystom przyjazdu tutaj”. Zob. www.virtualtourist.com/travel/North_America/United_States_of_America/New_York_State/Binghamton837475/Warnings_or_Dangers-Binghamton-TG-C_1.html (dostęp: 1.12.2016).

[253] Elena Gormley, *Ghost Tours Turn Women's Abuse into Family Friendly Entertainment*, 10 września 2015, www.roadly.vice.com (dostęp: 1.12.2016).

[254] Rozmowa przeprowadzona przez autora 5 listopada 2015.

[255] *Savannah Tour Guides Say City Uses Testing to Control Speech*, Associated Press, 15 sierpnia 2015.

[256] Zob. Tiya Miles, *Tales from the Haunted South. Dark Tourism and Memories of Slavery from the Civil War Era*, Chapel Hill 2015, rozdz. 1.

[257] Jamie Caskey, *Stephen Bader Responds (TAPS at Sorrel-Weed)*, 15 listopada 2005, www.hauntedsavannah.blogspot.com/2015/11/stephe-bared-responds-taps-at-sorrel.html (dostęp: 1.12.2016).

[258] Jeanne deLavigne, *Ghost Stories of Old New Orleans*, Baton Rouge 2013, s. 3.

[259] Lafcadio Hearn, *American Writings*, New York 2009, s. 670.

[260] Tamże, s. 680.

[261] Historia ta jest opisana m.in. w: Jeanne deLavigne, dz. cyt., gdzie nosi tytuł *The Golden Brown Woman*.

[262] Tamże.

[263] Rozmowa przeprowadzona przez autora 4 lutego 2015.

[264] Paul Oswell, *New Orleans Historic Hotels*, Charleston 2014, s. 136.

[265] Najlepsza książka o Lalaurie Mansion i jej niesławnej właścicielce to: Carolyn Morrow Long, *Madame Lalaurie. Mistress of the Haunted House*, Gainesville 2012.

- [266] Henry C. Castellanos, *New Orleans as It Was. Episodes of Louisiana Life*, Baton Rouge 1978, s. 62.
- [267] Carolyn Morrow Long, dz. cyt., s. 79.
- [268] Carolyn Morrow Long, dz. cyt., s. 90.
- [269] Tamże.
- [270] Tamże, s. 91.
- [271] Herbert Asbury, *The French Quarter. An Informal History of New Orleans*, New York 2003, s. 248.
- [272] Jeanne deLavigne, dz. cyt., s. 257.
- [273] Tamże.
- [274] Joseph Roach, *Cities of the Dead. Circum-Atlantic Performance*, New York 1996, s. 33.
- [275] Cyt. za: Anna Hartnell, *Katrina Tourism and a Tale of Two Cities. Visualizing Race and Class in New Orleans*, „American Quarterly” 2009, t. 61 nr 3, s. 725.
- [276] Tamże, s. 723.
- [277] Tamże, s. 732.
- [278] Harriet Martineau, *Retrospect of Western Travel*, t. 1, London 1838, s. 263.
- [279] Tamże.
- [280] George Washington Cable, *The „Haunted House” in Royal Street*, [w:] *Strange True Tales of Louisiana*, New York 1889, s. 195.
- [281] Carolyn Morrow Long, dz. cyt., s. 158.
- [282] Jeanne deLavigne, dz. cyt., s. 13.
- [283] Janet Yee, *Guardsmen Sense Ghostly Presence in New Orleans*, KPIX, CBS5, San Francisco, 23 września 2005.
- [284] Ceci Connolly, *A Grisly but Essential Issue*, „Washington Post”, 9 czerwca 2006.
- [285] Andrew Buncombe, *Hurricane Katrina 10th Anniversary. New Orleans Is Haunted by the Death of Vera Smith*, „The Independent”, 24 sierpnia 2015.
- [286] Sarah Baird, *Review. Charcoal’s Gourmet Burger Bar*, „Gambit”, 13 października 2014.
- [287] Chris Rose, *Vera Smith’s Makeshift Garden District Grave Endures as a Most Unlikely – and Poignant – Katrina Memorial*, „Times-Picayune”, 25 października 2009.
- [288] *Vera Smith’s Death After Hurricane Still Haunts New Orleans Neighborhood*, Associated Press, 19 sierpnia 2015.
- [289] *New Orleans Restaurant Reportedly Haunted by Hurricane Katrina Victim*, 24 sierpnia 2015, www.aol.com (dostęp: 1.12.2016).

[290] Kenny Lopez, *Hurricane Katrina Victim Haunting New Orleans Burger Joint?*, 10 grudnia 2013, www.wgno.com (dostęp: 1.12.2016).

[291] Amy Elliott Bragg, *Hidden History of Detroit*, Charleston 2011, s. 120.

[292] Johann Wolfgang von Goethe, *Den Vereinigten Staaten*, [w:] *Goethes Werke 1. Abteilung*, 5 Band, Tokyo 1975, s. 137. Wiersz z j. niemieckiego przeł. Andrzej Lam.

[293] Walter Benjamin, *Źródło dramatu żałobnego w Niemczech*, przeł. Andrzej Kopacki, Warszawa 2013, s. 234.

[294] Gustave Flaubert, *The Letters of Gustave Flaubert, 1830–1857*, red. i na j. angielski przeł. Francis Steegmuller, Cambridge 1980, s. 71.

[295] William Gilpin, *Observations, Relative Chiefly to Picturesque Beauty, Made in the Year 1772, on Several Parts of England, Particularly the Mountains and Lakes of Cumberland and Westmoreland*, t. 2, London 1808, s. 183.

[296] Denis Diderot, *Salon 1767 roku*, [w:] *Teoretycy, artyści i krytycy o sztuce 1700–1870*, wybór, przedmowa i komentarze Elżbieta Grabska-Wallis, Maria Poprzęcka, przeł. Halina Ostrowska-Grabska, Warszawa 1989, s. 107.

[297] Sarah Boxer, *Even in a Moonscape of Tragedy, Beauty is in the Eye*, „New York Times”, 23 maja 2002.

[298] Cyt. za: Dora Apel, *Beautiful Terrible Ruins. Detroit and the Anxiety of Decline*, New Brunswick 2015, s. 20.

[299] Claire Moore, *Top Ten Most Haunted Places in Michigan*, 20 października 2012, www.awesome-mitten.com/ten-haunted-places-in-michigan (dostęp: 1.12.2016).

[300] Marie Caroline Watson Hamlin, *Legends of Le Détroit*, Detroit 1884, s. 25–30.

[301] Charles M. Skinner, *Myths and Legends of Our Own Land*, Auckland 2013, s. 460.

[302] Thomas J. Sugrue, *Notown. Good News: A Few Hipsters Are Rediscovering Detroit. Bad News: Everything Else*, „Democracy: a Journal of Ideas”, wiosna 2013, nr 28.

[303] Fragmenty *Nawiedzonego Domu na Wzgórzu* Shirley Jackson w przekł. Marii Streszewskiej-Hallab, Zakrzewo 2018.

[304] *The Haunting*, reż. Robert Wise, 1963.

[305] *Stamboyks kontra Ackley*, 169 A.D.2d 254, sekcja apelacyjna Sądu Najwyższego Nowego Jorku, Oddział 1, 1991.

[306] O historii domu w Thornton w stanie Pensylwania zob. Will Hunt, Matt Wolfe, *The Ghosts of Pickering Trail*, „Atavist Magazine”, www.read.atavist.com/the-ghosts-of-pickering-trail (dostęp: 1.12.2016).

[307] Tamże.

[308] *Milliken kontra Jacono*, J-87–2013, Sąd Najwyższy Pensylwanii, 2014.

- [309] Frank Rosario, Chris Perez, Jennifer Gould Kell, *Ghosts Scare Staff Away from Luxury Rental Building*, „New York Post”, 18 maja 2015.
- [310] Lauren Evans, *Anti-Gentrification Ghosts Haunt Luxury Flatbush Development*, „Gothamist”, 19 maja 2015.
- [311] Abigail, *Pacific Coast Letter*, „Cincinnati Enquirer”, 2 lipca 1875.
- [312] George F. Willison, *Here They Dug for the Gold*, New York 1931, s. 71.
- [313] Ellen Baumler, *Montana Chillers. 13 True Tales of Ghosts and Hauntings*, Helena 2009, s. 61.
- [314] Jennifer A. Kingson, *Portland Will Still Be Cool, but Anchorage May Be the Place to Be*, „New York Times”, 22 września 2014.

EPILOG. DUCH W NOWEJ MASZYNIE

- [315] Rozmowa przeprowadzona przez autora 3 stycznia 2016.
- [316] Tracy Kidder, *The Soul of a New Machine*, New York 1981, s. 119.
- [317] Ray Bradbury, *Łagodne spadną deszcze*, [w:] tegoż, *Kroniki marsjańskie*, przeł. Paulina Braiter, Paweł Ziemkiewicz, Kraków 2004, s. 201.
- [318] Tamże, s. 200.
- [319] Sheila M. Eldred, *Do Ghosts Live In Our Brains?*, „Discovery News”, 6 listopada 2014.
- [320] Zob. Matthew Battles, *Distributed Ghosts in the Machine*, „The Atlantic”, 28 marca 2011.
- [321] Katherine Jacobsen, *Facebook Mystery. How Did Rehtaeh Parsons Image End Up on Dating Ad?*, „Christian Science Monitor”, 18 września 2013.
- [322] Patricia Pearson, *The 9/11 Survivors Who Were Guided to Safety by Spirits*, „Daily Mail”, 19 maja 2014.

CZĘŚĆ I

[1*] Pas rdzy (ang. *rust belt*) – tereny na północnym wschodzie USA, gdzie pozostało wiele zamkniętych i opuszczonych zakładów przemysłu ciężkiego (przyp. tłum.).

[2*] Zimna strefa (ang. *cold spot*) – w terminologii poszukiwaczy duchów obszar o niższej temperaturze względem otoczenia, mający stanowić manifestację paranormalnej aktywności, jako że duchy, aby się ukazać lub w inny sposób zasygnalizować swoją obecność, muszą pobrać energię ze świata materialnego (przyp. tłum.).

[3*] EVP (ang. *Electronic Voice Phenomena*) – elektroniczne zjawiska głosowe, nagrania dźwięków niewiadomego pochodzenia (przyp. tłum.).

[4*] Jak podaje *Oxford English Dictionary*, używane w tym znaczeniu słowo *haunting* wyprzeżdża o kilka stuleci skojarzenia z duchami, gdyż dopiero w czasach Szekspira zaczyna się nim określać odwiedziny z zaświatów.

[5*] Postać z filmu *Łśnienie* Stanleya Kubricka z 1980 roku, grana przez Danny'ego Lloyda (przyp. tłum.).

[6*] Kolej podziemna (ang. *Underground Railroad*) – umowna nazwa sieci wspierającej zbiegłych niewolników w USA w XIX wieku, zorganizowanej przez abolicjonistów i składającej się ze szlaków ucieczek, kryjówek, domów oferujących pomoc itp. (przyp. tłum.).

[7*] Wiccane – współcześni neopoganie otaczający kultem bóstwa politeistyczne i praktykujący magię (przyp. tłum.).

[8*] Kowen (gaelicki szkocki) – zgromadzenie, tu: grupa wyznawców wicca lub innej religii neopogańskiej, zwykle działająca w tej samej miejscowości lub w danym regionie (przyp. tłum.).

[9*] Konflikt zbrojny między anglosaskimi kolonistami a plemionami Indian pod wodzą Metacometa (zwanego przez Anglików „królem Filipem”), toczony w Nowej Anglii w latach 1675–1676 (przyp. tłum.).

[10*] Euthanasia Meade była postacią autentyczną i prowadziła praktykę lekarską w San Jose, zmarła jednak w 1895 roku, a zatem przeszło ćwierć wieku przed Sarah Winchester (przyp. tłum.).

[11*] Jak to ujął Jeffrey Sconce, medioznawca: „Trudności tego typu świadczą albo o autentycznym skomplikowaniu tajemniczej łączności z duchami, albo o tym, na ile Raudive musiał pójść na ustępstwa, żeby przekonać samego siebie o jej istnieniu” (Jeffrey Sconce, dz. cyt., s. 87).

[12*] Do moich ulubionych filmów tego gatunku należy *De Lift* z 1983 roku, holenderski horror o nawiedzonej morderczej windzie z hasłem reklamowym „Skorzystaj ze schodów, skorzystaj ze schodów. Na litość boską, wybierz schody!”.

CZĘŚĆ II

[1*] Jak zauważa historyk Philip J. Schwarz, Jefferson „wierzył, że zgadzanie się na prawo do posiadania niewolników stanowi obywatelski obowiązek, chroni go przed częścią niebezpieczeństw związanych z niewolnictwem, umożliwia mu trzymanie ludzi w niewoli, a nawet, w drugim rzędzie, zapewnia pewien stopień osobistego bezpieczeństwa zniewolonym”. Innymi słowy, postrzegał siebie jako kogoś, kto ma moralny obowiązek utrzymania status quo, nawet jeśli istniejący porządek był niemoralny. A jednak, dodaje Schwarz, nie chodziło tylko o jego „głębokie przywiązanie do panujących obyczajów”; po prostu „notoryczne problemy z długami i «ostentacyjne bogactwo» uzależniały go od niewolnictwa” (Philip J. Schwarz, dz. cyt., s. 35).

[2*] University of Southern California, czyli Uniwersytet Południowej Kalifornii, oraz University of California, Los Angeles, czyli Uniwersytet Kalifornijski (przyp. tłum.).

[3*] Haight Ashbury to dzielnica San Francisco, która w latach sześćdziesiątych XX wieku stanowiła centrum kontrkultury hipisowskiej. CBGB (Country, Blue Grass, and Blues) – słynny, nieistniejący już klub muzyczny otwarty na początku lat siedemdziesiątych na Manhattanie w Nowym Jorku, uznawany jest za kolebkę muzyki punk (przyp. tłum.).

CZĘŚĆ III

[1*] Za to śmierć Wattrona była o wiele mniej spokojna: pięć lat po egzekucji Smileya przedawkował laudanum i gdy przyjaciele przybyli mu z pomocą, oznajmił im ponoć: „Mam skasowany bilet prosto do piekła bez przystanków” (za: *Crooked Trail to Holbrook. An Arizona Cattle Trail*, Phoenix 1993, s. 218).

[2*] Niektórzy sugerowali, że Annabel być może nie była córką Edmunda Ravenela, ale jego siostrzenicą lub dalszą krewną. Dogłębna analiza dokumentów genealogicznych nie ujawnia jednak żadnej ewentualnej kandydatki: dziewcząt o imionach Annabel, Annabelle, Anna i Anne jest bardzo niewiele, a wszystkie albo zmarły w dzieciństwie, albo urodziły się po śmierci Poego.

[3*] Połownictwo – forma dzierżawy ziemi i całych gospodarstw, w której właściciel ziemi i środków produkcji otrzymuje część zbiorów (od $\frac{1}{3}$ do $\frac{2}{3}$) od dzierżawcy (połownika) (za: *Encyklopedia PWN*, www.encyklopedia.pwn.pl, dostęp: 1.12.2021) (przyp. tłum.).

[4*] Prawa Jima Crowa (nazwa od pogardliwego przezwiska czarnych mieszkańców – Jim Crow) – ustawodawstwo legalizujące segregację rasową w południowych stanach USA; wprowadzane od 1875 roku, upowszechniły się po roku 1883; podstawą prawną było orzeczenie Sądu Najwyższego (1896), który – uznając, że poprawki do konstytucji (trzynasta i czternasta) znoszące niewolnictwo i umacniające równość między rasami, nie zabroniły ich segregacji – wprowadził zasadę „równi, ale oddzieleni”. Dopiero w 1954 roku Sąd Najwyższy uznał ją za niekonstytucyjną, co zapoczątkowało znoszenie praw Jima Crowa i proces desegregacji rasowej w USA (za: *Encyklopedia PWN*, www.encyklopedia.pwn.pl, dostęp: 1.12.2021) (przyp. tłum.).

CZĘŚĆ IV

[1*] Po kolejnych protestach środowiska przewodników, które zgłosiło potrzebę utrzymania egzaminu certyfikacyjnego w trosce o jakość usług turystycznych, miasto przywróciło egzamin, uprzednio opracowawszy nowe pytania testowe (przyp. tłum.).

[2*] The Pelican State – nieoficjalna nazwa Luizjany; pelikan jest jej symbolem, widnieje na fladze stanowej (przyp. tłum.).

[3*] Istniały wprawdzie przepisy zabraniające maltretowania niewolników, ale nie należy na tej podstawie wnioskować, że w Nowym Orleanie niewolnikom żyło się dobrze. Zgodnie z artykułem 38 tzw. czarnego kodeksu niewolnikowi nieobecnemu bez zgody właściciela przez jeden miesiąc można było „obciąć uszy i napiętnować ramię kwiatem lilii; jeśli dopuszcza się tego po raz drugi [...] zostanie okaleczony przecięciem ścięgien i napiętnowany kwiatem lilii na drugim ramieniu, za trzecim razem zostanie uśmiercony”.

[4*] W relacji Jeanne deLavigne na temat tortur zadawanych przez Lalaurie, we wzmiance o tym, że znaleziono niektórych niewolników z „uszami wiszącymi na strzępach”, kryje się pewien niezamierzony paradoks, odcinanie uszu było bowiem usankcjonowaną przez prawo karą przeznaczoną dla uciekinierów, deLavigne przedstawia ją natomiast jako przejaw niewyobrażalnego bestialstwa.

[5*] Land of Lincoln – nieoficjalna nazwa stanu Illinois (przyp. tłum.).

[6*] Nawiązanie do tekstu tytułowej piosenki Raya Parkera Jr. z filmu *Ghostbusters* (*Pogromcy duchów*) z 1984 roku w reżyserii Ivana Reitmana (przyp. tłum.).

[7*] Robot naśladował ruchy ramion badanego i miał dotknąć jego pleców w tym samym momencie, kiedy ten wyciągał rękę przed siebie (przyp. tłum.).